

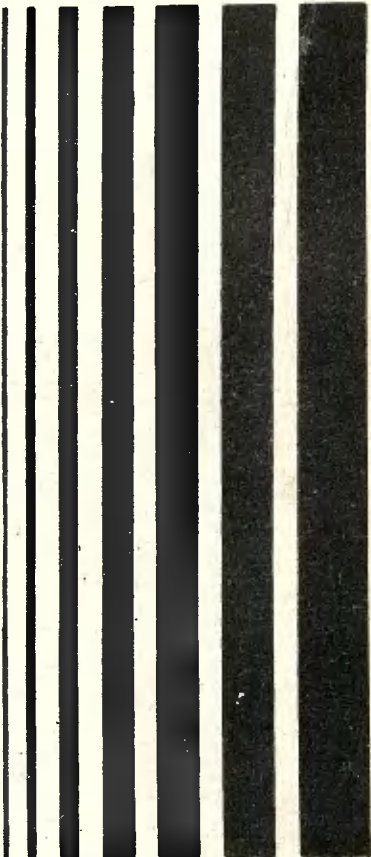
910

I/5

H

wolne pismo

**Wolne**



ZBIORY OSRODKA KARTA

ZBIORY OSRODKA KARTA

# not

Numer 9-10

Warszawa 1986

## SPIS TREŚCI

x x x	3
Jan Morawski: Jaruzelczycy	7
Feliks Stanisławski: Scenariusze	14
<u>Analizy i propozycje</u>	
Robert Ekstremski: Czekanie na szansę historii	19
Andrzej Gliński: Coś się dzieje w państwie ruskim?...	29
Barbara Tańska: Powroty i iluzje	35
Ernest Skalski: Jak się wytłumaczyć cudzoziemcom, czyli... o leniwych Polakach	44
Eta: Błąd /miniatura/	56
Jan Omłot: Apel o dalsze doskonalenie wyżywiania się rządu	57
Tomasz Jerz: Krzyk ku wolności?	63
Eta: Pif-Paf /miniatura/	74
Kazimierz Dziewanowski: O kulawym diable i jego kulawym dziele	75
Andrzej Darski: Kotwice nadziei	89
<u>Z dziejów Października 56</u>	
Jerzy Zamrós: Szturmowa brygada	95
Barbara N. Kopleńska, Ewa Szymańska: Ludzie z "Po Prostu"	97
Andrzej Julicki: "Solidarność" wobec kryzysu społeczno-gospodarczego /4/	103
Dziesięciolecie powetania KOR-u - wypowiedź Jana Lityńskiego	111

Protokoły Komisji Grabskiego

Grażyna Pomian: Auto-ja-fé	125
Wiersze <b>Barbary Sadowskiej</b>	148
Jeremi Jesion: Dziwne przypadki profesora Daviesa	149
Wiersze Henryka Grynberga	156
<u>Z dziejów Żydowskiego Obwodu Autonomicznego</u>	
Marian Sabat: Raj na Syberii	157
Birobidżan - wywiad Henrie Slovesa dla "L Alternative"	160
Aleksänder i Lew Szargorodscy: Żółty Emmanuel /opowiadanie/	166
<u>Fakty - Sygnały - Opinie</u>	
Plan gry Zbigniewa Brzezińskiego	171
"Akwarium" - recenzja	173
Komu purpura?	177
Po awarii - korespondencja własna z Kijowa	179
Panie Sekretarzu Generalny...	182
Telefon do Szczypiorskiego	183
"Rozmowy z cieniem" - raz jeszcze	185
Propaganda zamiast mieczkań	189

Copyright by MOST **wolne pismo**

Redagują członkowie NSZZ "Solidarność"

Czy dla nas, Polaków, dobrze czy źle, że panowie R. i G. nie dogadali się ze sobą w Reykjavíku? Dla tych Polaków, którzy już dosyć mają realnego socjalizmu i jego międzynarodowego gwaranta - myślę - że chyba dobrze, choć wielkich nadziei robić sobie raczej nie warto.

Nie jest istotne, że nie dogadali się w sprawie ograniczenia broni strategicznych i średniego zasięgu, choć to było w zasięgu ręki. Prawdopodobnie w tej sprawie porozumienie prędzej czy później będzie zawarte, kiedy Gorbaczow przekona się, że z wojen gwiazdnych Ameryka już się nie wycofa i że nie ma co się upierać przy tym warunku. Z genewskich rozmów Rosjanie wychodzili "nieodwołalnie", gdy instalowano w Europie "Pershing" i "Cruise" i wrócili, gdy zobaczyli, że rakiety stoją już na wyrzutniach. Po Reykjavíku nie było nawet żadnego "nigdy".

Istnieje przekonanie, oparte na doświadczeniu, że gdy wzrasta napięcie międzynarodowe, wówczas obóz nasz staje się jeszcze bardziej koncentracyjny; izoluje się nas od świata, tkłamsi spokojnie, wyiskając co się da na zbrojenia. A kiedy przychodzi odprężenie, zaczyna się względny luz we wszystkich dziedzinach. Tak było, lecz chyba tak już nie jest.

Jeśli chodzi o zbrojenia, to i tak zawsze jest wszystkiego za mało i zawsze się wyciska więcej, niż można. Wzrost napięcia nie przekłada się też tak prosto na izolację, jak to było na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Zbyt mocno i wszechstronnie związała się tzw. obóz socjalizmu z Zachodem, zbyt jest od niego zależny. Liczy stale na jakieś kredyty, dostawy, kontakty, czy choćby możliwość podróży elity władzy. Zaś doiskają nas nasze władze i folgują nam, zgodnie z wewnętrznymi potrzebami, stale się przy tym miarkując, ze względu właśnie na ten Zachód.

Tak więc, wydaje się, że bieżące fluktuacje na odcinku rozbrojenia i zbrojeń możemy traktować względnie spokojnie, bez emocji. Nie dotyczy to nas bezpośrednio i nie od tego zależy bezpośrednio los pokoju i wojny, istnienie ludzkości itp., niezależnie co na ten temat wypisze Karol Szyndzielorz.

Dla nas natomiast jest ważne, że Reagan twardo stoi przy wojnach gwiazdnych, czyli przy SDI, że ma w tym poparcie większości swego społeczeństwa i kręgów politycznych USA, że jest to trend trwały i że w momencie jego odejścia, za dwa lata, sprawa będzie na tyle zaawansowana, że nawet najłagodniejszy "gołąb" na jego miejscu - na co się raczej nie zanoszą - nie będzie w stanie tego odkręcić.



Co zaś będzie, kiedy za 10, a może za 15 lat, system obrony przeciwrakietowej stanie się faktem? Rakiety strategiczne przestaną być bronią ostateczną, a może wcale nie będą ważne. Albo żadna z nich nie przeleci, albo może jedna czy dwie - co jest wystarczająco okropne, ale nie będzie to koniec świata. Nawet gdyby obie strony miały tak samo niezawodne SDI, to wynik ewentualnej wojny będzie zależał od całości potencjału, zasobów, jakości sprzętu, sojuszków itp., od tego, od czego zawsze zależały wojny. Wolno przypuszczać, że Związek Sowiecki, który swe rosnące, w porównaniu z Zachodem, zacofanie cywilizacyjne - a technologiczne w szczególności - nadrabiał możliwością zadania decydującego ciosu, utraci to narzędzie szantażu, zaś per saldo okaże się słabszy, zarówno w groźbie światowego konfliktu, jak i w konfliktach lokalnych, gdzie będzie miał mniej pieniędzy, gorszą broń itp.

A chyba wolno również przypuszczać, że SDI, gdzie wymagana jest niesłychana precyzja, niezwykle wysoki stopień technologii i kolosalne nakłady, okaże się tym programem, na którym coraz bardziej zacofany i biedniejący w strukturalnym kryzysie system już nie sprostą najbardziej rozwiniętemu.

Źle to czy dobrze dla Polaków, jeśli mocarstwo, które nam siłą narzucało niechciany ustrój, skazujący nas na zapaść cywilizacyjną, i które groźbą użycia tej siły go podtrzymuje - szabnie w stosunku do swego rywala?

To nie jest, jak się rzekło, nadzieja na dziś, ani nawet na jutro. Iecz jest to, historycznie nawet jakby dość pewna, przesłanka dla zmian, które mogą nastąpić.

• • •

Póki słońce wszędzie - rosa oczy wyjada. Październik zbliża się do końca i widać, że ożywienia politycznego starczyło u nas z trudem na wrzesień. Władza zrobiła co mogła i chciała. Raczej będzie się teraz wycofywać z rzucanych półgębkiem obietnic zmian, niż je pogłębiać. Jak na brak znaczniejszego naporu społecznego zrobiła i tak bardzo wiele, dooiskana świadomością okropnego stanu gospodarki i jej perspektywy.

W polityce trudno jest przewidywać dalszy ciąg wydarzeń, w gospodarce, zwłaszcza peerełowskiej - dość łatwo. Będzie się stopniowo dalej pogarszać. Jeśli nawet dadzą jakieś kredyty, nawet w granicach trzech miliardów dolarów, o które ponoć zabiega władza, to proces degradacji najwyżej ulegnie pewnemu zwolnieniu. Nie takie miliardy zmarowia już ta gospodarka w o wiele lepszych dla siebie warunkach!

Mawia się często, że klucz do gospodarki znajduje się w polityce. I słusznie. Ale te polityczne posunięcia, które władza zrealizowała /amnestia/ i które zamierza zrealizować - jakieś ciąka konsultacyjne, status prawny Kościoła, czy liberalniejsza ordynacja wyborcza do rad narodowych - nie są kluczem, który by w gospodarce cokolwiek otwierał. Tu jest chyba potrzebny nie klucz, a kłm.

Zdanie jednego z najzagodniejszych i wciąż lewicowych ekspertów "Solidarności" brzmi, że aby w gospodarce cokolwiek zmienić na lepsze, to w pierw trzeba pogonić czerwonego. Czy nic nie można zrobić bez spełnienia tego warunku? Nie wiadomo,

choć warto może spróbować. Ta próba, jedyna reforma, która naprawdę coś by reformowała, musiałaby polegać, jeśli już nie na zmianie władzy, to na wyraźnym i trwałym jej ograniczeniu w zakresie gospodarki na rzecz upodmiotowienia jej jednostek. Upodmiotowienie przy tym nie znaczy przyznania dodatkowych uprawnień na mocy delegacji, które dziś się daje a jutro odbiera. Musi być cno oparte na stabilnym prawie, jednakowym dla wszystkich jednostek, wykluczającym ręczne sterowanie, zarówno przy pomocy telefonu, jak i przydziałów wszystkiego i odbieraniu wypracowanych środków. W gospodarce wciąż nakazowo-rozdzielczej mniej się może dziś nakazywać - choć nakazuje się nadal - a za to więcej się rozdziela. Czy może raczej mniej się rozdziela w ilościach bezwzględnych, bo wszystkiego jest mniej, natomiast zmniejsza się faktyczne pole samodzielnego manewru, dając formalne uprawnienia, niewielowane dodatkowo przez indywidualne decyzje. Na tym, jak dotąd, polega sens przeprowadzanej reformy.

Ostatnio dowiedzieliśmy się, że był to tylko pierwszy jej etap. O drugim przez cztery i pół roku nie było mowy, a teraz go wprowadzamy i ma on polegać, jak stwierdził premier Messner, na stabilizacji tych narzędzi ekonomicznych, które wprowadził pierwszy etap i na bezwzględnym egzekwowaniu rygorów ekonomicznych. Czyli, w tłumaczeniu na normalny język: to, co miało działać, nie działa po pierwszym etapie, więc uruchomimy to w drugim. Gdyby to miała być prawda, to zobaczylibyśmy niebawem zamykane kopalnie i huty, stocznie i cementownie. Jeśli jednak skyszymy, że właśnie wprowadzenie narzędzi ekonomicznych ma wzmocnić centralne planowanie, to jesteśmy u siebie w domu. To znaczy, że będzie komu zadbać o środki dla baronów węgla i stali, no i dla wielkoprzemysłowej klasy robotniczej w wielkich ośrodkach, której władza się boi.

To znaczy, że trochę się pogada, przeprowadzi się jakąś kolejną akcję po tzw. atestacji stanowisk, ale tak naprawdę władza nic nie popuści ze swych kompetencji. Nie po to zresztą był blitzkrieg 13 grudnia, a naporu społecznego, jak się rzekło, raczej się nie odczuwa.

W ten sposób, jeśli nic się nie przydarzy, mamy - i jej więcej zaprogramowane te parę lat do końca dekady, czyli do terminu, po którym, zgodnie z założeniami realizowanego już dziesięć miesięcy planu pięcioletniego, mieliśmy osiągnąć przedkryzysowy poziom 1978 roku i wstrzymać wreszcie proces dekapitalizacji. Po tych dziesięciu miesiącach i już tych bzdur nie powtarza.

Jeśli zatem ktoś sądzi, że dzieje się tak i że władza brakuje dobrych rad i nie wie, jak ma postąpić, ten powinien zgłosić swój akces do rady przy Radzie Ministrów i do konwentów wojewódzkich. Władza tylko czeka, aby podzielić się z kimś częścią odpowiedzialności za to, co będzie się działo. A szczególnie za tzw. niepopularne decyzje, czyli odbicie płac realnych, świadczeń, wydłużenie czasu pracy itd.

Sytuacja takiego zapraszanego jest trudna. Nawet jeśli nie przebiera nogami z niecierpliwości, aby tylko wejść do jakiegoś ciała - tacy zresztą mieli już PRON, Consensus i parę rad po drodze - to jakże odmówić wsparcia radą miłej

ojezyny w potrzebie. Zaraz Urban powie, że krytykować to każdy gotowy, a wspomóc nie ma komu. Niechże więc wspomagają. Jeśli przynajmniej zapewnią sobie, żeby ich głos doradczy nie był szeptaniem na ucho, a docisrał wszędzie szeroko, to chociaż będą mogli o sobie powiedzieć: przynajmniej ostrzegałem. W szerokim odbiorze bardziej jednak liczyć się będzie fakt uczestnictwa.

Zdrowy rozsądek kazałby jeszcze poczekać. Władza czyni te koncesyjki nie dlatego, że ma taką naturę, lecz że ją sytuacja dociska. Ta zaś będzie ją stopniowo dociskać coraz mocniej. Wtedy, być może, pozwoli nie tylko radzić sobie, lecz nawet jakichś rad posłucha, lub pozwoli komuś zrobić coś sensownego, na przykład założyć Fundację Rolną. Może nie warto więc inwestować pośpiesznie jedynego kapitału społecznego, jakim jest wiarygodność uczciwych ludzi.





Jan Morawski

## JARUZELCZYCY

### 1. SOWIECKIE POCHWAŁY

Po X Zjeździe PZPR oficjalna propaganda raz jeszcze podjęła próbę stworzenia optymistycznego obrazu "utrwalającej się normalizacji". Wizyta Gorbaczowa bez wątpienia wzmocniła osobistą pozycję Jaruzelskiego w polskiej strukturze władzy i wśród przywódców partyjnych Europy środkowo-wschodniej. Oficjalne i nieoficjalne wypowiedzi sowieckiego sekretarza przedstawiano, rzecz jasna, jako budzące nadzieję na reformy, skoro stwierdził, iż "lekcje polskiego kryzysu są ważne nie tylko dla polskich komunistów /.../ mają one uniwersalne, międzynarodowe znaczenie". Pewnym nowatorstwem, w porównaniu z epoką Breżniewa, Andropowa i Czernienki, nacechowana była myśl o potrzebie "stałej odnowy socjalizmu na jego własnej podstawie". Może to znaczyć, że odgórne reformowanie struktur ustrojowych jest postrzegane na Kremlu jako proces ustawiczny, jako nieustanne próby modyfikacji, będące czymś więcej niż jednorazową kampanią. Ustawiczne reformy, jako odpowiedź na zaostrzające się kryzysy - oto myśl o tyle nowa, że dotychczas wodzowie ZSRR mówili o systemie komunistycznym, jak o czymś tak doskonałym, co nie może doświadczać kryzysów lub wymagać "stałego odnawiania".

Nie znaczy to, że znikła już ideologia konserwatywnego populizmu i autorytarny styl myślenia. Gorbaczow w swym warszawskim przemówieniu nadal określił "naukę marksizmu-leninizmu", jako "najpewniejszą gwarancję", chroniącą elity rządzące przed błędami, a społeczeństwa przed kryzysami. Obrona niewinności ideologii i struktur ustrojowych jest więc nadal bardzo tradycyjna. Jeszcze więcej o osobowości nowego przywódcy moskiewskiego mówią jego słowa poza przemówieniami oficjalnymi. W paternalistycznej pogawędce z grupą robotniczych delegatów na I Zjazd pochwalił talenty pacyfikacyjne Jaruzelskiego i wyjawiał swój naturalny, jakby nieoficjalny, pogląd na istotę tzw. normalizacji. Kilka razy pokazała to polska telewizja 30 czerwca 1986 r., widocznie bez świadomości, że ta definicja jest autodemaskacją. Gorbaczow cieszył się z zakresu tzw. normalizacji, czyli z tego, że "teraz w Polsce ludzie wiedzą, co jest możliwe, a czego im nie wolno" /ludzi znająt, czto wozmožno i czego niel zja/. Rosyjskie "niel zja" jest znaczeniowo mocniejsze niż polskie "nie wolno", czy niemieckie "verbotten". I właśnie tym błogosławieństwem publicznie naznaczył ekipę polityczną Jaruzelskiego i dodał z uśmiechem: "udało wam się w tym trudnym czasie, bo macie dobrego przywódcę".

## 2. NOWE-STARE KIEROWNICTWO PZPR

Zjazd PZPR był więc miejscem oficjalnego, płynącego z Moskwy, potwierdzenia mało skutecznej i niepopularnej polityki Jaruzelskiego z lat 1981-1985. Został też chyba osiągnięty drugi cel jego organizatorów: dobór takiego personalnego składu elity rządzącej, aby gwarantował on lojalność wobec Jaruzelskiego i zapewniał kontynuację polityki niekonsekwentnych reform. Liczne zmiany w składzie KC były raczej duże - spośród 230 jego członków /tym razem zlikwidowano instytucję zastępców członka/ tylko 62 osoby były także w 1981 r. albo członkami /52/, albo zastępcami członków /10/. Tak więc na ponowne uznanie ścisłej elity partyjnej zasłużyło tylko ok. 23% członków i zastępców KC, wybranych przez IX Nadzwyczajny Zjazd pięć lat wcześniej /wówczas było ich 270/. Pośrednio potwierdza to rzeczywistą nadzwyczajność tamtego zjazdu, skoro aż 77% wówczas wybranych do KC nie sprawdziło się jako zaplecze polityki 13 grudnia. Teraz Jaruzelski mógł się rozstać z tymi "zmęczonymi bohaterami".

Zmiany w Biurze Politycznym i Sekretariacie były znacznie skromniejsze. Żadna z prognoz, zapowiadających gruntowną czyszczenie w centralnej egzekutywie, nie potwierdziła się. Z trzydziestoosobowego Biura Politycznego w związku z X Zjazdem odeszło siedem osób: T.Gzechowicz /który tuż przed zjazdem utracił pozycję i sekretarza KW w Łodzi, a na zjeździe nie wszedł nawet do KC/, H.Kubiak /został nadal w KC/, S.Opałko /przeszedł na emeryturę/ oraz czworo robotników /Z.Grzyb, S.Kałkus, J.Romanik i A.Siwak/. Cała czwórka utraczyła swe miejsca w KC. Pozostało więc wiele wolnych miejsc w Biurze Politycznym, skoro 7 osób odeszło, a nowe BP miało liczyć 15 członków. Nie pojawiło się jednak aż 9 nowych postaci na poziomie pełnych członków BP; w roli robotników weszli trzej zupełnie nowi ludzie - A.Miodowicz, Z.Murański i Z.Stępień. Ta zmiana ma więc częściowo rytualny sens, robotnicy w BP istotnie podlegają rotacji po jednej tylko kadencji.

Pozostali, to pięć osób, które były poprzednio zastępcami członków BP /J.Główozyk, gen. Cz.Kiszczak, W.Mokrzyśczak, M.Orzechowski, gen. F.Siwicki/ oraz gen. J.Baryła, od jesieni 1985 r. dokooptowany do Sekretariatu KC. Ponownie do BP weszli: K.Barcikowski, J.Czyrek, W.Jaruzelski, Z.Messner, T.Porębski i M.Woźniak. Z tego grona tylko dwie osoby /Jaruzelski i Barcikowski/ były członkami centralnej egzekutywy PZPR przed 1980 rokiem. Zastępcami członków BP zostali trzej pierwsi sekretarze KW /S.Bejger z Gdańska ponownie, B.Ferensztajn z Katowic i J.Kubasiewicz z Warszawy - obaj po raz pierwszy/, Z.Michałek /poprzednio był tylko sekretarzem KC/ i jedna robotnica G.Rembisz. Sekretariat KC liczy obecnie 11 osób /odszedł tylko W.Swirgoń/ w tym: 8 już poprzednio pełniło swe role /J.Baryła, H.Bednarski, J.Czyrek, J.Główozyk, W.Jaruzelski, Z.Michałek, T.Porębski, M.Woźniak/, dwóch było kierownikami wydziałów KC /S.Ciosek i K.Gypryński/, a tylko jeden jest po raz pierwszy w kierownictwie PZPR /A.Wasilewski, obecnie odpowiedzialny za politykę kulturalną/.

Dla zmian personalnych na szczycie PZPR, w porównaniu ze stanem po IX Zjeździe, charakterystyczne jest:

- 1/ liczne zwiększenie tej grupy z 19 do 24 osób;



2/ wzrost średniego wieku z 50 do 55 lat;

3/ wzrost liczby członków Rady Państwa i Rady Ministrów w elicie partyjnej z dwóch do sześciu /Barcikowski i Jaruzelski z Rady Państwa, Messner, Kiszczak, Orzechowski, Siwicki z Rady Ministrów/;

4/ wzrost liczby etatowych "pracowników partyjnych"; jest ich 15 na 24 osoby. Ta sama tendencja widoczna jest też w składzie Plenum KC, gdzie są obecnie już 22 osoby, które były w KC w latach władzy Gierka, a na IX Zjeździe w 1981 roku przegrały walkę o władzę. Organizatorem tych powrotów starej gwardii i awansów zawodowego aparatu jest sam Jaruzelski, poszukujący kandydatów do ważnych ról wśród tych, których poznał w przeszłości, lojalnie współpracując z Gierkiem, Jaroszewiczem, Babiuchem i innymi;

5/ awanse były skromne, dające poczucie stabilizacji i pełnej normalności. Były to głównie awanse o jeden szczebel w hierarchii - z zastępcy na członka Biura, a sekretarza na zastępcę członka Biura, z kierownika wydziału KC na sekretarza KC... Jedynie A. Wasilewski i A. Miodowicz /jeśli pominąć czwórkę robotników/ awansowali wyraźniej, ale żaden z nich nie jest postacią rzeczywistie świeżą na komunistycznym Olimpie. Wasilewski to wszakże nie tylko wieloletni dyrektor Państwowego Instytutu Wydawniczego, ale także zastępca członka KC po VII i po VIII Zjeździe oraz po 13 grudnia bojowy publicysta, zwalczający wyzwolenicze ideały Sierpnia w imię geopolitycznego realizmu, państwowocentrycznej pracy organizacyjnej i osobliwej idei zdrowego rozsądku.

To, co w partyjnej nowomowie nazywa się "wprowadzeniem" A. Miodowicza do Biura Politycznego, jest manifestacją dezynwoltury i nonszalanego. Oto po Sierpniu, po masowym poparciu dla idei niezależnych i samorządnych związków zawodowych, znów szef nowych związków jest nie tylko członkiem PZPR, czy choćby KC PZPR, ale podobnie jak Szydłak i inni jego poprzednicy, musi być, pewnie z jakiegoś "klucza", aż w samym Biurze Politycznym. Uważam to za znaczący symbol - właśnie tak ekipa Jaruzelskiego pojmuje statutowe i ustawowe określenia niezwiązków jako "niezależnych i samorządnych". Z oficjalnych interpretacji tego awansu Miodowicza zdaje się wynikać, iż jego obecność w Biurze umacnia "klasowy charakter" związków zawodowych. Przecież od czasów Lenina jest pewne, iż najlepiej rozumie klasowe interesy ludzi pracy właśnie centralna egzekutywa partii komunistycznej i tak jest niezależnie od tego, co o tym myślą sami robotnicy i inne grupy ludzi pracy. Powrotowi starej gwardii na główną scenę życia partyjnego towarzyszy, jak widać, powrót do leninowskich ko-

### 3. PSYCHOLOGIA PYRRUSOWEGO ZWYCIESZTWA

Mamy więc do czynienia z tą samą grupą ludzi, którzy już od lat współpracowali z gen. Jaruzelskim. To, że teraz w tej elicie jest więcej generaków /aż czterech/ i że rolę II sekretarza de facto pełni gen. Baryła, świadczy o tym, że nieformalny najbliższy Jaruzelskiemu krąg, został obecnie formalnie "wprowadzony" do Biura i Sekretariatu KC. To, co było

jedynie nieformalne, uległo pełnej formalizacji; to, co było faktyczną elitą w aparacie państwowym, stało się też elitą aparatu partyjnego. Struktura jest nieco bardziej przejrzysta, ale wątpliwe jest, aby wzrosła jej zdolność skutecznego rozwiązywania problemów.

Jaruzelczycy, jako koalicja osób, nauczyli się rządzić bez poparcia większości. Akceptują swą niepopularność, a jeśli wyczuwają społeczną krytykę, trafiającą w sedno, próbują ją ignorować. Poprzednie elity rządzące ograniczały się do blickowania krytycznej artykulacji /np. przez cenzurę, nomenklaturowe nominacje, wymuszanie pozorowanej jedności/. Ekipa Jaruzelskiego od początku nie miała swojego okresu entuzjastycznego, jak Gomułka w 1956 r., czy Gierak w 1970 r. Zaczynała z gorzkim poczuciem, iż większość społeczeństwa nie tylko ma moralne prawo, ale wręcz musi /w odpowiedzi na sytuacyjny przymus zrodzony z bratobójczego uderzenia Jaruzelskiego w grudniu 1981/ odrzucać przemoc. Aby kontynuować represje ruchów niezależnych, rozwiązywać związki i stowarzyszenia, wyrzucać ludzi z pracy i ustanawiać zakazy wykonywania zawodu, niszczyć symbole i opluwać wartości ruchów niezależnych, elita jaruzelczyków nie mogła ochronić swego sumienia wyłącznie rachitycznym parawanem oficjalnych półprawd. Wołanie o realizm, apel do poczucia racji stanu, szantażowanie narodu otwartą inwazją ze Wschodu, nie mogłoby uchronić ich od schizofrenii. Musieli ponadto nauczyć się reagować na otwartą krytykę i odrzucić mit o własnej nieomyślności. Nauczyli się więc wspomóc krytykę za cenę pomniejszenia jej doniosłości /"to już szyszeliliśmy nie-raz"/ i ignorowania tych myśli, które dotykają ich szczególnie boleśnie /"przecież to mrzonki, stare utopie romantyczne"/.

Taki mechanizm psychologiczny mógł być skuteczny tak długo, jak długo rdzeń ekipy pacyfikatorów mógł podtrzymywać wiarę w swe zdolności reformatorskie i ufał ewym umiejętnościom wyrowadzenia kraju z kryzysu. Dla uolnienia wyrzutów sumienia mogli więc sobie w zaciszu domowym myśleć: "to prawda; że zrobiliśmy coś strasznego i bez precedensu, własnymi rękami dusząc pokojowy zryw demokratyczno-niepodległościowy, ale dzięki temu przeprowadziliśmy gruntowne reformy, wyprowadziliśmy kraj z kryzysu i stworziliśmy gwarancje, aby takie kryzysy nie niszczyły już Polski". Ucieczka od poczucia winy za przeszłość i smutną teraźniejszość prowadziła ich do nadziei wyobytlicznej ku lepszej przyszłości. Może zapomnieli, że już kilkakrotnie komuniści w Polsce żywili się takimi nadziejami na przyszłość.

Wiara w siebie, w swą "przodującą ideologię", w fizyczną siłę będącą jakoby "akuszerką postępu", była jednak coraz trudniejsza do utrzymania. Po pięciu latach od 13 grudnia nawet mało oświecony funkcjonariusz systemu musiał już sobie uświadomić, że im skuteczniej używa się przemocy zbrojnej i instytucjonalnej, tym mniejsze zostaje pole dla reform, pobudzających aktywność gospodarczą i odbudowujących demokrację polityczną. Świadomość własnej przegranej upowszechnia się w elicie władzy, a znacznie wcześniej zaczęła ogarniać jej aparaty wykonawcze. Tzw. dyskusja przedjazdowa, a także głosy na zjeździe były niekoczającym się biadoleniem nad brakiem konsekwencji i sprawności w realizacji uchwał i programów. Od góry i od dołu rozlegały się lamentacje, mało budujące, o tzw. dobrych uchwałach, które nie po raz pierwszy pozostają jedynie na papierze. Te bezradne narzekania potwierdziły zarzuty opozycji

demokratycznej, że elita rządząca ma dużą siłę niszczenia i ograniczania tego, co jej przeszkadza w utrzymaniu władzy, ale ma minimalną władzę pozytywną, władzę osiągania celów, które sama głosi i uważa za godne osiągnięcia. Im większą mają władzę negatywną, tym mniej mogą w sferze władzy pozytywnej. Im więcej restrykcji i blokad udało im się narzucić społeczeństwu obywatelskiemu, tym mniej antykrzysowej inicjatywy i przedsiębiorczości mogą uruchomić i wykorzystać dla realizacji swych połowicznych i mglistych koncepcji.

Tak więc, mimo pozornych sukcesów stanu wojennego i pochwał Gorbaczowa, poczucie własnej niemocy jest obecnie powszechniejsze w kręgach rządzących, niż wkrótce po formalnym odwołaniu stanu wojennego. Jest to elita coraz bardziej wątpląca w siebie i swego wodza, dla którego już, jak zwykle, nie ma nawet takich alternatyw, jak Stefan Olszowski. Jest to elita coraz bardziej niepewna swego tytułu do rządzenia Polską, coraz bliższa cichemu przyznaniu racji tym, którzy od dawna kwestionują moralne i polityczne usprawiedliwienie tzw. mniejszego zła.

Ta niepewność i niewiara w nielicznych tylko przypadkach łączą się z poczuciem osobistej odpowiedzialności za wady systemu. Zapewne nieliczni z tego grona czują się współtwórcami systemu; większość sądzi, że to kłopotliwe dziedzictwo przeszłości, na którą nie mogli sami mieć wpływu. Może nawet zaczynają uważać się za ofiary systemu, skoro przywileje, jakie jest on zdolny im zapewnić, są raczej skromne, a koszt moralny jego obsługi jest coraz wyższy. Nawet jeśli na najwyższych szczeblach mało jest funkcjonariuszy ze świadomością, iż są ofiarami systemu, to upowszechnia się poczucie, iż to struktury systemu panują bardziej nad elitami władzy niż odwrotnie. Siła przyzwyczajenia i inercji oraz wszędziebyłki oportunizm sprawia, że aparaty władzy mogą czasem mieć wrażenie kierowania systemem i społeczeństwem. System jest samoczynny i bezosobowy; jego funkcjonariusze mogą mu służyć, ale tylko w małym stopniu mogą go zmienić lub nim sterować.

System moncentryczny coraz częściej może liczyć na poparcie tylko wyrachowane i warunkowe, nawet ze strony swych funkcjonariuszy. Ich malejąca lojalność wobec doktryny i zasad systemu objawia się w Polsce właśnie jako b i u r o - k r a t y c z n a a n a r c h i a. Źródło tej bezwładności i paraliżu tkwi wewnątrz systemu; blokuje nie tyle siła społecznego oporu, ile wewnętrzne absurdy instytucjonalne, w których tylko decyduje ad hoc mogą coś doraźnie poruszyć. Wszystkie znane ludziom regulatory zachowań w skali masowej są już wyłączane lub objęte zaawansowaną korozją; nie jest skuteczny ani plan centralny, ani wolny rynek, ani prawo, ani ideologia i poczucie moralne, ani trwałe reguły gry, ani wreszcie sama gra interesów.

Biurokratyczna anarchiczność systemu objawia się jako: paraliż wyobraźni poszukującej alternatyw, lęk i autorytaryzm tłumiące inicjatywę w strukturach oficjalnych, brak koncepcji prostych i śmiałych, brak mocy egzekwowania decyzji i norm, skłonność do nadmiernie częstego stancjonowania norm i podejmowania decyzji, zablokowanie kanałów przekazu informacji zbydnymi i w wysokim stopniu nierzetelnymi sprawczaniami, zorganiszowana nieodpowiedzialność za złe efekty, etafe



oscylowanie między dążeniem do wszechmoocy a faktyczną bezsilnością.

Żadnej z tych strukturalnych wad systemu nie udało się ja-  
ruzelczykom usunąć lub choćby tylko istotnie ograniczyć. Tym  
samym samoczynnie generuje on następny ostry wybuch ciągle  
trwającego kryzysu.

#### 4. CZY KOMPROMIS POLITYCZNY?

Takie właśnie są głębsze źródła jesiennych inicjatyw: uwol-  
nienia większości więźniów politycznych we wrześniu 1986 r.,  
niejasnych zapowiedzi powołania Rady Konsultacyjnej przy Ra-  
dzie Państwa i przy radach narodowych oraz projektów powołania  
rzecznika praw obywatelskich przy Sejmie. W poczuciu niezdo-  
łności do rozwiązywania polskich problemów poszukuje się doty-  
chczas nie tyle społecznych partnerów o własnej tożsamości  
ideowej, ile szuka się szansy przetrwania części odpowiedzial-  
ności na grupy i środowiska poza PRON.

Samo uwolnienie więźniów sumienia i zapowiedź liberalizacji  
prawa w tej dziedzinie, jakkolwiek są obiecującym ustępstwem  
na rzecz zdrowego rozsądku, nie zmieniają struktur  
rządzenia. Społeczny udział we władzy, kontrola obywatelska,  
czy pomysły alternatywne, nie wchodzi dzięki temu na scenę  
publiczną, chociaż poprawia się klimat społeczny, gdy krytycy  
systemu nie muszą cierpieć poniżających warunków życia więzie-  
nnego. Od poprawy klimatu do kompromisu i rozwiązań gwarantu-  
jących jego trwałość wiedzie bardzo droga.

Aby możliwy był kompromis, potrzebne byłoby nie tyle porozu-  
mienie, ile stały, jawny proces wymiany opinii. Proces porozu-  
miewania się i publicznego sporu w niektórych kwestiach będzie  
możliwy tylko wówczas, gdy:

- aparat władzy będzie gotów uznać, że grupy iden-  
tyfikujące się z opozycją polityczną, z NSZZ "Solidar-  
ność" lub z Kościołem, mają własną tożsamość ideowo-  
moralną, własne interesy i myśl polityczną, dzięki  
którym mogą i powinny być traktowane jak podmioty na  
jawnej scenie politycznej;

- odrębna podmiotowość tych wielkich grup, które  
nie chcą i nie mogą uważać PRON za swego reprezentan-  
ta, może się wyrazić albo przez dopuszczenie do le-  
galnego działania pewnych stowarzyszeń,  
albo przez traktowanie określonych osób jako  
publicznych reprezentantów  
określonych nurtów opinii publicznej lub środowisk  
społecznych.

Równowartość podmiotów w ewentualnym poszukiwaniu dróg kom-  
promisu powinna być uświadomiona wyraźnie nawet jeśli ich siła  
społeczna, instytucjonalna lub moralna jest zróżnicowana. Zało-  
żenie o podzielności racji wymaga uznania, że różne podmioty  
mogą mieć częściowe rację, a każda częściowa choćby racja zas-  
ługuje na to, aby ją podawać do publicznej wiadomości przez  
prasę, radia i TV. Dzięki temu można by odbudować przestrzeń  
racjonalnego i krytycznego dyskursu o rozmaitych projektach  
powstrzymywania cywilizacyjnej zapaści, która jest przeciw

groźbą realną, jako połączony skutek kryzysu władzy państwowej, kryzysu gospodarki i skażeń środowiska oraz kryzysu motywacyjnego.

Rada Konsultacyjna /i jej terytorialne odpowiedniki/ powinna, zdaniem elity władzy, być miejscem spotkania tych sił społecznych, które są ważne dla znalezienia wyjścia z kryzysu państwowego i które są, z własnego wyboru, poza PRON. Oznacza to przyznanie pośrednie, że PRON nie jest dostatecznie szeroką i społecznie atrakcyjną platformą wymiany opinii o możliwych kształtach kompromisu politycznego w Polsce.

Rada Konsultacyjna tylko wówczas będzie ofertą godną uwagi i szansą, jeżeli będzie wyraźnie odrębna od PRON, jej uprawnienia doradczo-analityczne i uchwałodawcze będą jasno określone drogą ustawy, jej zasady działania, tryb powoływania jej członków i moc wiążąca jej opinii wobec rządu i Rady Państwa zostaną określone również w Konstytucji.

Reguły te powinny być trwałe i nie zależeć od samowoli określonej koalicji personalno-politycznej. Żadne gabinetowe nominacje, wyselekcjonowanych przez elitę władzy, wybitnych intelektualistów, nie przybliżą rozwiązania problemu demokracji. Jeżeli elita władzy chciałaby jedynie dialogu z niektórymi członkami elity intelektualnej, to szerokie rzesze ludzi pracy nie uzyskająby przez to nic cennego, żadnej szansy na lepszą i uczciwą reprezentację ich dążeń. Oczywiście, Rada Konsultacyjna nie może mieć masowego członkostwa, ale ci, którzy tam się powinni pojawić, to ci, którzy rzeczywiście mogą reprezentować te szersze zbiorowości. Ludzie wyposażeń w tytuł do działania przez określone środowiska obywateli, a nie przez anonimowy aparat władzy. Ludzie znani jako osoby publicznego zaufania, a nie po prostu osoby prywatne, sztucznie wyizolowane z układu wspólnot społecznych. Samotne jednostki, nawet gdy są wybitnymi ludźmi wiedzy i sztuki, byłyby zagrożone manipulacją ze strony grup rządzących i wyobcowaniem. Przez proste sumowanie wyobcowanych elit nie posuwa się naprzód sprawa autentycznej reprezentacji wielkich grup społecznych, zwłaszcza wówczas, gdy są niezadowolone, nieufne i po wielokroć doznały już gorzkich rozczarowań.

Dialog elit może mieć demokratyczny sens jedynie wówczas, gdy toczy się jawnie, gdy konkurujące ze sobą idee są podawane do publicznej wiadomości, a szerokie zbiorowości społeczne mają realny wpływ na tych, którzy coś mówią i robią w ich imieniu w roli reprezentantów określonych interesów grupowych.

12 października 1986

Jan Morawski



## SCENARIUSZE

Zagraniczni komentatorzy /a i my też/ zastanawiają się, dlaczego decyzja o wypuszczeniu prawie wszystkich więźniów politycznych nastąpiła 11 września, a nie 17 lipca, kiedy to ogłoszono ograniczoną amnestię? Przecież gdyby ten bądź co bądź spektakularny akt nastąpił w lipcu, efekt byłby o wiele większy. Czy coś się zmieniło między lipcem a wrześniem? Czy jest to może dowód na tarcia w elicie władzy między "zwolennikami kursu liberalnego" i "twardogłowymi"? Zbyt mało, niestety, mamy elementów, aby przekonująco odpowiedzieć na te pytania.

Nie był to jednak tylko gest władzy, ale poważny krok polityczny; krok o dużym ciężarze gatunkowym, który należy docenić, jednocześnie nie przeceniając go. Był to bowiem, co prawda, jakiś krok w kierunku rzeczywistej normalizacji, ale prawdziwa normalizacja, jak to wyraźnie formułował komunikat Episkopatu, to nie tylko wypuszczenie więźniów, ale także stworzenie warunków dla otwartego społecznego działania wszystkich tych sił, które w Polsce istnieją. Państwo polskie jest czczą wszystkich Polaków, a nie tylko członków jednej partii. Czy zatem po tym pierwszym kroku będą następne, czy znów zapełnią się więzienia "przestępcami niekryminalnymi"? I o co właściwie chodzi w tej grze?

Jedno jest pewne. Decyzja o szerokiej amnestii nie jest żadnym dowodem na rosnącą siłę władzy, jak chciano nas usilnie przekonać. Wprost przeciwnie. Komuniści, jeśli są szczeni, nigdy nie ustępują. Jeśli więc zdecydowali się na to posunięcie, musi kryć się za tym jakiś cel, którego na razie możemy się tylko domyślać. Spekulujący na ten temat komentatorzy zwracali przede wszystkim uwagę na sytuację gospodarczą kraju, na liczne rysujące się zagrożenia. Istotnie, sytuacja jest wręcz dramatyczna. Nie powiedziano o reformie. Inflacja przybiera postać galopującą. Przemysł ustaje z powodu trudności zaopatrzeniowych, w eksporcie nastąpił zastój, pogłębia się nierównowaga rynkowa, plan się wali. Nastąpiło wyraźne osłabienie tempa wzrostu produkcji przemysłowej. Stajemy w obliczu bankructwa. Na naradzie przedstawicielei rządu z neozwiązkowcami w Zakładach Cegielskiego w Poznaniu /3-4 X 86/ z trybuny dramatycznie wołał przewodniczący związków w "Romecie", Henryk Porowski: "Dajcie możliwość wykorzystania czasu pracy, skorzystania z odpisów dewizowych! Dziś na kilka godzin naprzód nie wiemy, czy będzie dla produkcji zaopatrzenie". Takich głosów na tej, i nie tylko na tej, naradzie być w ostatnim czasie bardzo wiele. Rozlegają się one coraz donośniej.

Retuszując obraz PRL w oczach zagranicy, Jaruzelski liczy na uruchomienie nowych linii kredytowych, na zniesienie sankcji amerykańskich, na życzliwe potraktowanie przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy, na ciepłe przyjęcie w Rzymie, a może i w Watykanie... Jest on również próżny jak Gierrek, chciałby uchodzić za męża opatrznościowego Polski. Chodzi

więc i o pieniądze, i o prestiż. Jak mi powiedziano, w Nowym Jorku, gdyby nie "niefortunna" dla władzy decyzja Głępa w sprawie wycofania się z Fundacji Rolnej, Amerykanie zniesliby wszystkie sankcje natychmiast po uwolnieniu więźniów. Wycofanie się Kościoła z pertraktacji o fundację było największym kawałem, jaki spiął kardynał Jaruzelskiemu, nieprawdopodobnie mieszając mu szyki. Uczynił to najprawdopodobniej nie z politycznej dalekowzroczności, ale z bardzo ludzkiego uczucia, wyczerpania się jego świętej cierpliwości. A to, że decyzja ta zbiegła się z klawielicznym zamysłem władz, jest raczej czystym przypadkiem.

Jestem też przekonany, że władzy zależy nie tylko na kredytach i dobrym imieniu. Sytuacja gospodarcza w każdej chwili może grozić wybuchem. Wprowadzanie tzw. "drugiego etapu" reformy gospodarczej, nawet jeśli będzie ona kulała jak dotychczas, wiązać się będzie ze sporymi kosztami i koniecznością dalszych, coraz cięższych, wyrzeczeń. Społeczeństwo jeszcze sobie z tego nie zdaje w pełni sprawy. Eksperti - tak. Nic więc dziwnego, że od pewnego czasu właśnie eksperci, i to zarówno rządowi, jak i niezależni, są autorami coraz czarniejszych scenariuszy wydarzeń.

Tylko drobna, zdawałoby się, sprawa ograniczenia dotacji dla nierentownych przemysłów w 1987 r. na poziomie 1986 r., podczas gdy pierwszy wariant planu przewidywał wzrost dotacji o ok. 26%, musi spowodować poważny wzrost cen zaopatrzeniowych i częściowo także detalicznych. Wzrosną ceny energii, paliw, węgla i usług. A przecież to zaledwie jedna z konsekwencji przyspieszenia, czy raczej bardziej konsekwentnego wdrażania, reformy.

Władze oświadczają na prawo i lewo, że następują korzystne przemiany w świadomości społecznej. Zbigniew Messner, swoim drewnianym językiem, mówił na konferencji warszawskiej PZPR, że "we wszystkich środowiskach tworzy się sprzyjający klimat polityczny do realizacji nowych zadań". Innego mniemania jest, odsunięty przez generała, skompromitowany w oczach społeczeństwa i niechciany przez aparat, M.F. Rakowski, który swój artykuł /"Polityka" nr 41/, zatytułowany "Przeciwko filozofii rezygnacji", poświęcił swoim kolejnym /które to już?/ niepokojącym go pytaniom. Jego wątpliwości budzi problem: "Czy PZPR jako partia jest zdolna do rzeczywistych działań ofensywnych?" "Czy nie przesładuje nas, PZPR-owców - zapytuje retorycznie - postawa obojętności wobec spraw publicznych?"

Naïwe i śmieszne to postawienie sprawy. Oczywiście, bliższy prawdy jest Rakowski, niż Messner. Być może, po prostu Rakowski nie czując się już blisko ołtarza, zdobywa się na pytania, które nie przychodziły mu do głowy, kiedy urzędował i pouczał nas z gabinetu w Alejach Ujazdowskich. Rakowski, pisząc o pleniącym się zobojętnieniu w partii, zwraca również uwagę na bierność całego społeczeństwa, która w trakcie pogłębiającego się kryzysu przybiera coraz bardziej niepokojące rozmiary. Nie chodzi tylko o możliwy wybuch, jeśli rzeczywiście poważnie potraktować plany władzy na przyszłość, to do ich wykonania konieczne jest, przynajmniej minimalne, włączenie się całego społeczeństwa do działania, zaniechanie postaw biernych i pasywnych. Ustrój realosjalistyczny, jak dowodzi detychczasowa praktyka, nie bankrutuje,

ale skazany na smętną vegetację, na pewno nie stanie się atrakcyjny dla nowego pokolenia. Trzeba więc przyoiagnąć nie tylko te 25, czy 30 proc. przekonanych i prawie przekonanych, ale trzeba podjąć wysiłek o przyciągnięcie milczącej większości, w tym brutalnie zdeptanej inteligencji, bez której trudno wyobrazić sobie rewolucję technologiczną i postęp w dziedzinie nauki. Stąd inicjatywa wypuszczenia więźniów, a także zmiana na stanowisku ministra kultury, przebąkiwanie o bardziej liberalnej polityce podatkowej, propozycja powołania Rady Konsultacyjnej przy Radzie Państwa, zresztą o bliżej nieokreślonych kompetencjach.

Czy to wszystko oznacza rzeczywistą próbę rozmowy z Polakami i rzeczywiste reprezentującymi ich siłami społecznymi? Nie sądzę. Sądzę natomiast, iż uwolnienie prawie wszystkich więźniów politycznych i mętne zapowiedzi "otwarcia" wiążą się z jeszcze jednym chytrym zamysłem. Jest to mianowicie próba skłócenia opozycji w Polsce, wyeliminowania z gry najważniejszego partnera Porozumień Sierpniowych - a więc "Solidarności". "Solidarność" zareagowała na te gesty szybko, może nawet za szybko, powołując do życia spośród członków TKK Tymczasową Radę związku. Powstały również podobne rady regionalne - w Łodzi, Lublinie, Wrocławiu itd. Many więc dość skomplikowany układ. Istnieje TKK, działająca podziemne struktury regionalne, funkcjonują działające operujący jawnie, włączają się do pracy ci, którzy wyszli z więzień. Egzystuje wreszcie Lech Wałęsa, a także Brukselskie Biuro "Solidarności". Czy nie za wiele tego wszystkiego? Czy władze nie zechcą w umiejętny sposób rozgrzać naturalnych animozji między tymi strukturami i ludźmi? A przecież w obrazie opozycji to jeszcze nie wszystko, są ponadto ugrupowania polityczne, liczne grupy i grupki. Dla wielu sfrustrowanych inteligentów oferta władzy może okazać się kusząca. Nie należy zresztą patrzeć na to tylko z tego punktu widzenia. Ludzie rzeczywiście oczekują na jakiś program pozytywny, na propozycję współpracy na warunkach mniej lub bardziej partnerskich.

Pierwszą reakcją władzy na utworzenie Tymczasowej Rady "Solidarności" było zaskoczenie, a zaraz potem - wściekłość. Wyraził ją Urban: "Cokolwiek dzisiaj mówią zgrani pięć lat temu przywódcy "Solidarności", ich słowa straciły wiarygodność... Tak, jak nie przywołuje się dziś do życia publicznego członków osób sprzed 1980 r., które doprowadziły Polskę do ekonomicznego i politycznego kryzysu, tak samo nie mają szans odegrania jeszcze raz swojej złej roli gwiazdy 1981 r. - ci, którzy kryzys pogłębili i nadali mu dramatyczny wymiar". Urban przy tym, jak zwykle, szachruje. Czyżby zapomniał o takich gwiazdach pierwszej jasnoci, jak Jaruzelski czy Barcikowski? Jaruzelski zastępca członka Biura Politycznego, czyli najwyższej władzy w kraju, został jeszcze w 1970 r. Członkiem Biura stał się już z nadania Gierka, w 1971 r., ale jako minister obrony narodowej był w Gdańsku w czasie pamiętnych wydarzeń w 1970 r. Nie przeszkodziło mu to w awansie partyjnym już w następnym miesiącu. Jego podpis widnieje na wszystkich ważnych dokumentach lat siedemdziesiątych. Podobnie Barcikowski był sekretarzem KC PZPR w latach 1970-1974, a członkiem Biura Politycznego przez całą dekadę lat siedemdziesiątych. Czyżby o tych faktach Urban zapomniał?

Nie skończyło się tylko na wściekłości Urbana. W kilka dni później również premier podtrzymał tezy rzecznika, działaczy



"Solidarności" określając mianem przeciwników, a ich inicjatywę nazywając "próbą powrotu do destabilizacji i chaosu".  
"Ich wysiłki - powiedział - będziemy paraliżować przy wykorzystaniu wszystkich środków, jakie daje nam obowiązujące prawo".

Tak więc mamy już jaśniejszy scenariusz. Władza formalnie opowiada się za porozumieniem narodowym, ale bez udziału najważniejszego partnera. Dobierze sobie takie płotki, jakie uda się jej zwozić w zastawicne sieci. Może znajdzie się tam jakiś działacz katolicki, jakiś uczony światowej sławy, jakiś jeszcze jeden rektor czy pisarz? Czy ta operacja się uda? Śmiem wątpić, ale że będziemy w najbliższym czasie świadkami takich podchodów nie mam co do tego żadnej wątpliwości. Powiem więcej, będzie to dla wielu ciężka próba charakteru. Czy wszyscy jej sprczą? Pokaże to najbliższa przyszłość.

Tak się złożyło, że na 9 października w kościele Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w Warszawie zapowiadziany został panel "Trudna sztuka kompromisu. Między wartościami a pragmatyzmem". W założeniu miała to być dyskusja nad znanymi tezami Waldemara Kuczyńskiego, który w swych artykułach postawił, pod adresem opozycji, zarzut eskapizmu, czyli ucieczki od rzeczywistości. Kuczyński określił ucieczkę w drugi obieg, jako formę bojkotu Polski oficjalnej. Jednocześnie dowodzi on, że odrzucając uczestnictwo, odrzucamy przyjęcie współodpowiedzialności za to, co się w kraju dzieje i będzie działało. W ten sposób rezygnujemy bowiem z wywierania wpływu na tę pulsującą rzeczywistość, która nas otacza. Dyskusja panelowa stała się jednak czymś więcej, niż polemiką z tezami Kuczyńskiego. Stała się pierwszą niezależną wymianą poglądów w pałacej kwestii cwej trudnej sztuki kompromisu. Wzięli w niej udział: prof. dr Bronisław Geremek, dr Marcin Król, dr Wojciech Lamentowicz, prof. dr Klemens Szaniawski i red. Andrzej Wielowieyski. Była to więc silna drużyna, można powiedzieć, pierwsza reprezentacja strony społecznej. Nie jestem tu w stanie strścić w całości tej niesłychanie ciekawej dyskusji, chciałbym natomiast przytoczyć końcowy fragment wypowiedzi Bronisława Gremka, bowiem jest ten fragment dobrym podsumowaniem tego, pisanego na gorąco, komentarza, uzupełnia go i zamyka. Bronisław Geremek powiedział:

"Gdyby w największym uproszczeniu myśleć w kategoriach pewnych scenariuszy rozwoju, przed którymi staje społeczeństwo i każdy z nas, można by je zredukować do trzech.

P i e r w s z y to ten, że nic się nie zmienia, że wszystko będzie tak, jak być. Jeśli tak będzie, to role są rozdane i problem jak grać w tej roli jest łatwy.

D r u g i scenariusz zakłada, że będzie następowało zasadnicze przywracanie pluralistycznego modelu współistnienia władzy ze społeczeństwem. Może cno następować etapami, różnymi drogami. Ten scenariusz wymagałby ze strony społecznej krytycznego przemyślenia przeszłości. Krytycznego przemyślenia naszych postaw, zarówno w ciągu 15 miesięcy, które doprowadziły do 13 grudnia 1 - chcę to podkreślić wyraźnie, bowiem osmielam się powiedzieć, że w tym sensie doprowadziły do 13 grudnia, że wina nie jest tylko po stronie tych, którzy zła-

mali porozumienia społeczne, ale jest także po naszej stronie. Rozważenie tego doświadczenia wymaga takiej właśnie krytycznej postawy wobec nas samych, bo to od nas zależy.

I t r z e c i rodzaj scenariusza, że rozpocznie się dialog, tylko że w tym dialogu będzie jeden nieobecny, a będzie to największy nieobecny sceny politycznej, mianowicie "Solidarność".

Sądzę, że ten trzeci rodzaj scenariusza jest bardzo prawdopodobny. Stawia to społeczeństwo i nas przed dylematami podstawowymi. Można powiedzieć, że "Solidarność" je s t - czy się to komu podoba, czy nie. Pytanie natomiast, czy "Solidarność" powinna być. Coraz częściej pojawiają się głosy, że przeszkadza. Jedni powiadają, że przeszkadza dlatego, iż staje się jakby przeszkodą w dobrej polityce władz. Drudzy powiadają, że przeszkadza ona w takim zręcznym woiskaniu się w szczeliny systemu, który jest z natury swej zły, ale szczeliny ma, i te wykorzystać można. Powiadają także niektórzy, że przeszkadza ona jakoby wejściu na scenę nowej generacji, która będzie podmiotem historii przyszłej i która potrafi dokonać tego, czego "Solidarność" nie potrafiła: radykalnej zmiany sytuacji.

W moim przekonaniu wszystkie te trzy rozumowania są rozumowaniami, które nie mają za sobą argumentów i które nie budują przyszłości. Jestem przekonany, że trwanie "Solidarności" w jej różnych formach jest istotnym elementem, tworzącym dla Polski szansę. Co więcej, im dłużej ona trwa, tym głębsze jest społeczne zakorzenienie potrzeby wolności, aspiracji do wolności. I zatem tym większa jest odmowa bierności, tym silniejsze jest poczucie wspólnoty ludzi, a więc solidarności z małej litery. Jest to problem nie polityczny, ale zasadniczy problem sceny narodowej. /.../

Każdy wybór indywidualny tego, jak żyć i w czym uczestniczyć, znajduje pewne odniesienia bardzo generalne. Gdzieś na środku tej drogi usytuowałbym filozofię porozumień społecznych z 1980 roku. Pozostaje ona istotnym odniesieniem wyborów i zachowań politycznych w chwili obecnej. Filozofia rzeczywistego realizmu, która była na zapleczu tych porozumień. Rzeczywiste-go - a więc takiego, który rozumiał i geopolityczne uwarunkowania, i społeczne aspiracje. Ale co więcej, którego rezultatem było przekonanie, że dwie strony zasiadały przy tym stole. Współdziałanie - tak, ale jednocześnie zakreslając ten swój obszar spotkania, deklarując się z niezależnością, deklarując się zatem w świadomości własnej tożsamości. We wszelkich rozwiązaniach, dotyczących zarówno życia publicznego, jak i indywidualnego, ten problem obszaru niezależności i własnej tożsamości wydaje mi się podstawowy".

Myślę, że ten przydługi cytat nie wymaga żadnego komentarza, że sam za taki komentarz wystarcza.

Feliks Stanisławski



Robert Ekstremski

## CZEKANIE NA SZANSE HISTORII

Analogia nasuwa się sama: między Moskwą a Waszyngtonem istnieją podobne stosunki, jak między obrastającym w piórka parweniusem, który łokciami przepycha się na plan pierwszy - a patrycjuszem, ufnym w swe bogactwa i w moc zasad, obowiązujących w przyzwolonym towarzystwie, który patrzy na intruza z mieszaniną wyniosłości i irytacji, lecz niechętnie zniża się do przepychanki. Literatura poucza - patrz "Lalka" - że w takich konfliktach górę biorą raczej nuworysze; podobna lekcja wynika też z wielu przypadków historii. Alieści historia uczy i tego, że jej doświadczenia - choć ogromnie cenne dla narodowej tożsamości - są mało przydatne do prognozowania przyszłości. Tym bardziej dotyczy to literackich metafor. Nie ma więc powodu, by popadać w panikę i nihilizm moralny, by we włosienicy korzyć się przed Czerwonym Goliatem, jak proponuje sfora realistów, pragmatyków, pozytywistów i neokonserwatywnych kapitulantów, chcących na klęczkach ocalić choć cokolwiek z naszej narodowej schedy.

Analizę stosunków USA-ZSRR, które oczywiście stanowią decydujący czynnik polityki światowej /wbrew głośnym ostatnio poglądom o nadrzędnym znaczeniu konfliktu Północ-Południe/, zacząć trzeba od zarysowania o.e.l.ó w obu supermocarstwach - celów rzeczywistych i deklarowanych.

Łatwiej określić cele ZSRR. Nigdy nie ukrywał on

### DAŻENIA DO REWOLUCJI ŚWIATOWEJ

nie kamuflował hasła zwycięstwa komunizmu na całym świecie, w tym przypadku wyjątkowo nie kłamiąc. Osobliwy i godny zainteresowania psychoanalityków jest fakt, że przeciwnicy ignorowali zawsze to hasło, traktując je jako ideologiczną figurę retoryczną, gdy natomiast infantylnie wierzyli w niezliczone doraźne hasła propagandowe, służące jako sowiecka zasłona dymna. Co prawda, winna tu jest historia. Każde przeciwieństwo mocarstwo w okresie swej dynamiki - od Imperium Romanum, przez Czyngischana i Napoleona, po Imperium Brytyjskie i Trzecią Rzeszę - miało skłonność do rozprzestrzeniania się nieograniczonego żadnym horyzontem geograficznym i każde znajdowało dla ekspansji stosowną ideologię. "Rewolucyjne" misjonarstwo ZSRR ma tę samą funkcję, co ongiś idea Pax Romana, napoleoński program obalenia tyranii, bądź hitlerowski dogmat dominacji Aryjczyków.

Z punktu widzenia systemów głoszących takie doktryny nie ma znaczenia, czy są one osiągalne w całej rozciągłości; wa-

zne jest natomiast, że w i a r a w doktrynę wzmacnia siły ekspansywne. Nie wiadomo, czy władcy Kremla na serio myślą, że uda im się rewolucyjny podbój całego świata. I właściwie jest to bez znaczenia. Nigdy natomiast nie zrezygnują z marksistowsko-leninowskiej tezy o nieuchronnym zwycięstwie komunizmu w światowej skali, gdyż stanowi ona bezwzględnie wiarygodną dla i c h w ł a s n e g o społeczeństwa legitymizację nieograniczonej władzy. Polityka zagraniczna jest funkcją wewnętrzną; doktryna rewolucji usprawiedliwia absolutyzm w ZSRR i to usprawiedliwia go r z e c z y w i ś c i e w oczach przytaczającej większości obywateli sowieckich, a na pewno - Rosjan. Wpajana im od pokoleń idea pierwszeństwa Wschodu rekompensuje wszelkie rosyjskie kompleksy i frustracje. Pokrywa się ona dokładnie z d e k l a r o w a n y m celem mocarstwowej polityki i nakazuje bezwzględne poezuszeństwo wobec Centrum. Żadne więcej uzasadnienia ideologiczne nie są konieczne, przeto stają się coraz bardziej ceremonialną dekoracją. Marksizm-leninizm jest totalnie martwy, lecz ten jeden jego dogmat - o rewolucji światowej - spełnia niezachwianie rolę mobilizacyjną. Ten stały drogowskaz uświęca wszelkie strategie doraźne, w tym odwilże, odprężenia, kcm-promisy, pokojowe współistnienia, których celem jest usypianie czujności przeciwników, zyskiwanie na czasie i zasilanie się kosztami wrogów - ukręcanie owego stryczka na kapitalizm z dostarczonego przezeń powrozu.

Gorbaczow zdaje się być mistrzem w tej leninowskiej grze, choć p r a k t y c z n y o h sukcesów na arenie międzynarodowej jak dotąd nie odnosi; fakt, że od dłuższego czasu Obóz nie zyskał nowych pensjonariuszy, stanowi dlań fatalny prognostyk. Czyżby Światowa Rewolucja ugrzęzła, traciła impet?

Zupełnie inna jest sytuacja mocarstwa przeciwległego. Generalnie, celem jego jest przede wszystkim

#### ZACHOWANIE STATUS QUO

skoro nie da się go zmienić zasadniczo bez wojny, czyli totalnej zagłady. Jednakże, właśnie zachowując status quo - co od czasów objęcia rządów przez Reagana okazało się możliwe - o e z a b i a się przeciwnika, który jest dopóty dynamiczny, dopóki odnosi sukcesy; gdy ich brakuje - system traci wiarygodność w oczach własnych obywateli i atrakcyjność dla narodów, które z różnych powodów dążą do rewolucji.

Trudno jednak w przypadku Ameryki mówić o spójnej doktrynie politycznej, która by konsekwentnie służyła powstrzymaniu i osłabianiu przeciwnika. W przeciwieństwie do strategii ZSRR, niezmiennie dyktowanej przez Centrum absolutystyczne i niekwestionowane, strategia USA jest wypadkową wielu wektorów.

Trzy z tych wektorów działają stale i na ogół są rozbieżne.

Pierwszym jest konieczność obrony własnej i głównych sojuszników, czyli Wolnego Świata.

Drugim jest konieczność utrzymania i wzrostu standardu życia, co w warunkach amerykańskich oznacza zarazem ochronę interesów wielkiego kapitału i działania interwencyjne, chroniące interesy mas obywateli-wyborców.

Trzeci wektor - to tradycyjne poczucie misjonarstwa amerykańskiego, w duchu krzewienia idei demokratycznych i wolności.

ciowych w świecie. Ten element, który wielu badaczy amerykańskich nazywa wiernością utopii, był aż do końca II wojny bardzo wyraźny w polityce USA; stopniowo jednak wygasa i tylko w krótkich momentach /"duch Helsinek" - Carterowska dewiza obrony praw człowieka/ powraca na plan pierwszy.

Trzy wektory następane odznaczają się dużym stopniem zmienności. Są nimi:

1. Falowanie nastrojów w społeczeństwie amerykańskim, od izolacjonizmu - po ducha krucjaty, od nihilizmu wobec własnego państwa - po szowinistyczny zapał.

2. Osobowość przywódców; wbrew oczekiwaniom teoretycznym ten aspekt jest ważniejszy w systemie demokratycznym, mimo że ogranicza on kompetencje egzekutywy, aniżeli w totalitarnym, gdzie od śmierci Stalina rządzi oligarchiczna klika, stanowiąca emanację "klasy trójpanów", która zawężyła pole manewru Genseka.

3. Skłonność do reagowania rażącej "na wydarzenia", które aktualnie zachodzą w świecie /według Władimira Bukowskiego - na m i n i o n e wydarzenia/, niż "na zjawiska" o charakterze długofalowym. Na przykład USA skutecznie odpowiedziały na rozmieszczenie pocisków SS-20 w Europie i na przekształcanie Grenady w sowiecką bazę militarną, ale nie umiały urzeczywistnić programu "Sojuszu dla Postępu", który dawał szansę wygaszenia groźnych dla USA rewolucjonizmów w Ameryce Łacińskiej; nie mają też pomysłu, jak uporać się z ofensywą terroryzmu.

Będąc wypadkową wielu wektorów, polityka globalna USA ulegała dziwnym wariacjom. Przez parę lat po drugiej wojnie trwała naiwna post-rooseveltowska fascynacja Związkiem Sowieckim i wiara, że oba supermocarstwa pospołu zmuszą inne potęgi do dekolonizacji, a następnie - ręką w rękę - będą gwarantami nie tylko pokoju, ale i demokracji na całym świecie. Otrzeźwienie przyniósł triumf komunizmu w Chinach, a wojna koreańska zapoczątkowała zimną wojnę, zrodziła doktrynę "powstrzymywania" i przyspieszyła konsolidację Zachodu w ramach planu Marshalla. Lansowana przez Johna Forstera Dullesa doktryna "wyzwalania" /roll-back/ konkurowała przez pewien czas ze strategią "powstrzymywania", ale naolski gen. McArthur, by wymusić znaczne ustępstwa od ZSRR, dopóki USA mają wyłączność w broni jądrowej, zakończył się jego dymisją.

Od połowy lat pięćdziesiątych obowiązywała "odwilż" chruszczowowska, w trakcie której Ameryka tak dalece uspokoiła się o losy Zachodu, że dała się wyprzedzić Związkowi Sowieckiemu w podboju Kosmosu; pierwszy sputnik, Łajka i lot Gagarina zbiegły się z największym nasileniem dekolonizacji, tworząc powszechne wrażenie w Trzecim Świecie, że era eocjalizmu jest tuż za progiem. Widmo utraty prestiżu pchnęło Waszyngton do zaangażowania się w wojnę wietnamską, czego skutkiem była nie tylko klęska militarna, która prestiż USA w świecie podważała jak nigdy przedtem, ale też głęboki kryzys psychologiczny społeczeństwa amerykańskiego, który przeciągał się na całe lata siedemdziesiąte. Związek Radziecki po-



trafił tę okazję wykorzystać znakomicie, podejmując z energią politykę współistnienia - co w danym przypadku oznaczało wyścig zbrojeń, z którego USA na dziesięć lat w ogóle się wycofało. W trakcie tego dziesięciolecia jednostronnego współzawodnictwa doszło do Konferencji Helsińskiej, która - niemal darmo - przyniosła same korzyści ZSRR, faktycznie sankcjonując dokonane przezeń zdobycze oraz otwierając zachodnie źródła zasilań. Podpisano także układy SALT I i SALT II, które Zachodowi dały złudzenie, że nareszcie doszło do odprężenia i początków autentycznej demilitaryzacji, zaś Związkowi Sowieckiemu pozwoliły osiągnąć znaczną przewagę we wszystkich prawie systemach uzbrojenia, nie objętych ograniczeniami /eiry konwencjonalne, strategiczne siły lotnicze, nowe typy pocisków raketowych SS-18 o zwiększonej mocy, ulepszone wersje łodzi podwodnych DELTA i inne/.

Znowu sprawdziło się, że ekspansja sowiecka największe postępy czyni wtedy, gdy stosunki z Zachodem są "odprężone". Natomiast pomnikowym przykładem głupoty politycznej była głoszona przez Kissingera teza, iż najlepszym sposobem rozmiękczenia ZSRR jest dopomaganie mu w rozwoju gospodarczym, który w społeczeństwie sowieckim roznieci pożądania konsumpcyjne.

Kontrofensywa Cartera pod hasłem obrony praw człowieka okazała się słabutką ripostą. Militarna przewaga ZSRR rosła, duch Helsinek zawiódł. Dopiero reaganowskie wzmocnienie tego ducha materia intensywnych zbrojeń i stanowczych posunięć retorsyjnych - zapoczątkowało wyrównywanie sił; tym łatwiej, że ZSRR przeżywał zachwianie polityczne pod koniec ery Breżniewa i za jego dwóch krótkoterminowych sukcesorów, a tym trudniej, że wśród amerykańskich liberałów, dominujących w środkach przekazu, nadal i niezłomie trwa przeświadczenie, iż ZSRR z winy Zachodu cierpi na "kompleks okrażenia", przeto jego zbrojenia są moralnie i politycznie usprawiedliwione i nie wolno "przyppierać go do muru".

#### ZWROT REAGANOWSKI

jest najmocniejszą reakcją USA na sowiecki ekspansjonizm w całej historii wzajemnych stosunków obu supermocarstw. Przez osiemnaście lat ZSRR nie poczynił żadnych postępów w Trzecim Świecie, mimo że pozycja Zachodu nadal jest słaba w wielu jego regionach. Po raz pierwszy od kilkunastu lat Stany Zjednoczone w sposób skokowy powiększyły zbrojenia, szybko zmierzając do wyrównania sił. W systemach militarnych najbardziej wyrafinowanych nie tylko letnieje już, ale powiększa się supremacja amerykańska, w ślad za ogromnym postępem technologicznym, spowodowanym głównie "rewolucją mikroprocesorów". W rokowaniach zbrojeniowych ZSRR - za zasłonami propagandowych pohukiwań - przystaje na takie sugestie amerykańskie, które kilka lat temu były odrzucane bez żadnej dyskusji, zaś Stany Zjednoczone oddają takie propozycje sowieckie, na które niegdyś zgodziłyby się z entuzjazmem.

Byłoby jednak wielkim błędem poddać się nastrojom euforii. Era Reagana niedługo minie; a wydaje się, że Bush - jego najbardziej prawdopodobny następca - nie ma ani odrobiny charyzmatycznych cech obecnego prezydenta i choć może kontynuować jego generalną linię, nie wiadomo, czy będzie równie skuteczny. Zwłaszcza w zmaganiach z Gorbaczowem, który dopiero uezysną polityki - i to także od tak świetnego jak Reagan mistrza.

Przynajmniej do dwutysięcznego roku, a pewnie i poza tę mistyczną datę, sytuację świata będą określać trzy zasadnicze i nieuchronne trendy.

Pierwszy - to stała rywalizacja dwóch supermocarstw; okresy ostrych napięć mogą się przeplatać z czasowymi odprężeniami, nawet ociepleniami, ale istoty sytuacji to w niczym nie zmieni.

Drugi - to stopniowe przesuwanie się ośrodków światowej dynamiki gospodarczej z nad Atlantyku ku Pacyfukowi, a zatem względny spadek znaczenia Europy i jej konfliktów w skali globalnej.

Trzeci - to wzrost napięć na osi Północ-Południe, a ściślej Południe-Zachód, gdyż Wschód jest tylko w znikomej mierze adresatem rewindykacji Trzeciego Świata.

Między tymi zasadniczymi tendencjami zaobchodzić będzie wiele oczywistych epizodów, grających już to na korzyść USA, /np. wypadanie ZSRR poza zasięg "centrum dynamiki"/, już to na korzyść ZSRR /np. narastanie groźby rewolucji na niektórych obszarach Trzeciego Świata, zwłaszcza w RPA i wielu krajach Ameryki Łacińskiej/.

Czwarta tendencja może się objawić: permanentny kryzys całego systemu sowieckiego. Tu przechodzimy w zakres pytania o środki realizacji celów nadrzędnych obu supermocarstw.

Tu, odwrotnie niż w kwestii celów, o wiele łatwiej określić sytuację USA: po prostu mogą one kontynuować obecną linię rozwoju technologicznego i ekonomicznego, dla której nie widać szczególnych zagrożeń, oprócz socjalnego problemu wchłonięcia rosnących rzesz bezrobotnych - a ściślej ludzi z bębny ch w społeczeństwie postindustrialnym /jest to problem ogromny już dziś; przemysł i rolnictwo łącznie zatrudniają w Stanach Zjednoczonych niespełna jedną czwartą siły roboczej, reszta przypada na usługi, administrację i szeroko pojętą dziedzinę przetwarzania informacji - a te sektory są szczególnie zagrożone masową komputeryzacją i będą co rok zasilały armię bezrobotnych dalszymi setkami tysięcy albo milionami ludzi; skracanie czasu pracy tylko częściowo pozwoli wchłoniąć "zbędnych"/.

Podobnie i Chiny, jeśli nie nastąpią tam nieprzewidywalne zmiany polityczne, muszą po prostu kontynuować obraną drogę rozwoju, ażeby osiągnąć status porównywalny z dwoma supermocarstwami i wyjść na pozycję trzeciego potentata gospodarczego - po USA i Japonii.

Natomiast ZSRR stoi wobec alternatywy: albo realizować swoje cele dotychczasowymi środkami, albo zdecydować się na tak radykalny zwrot, jakiego imperium nie przeszkodziło od czasów rewolucji październikowej. Pierwsza opcja oznaczałaby nie tylko utrwalenie statusu "mocarstwa jednowymiarowego", jakim ZSRR stał się od dłuższego czasu, ale w dalszej perspektywie także zagrożenie dla owej jedynej podpory imperium, jaką jest potęga militarna. Opcja druga - reformatorska, musiałaby pociągnąć ogromne zmiany w systemie zarządzania, a to by oznaczało wzrost wewnętrznych napięć, także politycznych, i koniec końców mogłoby doprowadzić do perturbacji, zasięgu których nie sposób sobie wyobrazić.



Najpewniej zatem Gorbaczow będzie próbował znaleźć jakąś drogę środkową, która by oznaczała jedynie odroczenie radykalnych zmian.

### OBCENA SYTUACJE ZSRR

określają następujące czynniki:

1. Coraz większe opóźnienie technologiczne, wyłączając enklawę przemysłu zbrojeniowego, gdyż w tej dziedzinie /jak dotąd/ Związkowi Sowieckiemu udaje się pozostawać na styku z technologią amerykańską; opóźnienie nie przekracza paru lat, w niektórych dziedzinach nie istnieje. Sytuacja zmieniłaby się gruntownie, jeśli Stany Zjednoczone przestałyby tolerować rozległe operacje sowieckiego wywiadu gospodarczego i naukowego, czego do tej pory nie czynią, nie chcąc ryzykować uderzenia ZSRR, gdyby groziła mu drastyczna utrata dystansu w jakości uzbrojenia. Z tego samego względu Zachód przez palce patrzy na pewne wyłomy w zakazie eksportu do ZSRR technologii o znaczeniu militarnym. Ubocznie nadmierne poleganie na imporcie technologii powoduje słabnięcie własnej bazy naukowo-rozwojowej ZSRR /np. w dziedzinie lotnictwa/, która już nie generuje poe-  
tepu.

2. Utrzymująca się, a nawet względnie pogłębiająca niewydolność wszystkich niewojskowych działów produkcji, na którą składa się anachronizm strukturalny, biurokratyzacja nauki, sztywność zarządzania oraz wyczerpywanie się łatwo dostępnych złóż surowcowych i szybki wzrost kosztów ich eksploatacji w miarę przesuwania kopalnictwa w późne regiony syberyjskie. Wszystko to wprawdzie bezpośrednio nie zagraża wewnętrznej "Bax Sovietica", bo społeczeństwo ZSRR bez szemrania zniesie nawet drastyczne zaciąganie pasa, ale coraz bardziej redukuje /i tak niewielkie/ możliwości alimentowania eojuższników, którzy są lub będą zmuszeni sięgać po pomoc Zachodu.

3. Gigantomachia wszelkich struktur w ZSRR, od podłoża geograficznego poczynając; zjawisko to, rzadko dostrzegane, polega na ponadproporcjonalnej hipertrofii wszelkich problemów w miarę wzrostu przesłanek, które je rodzą /tak np. problemy miasta pięciomilionowego są znacznie trudniejsze i wymagają większego nakładu kosztów, niż pięciu miast milionowych/. W bezkresnej Rosji następuje gigantyczny wzrost aparatów biurokratycznych, które nie tylko nie potrafią rozwiązać kwestii zarządzania /transportu, zaopatrzenia, racjonalnej organizacji produkcji, gospodarowania siłą roboczą itd./, ale stają się "problemami dla siebie", w ogromnym stopniu samopowielając własne trudności wewnętrzne i obracając się jakby "na pusto". Inne ogromne państwa /USA, Indie, Chiny/ potrafią przewyciężyć wiele ujemnych skutków gigantomachii przez "dewolucję" - tj. nadawanie szerokiej autonomii stanom czy prowincjom, ale w ZSRR rzeczywista decentralizacja byłaby zębna dla systemu autokratycznego. Niektórzy eksperci makroekonomii są zdania, że bez decentralizacji nie może się udać w ZSRR żadna modernizacja i imperium to jest ekazane na ciągłe przewyciężanie trudności, które samo eobie stwarza permanentnie.

4. Zupełne spłowienie politycznego "image" ZSRR i jego ideologii. Dekoracja marksistowsko-leninowska pociąga już tylko niektórych neofitów w rodzaju Etiopczyków czy sandinistów, ale i tam traci wiarygodność. System sowiecki jest moralnie zużyty zarówno przez swą permanentną niewydolność, przez rozróżnie-

dzy obietnica powszechnego szczęścia a żądną praxis, jak i przez sekwencję gwałtów totalitarnych, która nawet najbardziej dogmatycznych lewicowców zachodnich skłania do nieufności wobec "wyzwolielskiej misji" Sowietów. Milowymi jej szupami były wszak stalinizm, zmasakrowanie Węgier, Mur Berliński, podbój Czechosłowacji, agresja w Afganistanie i zniszczenie "Solidarności". Dodatkową odtrutką na mit ZSRR stał się eurokomunizm. Ostatnio osłabił nawet ruch pacyfistyczny, częściowo stymulowany, częściowo dyrygowany przez Krenl. Wolniej ów kryzys zaufania do ZSRR przebiega na tych polkach Trzeciego Świata, w których istnieje sytuacja rewolucyjna, choć i tam faktyczni lub potencjalni sojusznicy Sowietów kierują się niemal wyłącznie praktycznymi kalkulacjami wojskowo-politycznymi, a nie busolą "przodującej idei Marksa-Lenina".

5. Zagrożenie demograficzne, którego przejawami są: skracanie średniej długości życia, spadek przyrostu naturalnego /szczególnie ludności rosyjskiej/, wyludnienie i starzenie się wsi, bardzo wysoki odsiew rekrutów; daje o sobie znać skumulowany skutek masowej nędzy i przerażającego alkoholizmu, ostatnio z dodatkiem narkomanii /w Polsce te plagi są podobne, lecz ich efekty wystąpią wyraziście za kilka dekad/. Starzeje się KPZR, tylko 17,8% jej członków liczy poniżej 30 lat. Nie bez znaczenia jest także odżywianie nastrojów religijnych i narodowych w niektórych republikach, szczególnie mużmańskich, które zachowują dużą prężność demograficzną.

6. Postępujące rozchwianie sowieckiego obozu. Nie wszędzie jest ono tak spektakularne, jak w Polsce, lecz jego symptomy są rozliczne: zadrażnienia związane z polityką wewnątrzniemiecką NRD, stopniowy zanik modelu gospodarki realocjalistycznej na Węgrzech, pogłębiający się kryzys w Rumunii i Bułgarii, anachronizm ortodoksji politycznej w CSRS. Kłopotów zaczynają przysparzać nawet najposłuszniejszej wasale, w rodzaju Kuby. Trudno przewidzieć, czy strategia dyscyplinowania, podjęta przez Gorbaczowa, przyniesie zamierzone skutki, czy też doprowadzi do jeszcze większego narastania kamulowanych sprzeczności.

Przesuwanie się biegun dynamiki i siły na stronę USA jest faktem bezspornym. Nie ulega też wątpliwości, że imperium sowieckie znajduje się w fazie wielowątkowego kryzysu i że nad Pacyfikiem wyrastają dlań następne zagrożenia. Ale byłoby fatalnym błędem przewidywać na tej podstawie rychły i bezbolesny rozkład ZSRR. Nadal udaje mu się realizować główny cel polityczny w Europie: zapobiegać jej jednności, na przekór dążeniom amerykańskim, żeby Europa Zachodnia scaliła swe wysiłki obronne, do czego ma materialne podstawy nie mniejsze niż blok sowiecki. Co prawda, marzenia ZSRR o finlandyzacji Europy są mało realne, głosy zachodnie na ten temat mają charakter przestróg propagandowych, ale jest faktem, że niektóre państwa, szczególnie RFN, są podatne na przynęty sowieckie.

Historia zna wprawdzie przypadki, że wielkie imperia rozpywały się szybko i bezbolesnie, ale zna i takie, że potrafiły się wiekami bronić przed rozpadem, któremu towarzyszyły dramatyczne i groźne dla otoczenia wstrząsy. W przypadku ZSRR ten drugi wariant jest, niestety, bardziej prawdopodobny. Imperium sowieckie długo pozostanie niemal równorzędnym konkurentem USA, będzie przeżywało też okresy rege-

neracji i chwilowego ożywienia, a mapa świata zmieni się nieprędko.

Jak na tym tle rysują się

### PERSEKTYWY POLSKI?

Przede wszystkim należy się wyzbyć złudzenia, wciąż wśród Polaków funkcjonującego, iż "sprawa polska" ma dla USA znaczenie inne, niż poboczne, pomocniczego czynnika w rywalizacji z ZSRR. Jest ona funkcją stosunków amerykańsko-sowieckich, a po części też stosunku USA do Niemiec.

W okresie détente sprawa polska staje się wręcz zawadą dla Białego Domu, bo wtedy chodzi o to, żeby nie "drażnić" Kremla; utrzymuje się najwyżej jako mglisty wyrzut sumienia w duszach tych polityków, którzy zachowali resztki stosu misjonarskiego lub muszą się lokalnie /Chicago, Detroit/ liczyć z głosami Polonii. Sytuacja się jednak bardzo zmienia w okresach wzrostu napięcia; wtedy rola Polski i polskiej irredenty rośnie, jako źródła dodatkowych kłopotów dla ZSRR, a poniekąd też jako karty przetargowej w rokowaniach z silnej pozycji. Oba te atuty - trzeba to sobie jasno powiedzieć - mają mało wspólnego z uwzględnianiem polskich interesów, są bowiem przedmiotem manipulacji, służącej interesom amerykańskim.

Jednakże "mało" nie znaczy "nic". Dla Polaków nie są istotne pobudki działania stron, lecz efekt tych działań dla losu narodowego.

Juliusz Mieroszewski, publicysta wybitny i przenikliwy, postawił niegdyś diagnozę sformułowaną skrajnie: "Pomiędzy naszymi interesami a amerykańskimi interesami istnieje sprzeczność podstawowa. Dla Polaków sprawa polska jest alfa i omega wszelkiej politycznej działalności. Dla polityki amerykańskiej sprawa polska w ogóle nie istnieje".

Słowa te napisał jednak w 1972 roku, kiedy Waszyngton był na dnie bessy politycznej, pod presją klęski w Wietnamie, powszechności nastrojów defetystyczno-pacyfistycznych, rachub na współpracę z ZSRR.

Obecna sytuacja jest mimo wszystko inna, zupełnie inna. Z jednej strony fenomen "Solidarności" uniosł żywotność sprawy polskiej i jej wagę dla porządku europejskiego. Z drugiej strony Stany Zjednoczone ocknęły się z letargu i przeszły do skutecznej kontrofensywy, której reguły najszerszej wyłożył Reagan w czerwcu 1982 roku podczas wystąpienia przed parlamentem brytyjskim. Główne jego tezy brzmiały:

- System sowiecki zmierza pod prąd historii.
- Trwa w całym świecie wyzwolicielska rewolucja demokratyczna.
- Państwa zachodnie będą ją wspierać zarówno wtedy, gdy chodzi o obalenie prawicowych dyktatur, jak i wtedy, gdy dąży do zachwiania reżimów komunistycznych.
- Postęp wolności i demokracji "pozostawi marksizm-leninizm na śmietniku historii".

Spora część tej zapowiedzi już została wykonana; polityka amerykańska walczy przyczyniła się do obalenia tyranii na Haiti i Filipinach, do demokratycznych /aczkolwiek niekonsekwentnych/ zmian w wielu innych krajach Ameryki Łacińskiej.



Rozprzestrzenianie się sowietyzmu zostało zahamowane. Trudniej, rzecz jasna, o zrealizowanie starej idei "roll-back", lecz narastają materialne przesłanki także do działań tego typu. Niewątpliwie zacząć się one najpierw w tych krajach zjednoczonych z blokiem sowieckim, które leżą w geograficznym oddaleniu od ZSRR. Małą próbką była Grenada. Następna - atak lotniczy na Libię, nieformalnego sojusznika ZSRR, który nie spotkał się z żadną ripostą Kremla, poza odroczeniem spotkania Gorbaczow-Reagan, ważniejszego obecnie dla strony sowieckiej. Czy teraz zadziała o f i c j a l n e przyznanie pomocy militarnej dla nikaraguańskich "contras"?

Każda porażka międzynarodowa reżimu sowieckiego, nawet drobna, jest dla niego wielkim niebezpieczeństwem psychologicznym i politycznym, albowiem narusza dogmat, że ZSRR "nie przegrywa"; dogmat, który np. uniemożliwia wycofanie się z Afganistanu. Aliści i on został już ocalony przez samego Gorbaczowa, który w podróży na Daleki Wschód wypuścił balon próbny, w postaci deklaracji o zamiarze wycofania części /to nie, że znikomej/ sowieckiego kontyngentu z "pokojoych sił" w Afganistanie.

Nie ma powodu zamartwiać się faktem, iż sprawa polska znaczy dla USA o wiele mniej niż np. eprawa kłopotliwej Nikaragui, nie mówiąc już o zagrożeniu, etwarzanym przez narastanie sytuacji rewolucyjnej w Meksyku. Dla każdego państwa jego własne troski są bez porównania ważniejsze, niż eays-fakcje z kłopotów przeciwnika. Blisko stumilionowy Meksyk "waży" bardziej w polityce USA niż cała odległa i od dawna spłsana na straty Europa Wschodnia, która zresztą o b e c - n i e sprawia wrażenie spaoyfikowanej, ergo - przestała chwilowo być znaczącym atutem w rozgrywce globalnej. Jeane Kirkpatrick, która należy do najbardziej zdecydowanych polityków amerykańskich, stwierdziła, że zasada polityki USA wobec Polski jest potępienie represji rządu Jaruzelskiego /i pośrednio ZSRR/ oraz odmawianie wsparcia ekonomicznego przesładowcom; "nie uciekając się jednak do środków ostatecznych". I dodała w imieniu swoich rodaków: "nie osujemy, by walka Savimiego w Angoli była nam bardziej odległa niż walka Polaków czy Węgrów" - albowiem nie można walce wschodnich Europejczyków przypisywać "wyższej wartości moralnej". Dziwne zachowanie się Reagana w sprawie płk. Kuklińskiego /czemu jego informacje nie zostały wykorzystane do dyskrecjonalnego ostrzeżenia przywódców "Solidarności"? Czemu nie ujawniono tych informacji po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, w celu zdyskredytowania propagandy PRL?/ jest którymś z kolei potwierdzeniem, że USA, nawet w okresie radykalizacji swej polityki, starannie wystrzegają się zadrażnień z ZSRR na tych polach, które nie decydują o strategii obronnej Zachodu.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja od strony polskiej. Fakt, że jesteśmy tylko pionkiem w grze, jest niewątpliwie przykładem dla naszych ambioji, lecz losy pionka zależą wszak od układu sił na całej światowej szachownicy. Chodzi zatem o to, by nasz pionek dopomógł stronie demokratycznej, na miarę swych sił, w rozgrywce. Dla sprawy polskiej zasadnicze nie jest aktualne położenie naszego pionka, lecz osłabienie figur sowieckich, skąbnienie całego sowieckiego systemu. Jeśli myśli się o przyszełej Polsce - niepodległej i demokratycznej - to po prostu nie ma innej szansy niż wymuszony odwrót ZSRR i porzucenie przezeń polityki hegemonistycznej.

Niestety, jest to droga długa i ryzykowna.

Jest to droga, która może być przez Waszyngton z dnia na dzień porzucona, jeśli np. podatnik amerykański zaprotestuje przeciwko rosnącym kosztom poruszania się tą drogą. Obcięcie 40 miliardów dolarów z funduszu zbrojeniowego USA w nadchodzącym roku budżetowym jest groźną zapowiedzią takiej zmiany nastawień.

Cóż wtedy nam zostanie? To, co do tej pory: trwać. Trwać w oporze przeciw sowietyzacji, w oczekiwaniu na kolejną szansę historii, która nadejdzie nieuchronnie w jakimś momencie przecięcia dwóch falujących lecz wyraźnych tendencji: wyczerpywania się potencjału ZSRR i narastania potencjału Zachodu.

wrzesień 1986 r.

Robert Ekstremski



## Coś się dzieje w państwie ruskim?...

Stefan Bratkowski pomylił się fatalnie. Ledwo wysłał list osobisty do Michaiła Gorbaczowa z rozwiniętą propozycją współpracy i gwarancji dla Rosji Sowieckiej w zamian za pewne - nawet ekornne, rzekłbym - koncesje dla nas /a wszystko to w kontekście pogłębiającego się kryzysu w Polsce i oczywistej nieudolności ekipy rządzącej w wyprowadzaniu kraju z grzęzawiska, do którego konsekwentnie wciągały nas wszystkie kolejne kamaryle partyjne/, jak "okazało się", że Kreml również stoi w obliczu dramatycznych wręcz dylematów, które wydają się nie do rozwiązania i nie wiadomo właściwie, czy "nasz człowiek" u steru nawy tracącej sterowność jest odpowiednim partnerem do rozmów z nami i w ogóle czy Ronald Reagan będzie miał okazję spotkać się z Michaiłem Gorbaczowem po raz drugi...?

W lipcu br. korespondenci zagraniczni, akredytowani w Moskwie, uzyskali dostęp do arcyciekawego dokumentu pt. "Oreǳie Ruchu Socjalistycznego Odrodzenia", noszącego datę: listopad 1985 roku. Jako miejsce powstania Oreǳzia wskazany jest Leningrad. A więc... listopad i Leningrad. Autorzy liczącego 22 strony memoriału na razie pozostali anonimowi, aczkolwiek stwierdzili, że o ile dokument zostanie oficjalnie opublikowany, wówczas ujawnią się i mogą nawet wystąpić przed kamerami centralnej TV.

Od tego czasu omówienia Oreǳzia, rozmaite komentarze, spekulacje i próby bardziej wnikliwych analiz wypełniają łamy prasy światowej, znajdując swoje odbicie na falach radiowych.

Zakładam, że w ogólnych zarysach treść Oreǳzia jest znana naszym czytelnikom. Niemniej jednak, z uwagi na doniosłość tego p r a z p i e r w s z y w takiej postaci zaprezentowanych, a przede wszystkim ze względu na fakt, że autorzy memoriału dysponują znakomitym warsztatem obiektywnej analizy, zaś materia, na której dokonują swoich zabiegów, pochodzi niewątpliwie z odpowiedzialnych i dających się zweryfikować źródeł, spróbujmy zastanowić się nad treścią Oreǳzia Ruchu Socjalistycznego Odrodzenia raz jeszcze, jak również odnieść omawiane treści do innych, wcześniejszych dokumentów, takich jak "Socjalizm w obietnicach i rzeczywistości" /Iwan Ponniaszczyj, Samizdat, 1986 r./, "Ostatnia nadzieja - w y ż y ć... " /Lew Timofiejew - od marca 1985 r. w Zagrze, Samizdat, 1984 r./ oraz "Rozważania o Postępis i Wolności" Andrieja Sacharowa /od lat na zesłaniu bez wyroku/, jak również do ostatniego przemówienia Michaiła Gorbaczowa w Chabarowsku z dnia 31 lipca br., kiedy to "nasz człowiek na Kremlu" wyrzucił z siebie dramatyczną wręcz inwokację: "Cokolwiek się stanie, wszyscy wiemy, że tak dalej żyć się nie da!".



Wiemy. I wielu wiedziało o tym od dosyć dawna - i t a m, i t u. Leżę powtarzam, Oredzie jest wydarzeniem. Wszyscy niezależni eksperci /w tym wydział analiz Radia "Swoboda"/ są zgodni, że jest to d o k u m e n t w e w n ę t r z n y, autorzy zaś, jak się rzekło, to ludzie kompetentni i dobrze poinformowani, którzy występują z pozycji socjalistycznych /!/, choć przyjęcie ich propozycji, zawartych w konkluzji Oredzia, oznacza... likwidację systemu i koniec imperium sowieckiego. Ale o tym nieco później.

Oredzie Ruchu Socjalistycznego Odrodzenia można podzielić na dwie podstawowe części i próbę podsumowania. Pierwsza - to niezwykle ostra i bezlitosna fotografia rzeczywistości sowieckiej: doby kryzysu lub godziny prawdy, jak kto woli; druga natomiast stanowi swego rodzaju wiwisekoję na systemie, połączoną z diagnozą, która nie pozostawia najmniejszej nadziei na utrzymanie przy życiu śmiertelnie chorego organizmu. No, i wnioski-propozycje.

Bankructwo ideologiczne systemu, jego faktyczne odideologizowanie, utracenie na zewnątrz siły przyciągania dla innych /poza krajami zdecydowanie opóźnionymi w rozwoju/ jest dla autorów dokumentu oczywiste; krytyka zaś dotyczy polityki zagranicznej jako takiej, jej malejącej skuteczności, braku sprecyzowanych założeń, rozproszenia celów.

Natomiast obszarem ich szczególnego zainteresowania jest, oczywiście, g o s p o d a r k a, jej katastrofalny stan, zacofanie technologiczne, niska efektywność, rozkład frontu inwestycyjnego, chaos i braki w sferze spożycia.

Krytyka sytuacji ekonomicznej "kraju zwoleńskiego socjalizmu" dotyczy, oczywiście, w pierwszym rzędzie rolnictwa i doprawdy /bez fałszywej skromności/ trzeba przyznać, że "to wszystko już było" i na tych łamach, i na innych "drugiego obiegu". Niemniej, zgadzamy się, że nie sposób utrzymać nadal ustroju rolnego, w którym 80 proc. kochchozów i goselchozów /PGR/ przynosi deficyt; w którym 10-12 rolników produkuje tyle, ile 1 farmer w USA; w którym 25-30 proc. produkcji globalnej dają działki przyzagrodowe, stanowiące 1,5-2 proc. arealu; w którym występuje "zerowa efektywność" nakładów inwestycyjnych w rolnictwie; w którym kochchozy można śmiało porównywać do plantacji niewolników.

Autorzy przypominają, że w 1984 roku import zboża i pasz w Rosji Sowieckiej osiągnął 50 mln ton. Możemy uzupełnić, że w tym roku - według opinii ekspertów międzynarodowych - wyniesie 36 mln ton. Przypomnijmy również, iż obecnie "wszystkie nadzieje" w kompleksie rolno-spożywczym wiążą się z reformą, której symbolem są gospromchozy. Niestety, to też już było /krótko/ za Nikity Chruszczowa. Co więcej, również obecnie utrzymuje się z a s a d a p i o n o w e j p o d l e g ł o s c i, co nie może przynieść oczekiwanych efektów w dziedzinie realizacji tzw. programu żywnościowego. Taki "program" też już był w przeszłości. Kiedy? Wówczas, kiedy sowiecki import zboża i pasz nie przekraczał 5 mln ton rocznie!

Autorzy Oredzia nie pozostawili też najmniejszej wątpliwości co do dramatycznego zacofania Rosji Sowieckiej w dziedzinie techniki i technologii, stwierdzając bez ogródek, że l u k a t e c h n o l o g i c z n a p o g r z ę b i a s i ę; że ten stan rzeczy grozi zachwianiem względnej równowagi w dziedzinie militarnej na korzyść USA. Mówią oni wręcz, że "Związek Ra-

"dziecki może zejść do statusu drugorzędneho państwa", co, biorąc pod uwagę zakodowane imperialne obsesje Rosjan, musi stanowić dla nich prawdziwy szok.

Nie omija się, oczywiście, s t a g n a c j i d e m o - g r a f i c z n e j S ł o w i a n , czyli przede wszystkim Rosjan i eksplozji demograficznej "żółtych" mieszkańców kraju.

Sporo miejsca zostało poświęcone dylematom socjalnym, rozmaitym plagom, jak masowy alkoholizm i szerząca się ostatnio w szybkim tempie narkomania.

We wspomnianym eseju Iwana Pomniaszczygo ostro stawia się także problem nierówności społecznej; szczególnych przywilejów nomenklatury, której liczbę szacuje się na 3 miliony osób.

Socjolog Wera Dan pisała swego czasu, iż ten system potrafi zadziwiająco reprodukować się; że w dziejach władzy sowieckiej kilkakrotnie /na tle nabrzmiałych trudności, grożących nieobliczalną w skutkach eksplozją/ dochodziło do swoistych kompromisów pomiędzy partią /aparatem/ a społeczeństwem, jak np. w okresie proklamowania przez Lenina NEP /Nowej Ekonomicznej Polityki/, bądź zaraz po wojnie i po śmierci Stalina, kiedy, w istocie rzeczy, powstało neomieszczanstwo, stanowiące jakby zaplecze socjalne nomenklatury - filaru systemu.

Jest rzeczą niezmiernie interesującą, że autorzy Orodzia Ruchu Socjalistycznego Odrodzenia niejednokrotnie odwołują się do Lenina i właśnie do NEP-u. Czyni to również Gorbaczow, aczkolwiek nie nazywa rzeczy po imieniu. Dlaczego? Po prostu, nie może; nie jest bowiem w stanie rzucić otwartego wyzwania swojej klasie, czyli nomenklaturze, z którą jeszcze nikt nie wygrał.

Nomenklatura nie pragnie żadnych zmian, aczkolwiek jej przedstawiciele nie mogą nie zdawać sobie sprawy, że realizują ideę utopijną, ale dla realizacji utopii bynajmniej nie wystarczy fakt, że jest ona u władzy. Coż warta jest "wola reformatorska" kierownictwa politycznego w obliczu jawnej obstrukcji administracji i ukrytego sabotażu wszelkich zmian przez aparat partyjny?

"Grzechem byłoby ukrywać - mówił Gorbaczow w Chabarowsku - że często nasze kadry reagowały chorobliwie na zaostrożoną reakcję ludzi na procesy zachodzące w społeczeństwie..." - Konia z rządem temu, kto potrafi rozszyfrować, o co tu chodzi. Ale domyślać się można. Zwłaszcza, że dalej Gensek stwierdza melancholijnie: "Nawiasem mówiąc, jakoś zaczynają milknąć liczne gazety terenowe w miastach i obwodach /.../ Gdy zebraliśmy w KC grupę redaktorów, powiedzieli oni wprost: "Dobrze, ale powiedzcie o tym naszym sekretarzom miejskich i rejonowych komitetów partii...". "Mam nadzieję, że sekretarze komitetów miejskich i rejonowych partii uwzględnią naszą rozmowę..." - dodał Gorbaczow niemal proszącym tonem.

x/ Autor ozyini tu aluzję do tytułu historii Związku Sowietkiego Michała Hellera i Aleksandra Niekricza "Utopia u władzy", której fragmenty publikowaliśmy na tych łamach /red./

Osobiście tej "nadziei" nie mam. Sekretarze nie są samobójcami. Zdaje się, że to marksistowska teza powiada, iż żadna klasa nie zeszła jeszcze z areny dziejów bez walki. Przeżyją więc zapewne i ten eksperyment i tego reformatora...

A propos eksperymentów. Mark Dejoz, dziennikarz-"otkaźnik"/człowiek, który wystąpił o wyjazd z kraju i... stracił wszystko, ale paszportu też nie dostał/ w liście otwartym do pisarza Walentyna Katajewa /"Samotny biały żagiel"/, poświęconym roli i miejscu inteligencji w społeczeństwie sowieckim, stwierdził odważnie: "Jeżeli to, co się dzieje w Rosji, jest "eksperymentem" - to mnie szkoda dla tego celu nawet żaby!"

Mark Dejoz mówi: Bezprawie zabija ducha obywatelskiego... W końcu, po bezowocnych apelach, trzeba niezmiennie sięgać po represję, krzewiąc ksenofobię i przygotowywać agresję...

Dla każdego jest jasne, że stan stałej niepewności jest nie do zniesienia tak przez pojedyncze osoby, jak i przez cały naród. Wszyscy dobrze wiedzą, że kraj stracił pęd rozrodczy. To nie jest o ile kiedykolwiek było/ kreatywne społeczeństwo; nie istnieje w tym kraju jawna przedsiębiorczość, wszelka zaś inicjatywa posiłkuje się przemożnym pragnieniem /i koniecznością/ omijania prawa. Zresztą w Rosji nigdy nikt poważnie nie traktował prawa. Poza, oczywiście, inteligencją przedrewolucyjną, która utorowała drogę rewolucji i pierwsza została złożona na jej ołtarzu. Następnie przyszła kolej na robotników, chłopów i... ideowych rewolucjonistów, którzy zostali poniesieni w ofierze temu Molochowi.

Rosjanie mają i mieli zawsze głęboko zakodowaną tęsknotę za "pomazaniem" - sprawiedliwym, przystępnym, otwartym, pod którego "mądrym panowaniem" będą tradycyjnie dumnie obnosić się ze swoim jarzmem, głęboko ukrywając obolałą dumę narodową, swój kompleks niedowartościowania itd. Stąd m.in. świadome nie liozienie się z czyjąkolwiek odrębnością, specyfiką narodową, z prawem do własnej tożsamości. "To, co jest nasze, jest nasze, a to, co jest wasze, jest dyskusyjne". I nie ma dla nich znaczenia, że ten, kto odbiera wolność innym, sam siebie skazuje na niewolę.

Orędzie Ruchu Socjalistycznej Odnowy k o n s e k w e n t - nie odwołuje się do "spuścizny leninowskiej", szukając natchnienia w dziełach Mistrza, gdzie, jak wiadomo, można znaleźć wszystkie i na każdą okoliczność. Może po nowemu traktują oni problematykę socjalną, gdyż mają pełną świadomość rozkładu infrastruktury moralnej społeczeństwa sowieckiego. Lecz poza diagnozę nie wychodzą.

Oczywiście, pierwsze wystąpienia Andrieja Sacharowa, a przede wszystkim wspomniane na wstępie "Rozważania" - dokument niewątpliwie epokowy - nie są zbyt dobrze znane w Rosji Sowieckiej. Być może, jest to kwestia techniczna, sprawa ograniczonego w latach siedemdziesiątych rezonansu, silnego jeszcze wciąż lęku ludzi, występującego obok złudnej nadziei, że "coś się w końcu musi zmienić na lepsze". Ale wartość rozważań Andrieja Sacharowa, precyzja jego diagnozy i klarowność propozycji naprawy, mają charakter ponadczasowy. Przede wszystkim ten największy w historii Rosji Sowieckiej myśliciel i humanista przeprowadza przekonujący dowód niepo-



działności POSTĘPU we wszystkich dziedzinach tak materialnych, jak i pozamaterialnych, od WOLNOŚCI zarówno jednostki, jak i społeczeństwa, które w naszych czasach nie może stanowić organizmu hermetycznie izolowanego od świata zewnętrznego, a jego członkowie muszą w pełni korzystać z przysługujących im niezbywalnych praw obywatelskich i ludzkich.

Uniwersalny charakter myśli i analiz Andrieja Sacharowa znajduje dziś, po latach, swoje odbicie w nader rozmaitych dokumentach i wystąpieniach, których wspólnym mianownikiem jest przekonanie, że zmiany i to zmiany radykalne są nieodzowne. Czy będą podjęte i skutecznie przeprowadzone zapowiadane wciąż reformy? Czy stać ludzi o zakodowanej nieufności w stosunku do władzy jako takiej na przekroczenie pewnej bariery lęku? Jak odpowiedzieć na następujące pytania: Kim są ci autorzy Orędzia Ruchu Socjalistycznego Odrodzenia? Skąd wyłonił się ów Ruch? Do czego zmierza? A może jest to li tylko prowokacja?

Trzeba powiedzieć wyraźnie, że najczęściej występującym zwrotem w słowniku politycznym ludzi sowieckich jest właśnie słowo "prowokacja". Zjawisko towarzyszące tak zawodowym rewolucjonistom, jak i budowniczym "światlanej przyszłości", od pierwszych kłęk studiów marksizmu i bojówek terrorystycznych "Narodnoj Woli" do pionierów "Samizdatu" i dysydentów, działających w najlepszym przypadku w obojętnym, jeżeli nie wrogim otoczeniu. To prawda, że różne elementy złożyły się na osłabienie psychologicznej skuteczności terronu państwowego, na zjawisko swoistej erozji systemu terrorystyczno-represyjnego. Ale aparat istnieje, a jego funkcjonariusze nie są wszak zainteresowani w jakichkolwiek radykalnych przemianach. Poza tym Rosja jest krajem, w którym tradycyjnie wszystkie reformy następowały z opóźnieniem, fatalnie ciężącym na realizacji słusznych i nieodzownych zmian. Można w tym miejscu, w charakterze repliki, wtrącić, że przecież reformy Piotra I przyniosły efekt i to w niebywale krótkim czasie. To prawda. Ale Piotr I działał pod presją konieczności w zgodzie z realiami zarówno wewnętrznymi, jak i zewnętrznymi, nie zaś w dogmatycznych oparach utopii. Nie traktował też wszystkiego z punktu widzenia prestiżu i nie bał się ryzyka, bez którego nie ma i nie może być żadnych istotnych i trwałych przemian. Opozycja w postaci bojarów była mniej liczna, niż obecna nomenklatura; sprawny aparat (w tym represyjny) stworzyli Carewi Niemcy, a więc mógł on całkowicie polegać na oddanych mu nowożytnym ludziach, którzy nie mieli nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Czy Gorbaczow wyciągnie z tego wnioski?

Kto dziś bowiem w ZSRR, nawet mając pełną świadomość całkowitego impasu, jest zdecydowany podjąć dzieło radykalnych reform? Kto odważy się uruchomić proces, zdolny w każdej chwili wymknąć się epod kontroli, niczym reakcja łańcuchowa w reaktorze atomowym?

Możemy dziś zastanawiać się całkiem poważnie, czy Czarnobyl należy rozpatrywać w kategoriach wyjącznie technicznych, jako skutek błęd operatorów, przeprowadzających jakiś eksperyment? Ten błąd musiał nastąpić. Nad imperium sowieckim gromadzą się chmury nie tylko radiaktywne i nikt na dobrą sprawę nie jest w stanie przewidzieć, jakie będą dalsze ruchy tych chmur.

Werbaliizm Michaiła Gorbaczowa, dramatyczne treści Oredzia Ruchu Socjalistycznego Odrodzenia, zdumiewająca szczerość /jak na stosunki sowieckie/ wystąpienia Borysa Jelojna, zastępcy członka Biura Politycznego i I sekretarza Moskiewskiego Komitetu KPZR oraz inne podobne sygnały, niczego jeszcze nie dowodzą. Zwróćmy uwagę, że wystąpienie Jelojna pojawiło się w formie niezwykle lakonicznej w prasie oficjalnej, w całości natomiast, wraz z odpowiedziami na niektóre pytania /a pytań ze strony aktywu było 300!/, kolportowane było przez "Samizdat" i w ten sposób trafiło na łamy prasy zagranicznej. W tym miejscu mała, aczkolwiek istotna dygresja - "Samizdat", to nie "drugi obieg" w Polsce i nie chciałbym tu powtarzać raczej krzywdzących opinii o tej instytucji, która ma swój dorobek, a która - zdaniem np. Aleksandra Zinowiewa - niekiedy jest inspirowana przez czynniki zgoła niedysydenckie, żeby już na tym poprzestać.

Nie chcę się bawić w proroka /proroków zazwyczaj kamieniono/, ale ja, osobście, po prostu jestem przekonany, że Michaił Gorbaczow padnie. Nikita Chruszczow padł, bo zagroził egzystencji nomenklatury, a miał ten przebiegły polityk większe zaplecze niż obecny Gensek i atuty nie do pogardzenia; nie miał co prawda władzy, ale dysponował bogatym doświadczeniem zdobytym w "szkole stalinowskiej". Aleksiej Kosygin, dla odmiany znakomity technokrata, oferował biurokracji partyjno-państwowej ośś na kształt menadżeryzmu w sowieckim wydaniu; dwukrotnie próbował zreformować anachroniczny system planowania i zarządzania gospodarką, która już w latach sześćdziesiątych zaczęła tracić oddech, ale nie osiągnął żadnego z celów, notabene z a p i s a n y c h w uchwałach partyjnych i został posłany na emeryturę.

Otóż twierdząc: reformy w Rosji Sowietckiej są nieodzowne, ale... reform tam nikt nie pragnie!

Biurokracja państwowa? Aparat partyjny? Nomenklatura? Robotnicy? Wolne żarty.

A zatem, czy CGS SIE DZIEJE W PAŃSTWIE RUSKIM? Państwo to zostało zbudowane na kruchych fundamentach, a jego struktury nosne, dawno zmurszałe, nie są w stanie udźwignąć drwiczącego je ciężaru nagromadzonych od wieków dylematów. Jego baza jest w rozsypce, nadbudowa zaś niebezpiecznie przechyliła się. Ktoś powiedział, że w Rosji Sowietckiej nie ma ekono-m i i - ponieważ nie ma Rosji ani "oikos" /domu/, ani "nómos" /prawa/. Bez domu /rodziny/, bez prawa sprawiedliwego i jednego dla wszystkich, żadne reformatorskie inwokacje, żadne próby i eksperymenty, których było od siedemdziesiąciu lat bez liku, nie przyniosą żadnego rezultatu. Czy oni na to pójdą?

Natomiast wielkość kraju, jego potencjał materialny i ludzki, jego ciężar gatunkowy w układach globalnych, powodują, że w s z y s t k o, co się dzieje wewnątrz imperium i na jego peryferiach - stanowi problem i wyzwanie dla całej ludzkości, która nie może być obiektem eksperymentu bez przyszłości; eksperymentu, którego dalsze trwanie stanowi najbardziej wymowny dowód, iż ta ideologia jest mętna i pusta, praktyka zaś odrażająca i paranciczna. Nie jest to bynajmniej "sprawa wewnętrzna" Rosji i Rosjan.

Andrzej Gliński

Barbara Tańska

## POWROTY I ILUZJE

Polska, niezłym syn marnotrawny, a raczej córka, wraca na międzynarodowe igrzyska finansowe, zostając ponownie członkiem Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Odbudowy i Banku Odbudowy i Rozwoju, zwanego potocznie Bankiem Światowym. Polska, która należała do grona założycieli MFW, pod presją Wielkiego Brata, opuściła tę uniwersalną organizację, bez której trudno dziś wyobrazić sobie handel światowy, złożone układy kredytowe i rozliczeniowe. Również Bank Światowy odgrywa szczególną rolę w powojennym rozwoju sił wytwórczych, kształtowaniu nośnych struktur wielu państw, przede wszystkim krajów Trzeciego Świata.

Odkąd złożony został polski wniosek o ponowne przyjęcie do MFW, a stało się to wkrótce po tym, jak "wybuchła" kwestia horrendalnego polskiego zadłużenia na Zachodzie, w kontekście największego w dziejach PRL kryzysu społeczno-ekonomicznego i w świetle narastającej powszechnej świadomości, że Polska jest krajem nie wyplacalnym, gdyż nie jest zdolna regulować nie tylko spłat zaciągniętych kredytów, ale nawet bieżących odsetek, otóż od tego momentu /początek obecnej dekady/ największej emocji budziło pytanie: ile dostaniemy nowych kredytów? Nikt, bądź bardzo niewiele, zaprzętało sobie głowę pytaniem: a co ze starymi?

Ówczesny minister finansów /nb. bankowiec/, pan Henryk Kisiel, "wskławił się" powiedzeniem: "Polacy będą piuli krewia, lecz swoje długi spłaca!". Gwoli przypomnienia, łączna kwota zaciągniętych w chwili "wybuchu" kredytów wynosiła ok. 25 mld dol.

W SCENERII HORRORU Po upływie pięciu lat, obecny Prezes Banku Narodowego PRL i kreator największej mistyfikacji naszych czasów, czyli tzw. reformy gospodarczej, prof. Władysław Baka, oświadczył podczas pobytu w Wiedniu: "Chcielibyśmy być wiarygodnym partnerem i udowodnić, że chcemy spłacać kredyty. Nie możemy jednak uczynić tego kosztem naszego rozwoju gospodarczego". Oświadczenie, jak byśmy powiedzieli, "ostrożnie" sformułowane, zwraca uwagę trybem warunkowym, wzmocnionym zastrzeżeniem. Nie ma tu również zasadniczego postulatu PRL pod adresem wierzycieli, z którym bez końca rząd podpisuje kolejne umowy, dotyczące odroczenia spłat już to kredytów, już to odsetek /bądź odsetek od odsetek/, który brzmi: "Potrzebujemy 4-5 mld dol. "na rozruch" gospodarki, a więc...".



Dzieje się to wszystko w scenarii prawdziwego horroru gospodarczego:

1/ zadłużenie PRL na Zachodzie przekroczyło już kwotę 30 mld dol.;

2/ zadłużenie na Wschodzie, a właściwie w Związku Sowieckim, sięga kwoty 7 mld rbl.;

3/ dług wewnętrzny /m.in. wobec mmi.../, czyli skumulowany deficyt budżetowy, wynosi 758 mld zł.

Tymczasem wartość eksportu do krajów kapitalistycznych spada do kwoty nieco powyżej 5 mld dol.! Innymi słowy, tzw. stan alarmowy/relacja wartości eksportu do całości zadłużenia/ został przekroczony sześciokrotnie... Według reguł gry obowiązujących na rynku finansowym, całość zadłużenia nie może być wyższa niż roczna wartość eksportu; natomiast "obsługa kredytów", czyli spłata kolejnych rat i odsetek, nie może przekroczyć 25 proc. rocznej wartości eksportu.

W 1985 roku dochód narodowy PRL w o i ą ż był niższy od poziomu 1978 roku o 13 proc. Dzieło się to przy malejącej dynamice wzrostu: 1983 r. - 6 proc., w 1984 r. - 5,6 proc., w 1985 r. - 3 proc., w 1986 r. /szacunkowo/ - 3,4 proc.

Z jednej strony - według opinii kół finansowych na Zachodzie /i na Wschodzie zapewne też.../ - Polacy wciąż żyją na kredyt; z drugiej zaś - nasz poziom życia w roku ubiegłym obniżył się o 15 proc.

Bankierom zachodnim od dwóch lat podsuwa się informację na temat nadwyżki w bilansie t o w a r o w y m, która przekracza rocznie kwotę 1 mld dol. Bankierzy się cieszą i próbują uszczknąć z tego dla siebie co się da. Ale da się, niestety, niewiele... Poza tym wszyscy dobrze wiedzą, że "duszenie" importu nie zawsze wpływa dodatnio na wzrost eksportu, a nawet przeciwnie. Tylko, co tu można zrobić w sytuacji, kiedy Polska m u s i płacić gotówką za 64 proc. swego importu /częściowo z góry, bo nie jesteście wliarygodni na miarę życzeń prof. Baki/; 34 proc. jest finansowane krótkoterminowymi kredytami /a więc o zabójczym oprocentowaniu/; jedynie 2 proc. stanowią w miarę korzystne kredyty średnioterminowe. Na Zachodzie uważa się, że jest to obciążenie, którego n i e m o ż e z n i e ś c n a d r u ż s z ą m e t ę ż a d n a g o s p o d a r k a n a ś w i e o i e !

Drastyczne ograniczenie importu /w tej chwili nie dyskutuję, czy jest ono wymuszone sytuacją, czy też może znalazłoby się inne wyjście.../ nie ratuje sytuacji, gdyż PRL zobowiązana była do spłaty samych tylko odsetek: w 1983 r. - 2,7 mld dol., w 1984 r. - 4,1 mld dol., w 1985 r. - 2,7 mld dol., w 1986 r. - ok. 3 mld dol. /całość spłaty zadłużenia, przypadającej na ten rok - 5,8 mld dol./.

Kiedy co trzeźwiejsi eksperci zwracali uwagę, że uzyskiwanie dodatkowego salda obrotów towarowych z Zachodem poprzez redukcję importu jest "osiągnięciem" co najmniej wątpliwym, a co gorsza - według określenia Japończyków - jest "wpedzaniem choroby wewnątrz organizmu", zaś dyspozycyjni publicyści piali z zachwytem. Efekty tej polityki nie kazały na siebie czekać nie tylko w Polsce, lecz również w innych krajach RWPG, które dokonują podobnych "manewrów". Już w roku 1985 import krajów wschodnich zaczął powoli znowu zwiększać się, lecz eksport n a d a l wykazywał tendencję spadkową. Analizyczna sytuacja rysuje się w roku bieżącym.

**DELIKATNE  
ZAGADNIENIE**

W tym kontekście warto, jak się wydaje, przytoczyć opinię Austriackiego Instytutu Badań Gospodarczych: "Zadłużenie krajów Wschodu /brutto/ wzrosło z 83,5 mld dol. w końcu 1984 roku do ok. 90 mld dol. w 1985 roku. Zadłużenie netto, które wynosiło w 1984 roku 57,6 mld dol., w 1985 roku wyniosło 62,9 mld dol."

Trudno się dziwić, że pożyczkodawcy na Zachodzie, po krótkim okresie pewnego zainteresowania współpracą finansową z RWPG, dziś wobec tych krajów są dużo ostrożniejsi, zwłaszcza że nawet Związek Sowiecki ponosi ostatnio poważne straty z tytułu sukcesywnego spadku cen ropy naftowej, czego nie może sobie zrekomensować /dzięki tzw. zasadzie cen kroczących/ na swoich partnerach z "bratnich krajów". To prawda, że w dobie "szantażu naftowego" OPEC zasada ta, w określonym stopniu, chroniła nas przed zbyt gwałtownymi skokami cen ropy /oczywiście w górę/, ale prawdą jest również, iż płacimy aktualnie za ropę radziecką /przypomnijmy, że gorszej jakości niż ropa bliskowschodnia, bo zaszarżona/ 177 rbl za 1 tonę, czyli 30-32 dol. za baryłkę, podczas gdy na wolnym rynku cena ta wynosi zaledwie 11-12 dol.! Ponadto, nic a nic nie wskazuje, ażeby ropa podróżowała w dającej się przewidzieć przyszłości...

W 1985 roku Moskwa miała deficyt w handlu z Zachodem przekraczający 9 mld dol. Najgorzej jednak - zdaniem ekspertów - przedstawia się sytuacja płatnicza PRL i Jugosławii.

Sytuacja na szeroko pojętym rynku paliwowym, na którym Polska występuje w podwójnej roli - importera ropy i eksportera węgla oraz produktów ropopochodnych - jest wysoce zagmatwana. Czy Czytelnik pamięta drwiny dyżurnych publicystów, natrząsających się z prognoz zachodnich, z których na przykładzie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wynikało, że Związek Sowiecki wkrótce stać się może importem ropy naftowej?... Otóż w 1985 roku Moskwa zakupiła na wolnym rynku 14 mln ton ropy, w tym roku, jak się oczekuje, zakupi jej więcej.

O ile ceny na ropę utrzymają się na obecnym niskim poziomie /być może nawet jeszcze spadną/, wówczas nieuniknione ropy sowiecka dla "bratnich krajów" potanieje, co z kolei spowoduje deficyt Związku Sowieckiego w obrotach z partnerami z RWPG, a więc zarysuje się perspektywa spłaty sowieckich kredytów już w obecnej dekadzie. Co wtedy?

Otóż wówczas najprawdopodobniej "obciążenie cenowe" zamienne zostanie na "obciążenie kapitałowe", czyli "bratnie kraje" z m u s z o n e zostaną do większej partycypacji w inwestycjach surowcowych na terenie Związku Sowieckiego.

Co to oznacza? W "drugim obiegu" /badaje właśnie w "Moście"/ Andrzej Julicki ujawnił swego czasu mechanizm finansowania wspólnych inwestycji w Związku Sowieckim. Otóż, jak się okazuje, Polska miała nie raz, przed kryzysem, nadwyżki w bilansie handlowym z wieloma krajami RWPG, w tym także z Rosjanami. Niewymienialność walut "socjalistycznych" powodowała jednak /i powoduje obecnie/, że nie można na przykład przerzucić nadwyżki z kraju "A" do kraju "B", z którym chwilowo mamy deficyt. Co gorsza, mając w pewnym momencie nadwyżkę w obrotach towarowych z Moskwą, a jednocześnie obowiązek "rozenia" na wspólne inwestycje na terenie Rosji, nie byliś-

my nawet w stanie przekonać "towarzyszy radzieckich", ażeby potracili sobie niejako z tej nadwyżki na rzecz naszego wkładu inwestycyjnego /"Niet, niet, eto sowsem druga statia!" - twierdzili uparcie negocjatorzy z Moskwy.../. W ten sposób Polska również p o d w ó j n i e kredytowała Związek Sowiecki, o czym wszakże wiedziało w kraju jedynie grono wtajemniczonych; a obecny wicepremier /wówczas wiceminister h.z./ Władysław Gwiazda /nb. hołubiony przez Moskwę, gdzie swego czasu był radcą handlowym Ambasady PRL/ usilnie nalegał, aby "nie poruszać tego delikatnego zagadnienia w prasie i na forum publicznym".

Poza tym należy pamiętać, że Polska pośród krajów RWPG jest po Związku Sowieckim n a j - więk sz y m p r o d u c e n t e m s u r o w c ó w i i c h e k s p o r t e r e m, a więc ponosi wielkie obciążenie inwestycyjne we własnym praktycznie zakresie, zwłaszcza w odniesieniu do węgla kamiennego.

Urzędowa polemika z pułkownikiem Marianem Rajskim /aktualnie w więzieniu na Rakowieckiej/, który ujawnił jedynie częściowo fakty nieekwiwalentnego handlu Polski z Rosją, była mało przekonująca, by nie rzec, wręcz kłamliwa. Ponadto, praktycznie nikt nie ma dostępu do pełnej i źródłowej informacji, dotyczącej współpracy gospodarczej Polski tak z ZSRS, jak i innymi krajami RWPG. A to wszakże ponad 50 proc. polskich obrotów towarowych z zagranicą. Natomiast te kilkanaście procent, które przypadają na handel z krajami Trzeciego Świata - wbrew zapewnieniom niektórych publicystów - nie tworzy dla nas ż a d n e j a l t e r n a t y w y, nawet w dziedzinie zakupu ropy naftowej. Po pierwsze, kraje te, również zadłużone na Zachodzie, wymagają kredytów inwestycyjnych, na które nas nie stać. Po drugie, już w październiku 1985 roku "Financial Times" pisał m.in. o poważnym obniżeniu zapotrzebowania krajów Trzeciego Świata na maszyny i urządzenia z krajów RWPG. Jedynie NRD utrzymuje się na tym obszarze jako liczący się eksporter sprzętu inwestycyjnego.

Odbiegłam, niestety, od zasadniczego tematu. Przeproszam. **DZIWNNA** Ale bankructwo Polskiej Rzecz-  
**FULAPKA** czojnospolitej Ludowej /podkreślam to nieprzypadkowo, gdyż bankrutują rządy, zakłamują się systemy polityczne i ustroje, ale nie może zbankrutować kraj ani naród.../ następuje w określonej scenarii międzynarodowej i regionalnej, pod przemożnym wpływem pryncypnych układów wewnętrznych, w sytuacji, kiedy /mimo pewnej poprawy/ społeczeństwo jest informowane w sposób selektywny i w analogiczny sposób reaguje na apele i nakazy władzy, której wydawało się, że cokolwiek zdoła osiągnąć o b o k społeczeństwa, a niekiedy wyraźnie wbrew opinii publicznej, skutkami zaś swoich chaotycznych, nieprzemysłanych, fragmentarycznych, niekompetentnych i niekonsekwentnych decyzji z a w s z e potrafi obarczyć nas.

Przecież, jeżeli dziś minister finansów, prezes Banku Narodowego i Banku Handlowego, przewodniczący Komisji Planowania i s a m g e n e r a ł m ó w i ą, że Polska będzie wywiązywać się ze swoich zobowiązań kredytowych /i potrzebuje "tylko" 4-5 mld dol. "nowych kredytów"/, to wiedzą O N I dobrze, iż jest to s u r r e a l i z m e k o n o m i c z n y w czystszej postaci!



W tym miejscu mogę usłyszeć sprzeciw... No, przecież zanim zostaliśmy przyjęci do MFW i Banku Światowego byliśmy z zobowiązani i udostępnić tym instytucjom rozmaite informacje na temat stanu naszej ekonomiki, a zwłaszcza bilansu handlowego i płatniczego... Od niepamiętnych czasów zajmuję się zawodowo problematyką gospodarczą kraju ze szczególnym uwzględnieniem handlu zagranicznego. I zgadzam się z Alainem Besançonem, że nie jest to gospodarzka: "jak każda inna". Nie chodzi nawet o fałszywe statystyki i bałamutne informacje. Aby fałszować dane muszą one istnieć, a tych w realnym socjalizmie po prostu nie ma! W tym kontekście istotnie "każda liczba jest /zatem/ średnia między wymogami władzy a rzeczywistością...; wyraża ona maksimum deformacji rzeczywistości, dającej się pogodzić z prawdopodobieństwem".

A więc czy chcę powiedzieć, że bankierzy zachodni są naiwni? Nie, nie są - ale nie mają po prostu innego wyjścia! Naiwnym byłoby pytanie: dlaczego Zachód toleruje bankruta? Mako tego, jak wiadomo /znowu - wiadomo, ale nie w kraju/, niektóre rządy, np. USA i RFN, które gwarantowały Bankom prywatnym w latach siedemdziesiątych, że "Polska jest wiarygodnym partnerem", już regulowały z PRL odpowiednie zobowiązania finansowe we właściwych terminach, gdyż owa "wiarygodność" nie wytrzymała próby czasu i to nawet krótkiego.

Co więcej mogą robić na Zachodzie? Bankrutów in spe jest coraz więcej... Nie podobna też pominąć aspektu politycznego. Mówi się tu i ówdzie /z wielkim tupetem/ o "pułapce zadłużenia"; dziwna to pułapka, w której siedzą razem pożyczkobiorca i kredytodawca.

Z doświadczenia wiem /pracowałam niegdyś w banku/, że ustawaństwo i praktyka na Zachodzie umożliwiają traktowanie należności zagranicznych /kredytów/ jako avoi r<sup>o</sup>s w bankowych, co niekiedy pozwala na tej podstawie /czyli zwykłych zapisów w księgach rozrachunkowych/ pieniądza bankowego. Jest to "zabawa" cokolwiek ryzykowna, ale ostatnio niezwykle modna.

Zatem bankierzy nie są naiwni. Śledzą bardzo uważnie stan spraw w PRL. We wrześniu 1984 roku naukowcy zachodniomiejscy i amerykańscy, na zlecenie 84 banków i korporacji z RFN i USA, opracowali "Raport o stanie i perspektywach polskiej ekonomiki". Z dokumentu tego wynika, że gospodarzka PRL nie ma szans wyjścia z kryzysu do roku 2000. Autorzy uzasadniają swoją prognozę tym, że system gospodarczy w Polsce jest wadliwy, a ekonomika kraju ma uromną strukturę. Ponadto zwraca się uwagę na ujemny wpływ drastycznego ograniczenia kontaktów PRL z Zachodem, zarówno na przyszynie ekonomicznej, jak i naukowo-technicznej i technologicznej. W tym miejscu uwaga: jest to cena za stan wojenny, który - jak w nas wprawiane - miał uratować kraj i umożliwić podjęcie dalszej reformy gospodarczej...

"REFORMA"  
I FAKTY

Właśnie, a co z "reformą"? Bądźmy realistami. Na Zachodzie interesują się konkretnymi, nie zaś pustosłowiem. Sięgnijmy dla odmiany do materiałów majowego posiedzenia Komisji ds. Reformy Gospodarczej z udziałem premiera Zbigniewa Messnera.

Sekretarz Komisji Franciszek Kubiczek, zastępca przewodniczącego Komisji Planowania /a więc z urzędu przeciwnik wszelkich radykalnych reform/ poinformował na wstępie, że "zasadniczy dylemat reformy sprowadza się do alternatyw: kontynuacja taktyki małych kroków czy przyspieszenie...".

Nie zamierzam relacjonować przebiegu dyskusji/zresztą nie byłam, ale korzystam z wiarygodnych materiałów/; choć natomiast przytoczyć wypowiedź prof. Henryka Sadowika, który stwierdził bez ogródek: "Absolutnie nie zgadzam się /.../ że w kwestii przyspieszenia reformy jest jakakolwiek alternatywa. Rząd nie ma w tej kwestii żadnego wyboru, albowiem sytuacja jest taka, że jeśli szybko nie dokonamy zdecydowanego przyspieszenia procesu reformy - czeka nas katastrofa gospodarcza...".

Komentator "Życia Gospodarczego" pisał zaś nie mniej ponuro: "... nasuwa się refleksja, że moment, w którym ze względu na stan równowagi mogło nastąpić przyspieszenie reformy, jest już poza nami...".

Tak, niestety, trzeba prawdzie spojrzeć w oczy... Na niewiele zda się żalosne pustostowie, które lażą się potokami na X Zjeździe partii.

Więc co dalej? Jakies wyjście przecież musi być? Może i jest, ale nie w tym układzie. Jakże żalosne /już nie śmieszne/ jest to marmotanie o "wyścigu ku nowoczesności", o "wyzwaniu technologicznym, któremu musimy sprostać", o "wchodzeniu w wiek XXI"... Z o z y m mianowicie?

Przemysł obrabiarkowy nazywa się nie bez racji "przemysłem przemysłów", gdyż od poziomu jego nowoczesności, jakości urządzeń, szeroko pojętej wydajności, zależy praktycznie jakość i nowoczesność całej produkcji materialnej w gospodarce narodowej. Park maszynowy w Polsce liczy 350 tysięcy obrabiarek. 90 procent - to całkowicie zamortyzowane urządzenia, których przeciętny wiek wynosi 15 lat. Około 28 proc. parku maszynowego - 20 lat. Według miarodajnych informacji przeszło 93 tysiące obrabiarek nadaje się wyłącznie na złom! Pochłaniają one masę energii i materiałów wyjściowych oraz czasu pracy robotników, produkt zaś końcowy jest marnej jakości, co z kolei rzutuje na jakość innych wyrobów, m.in. w przemyśle motoryzacyjnym.

O hutnictwie mówić w ogóle nie warto - najkosztowniejsze, źle amortyzujące się inwestycje w czasach gierkowskiego "przyspieszenia"; budowa nowych obiektów przy kompletnym zaniedbaniu modernizacji już istniejących; energo- i materiałochłonność urządzeń; niekompetentni doktrynerzy za pulpitem sterowniczym; katastrofalne zatrucie środowiska naturalnego - oto fakty. Z drugiej strony toczy się obecnie "operacja" /nadzorowana osobiście przez wicepremiera Szałajkę/ pozbawiania przedsiębiorstw resztek, iluzorycznej zresztą, samodzielności i otwarzania starych monopolowych struktur organizacyjnych pod zmienionymi sztyldami...

Kilka słów o węglu, wszakże węgiel - to 19 proc. eksportu PRL. Eksport węgla, w świetle sytuacji na rynkach paliwowych świata oraz w kontekście potrzeb wewnętrznych gospodarki, która "zjada się sama", spadł ostatnio do 23,9 mln ton /niegdyś wynosił 41 mln ton/. Spadły też jego ceny. Notowania z maja br. - 38 dol za tonę, wobec nie tak dawnych jeszcze 60 dol. Oczywiście, że określoną rolę odgrywają warunki dostaw, jakość itp.

Poza tym, może przede wszystkim, jak można cokolwiek budować nie tyle na węglu, co na piasku? Społeczny koszt węgla w warunkach i cenach 1982 roku wynosił ok. 6600 zł/t, podczas gdy po ogólnej regulacji cen, cena zbytu węgla górnośląskiego wynosiła 2000 zł/t. Na łamach "Życia Gospodarczego" w artykule pt. "Bariera energetyczna czy doktrynalna?" Włodzimierza Bojarskiego można było przeczytać: "Jeśli górnictwo nie świadczy na rzecz polskiej gospodarki, a w tym i na własny rozwój, wydatki te w znacznie zwiększonej wysokości muszą za nie ponosić inne branże produkcyjne, w zawyżonych podatkach, zawyżając koszt własnych wyrobów. W ten sposób pośrednio dofinansowują one górnictwo. Również społeczne koszty strat środowiskowych i niszczonej infrastruktury, wywoływane przez przemysł wydobywczy, ponosi cała gospodarka".

Z kolei nie mówi się zbyt głośno, a jeśli się mówi, to na pewno niezbyt konkretnie, o "naturalnych" rosnących trudnościach w pozyskaniu węgla. A tymczasem "same tylko koszty księgowane pozyskania węgla wzrastają znacznie szybciej niż jego ceny zbytu". A więc "kolegowe straty" /dające się uchwycić i policzyć/ wymagają dotacji, których ogólna kwota w 1985 roku /wg wstępnych szacunków/ wyniosła 150 mld zł!

Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy, w obliczu powszechnego spadku cen na surowce, sugerują wzrost gospodarczy oparty na większym eksporcie. Lecz zwiększony eksport spowoduje dalszy spadek cen, jak to miało miejsce w przypadku kauczuku z Tajlandii, nie mówiąc już o ropie naftowej...

PRL pożyczycza ogromne kwoty na strukturalne przekształcenia w gospodarce narodowej, skończyło się zaś na szarpaninie z węglem i innymi surowcami i, co gorzej, wołaniem o inwestycje w przemyśle wydobywczym i hutnictwie. A na nikt nie da ani centa! Ale niewielu też ma szansę odzyskania udostępionych /bezrozumnie/ PRL kredytów. Cóż więc dalej?

NAD ŁOŻEM  
BOLEŚCI

Plotr Jegliński w pracy pt. "Spójrzcie na gospodarkę" /Warszawa 1986 - Wydawnictwo Organizacji "Solidarność Walcząca", nb. bardzo to wartościowa publikacja/ pisze: "... jeśli do jakiegokolwiek kraju napływa kapitał, to musi on działać jako ożywienie komplementarny i tylko wtedy może on działać produkcyjnie, jeśli czeka na niego wolne ręce /i głowy/ do pracy, a więc jeśli jest obfita siła robocza, np. bezrobocie. Ale jeśli te ręce są uwięzione i uwikłane w istniejących nieefektywnych strukturach, to kapitał nawet najobfitszy nie wzbudzi rezonansu dochodowego i albo włącznie beżużytecznie w konsumpcji, albo wywoła dodatkowe zamieszanie przez zwiększenie napięcia w czynnikach produkcji i zakłócenia dotychczasowej produkcji, spowoduje wzrost i obfitość w jednym miejscu, ale braki i luki w pięciu innych, a w konsekwencji zawsze sprządzi lub powiększy inflację".

Nie ludźmy się zatem, sedno sprawy tkwi bowiem zupełnie gdzie indziej. Powyższe zresztą dotyczy głównie krajów rozwijających się, PRL zaś należy do grona państw "związających się" i tym ponurym zatem /nie ja go zresztą wymyśliłam/ mogłabym zakończyć swój wywód na temat powrotu do MFV i iluzji z tym związanych. Ale...



Polska z a w s z e od 40 lat miała plejadę znakomitych /transferowych/ ekonomistów i żalosną ekonomikę. Dziś "znakomitości" wykruszyły się niejako w sposób naturalny /może poza wygnanym z kraju Włodzimierzem Brussem i skazanymi na milozenie Stefanem Kurowskim i Ryszardem Bugajem/, gospodarka zaś znajduje się w stanie, w którym najtężsi eskulapowie umywają ręce i ze współzuciem, wymownie, spoglądają na członków rodziny chorego. Co się zaś tyczy znachorów Drugiej Polski, którzy realizowali "dynamiczne przyspieszenie", tych dawno już nie ma - odeszli przekonani, że zabrakło im czasu... Nad tym kołem boleści i smutku obecny Pierwszy Wtajemniczony monotonnie czyta z trybuny zjazdowej przepowiednie o życiu w pełnym komunizmie.

Tymczasem wszyscy ONI złamali pierwszą zasadę Hipokratesa: "Przed wszystkim nie szkodzić!". Co się tyczy zaleceń, m.in. Milтона Friedmana: "Jak najmniej państwa!", nie mówiąc już o jego twierdzeniach ostrzegawczych w rodzaju, że połączenie w jednych rękach władzy ekonomicznej i politycznej prowadzi nie tylko do tyranii, ale i w konsekwencji do bankructwa gospodarczego, to już - zdaniem tych, którzy rządzą, lecz nie odpowiadają - coś znacznie gorszego, niż rewizjonizm.

Znaleźli się jednak odważni /wolałabym bardziej adekwatne określenie, ale niech tam.../. Oto na łamach "Życia Gospodarczego" z 29 czerwca 1986 r., opublikowane zostało "Stanowisko PTE przed X Zjazdem PZPR".

Gdyby autorzy "Stanowiska", z weteranem wszystkich nieudanych reform gospodarczych w Polsce, prof. Józefem Fajestką na czele, sięgnęli uprzednio do zsywek szacownego tygodnika sprzed, no, dajmy spokój wspomnieniom zbyt odległym, ale przynajmniej z okresu VI Zjazdu i IX Zjazdu /materiały VII i VIII "gierkowskich" zjazdów cechowało wyjątkowe mętniactwo/ - niechybnie mogliby się przekonać, że t o w s z y s t k o j u ż b y ł o... Elementarna rzetelność nakazuje zadumę i refleksję nad zasadniczej treści pytaniem: dlaczego wciąż jesteśmy skazani na odkrywanie dawno już odkrytych ładów i to nie przez nas?

W konkluzji "Stanowiska" czytamy: "Przebudowa struktury i rozwój techniki nie mogą czekać na dopełnienie się reformy. Trzeba ją realizować w takich warunkach, jakie mamy na co dzień, bo od tego zależy postęp efektywnościowy, a więc również równowagę gospodarki, a więc postęp samej reformy." Tymczasem elementarna rzetelność nakazuje po pięciu latach spróbować odpowiedzieć na pytanie podstawowe: Dla czego struktura /energo- i materiałowa/ chłonna/ a nawet nie drgnęła, a przeciwnie, przez chaotyczne i bez żadnej koncepcji prowadzone manewry na froncie inwestycyjnym uległa dalszej petryfikacji?

Jeden ze współtwórców "reformy", prof. Zdzisław Sadowski, w wywiadzie w tymże numerze "Życia Gospodarczego", próbuje ratować twarz /czyją?/, zauważając melancholijnie: "... Bywają więc bitwy przegrane. Porażka jest, gdy utrwała się struktura monopolistyczna lub powstają nowe...". Profesor mówi dla odmiany o strukturze zarządzania, lansowanej przez kohorty biurokratów z wicepremierem Zbigniewem Szażajądą na czele, wbrew ustawom sejmowym, na przekór zaleceniom Rady Konsultacyjnej, Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie, PTE, PRON-u i kogo tam jeszcze. To są przecież ci sami ludzie z ministerstw i Komisji Planowania, którzy budowali

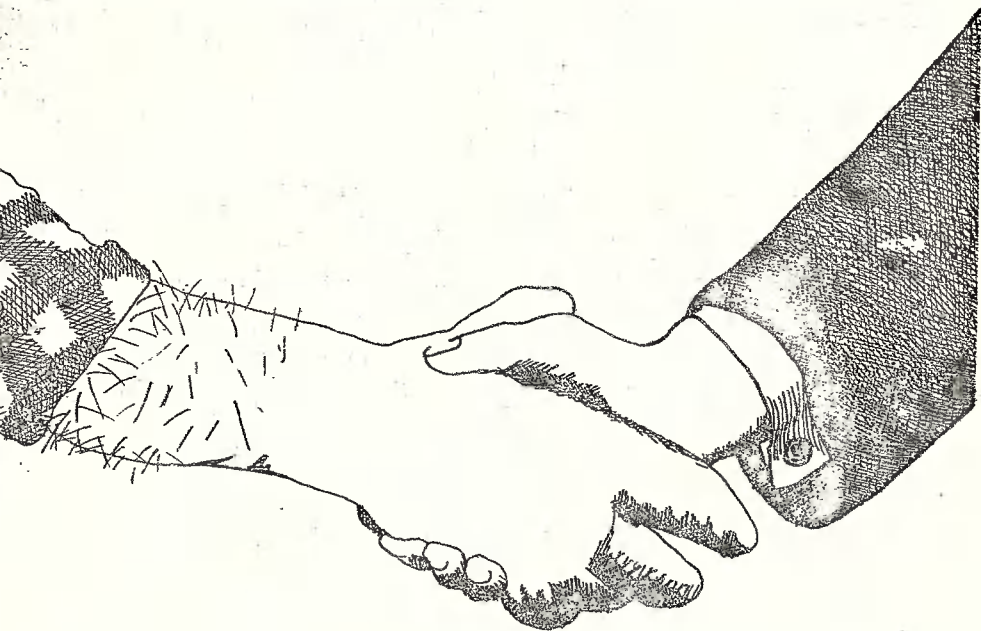
"drugą Polskę", a dziś walczą /z powodzeniem/ o utrzymanie starych mechanizmów sterowania gospodarką w nowej sytuacji, w warunkach nie wygasłego bynajmniej buntu społecznego przeciwko ich rządcom... W tej chwili, jakby rozgrywa się mecz "reformatorów" kontra nomenklaturze, w którym partia jest niby arbitrem. Wyreżyserowane to i od początku ponure widowisko...

To nie ma znaczenia, czy Schumacher przy puszczonej piłce w spotkaniu finałowym z Argentyną "wybiegł zbyt daleko na przód", czy był to "błąd" kolegi, który nie asekurował bramki. Goł został strzelony, bo "wisiał w powietrzu", Niemcy zaś byli zamknięci na polu karnym i pozbawieni zdolności manewru.

Tak więc nie ma znaczenia, że "centrum" /jeszcze jedna abstrakcyjna kategoria/ prezentuje "polityczną wolę w dziele reformowania gospodarki", gdyż bramka jest obłożona przez wytrawnych zawodników, których siłą jest d e s t r u k - c j a i doświadczenie w utracaniu wszystkiego, co zagraża i c h egzystencji i i c h niepodzielnym rządcom. W tym miejscu referent z Komisji Planowania podaje rękę instruktorowi z aparatu partyjnego - bez nich t e n system nie może bowiem istnieć. "Reformatorzy" już praktycznie nie walczą, oni jedynie markują grę. Widownia od dawna jest pusta. Kiedy zostaną wreszcie pokonani, nie rozlegnie się ani jeden gwizd.

Będzie to prawdziwy koniec snów o "drugiej Polsce".

Barbara Tańska



HAP'66H

JAK SIĘ WYTEUMACZYĆ CUDZOZIEMCOM, CZYLI...

## O LENIWYCH POLAKACH

- Wzrostko to rozumiemy - mówią życzliwi nam cudzoziemcy - tę waszą tragiczną przeszłość, kompleksy, sowiecką dominację, brak demokracji, konflikt wartości i aspiracji z systemem. Czy przy tym wszystkim jednak, nie moglibyście, choć trochę, więcej i lepiej pracować? Przecież jakiś tam w końcu potencjał macie: fabryki, koleje, grunty uprawne... Czy to wszystko, nawet przy biurokratycznym zarządzaniu, musi być aż tak niewydolne? Wiemy, że nie dacie sobie rady bez pomocy, lecz czy ze swej strony zrobiliście już wszystko co można było, by wyjść z kryzysu?

Oczywiście: moglibyśmy ohoć trochę; nie musi być aż tak; nie wszystko jeszcze... Ale przecież zupełnie nie o to chodzi, nie na tym polega problem i nie tu znajduje się klucz do niego, choć w samej Polsce wielu ludzi - i to nie tylko wśród władzy - zgadza się, że gdyby tak wszyscy raźniej się wzięli do pracy, to przecież jakoś by się ruszyło. Tyle tylko, że było już parę takich ostrych startów, ostatni po kolejnym wstrząsie 1970 roku, i to był początek tego najbardziej zwaśrowanego i marnotrawnego okresu, zakończonego obecnym kryzysem, którego końca nie widać.

### FOLWARK

Żeby nie przytaczać dziesiątków przyczyn, dlaczego jest tak, jak jest, a ich ilość budzi aż podejrzenie, spróbujmy znaleźć jakiś klucz, jakiś model, który by nam tłumaczył istotę tego systemu. Niechby nawet wydawał się wręcz fantastyczny.

Otóż wyobraźmy sobie, że współczesna Polska jest jednym wielkim majątkiem feudalnym, takim, jakie dominowały na naszych ziemiach jeszcze półtora wieku temu. Cudzoziemcowi z dalszych okolic Europy trzeba przypomnieć, na czym ten model polegał.

Podstawą jego jest feudalna własność seniora na całą ziemię w obrębie jego dominium: na grunty, łąki, lasy, wody - wraz z ich bogactwami i płodami. On jeden ma prawo użytkowania tego wszystkiego i wszelkiej działalności gospodarczej. Od jego woli zależy wydanie i cofnięcie zezwolenia na produkcję i handel oraz arbitralne ustalenie warunków. Chłopi są przypisani do ziemi, której im nie wolno opuścić. A ponieważ żyją na ziemi seniora, więc muszą płacić mu za to tyle, ile uzna za słuszne /czynsz/, bądź odpracować to na ziemi, którą on bezpośrednio użytkuje /pańszczyzna/ w wyznaczonym przez niego wymiarze i w określony przez niego sposób. Wszelkie towary spożywcze i

---

x/ Tekst publikujemy bez wiedzy i zgody Autora. /red./



przemysłowe, których chłopci nie produkują sami, muszą oni kupować od seniora, bądź za jego pośrednictwem. Przez niego też mogą zbywać ewentualne nadwyżki. W obu wypadkach on dowolnie ustala ceny. Są przy tym osobiście od niego zależni /poddaność/, gdyż senior sprawuje nad nimi władzę policyjną i sądową, zaś przed jej nadużyciem nic nie jest w stanie chłopca uchronić.

System ten jest zarazem uznawany za opiekuńczy, gdyż to senior wydziela chłopom kawałki ewojego gruntu do uprawy, bądź rozdziela produkty. On więc określa rozmiar i charakter spożycia, gdyż wszystko co chłop spożywa jest pańskie.

A teraz przenieśmy się do kraju, w którym komuniści - siłą własną bądź cudzą, bo inaczej to się nigdzie nie udało - zdobyli pełnię władzy politycznej. Ich podstawowym celem jest całkowite przekształcenie stosunków społecznych i gospodarczych. Ogólny kierunek zmian to uspołecznienie środków produkcji, co przede wszystkim oznacza odebranie ich z rąk prywatnych. A ponieważ cały dotychczasowy porządek jest z definicji zły, przeto im dalej pójdą te zmiany, tym lepiej.

Zaczyna się od upaństwowienia banków, wielkich fabryk, kolei, wprowadzenia państwowego monopolu handlu zagranicznego. Odbiera się też wielkie majątki ziemskie, a ziemię ich przeażnie rozdaje się chłopom. Na tym etapie, abstrahując od konfliktów politycznych, zmiany te mogą liczyć na dość szerokie poparcie.

Szybko jednak przychodzą dalsze. Władza przejmuje coraz mniejsze zakłady produkcyjne, aż do rzemieślniczych warsztatów i małych sklepików oraz odbiera ziemię chłopom, tworząc z niej wielkie gospodarstwa, bądź jawnie państwowe, bądź - co częściej - fikcyjne spółdzielnie, będące de facto własnością państwa. Chłopom wydziela się kawałki ziemi, działki, które mogą uprawiać na własny użytek, po odrobinie tego, co trzeba, w gospodarstwie zwanym uspołecznionym.

W ten sposób władza staje się właścicielem praktycznie całego majątku produkcyjnego w kraju i ma faktyczny, bądź również formalny monopol na wszelką działalność gospodarczą. Tam, gdzie jak w Polsce, istnieją w ograniczonym zakresie i rzmiarze prywatne placówki produkcyjne i handlowe, tam prowadzenie ich możliwe jest tylko na podstawie indywidualnie wydawanych i cofanych koncesji. Do władzy należy wówczas ocena celowości tego przedsięwzięcia, a nie do przedsiębiorcy i Klientów. Ona też pilnuje, by roboczo tam tylko to, co jest przewidziane w koncesji i aby zakłady te nie rozrastały się i nie zwiększały obrotów ponad założony limit, by nie zwiększały zysków, korzystając z koniunktury itp. To samo dokładnie wykonywał... feudalny nadzór oechowy.

Polska jest w obczie komunistycznym krajem o tyle jeszcze wyjątkowym, że na skutek przemian politycznych 1956 roku, które wyeliminowały brutalny terror fizyczny w wielkich wymiarach, nie udało się skolektywizować, a właściwie upaństwowić, rolnictwa, które w większości zostało domeną rolników indywidualnych. By już nie wracać do tego ważnego skądinąd tematu, przypomnijmy, że władza ustaliła swój faktyczny monopol na dostawę środków produkcyjnych dla rolnictwa i na skup większości jego produktów, jedno i drugie po cenach przez siebie wyznaczanych. Arbitralnie też prowadzi ona politykę podatkową i ustala przepisy regulujące obrót ziemią.

Generalnie, w ciągu trzech dziesięcioleci polityka rolna państwa, przy licznych wahaniach, zmierza do tego, aby rolnictwo produkowało pewne minimum żywności i aby przy tym dochodowość jego była raczej niska, by dostawy środków produkcji i obrót gruntami nie prowadził do powstawania wielkich i silnych gospodarstw farmerskich, by praca w rolnictwie nie była atrakcyjna i aby ludzie zeń odchodzili, ułatwiając jego ewentualne przejmowanie przez sektor państwowy w przyszłości. W każdym razie niesocjalistyczne rolnictwo nie ma faktycznie prawa prosperować przy rozkładającej się gospodarce państwowej.

Wszelako ten niesocjalistyczny charakter rolnictwa sprawia, że jest ono, pomimo wezyskich trudności, tą częścią gospodarki, która jeszcze stosunkowo najlepiej wywiązuje się z podstawowych swych zadań - w Polsce bardzo wielu bardzo źle i biednie się odżywia, lecz nikt nie umiera z głodu, zaś wieloletnia polityka władz jest przyczyną stałego niedorozwoju rolnictwa i niedoboru żywności, w kraju, który ma obiektywne warunki, aby być jej wielkim eksporterem, tak jak bywał nim w przeszłości.

Ogólną zasadą socjalizmu, przyjętą werbalnie przez komunistów, było uspołecznienie środków produkcji. Pod rządami komunistów, niezależnie od posługiwania się gdzieś szyldem spółdzielczym, jest to praktyczne upaństwowienie. Władza państwowa jest przy tym absolutnie niedemokratyczna. Nie pochodzi z wyboru, nie znajduje się pod żadną kontrolą ze strony społeczeństwa, które na żadnym szczeblu i na żadnym odcinku nie ma praktycznej możliwości wpływania na sposób zarządzania gospodarką, na alokację środków, podział produktu itp. Gospodarka uspołeczniona jest zatem fikcją. Jest w istocie rzeczy zbiórka własnością rządzącej oligarchii, przy czym od miejsca zajmowanego w aparacie władzy zależy stopień wpływu na decyzje i wysokość udziału w spożyciu.

To samo państwo, które jest właścicielem gospodarki /całej, bądź prawie całej i kontrolerem reszty/ oraz ma monopol na wszelką działalność gospodarczą na swym terytorium, jest zarazem, z własnej nominacji, nieusuwalną władzą; ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą nad swoimi pracownikami, którym doprawdy bardziej pasuje do ich statusu nazwa poddanych aniżeli obywateli.

W krajach konsekwentnego komunizmu, jak ZSRR czy Bułgaria, wszyscy oni, zaś w takich jak Polska - w ogromnej większości, mogą i muszą pracować u jednego praktycznie pracodawcy, który dowolnie i jednostronnie określa warunki tej pracy w różnych swoich agendach, jakimi są fabryki, spółdzielnie, placówki nandlowe, sfera świadczeń społecznych itd. W dodatku są oni przypisani do dominium swojego seniora. On decyduje - w większości krajów odmownie - czy, dokąd, po co i na jak długo mogą jego poddani wyjechać za granicę. Zmiana pana i pracodawcy nie wchodzi w rachubę...

#### MECHANIZM

Jeśli właściciel folwarku przerzuca swój owies ze swojej stodoły do swojej stajni, to nie występuje tutaj akt kupna-sprzedazy, jako że nie następuje zmiana właściciela. Skro produkt, jakim jest owies, nie zostaje wystawiony na sprzedaż, nie staje się on towarem. Tak samo jest kiedy państwowy węgiel jedzie z państwowej kopalni do państwowej elektrowni, z której państwowy prąd płynie do państwowej fabryki. W obrocie między

jednostkami, będącymi własnością tego samego podmiotu, nie następuje zmiana właściciela, obrót ten nie odbywa się na rynku, nie występuje łańcuch: towar - pieniąż - towar, ani też pieniąż - towar - pieniąż.

Na początku komunistyczna doktryna odrzucała wszystkie kapitalistyczne kategorie, w tym rynek, pieniąż i cenę. Pieniąży nawet miało nie być, lecz wkrótce okazało się, że konieczny jest jakiś wspólny przelicznik dla porównania i zestawienia kilowatogodzin, dniówek roboczych, tonokilometrów i metrów bieżących. Tę właśnie funkcję pełni pieniąż w komunistycznej gospodarce. Kiedy jednak zaczyna się oficjalnie przywracać do łask rynek, wartość, cenę, to można - niczego nie zmieniając - twierdzić, że mamy rozrachunek ekonomiczny, skoro fabryka płaci za prąd, elektrownia za węgiel, a kopalnia za maszyny. Jeśli jednak cena ta kiedykolwiek zbliżona jest do wartości, to tylko przypadkiem, a po drugie - nikt tego nie wie. Albowiem wszystkie ceny w oficjalnym obrocie są ustalane przez państwo zupełnie dowolnie i wyrażają nie wartość, nie stosunek podaży i popytu, lecz preferencje państwa, które chce, żeby pewne dobra były tanie, a pewne drogie, bo w ten sposób udaje mu się wykazać opłacalność rabunkowego wydobycia węgla w epoce taniej ropy i nieopłacalność lokali gastronomicznych cieszących się wielkim powodzeniem.

Przy najistotniejszych dla gospodarki produktach i przedsięwzięciach: węgiel, energia, stal, cement, ważne budowy i wszelka produkcja uznana za ważną, plan określa, która jednostka ma zapotrzążyć którą, ewentualnie co i kiedy ma dla niej wykonać. Każda ma mieć tyle pieniędzy, aby po wyznaczonej cenie opłacić wyznaczoną ilość produktu albo usługę. Gdy to się nie bilansuje, jednostka dostanie w tej czy innej formie ulgę/podatkową albo dotację, albo upust w cenie/pomoc z centrali, a jeśli zostaną jej nadwyżki, to w taki czy inny sposób centrala zabierze jej ponad dziewięćdziesiąt pięć procent zysku. Jest to schemat, skryty za masą różnicowanych przepisów i zagmatwany masą wyjątków, ale taka jest ciągle istota tej ekonomiki, w której to, co nazywa się przedsiębiorstwem, jest w gruncie rzeczy oddziałem produkcyjnym czy handlowym jednego państwowego przedsiębiorcy.

Mimo to, komunistyczne państwo ciągle bliższe jest wielkiego feudalnego latyfundiomu niż kapitalistycznego koncernu, do jakiego się je porównuje. Dla właścicieli koncernu podstawowym kryterium jest zysk, on warunkuje wszystko inne, zaś dla posiadacza dominium - czy jest nim historyczny książę, czy współczesne państwo - liczy się władza i splendor oraz trwałość tego statusu. W demokratycznym państwie cele te muszą jakoś odpowiadać większości wyborców, jeśli cały ten układ ma się okazać trwały. Im jednak władza jest mniej zależna od rządzonego społeczeństwa, tym większa jest autonomia jej celów i ich rzemieślności z interesami większości.

Ustrój komunistyczny, będący próbą realizacji utopii, musi stale wykazywać swą doskonałość, a w każdym razie wyższość nad formacją kapitalistyczną. Zważywszy jego zdecydowanie niższą efektywność, której przyczyną usiłujemy tu właśnie przedstawić, podstawowym sposobem owego wykazywania się jest ekspansja. Na inne kraje, w ramach imperialnej potęgi bloku radzieckiego, oraz wewnętrzna. Ta wewnętrzna, to właśnie wspomniane już niszczenie i przejmowanie /bądź częściowe



- jak w Polsce - ograniczenie/ innych, niepaństwowych sektorów społeczno-gospodarczych oraz monstrualna rozbudowa sektora własnego, kosztem całego społeczeństwa.

Przeważnie każda władza lubi demonstrować i uwieczniać swój splendor przy pomocy budowli publicznych. W komunizmie zalicza się do nich również wielkie huty, kopalnie, zakłady przemysłowe. To też własność państwa, widomy dowód jego potęgi, troski o gospodarkę, a zatem i o potrzeby ludności, a zarazem przez siebie samego stwarzany dodatkowy obszar władzy. A każdy lubi być demiurgiem, gdy może nie liczyć się z kosztami.

Tu zaś, gdzie wyeliminowano stosunki rynkowe, z kosztami można się nie liczyć, bo ich nie można znać. Pozostaje tylko obrót rzeczowy: produktami, mocami przerobowymi, energią i siłą roboczą. Na zasadzie prostych bilansów: przy pomocy tych środków możemy zrobić albo nową hutę, albo dcm starców - co ważniejsze? Zawsze znajdują się eksperci, którzy tak dobiórą dane, aby ważniejsze okazało się to, czego chce władza. Przy czym z reguły będzie ona wolała hutę. Albowiem tam, gdzie nie ma rachunku ekonomicznego, lansuje się prymitywny racjonalizm, że wpieryw musi powstać przemysł środków produkcji, aby mógł powstać przemysł środków spożycia, że wpieryw potrzeba węgla, stali, cementu, aby mogły być zrobione tkaniny i samochody. Te abstrakcyjne schematy nie mogą być skonfrontowane z rzeczywistością ekonomiczną, bo odrzucone zostały kategorie poznania i regulacji.

Państwo komunistyczne nie jest pierwszym, które stawia na ekspansję i na własne pomniki. Jednak dotychczas, nawet najbardziej niedemokratyczne państwo, nie liozące się z interesem poddanych, musiało się liczyć ze środkami na prowadzenie swej polityki. By wygrać wojnę - mawiał książę Eugeniusz Sabaudzki - trzeba pieniędzy, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Te pieniądze władza ściąga z gospodarki, której - choćby z tego powodu - winna zapewnić warunki rozwoju i egzystencji. Komunistyczne państwo, stając się właścicielem gospodarki, nie wymaga od niej dochodów, gdyż samo ma wszystko, co trzeba, do odlewania armat, robienia prochu, szycia mundurów i butów, a także do budowy pałaców, placów i wszystkiego, co uzna za nieodzowne.

Działanie się upraszcza: nie trzeba z jednych przedsiębiorców ściągać podatków, aby u innych składać zamówienie, licząc się z czymś interesem po drodze. Władzy nie limituje dochodowość gospodarki, lecz jej fizyczna wydolność, którą należy maksymalnie powiększać, by mogła sprostać stawianym celom. A więc maksymalny wzrost, ograniczany z kolei również fizycznym rozmiarem dóbr, a nie niemożliwą wszak kalkulacją efektywności, staje się naczelną zasadą komunistycznej gospodarki. Wzrost ten jest w odczuciu jej właścicieli darmowy. Tak naprawdę kupuje ona tylko zagranicą, co sprawia, że dominuje przeważnie autarkia. Na miejscu ma państwo swoje surowce, swoją strukturę przemysłową i infrastrukturę, swoje środowisko naturalne i swoich ludzi do pracy. A w sprzyjających okolicznościach może jeszcze naciągnąć na kredyty naiwnych kredytodawców z Zachodu, którzy widząc ten dynamiczny wzrost sądzą, że warto weń zainwestować. Tymczasem jest to coś w rodzaju huty, która się stale rozbudowuje, zużywając na to całą produkowaną przez siebie stal. Produkcja stali rośnie, lecz ani kilogram nie wychodzi na zewnątrz. Trzeba więc... rozbudować hutę. Oto model takiego wzrostu!

Jako przyczynę niewydolności aparatu produkcyjnego w komunizmie wymienia się przede wszystkim rządy biurokracji - i słusznie. Lecz jeszcze ważniejsza jest monopolizacja całej prawie gospodarki oraz brak rynku. Gospodarka limitowana nie ilością pieniędzy, które każdy ma w ograniczonym wymiarze, lecz fizycznym rozmiarem dóbr, nigdy nie jest w stanie sprostać potrzebom, które każdy ma przeważnie nieograniczone i niedobór - praktycznie wszystkiego - jest jej immanentną cechą. W tej sytuacji nie ma mowy o konkurencji, nawet na tych obszarach gospodarki, gdzie centralny plan nie przewiduje kto komu, czego i ile ma dostarczyć, gdzie istnieje więc jakiś taki wybór kontrahenta. Brak konkurencji, prawie zawsze zapewniony zbyt na wszystko. /jeden odbiorca musi odebrać - bo mu to przypisano w planie, a drugi - bo nie ma wyboru/ sprawia, że producent nie ma żadnej potrzeby wysiłania się, aby wytwarzać produkt sprawny, nowoczesny, estetyczny, trwały. I aby obniżyć koszty wytwarzania. Nie mogąc maksymalizować zysku, minimalizuje wysiłek, przede wszystkim obniżając jakość produktu, a potem dopiero ilość, gdyż w ilości plan jest trudniej oszukać. Takie jest główne, choć nie jedyne, źródło coraz większego zaccpania gospodarki komunistycznej, jej malejącej konkurencyjności w świecie.

Tego rodzaju gospodarka może rosnąć /w socjalistycznej ekonomii politycznej nie ma - co charakterystyczne - rozróżnienia między rozwojem - "development", a wzrostem - "growth"/ tak długo, dopóki ma zapewniony dopływ nowych środków: surowców, kredytów zagranicznych, pracy i dopóki starcza wytrzymałości środowiska oraz zaniebdywanej infrastruktury. Po przekroczeniu pewnego progu, przyrosty stają się mniejsze, potem zaczyna się dekapitalizacja, gospodarka pożera samą siebie.

Wydaje się, że wszystkie kraje bloku sowieckiego, na czele z hegemonem, przekraczają właśnie ten próg. W Rumunii i Polsce kryzys przybrał najbardziej spektakularne formy. Na Węgrzech i w Czechosłowacji regres jest widoczny, lecz jeszcze umiarkowany, zaś nietypowym krajem jest NRD, podtrzymywana ekonomicznie przez dopływ środków z Niemiec Zachodnich. Nie widać obecnie żadnych szans na to, by komunistyczna gospodarka, nie zmieniając swego charakteru i sposobu funkcjonowania, była w stanie odwrócić postępujący proces upadku.

## PRACA

Co w tej sytuacji może zmienić zwiększony wysiłek Polaków? Na ile jest w ogóle możliwy?

Komunistyczna władza realizuje zasadę Piotra I: "by ani jedna ręka w państwie nie próżnowała", ponieważ czuje się nis tyle pracodawcą, kalkulującym kogo i za ile warto mu zatrudnić, lecz naturalnym dysponentem całej siły roboczej, która i tak je na państwowy rachunek. Stąd liczne elementy przymusu pracy w gospodarce komunistycznej, łącznie z systemem obozów /Gułag/, a także przymus ekonomiczny, na zupełnie innym poziomie niż w kapitalizmie.

W Polsce obecnie przeciętna płaca miesięczna wynosi ok. 22 tys. złotych, przy czym dwie trzecie pracujących jej nie osiąga. Minimum socjalne na jedną osobę oficjalnie związki zawodowe nieoficjalnie szacują na 11 tys. złotych miesięcznie. Pozwala ono na bardzo biedną egzystencję, bez uwzględ-

nienia środków na urządzenie się. Wynika z tego, że pełnozatrudniony pracownik, przeważnie wykwalifikowany i to należący do wyżej zarabiającej mniejszości, nie jest w stanie ze swych regularnych zarobków za regularną pracę utrzymać nawet na poziomie minimum socjalnego żony i dziecka! Nie jest to rezultat obecnego kryzysu - choć pogorszył on znacznie sytuację materialną większości ludzi - tak było przez całe z górą czterdzieści lat komunistycznej władzy.

Z jej punktu widzenia posunięcie to było celowe, gdyż zmuszało do pracy wszystkich, w tym kobiety, łącznie z tymi, które wychowują małe dzieci - specyfika komunistycznej gospodarki we wszystkich krajach. Ekstensywnej gospodarce potrzeba dużo taniej siły roboczej. Pozwala to jednocześnie pochwalić się likwidacją bezrobocia i objąć kontrolą całą ludność również z pozycji pracodawcy. W systemie komunistycznym, którego głównym celem jest sprawowanie władzy, jest to względnie bardzo istotny: zaszerzeganie człowieka do jakiejś grupy pracowniczej, przeważnie zorganizowanej na paternalistycznych zasadach.

Kapitalistyczny pracodawca pojedynczo traktuje płace jako koszt i skłonny jest je obniżać, lecz cała klasa pracodawców i producentów zarazem musi uwzględniać fakt, że płace w rękach pracowników stanowią podstawowe narzędzie popytu, gwarantującego zbyt ich towarów. Stąd optymalizacja - nieraz burzliwa - relacji płac, kosztów i cen. W socjalizmie jedyny pracodawca jest zarazem jedynym producentem i dostawcą wszelkich produktów i usług.

To prawda, że wypłaca on ludziom pieniądze, lecz pieniądź w tym ustroju nie kreuje popytu. Zrobi się i zbuduje nie to, co ludzie byliby skłonni za swe pieniądze kupić, lecz to, co państwo uzna dla nich za konieczne, przy czym spożycie ludności, w ramach fizycznego limitu środków, pozostaje konkurencyjne dla celów, które sobie to państwo stawia. Ustalając rodzaj i ilość produkcji, ceny i płace, reguluje ono spożycie ludności na uznawany przez siebie za właściwy poziomie. W NRD na przykład, gdzie poziom ten jest, jak na kraj komunistyczny, dosyć wysoki, świat pracy - zdyscyplinowany, a machina urzędnicza w miarę sprawna, udaje się utrzymywać płace i ceny na zbilansowanym i prawie niezmiennym poziomie. W Polsce, gdzie władza stale obawia się wybuchu społecznego, przekupuje ona najbardziej groźnych robotników wielkiego przemysłu, płacąc im coraz więcej coraz mniej wartych pieniędzy, jakcóż w ślad za tymi wypłatami nie następuje zwiększona odpowiednio produkcja dóbr. Stąd się rodzi - między innymi, bo jest jeszcze parę innych źródeł - inflacja. Służą ona władzy następnie jako argument przeciw podnoszeniu płac tym, których się ona nie boi, oraz za podnoszeniem cen.

Przy pomocy takiej polityki udało się doprowadzić do stanu, w którym koszty pracy w przemyśle wynoszą 12-13 procent kosztów własnych. W tej sytuacji praca jest najbardziej marnotrawionym czynnikiem produkcji. W przemyśle maszynowym na przykład, jak wykazała ankieta, tylko 1 robotnik na 10 uważa, że ma dobrze zorganizowaną pracę. Zatrudnia się ludzi na zapas, toleruje niezliczone przestoje, pijaństwo, złą pracę, a do pewnego stopnia nawet kradzieże /wiadomo, że pracownicy zarabiają mało i że pewnych rzeczy nie kupią za żadne pieniądze/.

Przed wszystkim jednak, w tej sytuacji nie opłaca się postęp techniczny. Nowe maszyny, mniej pracochłonne technologie,



podnoszą koszty, bo są z reguły droższe od pracy, którą mają zastąpić. Tam, gdzie ten postęp w jakimś stopniu, na przekór wszystkiemu, ma jednak miejsce, tam się podraża produkcja. Do utrzymania tego stanu przyczynia się polityka gospodarcza polegająca na stałym windowaniu cen na wszystkie produkty i pilnowaniu, przy pomocy opodatkowywania zakładów pracy, aby nie podnosiły one płac, w dążeniu do pozyskania i utrzymania pracowników.

Praca na państwowej posiadzie - a pracuje tak ok. 12 milionów ludzi - zapewnia w wielu wypadkach tylko minimum biologiczne i świadczenia socjalne na bardzo niskim poziomie, lecz pewne. Z dostaniem i utrzymaniem marniej pracy nie ma też na ogół większych trudności, aozkclwiek przy pełnym zatrudnieniu bywa niekiedy trudno znaleźć pracę, zwłaszcza w wyższej kwalifikowanym, tam gdzie oni mieszkają. Wielogodzinne dojazdy do pracy są więc regułą dla więcej niż połowy zatrudnionych. Praca jednak w bardzo niewielkim stopniu załatwia podstawowe problemy życiowe. Poziom życia zależy w większym stopniu od stosunku pracujących i niepracujących w rodzinie niż od zarobków jej zatrudnionych członków. Urodzenie kolejnego dziecka może zatem przekreślić skutki wieloletniego awansu. Tym bardziej, że w większości rodzin większość wydatków przeznaczają się na jedzenie.

Cena rynkowa - czyli z drugiej ręki - najgorszego samochodu, Fiata 126, stanowi równowartość prawie trzechletnich przeciętnych zarobków. Koszt kupionego prywatnie niewielkiego /ok. 50 metrów kwadratowych/, niewygodnego i niezdrowego mieszkania w betonowych blokach, o standardzie slumsów od momentu ich zbudowania, wynosi obecnie ok. 5-6 milionów złotych. Jest to więcej niż większość pracowników zarobi przez całe swoje życie, od stażu do emerytury. Zaś na takież mieszkanie spółdzielcze, skalkulowane w sposób możliwy do wytrzymania przez większość pracujących, czeka się 15 i więcej lat.

Wydaje się, że jak na te warunki, to stosunek do pracy większości pracujących jest jeszcze zadziwiająco dobry. Trzeba przy tym sobie zdawać sprawę, że źle zorganizowana praca jest bardziej męcząca i nie niwelują tego zmęczenia przestoje. Przeważnie odbywa się ona w złych warunkach, jeśli chodzi o higienę i bezpieczeństwo. Urazliwość jest bardzo duża, mimo fałszowania statystyki.

Ogół pracujących jest też zmęczony dojazdami do pracy i powrotami, przeważnie w tłoku i brudzie, wielogodzinnym chodzeniem po sklepach i wystawianiem w kolejkach - przy ozym kupieniu po oficjalnej, a nie czarnorynkowej, cenie jakiegoś produktu daje niekiedy większą korzyść niż wynosi płaca za tygodnie czy nawet miesiące pracy - zmęczony jest także czasem traconym w urzędach, w przychodniach lekarskich o skandalicznie niskim standardzie, korzystaniem z usług, w tym nawet gastronomii, spędzaniem urlopu w niewygodnych warunkach. Wszystko to, wraz z niewygodnymi mieszkaniami, męczy i powoduje stresy, wyczerpując tę samą pulę energii i odporności życiowej, co praca. A w dodatku, niemożliwa do ustalenia część zatrudnionych musi podejmować dodatkowe wysiłki celem dodatkowego zarobienia. Jest to praca w nadgodzinach, w innych zakładach, pokątne rzemiosło, prywatnie świadczone usługi.

To przepracowane, przemęczone i zabiedzone społeczeństwo poddawane jest nieustannym oskarżeniom o lenistwo i złą pracę oraz apelom, by pracowało więcej i lepiej, jeśli chce podnieść swój poziom życiowy. W obecnych warunkach może to praktycznie oznaczać jedynie intensyfikację wysiłku, zaś wzrost spożycia nie jest bynajmniej pewny.

Udział płac w produkcji sprzedanej przemysłu wynosi obecnie w Polsce ok. 10 procent. W przedwojennej Polsce, pół wieku temu, w kraju nisko uprzemysłowionym, trapiącym przez strukturalne bezrobocie, udział ten wynosił 21 procent i był uznawany za niski, zaś stopa wyzysku za wysoką. Wbrew temu, co oficjalnie się twierdzi, pracownicy nie dostają tego co wypracowują, lecz to, co władza im do spożycia przyznaje, przy czym nie ma tu stałego mechanizmu, który by zapewniał chociaż te dziesięć procent i pozwalał pracą wpływać na ich konkretną wysokość. Stąd powszechność postaw roszczeniowych u pracowników, na co się władza uskarża i stąd nieskuteczność polityki - nieudolnej i niekonsekwentnej - różnicowania płac. Badania ankietowe wykazują, że większość społeczeństwa nie wyznaje już prymitywnego egalitaryzmu i zgadza się na lepsze wynagrodzenie za lepszą pracę. Nie ma jednakże zgody na manipulowanie głodem, poniżej uznawanego minimum. W tej sytuacji nawet znaczna, bo kilkunastoprocentowa podwyżka traktowana jest jako należyty zwrot zaleadwie części tego, co się już dawno zapracowało, a nie zobowiązanie do lepszej pracy.

#### ZAMACH

Kiedy komunistyczna władza nie może udawać, że nie ma kryzysu, musi podać jakieś jego przyczyny. Tak było kiedy w 1956 roku dochodził do władzy Gomułka, tak w 1970, gdy władzę obejmował Gierk i w 1981, kiedy objął ją Jaruzelski. Zawsze wówczas podaje się jako główną przyczynę błędy poprzedniej ekipy, choć nowa w dużej części uczestniczyła i w starej, a z przywódców tylko Gomułka nie był członkiem najwyższych władz w okresie bezpośrednio poprzedzającym przełom polityczny. /Generał Jaruzelski członkiem najwyższej władzy partyjnej, Biura Politycznego i rządu został jeszcze za Gomułki i był nim przez cały czas rządów Gierka./

Woluntaryzm ekipy gierkowskiej polegał głównie na tym, że lekkomyślnie przyspieszony wzrost gospodarki na wszystkich praktycznie odcinkach przyspieszył wyczerpywanie rezerw, których przedtem ostrożnie używał Gomułka. Sięgnięte też po dodatkową rezerwę w postaci kredytów zagranicznych. W ten sposób, doszło do gwałtownego załamania na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych oraz do zadłużenia wyrastającego obecnie ponad 31 miliardów dolarów, które się z roku na rok powiększa. Jednakże charakter systemu doprowadziłyby zapewne do załamania i bez tego, tyle że później i może w mniej dramatycznej formie.

Oprócz woluntaryzmu Gierka, przyczyną kryzysu miała być, w równym co najmniej stopniu, anarchizacja gospodarki spowodowana przez legalnie działającą "Solidarność", co było jedną z przyczyn skłaniających władzę do przeprowadzenia zamachu wojskowego 13 grudnia 1981 roku. Po pięciu latach nieustannego powtarzania skłonna jest w to wierzyć nawet spora część społeczeństwa. Tymczasem, z oficjalnych roczników statystycznych wynika, że jeden pracownik w sferze produkcji materialnej

przestrąkał w 1980 roku 4 godziny i 54 minuty, zaś w roku następnym 4 godziny i 24 minuty, z czego zapewne sporą część już po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia. W tych samych latach przypadło na niego po 125 i 137 godzin absencji chorobowej. Tak wyglądał ów "pistolet strajkowy", który miał paraliżować gospodarkę.

Sytuacja między podpisaniem porozumień ze strajkującymi 31 sierpnia 1980 roku, a wprowadzeniem stanu wojennego 13 grudnia w roku następnym, wyglądała tak, że społeczeństwo wraz ze swymi organizacjami zwiększyło znacznie swój zakres podmiotowości w polityce, życiu społecznym, kulturze. W gospodarce natomiast władza zachowała wszystkie swoje pozycje. Dopiero 25 września 1981 roku uchwalono kompromisową - między władzą a "Solidarnością" - ustawę o samorządzie pracowniczym w państwowych zakładach, która nie zdążyła do grudnia wejść rzeczywiście w życie. Jednakże władza w tym okresie zachowywała się tak, jakby została z niej zdjeta wszelka odpowiedzialność za funkcjonowanie gospodarki. Procesy destrukcyjne trwały w dalszym ciągu, lecz władza była zainteresowana w tym, aby w okresie uszczuplenia jej prerogatywy kryzys przekształcał się w katastrofę i aby ta katastrofa miała spektakularny i odczuwalny charakter w postaci załamania zaopatrzenia ludności. Stwarzało to rezerwy dla pewnej poprawy już po zamachu wojskowym.

Generałowie u władzy, odsunięcie rozpolitykowanych działaczy, spacyfikowane związki zawodowe z ich roszczeniami, skończona destrukcyjna rola prasy, powszechna dyscyplina - taki obraz po zamachu wojskowym budzi niekiedy nadzieje. Na to liczył zapewne gen. Jaruzelski i tak był odbierany przez niektórych koła interesu na Zachodzie, które może i żałowały Polaków, lecz uważały, że od ich wolnościowych aspiracji ważniejszy jest porządek i praca. Tak też odebrała to część społeczeństwa polskiego.

Sam początek stanu wojennego, z jego restrykcjami, zas-traszeniem i przerwaniem łączności był okresem największego paraliżu gospodarki. Ale też usuwanie kolejnych ograniczeń stanu wojennego już zaczęło dawać widome efekty. W drugiej połowie 1982 roku odnotowano pewien wzrost produkcji przemysłowej i oprawę zaopatrzenia ludności. W roku 1983 wzrost produkcji przemysłowej i dochodu narodowego wyniósł 6,4 i 6 procent. W roku 1984 był nieco niższy, ale nadal wysoki. W roku 1985 wzrost wyniósł już: 3,2 - dochód narodowy i 4,4 - produkcja przemysłowa. Nadal poprawiało się zaopatrzenie ludności, lecz w jeszcze większym stopniu rosła inflacja i zapasy tzw. gorącego pieniądza. Przeciętą wysokość płac realnych miała pozostawać bez zmian, jeśli zgodzić się z oficjalnymi danymi na temat wzrostu cen, który faktycznie był większy. Zdecydowanie pogorszyły się natomiast relacje w handlu zagranicznym, szczególnie z krajami kapitalistycznymi.

Po przewrocie władzy zależało przede wszystkim na wzroście bieżącej produkcji i poprawie zaopatrzenia, to znaczy na zmniejszeniu tych najbardziej widocznych i bezpośrednio odczuwanych objawów kryzysu, co się po części udawało do 1985 roku. Robione to było i jest bez liczenia się z możliwościami i perspektywą gospodarki. Nakłady inwestycyjne na jednego mieszkańca w 1982 roku wyniosły 35,2 proc nakładu przedkryzysowego roku 1977, zaś w 1985 roku - 44 procent. Zgodnie z planem na drugą połowę lat osiemdziesiątych proces dekapita-



lizacji majątku trwałego ma ustać dopiero po 1990 roku. Wówczas też ma być osiągnięty przedkryzysowy poziom produkcji i dochodu narodowego na jednego mieszkańca. Oznacza to zatrzymanie się na nie mniej niż dwanaście lat historii gospodarczej Polski, przy jednoczesnym zubożeniu jej i zwiększonym zadłużeniu po upływie tego okresu. Z tym, że większość ekonomistów, wypowiadających się w jak najbardziej legalnej prasie, nie wierzy, aby przy tym sposobie gospodarowania było to wykonalne. Plany bowiem są ogłaszane w taki sposób, że to a to - np. zmniejszenie energo- i materiałochłonności - trzeba koniecznie zrobić, w takim a takim wymiarze, do takiego to czasu, że nie ruszymy bez poprawy eksportu o tyle i tyle, bez wzrostu wydajności pracy itp. I te postulaty przedstawiane są jako zadania, które mają być wykonane, mimo że nie wiadzą po temu ani środków, ani możliwości.

## REFORMA

1 stycznia 1982 roku zaczęto realizować reformę gospodarczą. Gdyby faktycznie oznaczała ona istotną zmianę sposobu gospodarowania, byłoby to wraz ze znaczącymi efektami, widoczne po prawie pięciu latach i perspektywy na przyszłość byłyby inne. Z szeroko zamierzonej reformy zrealizowano właściwie jedno posunięcie. Zakładom produkcyjnym zwiększono uprawnienia, zmniejszając możliwości korzystania z nich.

Gospodarka polska reformuje się właściwie już od 1956 roku i jedynym kierunkiem, w jakim to czyni, jest decentralizacja. Polega ona na delegowaniu przez wyższe ogniwa pewnych uprawnień w dół, przy czym decyzje tych niższych mogą być zawsze zmienione czy odwołane. Nie kreuje się nowych podmiotów w gospodarce, w niczym nie zmienia się jej istoty. W jakiś czas po każdym kolejnym kroku decentralizacyjnym stopień faktycznej centralizacji okazuje się większy niż przedtem. Ten sam proces ma miejsce obecnie.

System gospodarowania w Polsce nazywa się nakazowo-rozdzielczym. Obecna zmiana polega na tym, że staje się on na pewnych odcinkach mniej nakazowy, a bardziej rozdzielczy. Z tym, że dziedziny gospodarki, które władza uznaje za najważniejsze, a które są najdroższe i najmniej wydajne nadal pozostają w obrębie systemu nakazowego, pod zmienionymi nazwami: "zadania operacyjne", "zamówienia rządowe". W pozostałej sferze centrum nie wyznacza już tak bezwzględnie zadań rzeczowych, lecz zabiera praktycznie całą akumulację, nie dając nie tylko możliwości rozwoju, lecz nawet reprodukcji prostej. Zakłady mają się samofinansować, lecz dotyczy to tylko produkcji bieżącej i to nie wszędzie. Wiele działów produkcji jest dotowanych przez centrum, które nadal działa jak pompa ssąco-tłocząca, niwelując ewentualne zyski i straty. Od centrum zależy dopływ środków inwestycyjnych i możliwość ich wykorzystania w postaci przyznania materiałów, maszyn, mocy wykonawczych w budownictwie. A wszystko to odbywa się na podstawie tak licznych i zagmatwanych oraz sprzecznych ze sobą przepisów, że praktycznie każdy zakład kierowany jest indywidualnie, tak jakby w stary, wypróbowany sposób dostawał zadania planowe.

Nie została nawet ruszona podstawowa część reformy, jaką miała być redukcja centralnej administracji gospodarczej i jej bieżącego kierowania gospodarką. Było to zresztą utopią. Ta struktura nie służy zarządzaniu, to jest miejsce samoorganiza-

ojej klasy posiadającej. Jej członkowie nie są nadzielani hutami, fabrykami i ziemią, lecz otrzymują miejsce w strukturze władzy, będącej czymś w rodzaju rządzącego Zakonu Krzyżackiego w Prusach. Ministerstwo nie jest dla fabryk, to fabryki mają zapracować na ministerstwo i uzasadnić jego istnienie!

Wyzysk, jak twierdził jeszcze Alexis de Tocqueville, nie na tym polega, że bogaci zabierają biednym, lecz że mogą być bogatymi tylko wówczas, gdy biedni pozostają biednymi. Konsumpcję elity, zgromadzonej w strukturach władzy, gospodarka jakos by zniosła. Nie jest w stanie natomiast znieść jej zarządzania i aktywności. Przez całe czterdzieści lat, na kolejnych dziesięciu zjazdach partii, na setkach posiedzeń jej Komitetu Centralnego, na tysiącach narad, zapadają przełomowe decyzje o sposobie gospodarowania w całości, o problemie wyżywienia narodu, o rozwiązaniu kwestii mieszkaniowej. Robi się ekspertyzy, wprowadza ustawy, opracowuje plany.

Jeśli zaś wychodzi to, co jest, winne jest społeczeństwo, które nie może, bądź nie chce, zdobyć się na potrzebny wysiłek, a wysuwa nieustanne roszczenia, które chciałoby żyć jak społeczeństwa zachodnie, a nie chce tak jak one pracować.

Nie wiadomo na ile jest to ze strony władzy cyniczna manipulacja propagandowa, a na ile wierzą w to jej przedstawiciele. Wierzy w to jednak także duża część społeczeństwa, w którym w ostatnich latach o dwa lata skróciło się już średnie trwanie życia mężczyzn i o pół roku kobiet. Wierzą w to również nasi przyjaciele z zagranicy, pytający nas, czy nie moglibyśmy, pomimo wszystko, nieco więcej i lepiej pracować...

Ernest Skalski



B Ł A D

Prorok stanął na wzgórzu. Zrobiło się cicho. Nikt z zeb-  
ranego wokół tłumu nie śmiał się nawet poruszyć.

- Ludzie! - zagrzemiał prorok. - Czy chcecie być szczęśli-  
wi, żyć w pokoju i cieszyć się dobrym zdrowiem?

- Chcemy! - jak jeden mąż odkrzyknęli wszyscy.

- Czy chcecie być wolnymi braćmi na tej ziemi?

- Chcemy! - zabrzmiał znowu jeden gromki okrzyk.

- Ja wiem, jak was uzdrowić. Skończą się troski i zmart-  
wienia, zbrodnie i nienawiść. Nastaną czasy wiecznej szczęś-  
liwości. Stawiam tylko dwa żądania. Oddajcie mi na jakiś  
czas waszych dorosłych synów i przyrzeknijcie posłuszeństwo,  
które będzie moim czasem. Spełnicie to?

- Taaaak! - zahuczał tłum.

Wkrótce oddziały proroka rozbiegły się po kraju. Odbiera-  
ły rodzinom dzieci, dobytek, wypędzały z chat, paliły zbior-  
y, grabiły i niszczyły wszystko, co stanęło im na drodze.  
Opornych surowo karano, dla przykładu.

Wreszcie prorok rozkazał oddziałom powrócić do swojej  
siedziby. Ci, którzy przeżyli, najpierw nieufnie, a potem  
coraz odważniej wygrzebywali się z nor. Spokój, cisza. Ra-  
dość zapanowała wśród nich. Tańczyli, śpiewali, całowali się.

Potem prorok powiedział:

- Zbudujcie sobie chaty.

Zbudowali, a przekraczając progi chat czuli, że nigdy nie  
spotkało ich większe szczęście. Każdego dnia nowy gest pro-  
roka przysparzał radości biedakom.

Nastał dzień, w którym tłum zebrał się znowu wokół wzgó-  
rza. Prorok wszedł na szczyt i przemówił:

- Spełniłem obietnicę. Jesteście szczęśliwi.

Odpowiedziało mu głucho milczenie.

- Jak to? Czyż nie widziałem waszych twarzy? Nie nauczyłem  
was cieszyć się z życia, z najmniejszego źdźbła trawy i pro-  
myka słońca? Aż tak jesteście niewdzięczni?

Tłum zafalował i zbitą masą ruszył w kierunku przemawiają-  
cego.

- Popełniłem błąd - pomyślał w ostatniej chwili prorok.

- Zostawiłem im pamięć.

Eta



## APEL

### O DALSZE DOSKONALENIE WYŻAWIANIA SIĘ RZĄDU

Jaki jest stan Rzeczypospolitej po 42 latach rządów komunistycznych? Nie trzeba nawet lektury niezależnej prasy oraz "Raportu - Polska 5 lat po Sierpniu", wystarczy czytać prasę oficjalną, aby włosy z przerażenia stanęły na głowie. Obecna ekipa doszła zapewne do wniosku, że nie odpowiada personalnie zarówno za stan zadłużenia Polski wobec Zachodu i Wschodu, jak i za klęskę ekologiczną, za dekapitalizację parku maszynowego polskiego przemysłu, jak i 3 miliony stanowisk pracy zagrażających życiu i zdrowiu zatrudnionych. Stąd popuściła cenzurę i w rozmaitych tygodnikach i miesięcznikach ukazują się wstrząsające w swej wymowie publikacje, raporty i tabele statystyczne.

Rzecz jednak w tym, że nic z owych publikacji nie wynika.

Nie ma ani winnych, ani sensownych propozycji ratowania Polski przed ostatecznym upadkiem. Co więcej, dla każdego logicznie myślącego człowieka staje się oczywiste, że przyczyną dna, w którym się znajdujemy, jest panująca nam niemiłościwie PZPR jako wszechwładna monopolistka gospodarki, polityki, nauki, kultury, a zwłaszcza poglądów jedynie słusznych. Katastrofa ma charakter strukturalny, sam system real-socjalizmu jest kryzysogeny.

Czy można pokojową drogą zreformować ten system?

Odpowiedzi na to pytanie należy szukać nie w teoretycznych rozważaniach o istocie tego systemu, jego dogmatach i praktykach. Odpowiedź jest tak prosta, że może wydać się nawet prostacka. System ten będzie trwał w swojej zakrzepłej strukturze potąd, dopóki rząd się wyżywi. Trzeba przyznać tu Urbanowi palmę pierwszeństwa w jawnym ogłoszeniu istoty real-socjalizmu: ekipa władzy wraz z aparatem jej obsługi stworzyła sobie enklawę dobrobytu, niezależną od jakości życia społeczeństwa. Klasa rządząca skupia w jednym ręku władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądową oraz wszelkie forny kontroli - dlatego jest całkowicie niezależna od narodu, któremu przewodzi. Jako klasa wyizolowana ze społeczeństwa, żyjąca za szczelną kurtyną tajemności, reguluje swoje wewnętrzne sprawy w sposób typowy dla wszystkich tajnych stowarzyszeń przestępczych, typu gangu czy mafii. Wstrząsają nią walki frakcyjne, intrygi, sądy kapturowe; stawką jest wszystko albo nic. Dostęp do wszelakich dóbr, prawo do korzystania z

przywilejów władzy absolutnej albo dno życia z emerytury dla zasłużonych, która - niezależnie od wysokości - stwarza jednak nieznośne ograniczenie, że za wszystko trzeba płacić!

Klasa rządząca żyje już w komunizmie, gdzie każdy dostaje według potrzeb. Jerzy Jaskiernia, gdy doszłusował do ekipy, natychmiast zaczął budować sobie wille-pałac na Mokotowie. Proporcjonalnie do zasług, mały szczekacz na Kościół i "Solidarność", niejaki Maciej Chrszanowski, zastępca naczelnego redaktora neo-"Kultury" dostał od ręki mieszkanie od ministra kultury z puli oficjalnie określonej jako rezerwa dla wybitnych twórców. Natomiast szeregowi delegaci na zjazd partii też dostali według potrzeb: codziennie specjalne mikrobusy woziły towarzyszy delegatów do PDT "Wola", gdzie na wydzielonym piętrze mogli kupować za grosze artykuły niedostępne na rynku.

Klasa wyzyskiwaczy w realsocjalizmie to państwo w państwie. Z własną siecią zaopatrzenia /na wyższym szczeblu - z samochodami chłodzi, kuchennym wejściem, do szafy zamrażalnika/, własnymi ośrodkami wypoczynkowymi i terenami rekreacyjnymi, własną komunikacją, łącznością, służbą zdrowia i klinikami wyposażonymi w sprzęt i medykamenty, o których zwykli obywatele PRL nawet nie słyszeli, że istnieją. Specjalne samoloty i TIR-y zapewniają import bezcłowy zachodnich dóbr konsumpcyjnych, które szary obywatel może sobie obejrzeć w kinie, na zachodnich filmach z życia wyższych sfer lub szefów mafii.

Na Zachodzie wybuchają od czasu do czasu afery finansowe, korupcyjne, gdy kąpią za rękę jakiegoś polityka, nawet ministra, na czerpaniu zysków materialnych ze swego stanowiska, lub sprzeniewierzeniu pieniędzy z państwowej czy partyjnej kasy. W PRL taka afera miała raz miejsce, przy wymianie ekipy Gierka. Widowiskowo rozliczono Macieja Szczepańskiego, prezesa Radikomiteu, z całkiem banalnych w tym środowisku praktyk, po czym skazano go na pobyt w luksusowej celi z kolorowym telewizorem i miękkimi meblami, z posiłkami serwowanymi z restauracyjnej kuchni. Po takim ciężkim więzieniu b. prezes Szczepański, zwolniony przedterminowo ze względu na zasługi dla reżimu, musiał zrzucać nadwagę w klinice rządowej w Aninie, na rehabilitacyjnych przyrządach gimnastycznych, w kąpielach i masażach leczniczych...

Trudno w tej chwili stwierdzić ile klasa rządząca zużyła na własne potrzeby z tych 37,5 miliarda dolarów, które nam pozostawiła do spłacenia /51,5 - Zachodowi, 6,0 - Wschodowi/. Warto jednak uświadomić sobie, że straty, jakie Polska poniosła w wyniku II wojny światowej oszacowano na 20 miliardów dolarów, czyli 840 dol. na głowę. Dziś każdy obywatel PRL obciążony jest kwotą 1013 dol. /choć są to, oczywiście, nieco inne dolary/. Aby nie popadać w demagogię i nie porównywać rzeczy nieporównywalnych, dodam jedynie, że przedwojenny dyrektor dużego przedsiębiorstwa państwowego zarabiał miesięcznie /przy pełnej wymiernalności złotówki w stosunku 5,30 zł za 1 dol./ co najmniej 300 dolarów. Natomiast średnia zarobków robotniczych w przemyśle metalowym wynosiła /źródło - Rocznik Statystyczny 1939/ w przeliczeniu - 30 dol., czyli dokładnie tyle, ile dziś przy czarnorynkowym kursie.

Koszt robocizny w kapitalistycznej Polsce kształtował się na poziomie 10 proc. kosztów ogólnych. Dziś w krajach Zachodu koszt pracy ludzkiej wzrósł do tego stopnia, że stanowi on średnic 50 proc. kosztów ogólnych. A w PRL? W realnym socjalizmie klasa robotnicza otrzymuje zapłatę w wysokości 9,5 proc.

tych kosztów! Niespotykana już w kapitalistycznym świecie wielkość "wartości dodatkowej pracy", będącej - zgodnie z epokowym odkryciem Marksa - miarą wyzysku, zawłaszczającą właściciela Polski Ludowej. Tajemnica dynamicznej produkcji i wysokich zarobków pracowniczych w firmach polonijnych tkwi wyłącznie w tym, że nie ma w nich kierowniczej roli partii i wyzysku ludzi pracy. Te wysepkki względnej wolności gospodarczej i prawdziwego rachunku ekonomicznego powstały jednak tylko dlatego, aby rząd mógł się wyżywić! I tu widać źródło nadziei dla społeczeństwa, że dla własnych potrzeb musi on zliberalizować gospodarkę.

Posierpniowe trzęsienie ziemi w aparacie władzy i jej ob- skugi spowodowało m.in. ilościowe uszczuplenie "ściślej kad- ry" żyjącej według wzorca komunistycznego, czyli korzystają- cej ze wszystkiego według potrzeb. I tak od przywileju ban- kietowania za społeczne pieniądze odsunięci zostali przed- stawiciele aparatu niskiego szczebla i dziś byle sekretarz gminny lub dyrektor małego zakładu na prowincji na jawne okazywanie swojego statusu już nie może sobie pozwolić. Sto- pien zubożenia społeczeństwa jest tak dotkliwy, że dla włas- nego dobra aparat nie chce klucć w oczy swoją wyjątkową pozyc- ją majątkową. Stąd też owe pokazowe kary służbowe i partyj- ne dla lekkomyślnych, którzy nie potrafią korzystać z uroków władzy po cichu. Ale zasada pozostała niezmienną, zarobki oficjalne elity nie mają najmniejszego znaczenia dla jej standardu życia. Niedostępnym wzór idealnego komunisty, Józef Stalin, nie miał nigdy przy sobie ani kopiejkę, a w kasie pancernej po jego śmierci znaleziono nietknięte honoraria za wszystkie epokowe dzieła, które opublikowano w milionowych nakładach i tłumaczeniach na wszelkie możliwe języki. Taki moralista, jak Mieczysław F. Rakowski, ma zapewne nieliczne okazje płacenia z pensji gotówką w knajpie "Pod sosnami" w Konstancinie, gdzie przywozi panienki na koniaczek, bo prze- cież benzynę do służbowego samochodu też ma za darmo.

Powtórzmy: dopóki rząd mógł się wyżywić naszym kosztem, dopóty nie było co marzyć nawet o jakiegokolwiek reformie, która zmieniałaby w sposób istotny sytuację gospodarczą Pol- ski. Los społeczeństwa, na którym żeruje rządząca klika, jest jej tak samo obojętny, jak dla Anglika w kolonii był los tu- bylców. Jedyнным czynnikiem, który może wymusić na tych lu- dziach, dobranych według selekcji negatywnej z najbardziej amoralnych jednostek, jakąkolwiek działalność prospołeczną jest strach przed utratą wyjątkowej pozycji i przywilejów.

Musimy sobie teraz zdać sprawę z zasadniczo odmienną poli- tyki wobec społeczeństwa aktualnej ekipy, nauczonej błędami poprzednich - nie uginają się przed aktami buntu społec- znego, lecz pacyfikują je wszystkimi dostępnymi w policyj- nym reżimie środkami, z użyciem czołgów i broni palnej włą- cznie. Strajki i manifestacje uliczne przestały być dla tej władzy argumentem za reformami. Takim argumentem może stać się strach totalny, poczucie zagrożenia, z każdej czyhające strony. To, że ich nienawidzimy - wiedzą. To, co ludzie mó- wią na ulicy, w pracy, a zwłaszcza w kolejkach po wszystko, co wygadują w urzędach przy załatwianiu najprostszej sprawy, której w tym systemie załatwić nie sposób - to wiedzą dosko- nale. Ich reakcją na cpinię społeczną personifikuje mina Je- rzego Urbana pokazywana w Telewizji: bezczelna pogarda wobec bezbronnego motłochu.



Muszą zatem poczuć, że nie jesteśmy bezbronni, że w dialogu my - oni, to my mamy siłę, a oni jedynie pałki i broń palną. Musimy sobie zdać sprawę, że nas są miliony, że tylko dzięki rozbiću nas i zastraszeniu małych grupek może trwać terror czerwonej mafii. Trzeba wreszcie przerwać równowagę strachu. Trzeba zacząć głośno mówić im w oczy, że mamy tego wszechobecnego burdelu stanowczo dosyć. Każdy Polak, na każdym stanowisku pracy, o ile nie jest po stronie skorumpowanej mniejszości uprzywilejowanych, może przeciwstawić się tej dyktaturze. Każdy powinien znaleźć w sobie siłę charakteru, aby odmówić wykonania idiotycznego polecenia. Oni wygrywają tylko dzięki temu, że nas przekonali, że z nimi nikt nie wygra. Jeżeli pięknie w nas bariera strachu, to przekonamy ich, kto kogo ma się bać. Wszystko zależy od masowości ruchu protestu i solidarności, tej ludzkiej, przez małe "s", której władza ludowa boi się pańcinnie.

Rzecz nie w tym, aby nasz protest był wyłącznie "na nie", a podwyższenie zarobków automatycznie go uśmierzało. Naszym programem pozytywnym jest ruch odwrotny od rozpoczętego 42 lata temu upaństwowienia społeczeństwa. Domagamy się uspołecznienia państwa! Aby tzw. "gospodarka uspołeczniona" rzeczywiście przeszła w ręce społeczeństwa. Generalnej zmiany wymagają stosunki własnościowe, przedsiębiorstwo musi stać się podmiotem ekonomicznym, nie zaś własnością jakiejś klikki, która dowolnie może rozporządzać jego majątkiem trwałym, produkują, decydować o inwestycjach, remontach, rozwoju, profilu, a to wszystko dzięki zawłaszczaniu wartością dodatkową pracy robotnika, majstra, inżyniera, dyrektora. Dość już rabunkowego drenażu podatkowego, dość już operetki posiedzeń Biura Politycznego, decydującego o szerokości taśmy papieru toaletowego i grubości blachy na konserwy. Niechże wreszcie mafia partyjna przestanie dorzynać drobną wytwórczość, rzemiosło, spółdzielczość i rolnictwo indywidualne!

Sami powołują najrozmaitsze organy i ciała doradcze, komisje itp., ale nich tylko nawet w takim skompromitowanym PRON-ie odezwie się jakikolwiek sensowny głos eksperta, ekonomisty, socjologa, psychologa, ekologa, biologa itd. - gadają sobie zórow! I tak zdecydowało o wszystkim Biuro Polityczne, ten ekstrakt mądrości ludu pracującego miast i wsi, inspirowany genialnymi myślami Lenina. Niech Biuro radzi, kogo zrobić ministrem, aby taki tępy Nieckarz nie mógł rujnować uciskiem fiskalnym całej polskiej gospodarki, póki nie zrobi awantury milicjantom w Kryniocy. Bo za to wyleciał, nie za sabotaż gospodarczy. A zostawcie wreszcie, wy eksperci od wszystkiego, gospodarę - fachowcom! Praw ekonomicznych zadekretować się nie da - są to bowiem prawa obiektywne, jak prawa przyrody. Stworzyliście system "praw ekonomii socjalistycznej", w którym postanowiliście, że woda będzie wrzeć przy 50°C, a z jednej tony stali zwalcuje się 2 tony blachy! Przecież ten przerażający burdel z tego powodu powstał, że nic się z niczym nie wiąże, nic się z niczym nie bilansuje, wszystko jest osobno, na podstawie decyzji Biura, ceny - sobie, zarobki - sobie, tu stanie huta, a tam elektrownia, tu wydamy eto milionów dolarów, tu poskąpimy pięćdziesięciu tysięcy, bo tak ma być, bo towarzyszy sekretarz tak postanowił.

Mówią wam eksperci, nawet partyjni, z tych dołów nieuprzywilejowanych, że przeogromne rezerwy tkwią w działaniach najprostszych, że w lęku o utratę odrobiny choćby władzy - tępicie węzełkę samodzielną inicjatywę ludzką, nie z partyjnego

rozdzielnika poczętą, że trzeba inaozej budować mieszkania i miasta, inaczej produkować, zarządzać, inwestować, że popełniacie zbrodnię rabunkowej gospodarki wydobywczej, marnując węgiel, siarkę, miedź, że zniszczyliście już trzy czwarte drzewostanu w Polsce, zatruliście rzeki, sypiecie pyły i rozsnuwacie dymy i gazy w stopniu zagrażającym bytowi narodu polskiego, niszczyicie w bezrozumnej zaciętości i chłopa, i twórców kultury narodowej, położyliście oświatę i szkolnictwo wyższe, nauka polska przeżywa dno den upadku, a gdy się pojawi jakiś wynalazek, pomyśl, inicjatywa - to zaraz ruszy wilcza horda, aby zagryźć, nie dać zarobić, nie pozwolić wybić się, czy uniezależnić od nomenklatury.

A po każdym wielkim wstrząsie - piszecie raporty. Z początku nawet z jakimś sensem, ale po trzeciej, czwartej, piątej korekcie wychodzi jakaś karykatura analizy społecznej, typu ostatecznej wersji tzw. raportu Kubiaka. Czterdzieści dwa lata błędów i wypaczeń, czy to nie dość? I nie macie nawet tego wytłumaczenia, jakim dysponuje Producing Kraj Zwojcięskiego Socjalizmu, że kosztem nędzy i degradacji społeczeństwa stworzony został najpotężniejszy arsenał broni termojądrowej i konwenjonalnej w historii ludzkości, a w ramach produkcji ubocznej można rakiety międzykontynentalne wykorzystywać do widowiskowych lotów w Kosmos.

Wy nie macie na swoje usprawiedliwienie nic, dosłownie nic. Wszystkie potenójalne możliwości tkwiące w ogromnym, bogatym w surowce i ziemię uprawną kraju zostały zmarnowane. Wszystkie wynalazki, odkrycia, teorie naukowe powstają poza granicami realsocjalizmu, wy potraficie tylko zablokować myślenie twórcze. Potrafiliście zatruć nawet tak, jak by się wydawało, mało groźną dla was dziedzinę, jaką była polska szkoła matematyczno-logiozna! Polskie uniwersytety i politechniki, wydające nawet w okresie zaborów uczonych światowej sławy, ośrodki postępowej myśli społecznej, rozwoju techniki, nauk biologicznych itd., przekształciliście usilną pracą w prowincjonalne szkółki, wuczające zawodów umysłowych, dbając jedynie o to, aby absolwent znał mores przed partią i nie wychylał się.

Przed wybitnymi jednostkami postawiliście alternatywę: albo tu, pod waszym panowaniem zrezygnować z ambicji twórczych, albo wyemigrować, by móc uczestniczyć w postępie myśli ludzkiej. Zobaczcie, jak z roku na rok obniża się poziom waszych laureatów, jak na siłę windujecie w górę nagrodami państwowymi tych paru starców z postępującą sklerozą. Wynalazki, które triumfalnie opiewacie jako sukces soojalistycznej nauki, są zwykle na poziomie prac dyplomowych na zachodnich uczelniach technicznych. Które to poszozególne uczelnie mają większe możliwości badawcze, lepszą aparaturę laboratoryjną i pełniejszą informację naukową techniczną, niż wszystkie instytuty PAN-u razem wzięte. Nie oszczędzacie przecież dewiz, fundując sobie luksusowe warunki egzystencji. Oszczędzacie na czasopismach naukowych dla polskich placówek badawczych, na odczynnikach dla polskich laboratoriów, na lekach dla motłochu, który nie wart jest leczenia, na pomocach szkolnych, na wszystkim, co wam osobiście nie przyniesie korzyści.

Otóż panowie towarzysze - dosyć. Sprowadziliście nas do poziomu bytowania pariasów Europy. Czas, abyscie spuścili z tonu. Chcecie się dalej wyżywić? Dajcie więc i nam tę szan-

sę. Albo razem pójdziemy w górę, albo naród zrozpaczony, doprowadzony do ostateczności, gdy dalsze wegetowanie okaże się powolnym samobójstwem, przestanie w końcu bawić się w logistyczne gry strategiczne, przestanie obliczać szanse za i przeciw. Uważajcie z przykręcaniem śruby! Gdy gwint się skończy, będzie na poluzowanie za późno. Na cokolwiek będzie za późno...

Jan Omiot



HAPZEM



Tomasz Jerz

## KRZYK KU WOLNOŚCI ?

Jeżeli historia uczy nas czegoś istotnego, to pokazując daremność polityki nastawionej wyłącznie na zniszczenie rządów, klas panujących, ekonomicznych systemów.

Theodor Roszak

Pierwszomajowe, niezależne demonstracje w Trójmieście, w 1985 roku, miały przebieg inny niż zwykle. Wtedy to po raz pierwszy licznie przybyłe grupy młodych ludzi próbowały zorganizować bezbronny tłum w rozsądnie samobroniącą się zbiorowość, nie dopuściły do rozproszenia manifestantów przez pały ZOMO. Walki były do tego stopnia zacięte, iż właśnie na tej podstawie Lech Wałęsa wystosował do władz PRL-u raport diagnozujący stan nastrojów społecznych. Całość demonstracji miała, przy okazji, dość niezwykłą oprawę zewnętrzną. Bojówki tworzyła ubrana na czarno młodzież, z twarzami zasłoniętymi niebieskimi okularami, dominowały fantazyjne, cudaczne fryzury w nienaturalnych, tęczowych kolorach. Nad tłumem, prócz emblematów "Solidarności", powiewały czarne transparenty sygnowane literami RSA - Ruch Społeczeństwa Alternatywnego.

Właśnie od tamtego 1 maja zrobiło się wokół Homków /tak nazywają samych siebie członkowie - a raczej uczestnicy - RSA/ głośno. Oczywiście istnieli i wcześniej, wydali kilkadziesiąt numerów własnego pisma pod tytułem "Homek", gdzie oprócz nacisku na kształtowanie świadomości opartej na neoanarchistycznych przesłankach i recept na efektywne - ich zdaniem - najbliższe działania, pełno było artykułów atakujących powszechnie szanowane osoby i instytucje. Być może, to właśnie sprawiło, iż Homków potraktowano w najlepszym razie jak bandę nawiedzonych wyrostków. Tymczasem ów 1 maja spowodował, że z jednej skrajności popadnięto w drugą - padły nawet tezy o nagłym pojawieniu się nowego zjawiska na polskiej scenie politycznej. Niewiele osób zdawało się doszeregować, iż pierwsze symptomy zbliżenia niektórych grup polskiej młodzieży w kierunku anarchizmu można było odkryć już kilka lat wcześniej, u schyłku minionej dekadę. A wszystko zaczęło się od przeszczepienia na rodzimy grunt tradycji

---

X/ Artykuł ten publikowany jest równoległe na łamach "Kultury" paryskiej /red./

kontrkultury lat sześćdziesiątych oraz młodzieżowych subkultur tamtego i późniejszego okresu, początkowo głównie poprzez ich zewnętrzne objawy, a więc muzykę i zawarte w niej uniwersalne dla wszystkich młodych treści, następnie zaś przez ideologię.

## ZBUNTOWANE DZIECI

Gdy w końcu lat siedemdziesiątych pojawił się w Polsce punk i głoszona wraz z nim apologia anarchistycznego wyzwolenia jednostki ludzkiej, prawdopodobnie nikt nie przypuszczał, iż szokujące stroje i szalony rytm piosenek staną się czymś więcej niż przejściową modą. W postępującym rozkładzie gierkowskiej "drugiej Polski" sama artystyczna prowokacja plus kilka ogólnikowych haseł, odwołujących się do powszechnej równości i totalnej wolności, były czymś niezwykłym, godnym uwagi. Podobnej propozycji nie podawała młodym - z oczywistych zresztą względów - ani opozycja, ani też Kościół. Obie te instytucje bazowały na autorytetach, historii, zaś pewnej, wcale niemałej, grupie młodych było potrzebne coś zupełnie innego. Rzecz jasna, nie wchodziły w ogóle w grę jakiegokolwiek oficjalne organizacje młodzieżowe. Te zostały odrzucone spontanicznie i a priori. Nie mogli zaakceptować systemu i oficjalnie serwowanego wzorca osobowościowego, gdyż krępowało to ich mīt o wolności. Nie mieli ambicji tworzyć nowej ideologii, ale także nie chcieli żyć przeszłością lub codzienną szarżyzną. Nie budowali związków, organizacji, lecz grupy towarzyskie, często skupione wokół jakiegoś zespołu muzycznego, wyznające szeroko pojęty anarchizm, a równocześnie - programowo apolityczne.

Rok 1980 i niebywała wprost aktywność młodzieży właśnie - młodych ponotników, studentów, czasy legalnego działania "Solidarności", wybiły społeczeństwo z letargu, zmusiły ludzi - nawet kilkunastoletnich - do głębszej refleksji nad losami kraju i ich samych. Co wcale nie przeszkadzało, iż część uczącej się podówczas młodzieży robiła to w ramach subkulturowych konwencji, programowo "na luzie". Zarazem moda na subkulturę i kontestację przerodziła się w trwały element polskiej rzeczywistości. Jednak dla ówczesnych nastolatków nie nadszedł jeszcze czas ich działania, pokazania się na ogólnokrajowym forum. Dopiero lata liozcne od 13 grudnia 1981 roku stały się także ich historią. Dorosli na tyle, by zrobić coś na własną rękę.

Czy można określić tych młodych ludzi, członków Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, mianem "dzieci Solidarności"? I tak, i nie. Tak, gdyż właśnie 16 miesięcy rozbudziło w nich zainteresowanie polityką, chęć uczestniczenia w dziejących się zmianach. Dziś w swoich deklaracjach RSA powołuje się na uchwały I Krajowego Zjazdu Delegatów, związkowe koncepcje samorządnej Rzeczypospolitej, przyjmująco zatwierdzony tam program jako drogę do realizacji części własnych celów.

Lecz z drugiej strony, obiektywnie rzecz biorąc, okres pomiędzy podpisaniem Porozumień a 13 grudnia bardzo niewiele zmienił w ich życiu. W dalszym ciągu chodzili do autorytarnej, nie lubianej szkoły, a w zrewoltowanym społeczeństwie nie było miejsca dla deklarowanej przez kontestującą młodzież odrębności, inności. Choć zmieniły się tematy rozmów przy rodzinnych stołach, to jednak akceptowane przez większość zwyczaje i zachowania społeczne pozostawały takie same. Widok drugich, kolorowych włosów, nagłej czaszki, ozdoblonej jedynie indiańskim grzebieniem, kołczyka wbitego w ucho młodego chłopaka, tak sa-

mo szokował i powodował podobne reakcje u nauczyciela - członka "Solidarności", co i u dyrektora szkoły - członka egzekutywy partyjnej. W opinii pierwszego z nich było to zwykłe, nikomu niepotrzebne marnowanie czasu i głupawa poza, zdaniem drugiego zaś - import "niebezpiecznych" zachodnich wzorców. Dla członków subkultur zmieniła się tylko skala represyjności systemu. Podczas gdy urządzony w Toruniu w 1981 roku festiwal muzyki alternatywnej był prawdziwym świętem kontestującej młodzieży, ta sama impreza, zorganizowana w roku następnym, bardziej przypominała regularne polowania milioji na punków niż muzyczne występy. Również przed Sierpniem za dziwny wygląd można było zdrowo oberwać. Prócz tego, dzisiejsi uczestnicy RSA, czy grono ich młodych sympatyków lub podobnie myślących rówieśników, z czysto biologicznych względów nie dorosło w tamtym czasie do wagi wydarzeń. Mieli zaledwie po kilkanaście lat i chyba niezbyt rozumieli lub też może nie chcieli zrozumieć, co tak naprawdę w Polsce się dzieje. Ich zamknięty świat pozostał nietknięty, a sami mieli za mało siły, by go skutecznie reformować. W Polsce "Solidarności" było im po prostu za ciasno.

NOWY  
KAGANIEC

Jeśli dla ówczesnych trzydziestolatków przeżyciem pokoleniowym były sierpniowe strajki 1980 roku, to dla Homków i ich generacji stał się nim stan wojenny. Z pewnością odczuli bardzo boleśnie zniszczenie świeżych nadziei rodziców i starszego rodzeństwa, lecz ich własne doznania były nieco innego kalibru. 13 grudnia w przerażający sposób rozmożył poprzednio istniejące restrykcje. Dostała godzina milicyjna, szkoły powróciły do modelu instytucji indoktrynującej i pętającej zbudowaną świadomość, za niecodzienne ucieszenie można było wylądować w areszcie i zaliczyć kilka pał. Nie należą do rzadkości przypadki, iż członkowie młodzieżowych subkultur choć raz w miesiącu spędzali 48 godzin w celi - wynik niemalże niedościgły dla większości przedsierpniowych opozycjonistów. Tak więc ci, którzy po Sierpniu zaczęli dostrzegać dziejącą się wokół nich politykę, sięgnęli do powielaczy, inni - robocie politycznej programowo niechętni - w dalszym ciągu trzymali się gitary.

Dostrzeżenie polityki nie musi wcale oznaczać potraktowania jej serio. Homki mówią o sobie, że bawią się w politykę i jest to najprawdziwsza prawda, gdyż ich konwencja, styl bycia, wymaga traktowania najpoważniejszych rzeczy z lekkim przybliżeniem oka - olewając i "na luzie". Choć RSA często powołuje się na racjonalizm, rzetelną analizę sytuacji, gdzie wszystkie emocje są zbędne, to jednak w rozmowach z uczestnikami Ruchu odnosi się wręcz przeciwne wrażenie. Twierdzą oni, iż nie są od nawracania ludzi, lecz często właśnie coś takiego sugerują ich wypowiedzi. Dzieła świat dwubarwnie - albo coś jest ozarne, albo białe - nie ma miejsca dla półcieni. Po jednej stronie barykady stawiają każdą władzę, nawet taką, która pochodzi z wolnego wyboru, po drugiej - społeczeństwo, świadoma, lecz szara masa, bez elit i przywódców. Elita, autorytet - nawet opozycyjnie nastawiony do panującego systemu - to też władza, tyle że nad ludzkimi duszami. A w ich mniemaniu przecież każdy powinien myśleć i odpowiadać wyłączenie za siebie.



Siebie też nie uważają za elitę kontestacji. W "Homku" każdy artykuł jest głosem indywidualnego człowieka i tylko on winien bronić przedstawianych tam sądów - ich gazeta nie jest teoretycznie czasopiśmie o sprecyzowanym programie, lecz wielogłosem, trybuną otwartą dla najróżniejszych wypowiedzi. Z tego tytułu dochodzi niekiedy do zabawnych sytuacji. Można więc spotkać się i z takimi sugestiami członków, a przede wszystkim sympatyków Ruchu, iż ten, kto pisuje w "Homku" nie jest prawdziwym homkiem - nawet laik musi dostrzec opiniotwórczą funkcję jakiegokolwiek gazety, zaś serwowanie na piśmie swoich własnych poglądów nosi znamię wychwywania, zaprzecza więc alternatywizmowi.

Dziwne, lecz postawy związane z "gitarowym" protestem były w początkowym okresie jakby akceptowane przez władze. Ktoś, znający młodzież tylko z opowiadań lub raportów ZSMP, musiał uwierzyć, iż właśnie wywodząca się z subkultur muzyka uspokoi wzburzone umysły. W środkach masowego przekazu aż zaroilo się od wszelkiego rodzaju zespołów, zresztą bardzo szybko ustawionych przez kontestującą młodzież w tym samym rzędzie co Dziennik Telewizyjny. Jednak koniunktura na rock nie osłabła. Jak grzyby po deszczu wyrastały nowe zespoły, które - jeżeli tylko grały autentycznie - zyskiwały od razu wierną publiczność. Rzecz ciekawa, duża część owych kapeli prezentowała bardzo skromne umiejętności muzyczne, lecz mimo to była słuchana przez fanów, częstokroć chętniej niż zachodni profesjonalści. Śpiewali bowiem tym samym, codziennym językiem, śpiewali o życiu bez perspektyw, o niechęci do wojska i wojny, do wszelkich nakazów, narzucanych odgórnie przez zleniawidzony system, krępującej indywidualność oraz uznane normy sterujące społeczeństwem. Śpiewali niemal tak samo, jak przed laty, lecz sytuacja nadawała prostym i szczerym tekstom zupełnie inny wydźwięk. Dla nich równie niezrozumiałym i obcy jest tradycyjnie skrojony garnitur, zabijanie się dla kilku groszy kosztem zdrowia, młuda praca, restryktywna szkoła, pokazywanie "zajączków" podczas mszy za Ojczyznę, określanych ironicznym mianem "jasełek". Stąd też propozycja RSA, by organizować skutecznie brońone manifestacje uliczne, trafiła na podatny grunt - już samo hasło dawało młodzieży swoisty rodzaj równouprawnienia, nie tylko wątpliwy przywilej zbierania ciągów, za które nie można odpłacić.

Jeszcze grubo przed 1 maja 1985 roku krążyła po Polsce taka anegdota. Otóż podczas jednego z koncertów grupy "Perfect" - jednej z nielicznych, która trafiła do mass mediów, a zarazem pozostała w sercach młodzieży - muzycy wykonywali piosenkę z refrenem: "Chcemy być sobą/ chcemy być sobą jeszcze!". Publiczność szybko przerobiła słowa, wykrzykując na cały głos w takt płynącej ze sceny melodii: "dojebać ZOMO/ dojebać ZOMO wreszcie!". Nawet jeżeli opowieść o takim koncercie można międzaj bałki włożyć, to jednak sama plotka wystarczy jako ilustracja nastrojów młodzieży - jest faktem, którego przecenić nie sposób.

Zresztą i oryginalne teksty piosenek należą do grupy tych utworów, które prawdopodobnie nigdy nie trafią do masowego rozpowszechniania. W zdecydowanej większości są one "anty", dosadnie wyrażają stosunek młodych do oficjalnej peersłowskiej rzeczywistości, a przy okazji szermują pojęciami idealnej wolności, równości, braterstwa. Trudno więc dziwić się, że na takim podglebiu znalazło się miejsce dla politycznej alternatywy,

tak wobec panującego systemu, jak i dominujących w opozycji trendów. Alternatywa ta - mimo negacji i totalnego protestu, który sam w sobie dla młodych jest już wartością - nie nakazuje wszystkim zgodnego z własnym światopoglądem uniformizmu, a wręcz woła o pluralizm. Homki i mniej upolitycznione odłamy młodzieży nigdy nie zaakceptują państwowego kolektywizmu, gdyż niszczy on indywidualizm, zabrania żyć na swój własny sposób, lecz jeśli ktoś ma własne przekonania, całkowicie odrębne od anarchizmu i nie narzuca ich innym, "jest w porządku". Przy całej ostrości artykułów, publikowanych w pismach z kręgów RSA, przy mnogości dosadnych określeń, a nawet niewybrednych pomówień, zadziwia tolerancja, szacunek dla obcych poglądów, wypełnia autentyczną treścią głoszony przez nich postulat: "zabrania się zabraniać".

WOLNOŚĆ  
PONAD  
WSZYSTKO?

Właśnie o ideologię mają do RSA najwięcej pretensji członkowie innych struktur opozycyjnych. Dla jednego jest ona niespójna, dziecinna, dla drugich zbyt prymitywna, pozbawiona teoretycznego podkładu i głębszej refleksji, a są i tacy, którzy widzą w RSA fanatycznych, krwiożerczych lewaków spod znaku Frakcji Armii Czerwonej i podobnych, zbrodniczych organizacji.

Prawdą jest, że Homki uznają terror, że twierdzą nawet, iż popierają akcje Irlandczyków z IRA czy Basków z ETA. To jedna z wielu wewnętrznych sprzeczności wyznawanego światopoglądu, który przede wszystkim zakłada metody aktywnej, lecz pokojowej walki. RSA mówi o terrorze - co samo w sobie może już być niepokojące - jednak określa tak szytywne i klarowne ramy jego ewentualnego stosowania, że słowo "terror" lepiej zamienić na wyraz "samobrona". Bronionej przez sprawne bojówki demonstracji nie wolno zaliczać do akcji terrorystycznych, a i od pochwał IRA do własnoręcznego podkładania bomb jeszcze daleko. Działania z wkalkulowaną wadźmiernością przeciwnika mogą być jedynie odpowiedzią na identyczne, o masowej skali, posunięcia władzy. Czy do czegoś takiego dojdzie - nie wiadomo, lecz istnieje w dzisiejszej Polsce swego rodzaju niepisana umowa, iż władza bije i wsadza do więzień, lecz w zasadzie nie zabija, zaś społeczeństwo odmawia posłuszeństwa, organizuje się w niezależne związki i również nie strzela. Reguły tej gry obowiązują wszystkich, także RSA.

I znów obrazek muzyczny. Podczas koncertu kapeli "Brygada Kryzys" lider zespołu zadeedykował jedną piosenkę obecnej opinii na sali "delegacji z Czerwonych Brygad". Z takiej enuncjacji nie wynika jeszcze pochwała terroryzmu, czy nawet przyzwolenie dla podobnej działalności, lecz raczej chęć zadziwienia, zbulwersowania. Tak na koncercie, jak w politycznych deklaracjach Homków, podobne wypowiedzi mają charakter słównej prowokacji, są raczej kiepsko dobranym przykładem na alternatywizm, dopuszczalność wielości postaw.

Czym RSA zdobywa sobie największą popularność wśród młodzieńców, a także w grupie ludzi zdecydowanie starszych? Na pierwszym planie niewątpliwie znajduje się totalna negacja służby wojskowej. Tak więc Homki twierdzą, iż celem na dziś jest zastąpienie obowiązku służby wojskowej konkretnie ustaloną pracą - podobnie jak w większości krajów Europy, w per-

spektrywie zaś pełne jej zniesienie. Wojsko służy do pozbawiania ludzi przyrodzonej im indywidualności, uczy drylu i poskušszeństwa, lansując przy okazji model człowieka, który wprawdzie popełnia wykroczenia, lecz nie daje się złapać przełożonym. Z drugiej strony, wszystkie organizacje militarne i paramilitarne poprzez wychowanie swoich członków w duchu swoiście pojętej chytrości, kamuflowanej brutalności, kształtują osobowości przestępcze, nieprzydatnych społeczeństwu oszustów i cwaniaków. Taka interpretacja służby wojskowej daleko wykracza poza koncepcje, wyznawane przez inne polskie niezależne ruchy pacyfistyczne, odrzucające tylko wartości składane przysięgi na wierność koniunkturalnym układom politycznym i obcemu mocarstwu.

Następna sprawa kryje się pod pojęciem "akcji bieżącej". Chodzi tutaj przede wszystkim o demonstracje uliczne, oczywiście wcześniej przygotowane i odpowiadające na agresję sił porządkowych zorganizowaną samoobroną. Najlepszym przykładem był właśnie ów 1 maja 1985 roku. Jednak do "akcji bieżącej" nie wlicza się tylko ulicznych - rocznicowych lub rewindykacyjnych - protestów. Manifestacje winny być organizowane jak najczęściej, gdyż są - poza strajkami - jedynym sposobem na zmobilizowanie społeczeństwa, ukazanie jęgo siły. Zdaniem RSA, istnieje w naszym kalendarzu pewne daty i dni: 1 maja, 22 lipca, wybory - kiedy to wyjście na ulicę jest bezpieczne, gdyż mocniejsza reakcja władz, strzelanie do tłumu, staje się automatycznie niekompromitującą klęską polityczną państwa.

Do "akcji bieżącej" trzeba zaliczyć również inne spektakularne formy oporu, na przykład akcje ulotkowe. RSA doskonale orientuje się, gdzie może szukać swoich zwolenników, tak więc ulotkowanie - podobnie do manifestacji - jest starannie przygotowane. W 1985 i 1986 roku ulotki o ironicznej treści: "Głosuj za ochotniczą służbą wojskową" posypały się na jarocińskim festiwalu - imprezie rockowej, będącej istnym magnesem, przyciągającym członków młodzieżowych subkultur z całego kraju. Akcja znakomicie komponowała się z antywojennymi i antywojskowymi tekstami śpiewanych tam piosenek. Trudno zgodzić się z niektórymi notkami, zamieszczonymi w prasie niezależnej, iż działania RSA nie spotkały się z mocniejszym odzewem zgromadzonej w Jarocinie, zbuntowanej przeciwko wszystkiemu, dwudziestotysięcznej widowni. Homki znakomicie wiedzą, jak wpłynąć na kontestującą młodzież, gdyż po prostu są jej częścią organiczną. Wiele cech w akceptowanych przez obie strony światopoglądach jest takich samych, a w najgorszym wypadku bardzo podobnych. RSA przemawia więc nie do potencjalnej klienteli, nie tylko do rówieśników, lecz głównie do kolegów, przyjaciół, dalszych lub bliźszych znajomych, zaś forma rozmowy tylko uatrakcyjnia głoszone treści. Wielu starszych wiekiem działaczy opozycyjnych nie dostrzega, iż uczestników polskich ruchów subkulturowych nie pozyska się "dla sprawy" patriotycznymi pieśniami, nabożnymi haszami i cytatami z dzieł narodowych wieszczów. Z tego powodu właśnie wrocławskie, alternatywne piśmo młodych, "Zero", nie rozpoczyna swoich numerów od powielania kolejnego komunikatu TKK, lecz daje recenzję koncertu autentycznych idoli młodzieżowych - "Butaprenu", "Israela", "Moskwy". Są to bowiem sprawy wspólne zarówno dla tych, którzy sprzeciwiają się oficjalnemu życiu poprzez muzykę i gitarę, jak i dla obsługi powielaczy drukujących "Homka".



Jak zatem można określić światopogląd działaczy i zwolenników RSA? Jest to z pewnością daleko posunięty anarchizm, lecz bez odwoływania się do początków, doktryn Kropotkina, Bakunina, Sorrela /choć jego anarchosyndykalistyczną koncepcję związków zawodowych Homki traktują niemal jak własną, dając przy tym mniej lub bardziej adekwatne do pierwowzoru przykłady niektórych TKZ-ów, na przykład Huty Lenina/. Ojcowie anarchizmu twczyli bowiem ideologię, a każda ideologia jest organicznie sprzeczna z wolnością, indywidualizmem, alternatywą wobec obowiązujących form, gdyż wcześniej czy później człowiek prawdziwie wyznający jakąś ideologię staje się jej niewolnikiem, traci zdolności samodzielnego myślenia i działania. Jednak z myśli anarchistycznej przejęta została całkowita negacja państwa jako organizacji przymusowej i ograniczonej terytorialnie, a także negacja władzy, która nigdy nie może być dobra. RSA postrzega doskonałe społeczeństwo w formie federacji autonomicznych w pełni jednostek, cieszących się równymi swobodami i przywilejami, z możliwością identycznego startu życiowego. Odrzucając zasadność istnienia kapitału, jako formy kumulacji pracy, uznają kategorię tak zwanej "własności rzeczywisłej" - czyli stanowiska pracy, maszyny i urządzenia konieczne do uprawiania zawodu, które są automatycznie własnością pracującego przy nich człowieka oraz wszystkie dobra nabyte dzięki osobistej pracy. We wszystkim zakładają pełną różnorodność, właśnie alternatywizm. Przy zorganizowanej w ten sposób społeczności konieczne jest powstanie nowego systemu prawa, opartego na idealnie rozumianej moralności, z tej racji, iż współczesne kodeksy odzwierciedlają aktualny stan klasowych i społecznych nierówności.

To oczywiście jest jakaś koncepcja, która zapewne nigdy się nie spełni. Nie ma ona punktów stykowych z obowiązującym na wschodzie Europy kolektywizmem państwowym, z dyktatorskimi reżimami Trzeciego Świata, z pluralistycznymi demokracjami Zachodu. Nic zatem dziwnego, iż w swoich poglądach członkowie RSA bardzo krytycznie odnoszą się do krajów zachodnich, a zwłaszcza do kwestii nierównomiernego - ich zdaniem - podziału dóbr, nieuzasadnionego ludzkimi potrzebami postępu, prawodawstwa i elit władzy.

Wszystko to ma jeszcze polski akcent. Otóż RSA neguje zasadność importowania na nasze podwórko, wypróbowanych w krajach demokratycznych, politycznych i społecznych instytucji. To efekt przekonania, że totalitarna władza siłą rzeczy tworzy totalitarne społeczeństwo i totalitarną opozycję, więc systemy funkcjonujące dzięki demokratycznym mechanizmom muszą w dzisiejszych polskich warunkach zdegenerować się, a i później nie będą przydatne.

Głoszony przez RSA światopogląd w wielu istotnych kwestiach pokrywa się z ideologią Nowej Lewicy i kontestacji schyłku lat sześćdziesiątych. Oba nurty zakładają nie tylko konieczność reform zastanych systemów politycznych i społecznych, lecz idą znacznie dalej, podkreślając niezbędność wyzwolenia jednostki ludzkiej, przełamania alienacji wobec społeczeństwa, produkcji, sztuki itp. Ale droga do osiągnięcia celów jest kradcowo różna. Gdy Nowa Lewica w rewolucji widziała realizację swoich postulatów, RSA - mimo posęden o terrorystyczne ciągotki - zakłada ewolucjonizm, powolne acz uparte budowanie alternatywnych, niezależnych instytucji i

świadości, obok państwowej oficjalności i centralnych organów opozycji. Stąd też pochwała Homków dla różnorodnego podziemnego ruchu wydawniczego i mnogości struktur, stąd krytyka TKK, Wałęsy, dominującej w wielu środowiskach roli Kościoła. Zaś najlepszą ilustracją sposobu krytykowania i używanego języka są ich własne słowa, wypowiedziane na łamach gdańskiego "Przeglądu Politycznego" /nr 6 z 1985 r./.

O Wałęsie: ".../ gdyby mierzyć zasługi ilością otrzymanych paż, to Wałęsa byłby prezydentem. Jeżeli facet chce pamiętać, co było dawniej, to my mu ochętnie damy medale i niech idzie do muzeum. Ważne, co robi teraz, a nie kiedyś. Teraz się boi tych paż. Ze składek zapewnimy mu rentę. Niech zjeżdża, niech nie psuje innym roboty /.../".

O TKK: "TKK jest fikcją podwójną /.../ W Polsce nikt już nie uznaje TKK poza bezpieką, która je tropi. Może jeszcze "Głos Ameryki".

O Kościele: "W Polsce silny jest Kościół, teologowie najwybitniejsi są na Zachodzie, gdzie Kościół jest ezabiutki. Dlaczego tak się dzieje? U nas chrześcijaństwo jest na bardzo płytkim poziomie. To folklor, Częstochowa /.../ Jeśli powiesz coś źle o Glempie, to w porządku, jeśli o Kościele w ogóle, to wszyscy mówią: przecież Kościół to nie Glemp. Więc czym jest Kościół?"

Negowanie roli powszechnie uznanych autorytetów nie wynika wyłącznie z przyjętej przez RSA zasady obalania autorytetów i elit. Homki są bystrzymi obserwatorami, potrafią znakomicie wyczuć wahania, napiętnować niefortunne decyzje, które - w ich przekonaniu - oalkwicie przekreślają dotychczasowy dorobek ludzi i instytucji. Liczy się tylko dzisiejszy dzień i klarownie opisana najbliższa przyszłość, efektowne pomysły na skuteczne działanie.

Ruch Społeczeństwa Alternatywnego wywodzi się z Trójmiasta. Sami o sobie mówią, że zaczęli działać jeszcze przed Sierpniem, lecz bez konkretnego zabarwienia politycznego. Dziś sympatyków RSA można spotkać w całej Polsce. Z reguły są to młodzi lub bardzo młodzi ludzie, pochodzący ze środowisk robotniczych, uczący się w szkołach zawodowych. Takie określenie jest bardzo nieścisłe, gdyż trudno w precyzyjny sposób zdefiniować członka lub sympatyka Ruchu. Nie jest to bowiem zwarta organizacja, lecz luźna grupa podobnie myślących ludzi. Tak więc Homkiem może być każdy z grona kontestującej młodzieży, sympatykiem każdy ożłonek subkultur, negujący nawet zasadność zajmowania się polityką. Najliczniejsi są w Trójmieście, Wrocławiu, a także - rzecz mocno zastanawiająca - w małych miasteczkach, gdzie subkultury są najsilniejsze.

**RAZEM**      Prócz wspólnych poglądów i pochodzenia społecznego  
**CZY**         łączy ich jeszcze jedna sprawa. Otóż nikt nie zna-  
**OSOBNŌ?**     laż i chyba nie próbował znaleźć sposobu na senso-  
wne porozumienie się z Homkami. Władza ich nie lu-  
bi, od Kościoła odezłli sami i trudno przypuszczać, by trady-  
cyjne formy aktywności duchownych wśród młodzieży /na przykład  
grupy Oaz/ zdobyły sobie uznanie RSA, zaś opozycja zabiera się  
do Ruchu, jak do przysłowiowego jeża. Wielekroć pojawiały się  
plotki, iż jest to agenturalna robota SB, przerywano kanały  
kolportażu "Homka", padały obelżywe - w mniemaniu ich twórców

- opinie, że RSA to Żydzi, masoni lub inne tajemnicze i podejrzane siły. W poważnych pismach wystawiano RSA surowe cenzurki, jakoby ci młodzi ludzie pragnęli zastąpić jeden totalitaryzm drugim, w bardzo podobnym wydaniu. Jeszcze inni starają się Homków "wychowywać" stosując wobec nich ograne chwytły, przemowy na patriotyczno-religijną-narodową nutę. Nawet zbliżone wiekowo generacje nie potrafią zrzucić, iż mogą istnieć w Polsce ludzie wyżej stawiający anarchystyczną frazeologię od oświadczeń TKK, bardziej ceniący punkowe piosenki niż wiersze Herbertha i Miłosza. A oni właśnie tacy są i z takimi postawami pewnej części polskiej młodzieży trzeba się po prostu pogodzić. Więcej, jest to najczęstszą młodzież bardzo wartościowa, prawdziwie zaangażowana. Czy warto niesłusznymi oskarżeniami lub belfrowskim moralizatorstwem przerywać z nimi kontakt? Być może, rażą niekonwencjonalne ubiory, z pewnością razi zdyskredytowany język lewicowych pojęć, uproszczony styl myślenia. Leoz Homki nikomu nie wadzą, a jeśli w ostrości swojej krytyki lub deklaracjach bez realnego pokrycia posunęli się czasem za daleko, od tego są ci z większym doświadczeniem, by im to spokojnie i rzeczowo wyjaśnić, ale i zrozumieć, gdy tłumaczenia nie przyjmą do wiadomości. Bunt jest przyrodzoną cechą młodości, trudno więc kierować tak spontanicznymi reakcjami, lepiej zaś spokojnie obserwować, co się też z tego wszystkiego wykluje.

Kolejny przykład na to, że jednak alternatywnie nastawiono do wszystkiego młodzież nie uciekła od powszechnie przyjętych zachowań i obyczajów tak dalece, iż nie będzie można za nią trafić. Kiedy podczas jednej z ostatnich niedziel miesiąca w świątyni pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Warszawie odbywała się tradycyjna msza w intencji Ojczyzny, w innym miejscu stolicy, studenckim klubie "Remont", trwał festiwal muzyki alternatywnej. W kościele Homka nie uświadczysz - po co mają przykładać rękę do "jasełki", której nie rozumieją, nie pochwalają, chyba niezbyt lubią? Za to na koncercie z pewnością było trochę Homków. Gdy więc z ambony płynęły słowa nadziei, duchowego i moralnego wsparcia dla niezależnych działaczy, jedna z najlepszych polskich kapel punkowych również przesłała pozdrowienia dla opozycji, ukłony w kierunku podziemia. O nastroju panującym w kościele św. Stanisława nie warto mówić, wszak dobrze jest znany, skupmy się zatem na atmosferze koncertu. Podczas występu każde słowo wypowiedziane przez muzyków, każda zagrana melodia spłykała się z natychmiastową, niezwykle szczerą oceną publiczności. Kiepskie kawałki dostały gwizdy, zaś aprobowane zostały burzliwie oklaskane. Trudno ocenić, co było lepiej przyjęte przez młodzież w występie owego zespołu, owa "polityczna" przedmowa czy muzyka - grunt, że kapela została przyjęta z owacją i na początku // i na końcu prezentacji.

Jeszcze jeden obrazek z koncertu, tym razem sprzed kilku lat. W 1982 roku, tuż po rozginięciu przez ZOMO niezależnych demonstracji 31 sierpnia, w tym samym klubie odbywał się koncert "Brygady Kryzys". Zaspiewany na punkową nutę song Boba Marleya, mówiący o konieczności walki o swoje niezbywalne prawa, wywołał najgorętsze reakcje, choć do polskiego nurtu filozofii Rastafari było jeszcze daleko. Jeżeli piosenka Marleya znalazła się w repertuarze kapeli przypadkowo, to z pewnością zachowanie się publiczności przypadkiem nie było.



Zestawienie rockowego koncertu z mszą za Ojczyznę może wydawać się nieco niezręczna. A jednak właśnie koncert stanowi dla wielu kontestujących młodych swoisty substytut mszy, właśnie, przez siebie odprawiane misterium. Jeżeli więc znalazły się na nim słowa uznania dla niezależnej działalności społecznej, znaczy to, że kontestującej młodzieży i "dorosłej" opozycji raczej ze sobą po drodze.

CO  
DALEJ? Czym będzie RSA za kilka lat? Nie może być jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Skutecznie przeprowadzona samoobrona pierwszomajowych demonstracji przyczyniła się do znacznej mitologizacji siły i popularności Ruchu. W następnym, 1986 roku, ulice Trójmiasta wyglądały już zwyczajnie - Homki nie miały sił lub zapału, by ponownie zorganizować walczące z ZOMO bojówki. Lecz podczas festiwalu jarocińskiego pojawiły się sygnowane godłem Ruchu ulotki. Tak więc z ubiegłorocznej operatywności coś zostało.

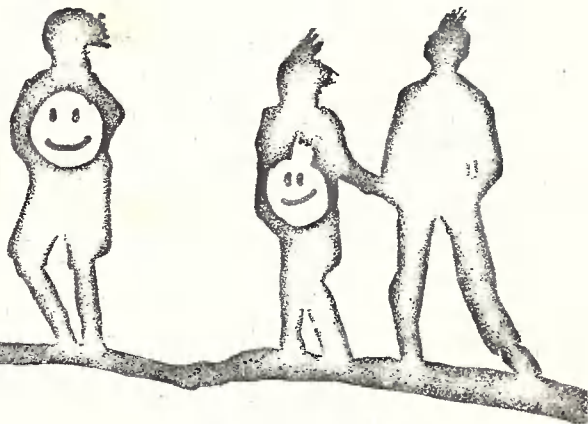
Trudno też przewidzieć skalę i kierunki akcji represyjnej ze strony władz. Z pewnością powielacze drukujące "Homka" będą tropione, podobnie jak wszystkie inne elementy poligrafii niezależnej. Co jednak zrobić z nastrojami kontestacji? Sposoby są różne. Można złapać animatorów Ruchu i zwyczajnie wytoczyć im proces. Można wyrzucać ze szkół i uczelni, za kolorowe wiośsy wsadzać do więzień. Można też próbować pacyfikować niezależny styl myślenia od wewnątrz. Na jarocińskim festiwalu pojawiła się nieformalna grupa, używająca nazwy "Mandragora". Jest to formacja jak na razie nieliczna i bez większych wpływów, za to znakomicie operująca metodami socjotechnicznymi, służącymi na przykład rozbijaniu zebrań czy dyskusji. Ideologia "Mandragory" zawiera się w stwierdzeniu, że państwo i rząd są dobre, tylko młodzież - nieświadomie i bezmyślnie kopiująca zachodnie zepsute wzorce - zła. Prócz odwoływania się do pozornych dokonania i obiecująco-straszących deklaracji władzy, "Mandragora" łączy w sobie elementy ideologii nacjonalistycznych, zachwytu dla filozofii azjatyckiego Wschodu, akceptację antysemityzmu. Kto zna polskie realia i choćby otarł się o naskórek światopoglądu kontestującej /i nie tylko/ młodzieży, przynajmniej ten pozorny eklektyzm jest sprytnie pomyslaną pułapką. Dla jednych jest coś z myśli narodowej, dla kontestujących pozostaje Wschód, jeszcze innych być może przyciągnie nawiązanie do fobii antyżydowskich. Całość zaś znajduje się w "znakomitych" rękach. Twórcami "Mandragory" są bowiem członkowie filialnych do PZPR organizacji młodzieżowych, którzy poprzez rezygnację z czerwonych krawatów chcą wypełnić nieprawomyślną. W tym przypadku Homki po raz kolejny stają się naturalnymi sojusznikami członków młodzieżowych subkultur. Lansowany alternatywizm, pochwała dla odrębnych i krańcowo różnych recept na życie są najsukuczniejszym antidotum na takowe działania.

Przyjmijmy jednak, że za Homkami nie zatrzasną się bramy więzień i - co jest niemal pewne - nie złapie ich okraszona kung-fu, narodowo-rasistowska, obywatelsko-posuszna ideologia. Co z nimi będzie w takim przypadku? Często porzuci głoszący dziś alternatywizm, odejdzie w naturalny sposób od polskiego wydania neanarchizmu, a - mówiąc językiem starszych - "wydorosleje", odstawi na bok buntowniczą frazeologię. Również ci, którzy pozostaną przy obecnych poglądach RSA, nie będą reprezentatywni dla Ruchu. Koncepcje Homków są bowiem immanentną

cechą młodości, zaś akceptujący je ludzie starsi, siłą rzeczy, muszą znaleźć się poza nawiasem, zasilić pokolenie "zgrędów". Pewne jest natomiast, iż RSA jest określoną szkołą odpowiedzialności za losy własne i całego kraju, że jest jedną z form niezależnego - w pełnym tego słowa znaczeniu - myślenia. Być może, Homki zostaną liczącym się fragmentem tej generacji, której w przyszłych negocjacjach z władzą nie wystarczy podpisanie umów, popartych przez rząd wątpliwą jakości słowem, lecz realne i weryfikowalne w całej praktyce społecznej, politycznej i ekonomicznej ustępstwa.

Ale już dziś przyczynili się do czegoś bardzo ważnego. Powstanie RSA, ich śmiake i agresywne deklaracje, są kolejnym krokiem na drodze do pluralizacji polskiego społeczeństwa. Oceniając Homków trzeba pamiętać, iż w znacznej mierze czerpali oni swe wzorce z ideologii kontestującej młodzieży Zachodu lat sześćdziesiątych oraz dzisiejszych subkultur. Jeżeli więc traktujemy tamte kraje i społeczeństwa jako coś bardziej zbliżonego do normalności niż wschodni kolektywizm, musimy zauważyć, iż tam właśnie narodził się neanarchizm i nikomu to nie zaszkodziło, a może ocaliło. To i tak dużo w naszym zwiariowanym świecie.

Tomasz Jerz



P I F - P A F

Zróbmy coś - zaproponowała żyrafa słońowi. - Zabawimy się w oskarżonych.

- Jak to! - słoń zdziwił się i przestraszył.

- Zastanów się - odrzekła żyrafa robiąc lisią minę. - Nawet gdyby nas skazano, kto ośmieliłby się wykonać wyrok. Jesteśmy największymi zwierzętami w lesie. A ile korzyści? Po pierwsze, pozbedziemy się tych małych drapichrustów, wpadających nam bez przerwy pod nogi; po drugie, będziemy mogli okazać nasze święte oburzenie na porządki tutaj panujące. Po trzecie, przysłużymy się lampartowi i - równocześnie - przypomnimy, kto mu jest najbardziej oddany; po czwarte, zamknemy twarz krzykaczom, gardłującym o naszej bezkarności i wykażemy, że nasze prawo obowiązuje wszystkich, nawet nas. Po piąte, ujawnimy wreszcie wszystkie draństwo, popełniane przez ten drobiazg, oraz, po szóste, pokażemy światu, że my też jesteśmy zwierzętami, że nas też coś boli w środku od czasu do czasu.

- Wszystko to bardzo piękne, ale jak to ma wyglądać w praktyce? - zapytał słoń niesmiało.

Żyrafa sięgnęła za ucho i wyjęła plik papierów.

- Tu masz scenariusz.

Słoń przeoczytał i zrobił głupią minę:

- Zatkuc drani, to rozumiem. Ale zostawić ślady? Po co? Zwykle robi się odwrotnie.

Żyrafa machnęła kopytem ze zniecierpliwieniem:

- Zapamiętaj jedno. Gdy powiem pif, masz walić. Gdy powiem paf, musisz trąbić żałośnie, płakać i bić się nogą w piersi. Zrozumiałeś?

- Tak jest! - zawołał słoń.

- Żyrafa wyolgnęła szyję, rozejrzała się i krzyknęła:

- Pif!

Eta



Kazimierz Dziewanowski

## O KULAWYM DIABLE I JEGO KULAWYM DZIELE

Nie podam źródła tej anegdoty, bo go nie pamiętam. W każdym razie było to sprawozdanie któregoś z korespondentów zagranicznych pracujących w hitlerowskiej Rzeszy, jeszcze przed wojną. Korespondent opisywał wielki wiec zorganizowany przez Goebbelsa, na którym miał wystąpić Adolf Hitler. Możliwe, że chodziło o Parteitag w Norymberdze. Najpierw przemówienie wygłosił Goebbels. Pogoda była pochmurna, może nawet mżyło, a Goebbels mówił długo, wielokrotnie powtarzając te same hasła i slogany, jakby chciał wbić je w głowy olbrzymiego, słuchającego tłumu. Co pewien czas spoglądał w niebo, jakby oczekując stamtąd pomocy i mówił znowu, zdawało się bez końca. Gdyby to był wiec demokratyczny, a jego uczestnicy przybyli z własnej woli, prawdopodobnie zaczęliby tracić cierpliwość i rozchodzić się do domów, albo zajęliby się piwem i parówkami. Ale nie był to wiec demokratyczny, więc nikt nie opuścił stadionu. Czekano na Wodza - każdy chciał go usłyszeć i zobaczyć. Na własne oczy.

Czas płynął. Goebbels wciąż mówił. Lecz oto znowu spojrzął w niebo i nagle zakończył kilkoma krótkimi zdaniami, jakby doszedł do wniosku, że dosyć już tego gadania. Zakończenie przemówienia w dowolnym miejscu nie sprawiło mu najwyraźniej żadnej trudności. Powiedział:

- Teraz zabierze głos nasz Führer, Adolf Hitler!

Przez stadion przebiegł prąd elektryczny. Na mównicy wysoko ponad zgromadzoną rzeszą ukazał się Hitler. W milczeniu wyciągnął przed siebie prawą rękę. I wtedy, wysoko nad stadionem, na niebie, w zaciągniętych dotąd szczelnie chmurach ukazała się szoszelina. Przedostał się przez nią promień słońca, który oświetlił mównicę. Hitler pozdrawiał tłum, a był oświetlony słonecznym blaskiem. Złocisty Lohengrin, który przybył do nich z daleka.

Stadion oszalał.

Proszę, wyobraźcie sobie współczesnych nam propagandystów stosujących podobne chwyt i taką reżyserię. No, proszę, czy potraficie to sobie wyobrazić? Ani słońce, ani gromy nie są w stanie pomóc im w ich ciężkiej i niewdzięcznej pracy. Czy można oszołomić i porwać tłum teorią "mniejszego zła"?

• • •

Ta historia, która przypomina też przypisywane staroegipskim kapłanom przez Bolesława Prusa w "Faraonie" pomysły wyko-

rzystania zaćmienia słońca dla celów propagandowych, nasza mnie z wielką siłą, gdy przeczytałem interesujący esej opublikowany w wydawanym przez oo. Jezuitów "Przeglądzie Powszechnym" /10/1983/. Wacław Długoborski ogłosił tam mianowicie pod tytułem "Kilka uwag o propagandzie totalitarnej i jej twórcy" ciekawą rozprawę o Goebbelsie i o jego metodach wpływania na opinię publiczną, wzbogacił też swój wywód wyborem cytatów z dziennika kulawego ministra. Szkic Długoborskiego to lektura dająca wiele do myślenia. Mechanizm dwudziestowiecznej propagandy totalitarnej jest zjawiskiem tak złożonym, a jego działanie ma tak doniosłe znaczenie, że będą one przedmiotem niejednej dysertacji w latach, które nadejdą - nie tylko w naszym stuleciu, ale i w następnym. Myślę też, że dzisiaj dysponujemy już dostatecznie bogatym materiałem, aby spróbować wyciągnąć wnioski idące nieco dalej, niż te, które dotąd formułowano, a nawet postawić pewne hipotezy, mogące zrazu wydać się paradoksalne, ale na których poparcie można przytoczyć niemało materiału dowodowego. Być może nie wystarczy tego, by do końca zrozumieć fenomen dwudziestowiecznej propagandy totalitarnej, ale z pewnością wystarczy, aby skłonić do dalszego myślenia.

Wacław Długoborski opublikował rzecz ważną i interesującą. Jeżeli więc zamierzam podjąć z nim pewną polemikę, to nie po to, aby umniejszyć znaczenie jego tekstu. Przeciwnie: stał się on dla mnie zapalnikami albo iskrą wywołującą dalsze rozważania. Myślę, że jeden publicysta nie może powiedzieć drugiemu większego komplementu. Pragnę też uznać mój wobec niego dług wdzięczności.

Pierwsza uwaga ma znaczenie tylko porządkowe i nie dotyczy istoty sprawy. Tytuł szkicu Długoborskiego stwierdza, że Goebbels był twórcą propagandy totalitarnej. Tak jednak ohyba nie było. Goebbels nie był pierwszym architektem propagandy tego rodzaju, choć był w tej dziedzinie najgłośniejszy. Przed hitleryzmem istniały już inne wzory, chociażby we Włoszech faszyzowskich i w ZSRR, a można powiedzieć, że propagandę zbliżoną do dwudziestowiecznego modelu totalitarnego uprawiano również i wcześniej.

W opublikowanej w roku 1938 w Wiedniu książce Alfreda Sturminger'a pt. "Politische Propaganda in der Weltgeschichte" cytowane są interesujące przykłady propagandy z różnych epok: od czasów rzymskich z ich mowami politycznymi, pamiętnikami, dziełami publicystycznymi i historycznymi, poprzez występy średniowiecznych komediantów i trubadurów, pieśni Wojny Trzydziestoletniej, po ulotki i gazety Wiosny Ludów, propagandowe znaczki pocztowe XIX i XX wieku, i wiele innych. W propagandzie politycznej celował na przykład okres Renesansu we Włoszech, kiedy to sztuka oczerniania przeciwników osiągnęła niespotykane dawniej wyżyny /jeżeli słowo "wyżyny" jest odpowiednie dla tego rodzaju zjawiska/. I tak na przykład rodzina Borgiów padła ofiarą takiej kampanii zniesławiającej ze strony swych przeciwników, że przeszła do historii jako synonim występności i wszelkiego zła, a imię Lukrecja do dziś kojarzy nam się z arszenikiem choć, o ile wiadomo, piękna i nieszczęsna Lukrecja Borgia nikogo w swym życiu nie otruła.

Poczesne miejsce w dziejach propagandy przypada także Napoleonowi, który posługując się różnymi środkami, a zwłaszcza najpotężniejszym - biuletynami swej zwycięskiej armii, uprawiał coś, co nosiło już wyraźne ochy propagandy totalitarnej.

On to właśnie napisał w roku 1814 do swego brata Józefa:

"Gazety nie tworzą historii i nie tworzą jej również biuletyny. Trzeba zawsze wzbudzać wśród wrogów przeświadczenie, że jest się w posiadaniu olbrzymich sił zbrojnych".

Nie próbnowali też przeciwnicy Napoleona, Anglicy, którzy rozpętali przeciw niemu ogromną kampanię osmieszającą, produkując setki zjadliwych i nie oceniających się przed żadną o-belgą rysunków satyrycznych rozpowszechnianych na wszystkich kontynentach.

Ale nie chodzi o to, kto był pierwszy. Prawdą jest, że w powszechnej opinii kulawy doktor jawi się jako nieprześcigniony mistrz propagandy uprawianej w służbie monopartyjnego reżimu przemocy, jako wirtuoz gry na najpotężniejszych i zarazem najniższych instynktach społecznych, jako artysta nie-nawiści i jubiler kłamstwa. Jego złowroga, karłowata i uty-kająca postać stała się w naszych oczach odpowiednikiem dia-bła, upostaciowaniem piekielnej przewrotności, bezbrzeżnego cynizmu, straszliwej chytrości. Ten, który pierwszy zorien-tował się w sile środków, jakie dała mu do ręki nowoczesna technika, a zwłaszcza radio i film, stał się dzięki temu w oczach wielu twórcą nowoczesnych metod manipulowania masami. I tak przeszedł do powszechnej świadomości historycznej jako perfekcjonista fałszu, najprawdziwszy, realny Mefisto, czło-wiek, który w ozarodziejski sposób odbierał rozum milionom innych ludzi.

Drugoborski pisze:

"Ta garść refleksji moralnych /zbyt ich mało w na-szej literaturze o hitleryzmie i faszyzmie!/ pozwa-la w jakimś stopniu zrozumieć mechanizmy zarówno kariery Goebbelsa, jak i funkcjonowanie stworzonego przez niego systemu propagandy. Jeden z biografów ministra - Helmut Heiber - uważa go nawet za bar-dziej wyrachowanego od Hitlera, którego mowy były w pewnym stopniu rezultatem psychopatologicznych "erupcji", opętania i emocji, którym poddawał się i sam mówca. Goebbels był człowiekiem nieprzeciętnej inteligencji i również nieprzeciętnego cynizmu. Po-dobno po swoim najsłynniejszym wystąpieniu - w ber-lińskim Sportpalast 18 lutego 1943, kiedy to zafas-cynowani słuchacze rykiem entuzjazmu odpowiadali na rzucone przez Goebbelsa pytanie: - Czy chcecie wojny totalnej? - miał powiedzieć do swojego sekretarza: - To była godzina idiotów; gdybym zawołał: skaciecie z okna, nie wahałoby się ani chwili".

I w tym właśnie miejscu chciałbym podjąć dyskusję. Na po-zór wszystko się zgadza. Goebbels był bez wątpienia człowie-kiem bardzo inteligentnym i możliwe, że był bardziej wyra-chowany od Hitlera, choć trzeba pamiętać, że różne źródła wskazują, iż Hitler ulegał wprawdzie czasami paroksyzmom wściekłości, może nawet szaleństwa, ale zazwyczaj był zimnym i kalkulującym graczem, chociaż pomylił się ostatecznie w swoich kalkulacjach. Zgadza się też i to, że Goebbels świa-domie i cynicznie uciekał się do kłamstwa, do przeinaczeń, oszczerstw i prowokacji. Zapewne też nieraz gardził tłumem, który nie umiał przejrzeć jego szacarajstw. Ale na to, aby przypisać mu absolutny cynizm, trzeba by przyjąć, że wszyst-ko to czynił na zimno, w nic nie wierząc, mająco więc swego



Fuhrera za wariata, durnia lub oszusta, za użyteczne narzędzie swojej własnej kariery i swojego wywyższenia. Takim absolutnym cynikiem był niegdyś Talleyrand. Natomiast wszystko, co wiemy o Goebbelsie, a przede wszystkim jego własne dzienniki oraz koniec, jaki sam sobie zgotował, świadczą, że z nim było inaczej, Goebbels był jednym z niewielu, którzy do końca nie zdradzili Hitlera. W dniu 4 kwietnia 1945 roku, tuż przed ostatnią katastrofą, gdy nie miał już żadnej szansy, by dalej zabiegać wokół swojej kariery, gdy mógł więc pozwolić sobie na większą szczerotę, zanotował w dzienniku takie słowa: "Nieco melancholijny wieczór, jedna zła wiadomość goniła następną. Chwilami człowiek zaczyna rozpaczliwie zastanawiać się dokąd to wszystko prowadzi. Fuhrer musi z pewnością zużywać bezprzekładną ilość energii nerwowej, by w tak superkrytycznej sytuacji zachować swe opanowanie. Mam jednak wciąż nadzieję, że zdoła on tę sytuację opanować. Zawsze umiał ze wzniosłym spokojem czekać na swój moment. A gdy ten moment przychodzi, wtedy chwytą go objęcia rękami". /1/

Biograf Hitlera, John Toland, tak opisuje ostatnie chwile w bunkrze w Berlinie /w dniu 28 kwietnia 1945/: "Hitler był jowialny, ale roztargniony i oo chwila wymykał się z uroczyścioci, by sprawdzić, jak postępuje praca sekretarki Traudl nad oboma testamentami. Właśnie kiedy kończyła, wpadł Goebbels - błąd i podniecony. Wołał, że Fuhrer rozkazał mu opuścić Berlin, by objąć kierownicze stanowisko w nowym rządzie. Ale jakże on, Goebbels, mógłby go teraz opuścić? Przerwał spostrzegłszy, że po policzkach spływają mu łzy. "Tak wiele decyzji Fuhrer podjął za późno! Czemu tę jedną za wcześniej?" Zmusił ją, by zapisała teraz jego ostatnią wolę, którą chciał dołączyć do testamentu Hitlera. Dyktował: "Po raz pierwszy w życiu muszę kategorycznie odmówić wykonania rozkazu Fuhrera. Moja żona i dzieci łączą się ze mną w tej odmowie". A dalej stwierdzał, że w otaczającym Hitlera koszarze zdrady musi się znaleźć choć jeden człowiek gotowy bezwarunkowo zostać z nim aż do śmierci". /2/

Cały ten dramatyczny opis nie wzbudza w nas jednak współczucia dla Goebbelsa. Przecież i wtedy jeszcze w pewnym stopniu kłamał i wciąż jeszcze grał rolę we własnym teatrze propagandy. Przecież nie pytał swoich dzieci o zdanie; zdecydował za nie, tak samo jak przedtem decydował za te otumanione tłumy, gotowe skakać dla niego przez okno. Ktoś mógłby tutaj powiedzieć, że tak inteligentny człowiek musiał w tym momencie zdawać sobie sprawę, że wszystko jest już stracone, więc lepiej samemu zadać sobie śmierć, niż czekać na pojmanie przez zwycięzców; że w śmiertelnym strachu nie żuździł się bezsensownymi nadziejami, jak Himmler, czy nawet Goering. Ale poprzedni cytat, ten z 4 kwietnia, wskazuje, że niemal do końca nie opuszczała go wiara w geniusz, talent i szczęście Hitlera. On też do końca czepiał się wiary w to, co tak przemyślnie konstruował przez lata, w to, co wmawiał innym, w to, co narzucał im, wykorzystując w tym celu promienie słoneczne i najciemniejsze instynkty, fale radiowe i irracjonalne odruchy, strach i nie-nawisć, wywodzące się z prastarych atawizmów, z czasów, kiedy widok obcego wywołał odruch obrony.

Trzeba tu zwrócić uwagę na fakt mający dla naszych rozważań znaczenie, jak sądzę, rozstrzygające: podczas gdy inni dostojnicy hitlerowscy do końca próbowali ratować własne życie, Goebbels skazał na śmierć nie tylko siebie, ale też żonę i

dzieci. Chciał, jak twierdził, zaoszczędzić im okrutnego losu po przegranej wojnie. My wiemy jednak, że żadnemu z dzieci dygnitarzy hitlerowskich nie spadł po wojnie włos z głowy. Naturalnie, on nie mógł tego wiedzieć. Ale czyżby ten wybitnie inteligentny oszkieł nie mógł tego przewidzieć? Czy nie mógł sobie tego wyobrazić? Czy dysponując tak bogatymi źródłami informacji /z których nie pozwalał pod karą smisroi korzystać innym/, nie mógł się tego domyśleć? A może ten mistrz perfidii nie wiedział, że świat nie wygląda tak, jak to rysuje jego własna propaganda?

Otóż to: myślę, że nie wiedział. Myślę, że uwierzył we własną propagandę. Uwierzył w nią tak mocno, że zapłacił za to życiem jego własne dzieci.

Na tym drastycznym przykładzie - i na wielu innych, które sobie pracowicie od lat zapisuję - opiera się teza, którą pragnę tutaj wyłożyć. Brzmi ona: propagandę totalitarną należy traktować bardzo poważnie, poświęcać jej baczność uwagę. Ale nie dlatego, że jest ona tak skutecznym i groźnym narzędziem sterowania masami i tworzenia posłusznej władcom rzeczywistości. Pod tym względem jej efektywność wydaje się coraz bardziej wątpliwa. Dlatego, że stanowi wierne odbicie sposobu myślenia grup rządzących. Ujmując rzecz inaczej: przedziwnym paradoksem jest, że najmocniej w propagandę wierzą ci, którzy ją sami tworzą. A jeszcze inaczej: śledząc propagandę, dowiesz się nie tego, jak rzeczywistość rozumieją masę, lecz jak ją rozumieją albo ohoją rozumieć rządzący. Ci na dole nieraz widzą jak dalece propaganda odbiega od rzeczywistości. Pomylić te dwie rzeczy i wziąć jedną za drugą mogą tylko ci na górze.



Zaczął się - wtedy, na samym początku - od bardzo głębokiego, iście diabelskiego rozumowania. Istnieją podstawy, by sądzić, że na początku swojej kariery u boku Hitlera Goebbels budował swoją propagandową konstrukcję w sposób wyrozumowany, od czasu do czasu przyglądając się jej z boku, w pełni świadomy tego, co budował. Joachim Fest napisał:

"Ze świadomą przesadą można by powiedzieć, że narodowy socjalizm był propagandą udającą ideologię - to znaczący żądzą władzy, która tezy ideologiczne formułowała zawsze pod kątem maksymalnego efektu psychologiczno-propagandowego, postuluły zaś czerpała z mistrzowsko wyczuwanych nastrojów i instynktów mas. Dzięki tej właśnie umiejętności niemal nadprzyrodzonego wyczuwania "ducha" mas narodowy socjalizm, zdawało się, nie potrzebował własnej idei, jakiej wszystkie masowe ruchy historyczne zawdzięczały swe powstanie i swą zwarłość... Większość elementów ideologicznych, które wchłonał w siebie narodowy socjalizm, stanowiła po prostu oceniany pod kątem skuteczności masowego oddziaływania materiał dla nieprzerwanego fajerwerku propagandowego. Sztandary, okrzyki "Heil!", fanfary, kolumny marszowe, transparenty i "promieniste katedry", cały arsenał rozwijanych z olbrzymią pomysłowością środków dla wywołania nastrojów kolektywnego rauszu zmierzał do samounicestwienia jednostki, do permanentnego zatracenia świadomości, a celem tego wszystkiego było totalne podporządkowanie sobie wpiętych własnych zwolenników, następnie zaś całego narodu... Co prawda, ucieczka w świat irracjonal-

ny, gdzie polityka stawała się sprawą wiary, sprawą "światopoglądu" - odpowiadała gwałtownie odczuwanym pragnieniom zdezorientowanych mas, ale kierunek, który przybierała, formy, w których się manifestowała, były wynikiem świadomej, makiawelistycznej myśli: pozorna żywiołowe pragnienie przy bliższym przyjrzeniu okazuje się planowe i zęczenie podsyconym irracjonalizmem, któremu współczesne totalitarne religie społeczne zawdzięczają wyznawców, a nawet swą egzystencję. Joseph Goebbels był mózgiem tej całej operacji manipulowania duszami". /3/

Kropkę nad "i" postawił sam Hitler: "Mądrą i wytrwale stosowaną propagandą można narodowi nawet wzmóc, iż niebo to piekło i na odwrót, że najniebezpieczniejsze życie, to raj". /4/

Taki był zamiar, który udawało się tym dwóm ludziom niemal do samego końca skutecznie realizować. Przez cały niemal czas... Ale, gdy się usiłuje analizować te wydarzenia, trzeba zawsze pamiętać o podstawowym fakcie: "przez cały niemal czas" oznacza w rzeczywistości czas nader krótki - mniej niż dwadzieścia lat. Katakлизм hitlerowski, który wydaje nam się całą epoką, trwa w rzeczywistości krótko - niewiele dłużej, niż dwie "pięciolatki".

Cytowany już Joachim Fest, który uważa Goebbelsa za w pełni świadomego manipulatora, mówiąc o ostatnich jego chwilach, nie może się oprzeć pewnemu zdziwieniu: "Kiedy już było oczywiste, że wszystko stracone, Goebbels stał samotnie wśród dymiących gór gruzu i, jak to kiedyś przepowiedział, wołał: "Hosanna!". Doprawdy paradoksalny obraz oportunisty, który okazał się w końcu najwierniejszym ze wszystkich wiernych".

Dlaczego tak się stało? Jak to wytłumaaczyć?

• • •

Myślę właśnie, że Goebbels uwierzył we własną propagandę, a na pewno stał się jej więźniem, co w końcu wychodzi na jedno. Ostatecznie nie ma dla nas większego znaczenia, czy w tych ostatnich chwilach nadal głęboko wierzył w to, co głosił, czy też sądził, że nie ma już innego wyboru i musi do końca udawać, że to, co głosił - było najwyższą prawdą. Tak, czy inaczej, to on i jego dzieci stali się ostatnimi ofiarami jego propagandy. I wydaje się, że istnieje więcej przykładów historycznych świadczących, że taka jest prawdy.

Jest to teza paradoksalna i sprzeczna z tym, co się zwykle uważa za prawdziwe. Uważa się mianowicie, że ofiarami propagandy padają ludzie źle poinformowani, nie nawykli do samodzielnego myślenia, z natury poskuszni, albo po prostu oiemni. Uważa się też, że propagandę tworzą ludzie dobrze poinformowani, ale bezwzględni i cyniczni, którzy świadomie fałszują prawdę, bo to dobrze służy ich celom. Na pozór wydaje to się przekonujące. A jednak...

Wróćmy do Goebbelsa. Nie znam ani jednego dowodu, ani jednego tekstu, czy wypowiedzi, które pozwalałyby przypuszczać, że Goebbels wątpił w geniusz i misję Fuhrera, a więc, że uprawiał propagandę w sposób cyniczny. Gdyby tak było, oznaczałoby to, że wychwalał Hitlera nie wierząc weni, sądząc po oichu, że wódz prowadzi naród do katastrofy, nie zgadzając się z jego metodami, podając w wątpliwosc jego cele. Niczego podobnego nigdzie nie spotkałem. Nie ma takiego dowodu. Owszem, na samym początku swej działalności w NSDAP Goebbels stawiał raczej na



Strassera, wkrótce jednak zmienił zdanie, Hitler porwał go, Goebbels uwierzył w niego i odtąd służył wodzowi z niezachwianą wiernością. Nie ma więc podstaw, aby sądzić, że nie myślał /przynajmniej w generalnych zarysach/ tego właśnie, co głosił. To prawda, że często świadomie kłamał, że z całym rozmysłem fabrykował informacje, zatajał prawdy i dopuszczał się licznych prowokacji, ale zgodnie z totalitarną etyką uważał, że to służy "Sprawie", a zatem jest dopuszczalne, usprawiedliwione i właściwe. Był z tych, jakże licznych, którzy są przekonani, że cel uświęca środki i z pogardą spoglądają na tych, co żywią w tej sprawie wątpliwości, nie wiedzą oni, albo nie chcą wiedzieć, że gdy cel uświęca środki, wówczas środki niezmiernie prędko bezczeszczą cel; wkrótce celu już nie ma, zostają tylko środki. Mógł więc czuć pogardę dla głupich, nieświadomych mas, pragnących, by je oszukiwano. Ale to były detale, zawodowe tajemnice warsztatu. Nic jednak nie pozwała przypuszczać, że Goebbels wątpił w gwiazdę wodza. Jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy pisał o nim: "Jest wielki i przewyższa nas wszystkich. Podnosi ducha partyjnego z najczarniejszych otchłani. Pod jego kierownictwem nasz ruch musi zwyciężyć". /5/

A zatem wierzył w swoją propagandę. Nie w szczególności, o których wiedział, że tak często są fałszywe, ale w jej istocie i misję. Z jego wiary wynikało wiele pomyłek szczegółowych, które postawiły pod znakiem zapytania ostawioną ostrość jego intelektu. I tak na przykład do końca nie chciał uwierzyć, że ogłaszane w USA liczby, dotyczące amerykańskiej produkcji zbrojeniowej są prawdziwe. Wysztytował je i lekceważył, wprowadzając w ten sposób w błąd nie tylko społeczeństwo, ale także armię. Gdy na niebie pojawiły się lotnicze armady amerykańskie, Niemcy nie pozumieli skąd się one wzięły; w rezultacie oskarżali o niedbalstwo najpierw Luftwaffe, potem Goeringa, następnie dowództwo armii, a na koniec samego Hitlera. Dokładnie ten sam błąd popełnił systematycznie lekceważąc radzieckie możliwości zbrojeniowe. Uważał również, że Roosevelt chce zaanektować Indie, że dąży do odebrania Wielkiej Brytanii jej imperium, jak również do zagarnięcia kolonii francuskich. Wysznuwał z tego wniosek, że jedność aliantów musi się załamać. I wreszcie wierzył niezachwianie, że wojna nie dotrze do terytorium niemieckiego. Wiele błędów propagandowych Goebbelsa wynikało z jego bezbrzeżnej pogardy dla innych narodów, z lekceważenia ich możliwości i determinacji. Tak więc, podobnie jak tyłu innych, mniej utalentowanych twórców propagandy w dziejach, uporozywie tworzył sobie sztuczną, fikcyjną rzeczywistość i głęboko w nią wierzył. Można więc powiedzieć, że to on sam był pierwszą i usytuowaną na najwyższym szczeblu ofiarą propagandy.

Warto jednak zatrzymać się na chwilę na przytoczonym wyżej przykładzie upartego i lekkomyślnego lekceważenia przez Goebbelsa możliwości, wysiłku i umiejętności wrogów Rzeszy w dziedzinie zbrojeń. Lekceważenie to wyrzuciło z koleji niemałe szkody niemieckim wysiłkom zbrojeniowym. Twierdzenia Goebbelsa wplywały bowiem zarówno na niemieckich żołnierzy, jak i - przede wszystkim - na niemieckich robotników, inżynierów, kierowników przemysłu. Jeżeli się nad tym przykładem uważnie zastanowić, to można dojść do wniosku, że Goebbels nie miał w gronie rzezozy innego wyjścia, jak tylko tłumaczyć swym rodakom, że USA nie są w stanie wyprodukować tylu samolotów, okrętów i czołgów, ile twierdzą, że produkują, i

że tak samo nie jest w stanie tego robić Związek Radziecki. Gdyby podał prawdziwe liczby, musiałby albo przyznać, że Niemcy przegrali wojnę, albo znaleźć dostatecznie mocne argumenty dowodzące, że te oszałamiające liczby nie wpłyną na wynik zmagañ. Próbował to zresztą zrobić, lansując wciąż nowe baśnie o "cudownej broni".

Najważniejsze jednak - i tego obawiał się zapewne najbardziej - byłoby to, że ujawnienie prawdy musiałoby ukazać narodowi prawdziwy obraz Hitlera: szaleńca, który kompletnie pomylił się w swoich kalkulacjach i wpędził naród w nieodwracalną katastrofę. Wszyscy wszak wiedzieli, że to Hitler rozpoczął wojnę z ZSRR i że to on wydał wojnę Stanom Zjednoczonym, ułatwiając w ten sposób Rooseveltowi realizację zamiaru, którego dotąd nie był w stanie sam urzeczywistnić. Tak więc ujawnienie prawdy o zbrojeniach u wrogów musiałoby z całą siłą obrócić się przeciw reżimowi. Dlatego Goebbels kłamał, choć każdy dzień obnażał fałszywość jego propagandy, co w rezultacie przyniosło Niemcom wielkie szkody. Wydaje się jednak, że sam wierzył w to, o co głosił.

Zatrzymam się na tym przykładzie, ponieważ jasno pokazuje on pułapki, w jakie wpada - i wpadać musi - propaganda totalitarna. W chwili, gdy prestiż i autorytet reżimu zaczynają załżeć od tego, by prawda o rzeczywistych faktach nie wydobyła się na jaw, reżimowa propaganda musi z uporem i konsekwentnie kłamać. Ponieważ jednak faktów zakłamać się nie da, przeto takie postępowanie wnet zaczyna przynosić coraz głębsze i rosnące szkody, uniemożliwia też znalezienie wyjścia z sytuacji.

Nasuwa się jednak pytanie: czy człowiek taki jak Goebbels /lub ktokolwiek inny stojący na czele podobnego aparatu propagandy/ jest w pełni świadomy, że kłamie i że jego postępowanie nosi wszelkie cechy beznadziejnej pracy szczyfowej? Nie jest to takie pewne. Ludzka psychika ma wręcz nieograniczone skłonności do wynajdywania racjonalizacji, które usprawiedliwiają i uzasadniają przyjęte postępowanie. Kiedy zaś to sobie uświadomimy, musimy dojść do wniosku, że logiczna i racjonalna analiza nie zawsze jest w stanie wyjaśnić zjawiska tego rodzaju jak propaganda reżimów, które w swej istocie są irracjonalne.

I jeszcze jedno pytanie: dlaczego kruszę kopię o stopień cynizmu Goebbelsa? Czy warto się o to spierać?

W dalszym ciągu spróbuję udowodnić, że to jest problem godny uwagi.

• • •

W historii jest znacznie więcej przykładów twórców propagandy, którzy sami w nią uwierzyli i to tak mocno, że wierzyli w nią jeszcze wtedy, gdy nie wierzył w nią już nikt z tych, do których była adresowana. Jakże mocno szach perski wierzył w obraz skonstruowany przez jego własną propagandę i przez pochlebców! Jakże był zaskoczony wybuchem rewolucji i jak trudno do końca było mu uwierzyć, że jego panowanie skończyło się, a naród go nienawidzi! Jak mocno wierzyli też w swoją propagandę greccy pułkownicy, którzy - choć byli zawodowymi wojskowymi - nie zadali sobie nawet trudu, aby podliczyć siły własne i tureckie, by porównać zasięg samolotów, by spojrzeć na mapę i sprawdzić, gdzie są położone bazy i jakie są szanse prowadzenia działań militarnych na Cyprze a w rezultacie przerznięli

rozpoczętą przez siebie operację cypryjską tak kompromitująca, że utracili władzę. Stało się tak, ponieważ uwierzyli we własne hasła propagandowe, głoszące, że ich silna wola, determinacja, wyjątkowy i niepowtarzalny charakter ich grupy, której Bóg zlecił specjalną misję, że to wszystko wystarczy, by rozwiązać każdy problem i zmusić do uległości innych /którzy są oczywiście słabsi, chwiejni, histeryczni i mniej od nich wartościowi/.

Ile już było w dziejach tych nadzwyczajnych i niepowtarzalnych elit, które później, w chwili kryzysu, okazywały się gromadą nędznych, skorumpowanych oportunistów!

Czy nie znamy tego z własnych dziejów? Kto naprawdę wierzył w sukces "propagandy sukcesu"? Czyż nie było tak, że w chwili, gdy nikt już nie wierzył w hasła propagandowe Łukaszcwicza, ani w trwałość i sens istnienia reżimu Gierka, w cała tę propagandę wierzyli już tylko oni dwaj? Ci, którzy tę propagandę tworzyli?

My wszyscy, zwykli czytelnicy gazet, patrzymy często na propagandę jako na rezultat skomplikowanych i chłodnych kalkulacji, prowadzonych przez obradujące w ciszy sztaby, które doskonale znają prawdę o rzeczywistości, które podejmują długofalowe działania mające na celu zmýlenie masowego odbiorcy, ale same tym działaniom nie ulegają. Nic dalszego od prawdy! W rzeczywistości propaganda wyraża przede wszystkim nadzieje, poglądy, życzenia, lóbie, aberracje i strach grup rządzących. Nie może się w niej ukazać nic, czego by one nie akceptowały, nie uważały za słuszne, czego by sobie nie życzyły. Jak owe słynne "listy proskrypcyjne" "Solidarności", które służyły do uzasadnienia stanu wojennego, lecz których nikt nigdy na oczy nie widział, ponieważ ich nigdy nie było; w które nikt nie wierzy, z wyjątkiem ludzi reżimu, oni zaś wierzą w nie święcie, bo to usprawiedliwia ich własne postępowanie. Oni zresztą nie są w stanie pojąć, że można prowadzić masową działalność społeczną o wielkim natęczeniu - i nie sporządzać list proskrypcyjnych. Chociaż przez sześć miesięcy "Solidarności" nie tylko nikogo nie zabito, ale nawet nie uderzono, a trupy zaczęły padać dopiero po trzynastym grudnia, ludzie reżimu wierzą, że "Solidarność" opowiadała się za przemocą, przed którą naród obronili oni. Piszą tak, bo to wyraża ich przekonanie, choć nie wierzy w to nikt poza nimi.

Propaganda odzwierciedla przede wszystkim sposób myślenia grup rządzących. Nie oznacza to oczywiście, że inteligentniejsi, czy też bardziej cyniczni ich członkowie nie mogą się z niej czasem śmiać. Mimo to, wydaje mi się, że bez ryzyka większego błędu można przyjąć, że rządzący wierzą z grubszą w to, co głósi ich propaganda. Gdyby w to całkiem nie wierzyli, to może poszukaliby sobie innej pracy, a najprawdopodobniej zmieniliby propagandę. Na koncu zaś, gdy zbliża się moment prawdy - wierzą w to już tylko oni.

Dlatego nie mają racji ci, którzy dziwią się, że dzisiejsza propaganda jest tak grubo ciosana, tak jawnie fałszywa, tak niezdolna do przekonywania wątpiących. Jej zadaniem nie jest przekonywanie sceptyków, lecz utwierdzenie tych, którzy są przekonani lub pragną nimi być. Rzecznik rządu, kiedy mówi, mówi do rządu i jego ludzi, nie do mnie, czy do Ciebie. Dlatego przychodzi nam do główy, że miałoby być inaczej?



W tym miejscu robimy przerwę, by zmieścić w niej niezbędne wyjaśnienie.

O co tu chodzi? Czy o to, że między hitleryzmem a ustrojem PRL istnieją tak wielkie podobieństwa? Oczywiście - nie. Trzeba być ślepym, żeby nie widzieć różnic, choć są przecież i podobieństwa, wspólne wszystkim ustrojom totalitarnym, czy pseudotalitarnym. Nie o to więc chodzi. Zastanawiające jednak, że w kręgach ludzi związanych z rządem można czasem zauważyć zainteresowanie Goebbelsem i jego metodami /podobnie zresztą jak Machiavellim, którego na dodatek rozumieją oni na ogół zupełnie opacznie i fałszywie/. Celem tego szkicu jest wskazanie, że sytuacja różni się dzisiaj bardziej od tamtej z czasów Goebbelsa, niż im się wydaje; zapatrzenie w kulawego diabła nic tutaj nie da i dać nie może. Niech sobie lepiej dadzą spokój. Ich sytuacja, jako propagandystów, jest o wiele gorsza.

Wacław Długoborski napisał:

"Czy jednak ta dowolność, z jaką propaganda totalitarna zmieniała - czasem z dnia na dzień - swoje zasady, a wczorajszego śmiertelnego wroga wysławiała jako wiernego sojusznika, przyjaiciela piętnowała jako zdrajcę, pisała na nowo własną historię i wreszcie w każdym nowym zwrocie anulowała poprzednie prawdy i poprzednie przysięgi, świadczyć miała - jak chce Fest - iż sama świadoma była daremności swych wysiłków? Nie sądzę. Wszak do końca wojny naród niemiecki pozostał w zdecydowanej większości bierny i posłuszny. Trudno jednak ustalić, jaki udział miały w tym terror i strach, jaki systematyczne "czyszczenie" wszystkich środowisk z elementów krytycznych, aktywnych, samodzielnie myślących, jaki wreszcie - goebbelsowski system preparowania wiadomości, odwoływania się do najbardziej prymitywnych instynktów ludzkich, izolowania społeczeństwa od wszelkich wrogich źródeł informacji"

Oto druga część wielkiego problemu propagandy: jaka jest jej skuteczność w społeczeństwie? Przykład Niemiec hitlerowskich mógłby świadczyć, że propaganda totalitarna, przynajmniej w goebbelsowskim wykonaniu, była w dużej mierze skuteczna. Trzeba wszelako opatrzyć to stwierdzenie kilkoma sceptycznymi uwagami. Po pierwsze: propaganda może wmówić ludziom tylko to, czego oni sami, choćby podświadomie, pragną. Żadna zaś propaganda nie mówi im tego, czego nie chcą. Pieniądz wydawane na taką propagandę są wyrzucone w błoto. Jest jednak pewien wyjątek od tej zasady: propaganda strasząca. Taka propaganda może wmówić ludziom, że prawdopodobne i bliskie jest właśnie to, czego nie chcą i czego się obawiają. Jest to jednak rodzaj propagandy wojennej, skierowanej przeciw wrogowi, choćby nim było własne społeczeństwo. Ten gatunek propagandy może być przez jakiś czas skuteczny, ma jednak podstawową słabość: jest odczytywany tak, jak podawany, jako propaganda wroga; stosunek do niej bywa tylko jeden: trzeba ją znosić aż do najbliższej okazji, w której będzie się można jej pozbyć. Rząd, który wobec własnego narodu posługuje się taką głównie propagandą - jest rządem zbankrutowanym.

W Niemczech hitlerowskich sytuacja była odmienna. Niemcy pragnęli rewanzu za Compiègne i Wersal, pragnęli też upewnić się o swojej wyższości nad innymi narodami. Dopóki Hitler zdawał się dostarczać im tego, czego chcieli - działalność Goebbelsa była skuteczna i budziła nawet masowy entuzjazm. Wprawdzie, jak świadczą o tym wszystkie źródła, niemieckie masy raczej nie chciały wojny, gdy jednak ona wybuchła, sukcesy pierwszych dwóch lat umacniały wiarę w nieomylność Führera. Goebbels miał więc nadal ułatwione zadanie. Zanotowano zresztą ciekawą rzecz: w tym właśnie okresie Hitler nieco ograniczył działalność swego ministra propagandy.

Później fronty zaczęły się walić, a obraz rzeczywistości, postrzegany przez ludność, coraz bardziej odbiegał od obrazu, jaki kreśliła propaganda; przyszłość zapowiadana przez Goebbelsa miała coraz mniej wspólnego z tym, co się działo wokoło. Dlaczego więc tak duża liczba Niemców do końca w całości, albo przynajmniej częściowo, wierzyła w fantasmagorie rozsnuwane przez kulawego doktora?

Wydaje się to bardzo proste. Po pierwsze dlatego, że Goebbels mówił im rzeczy, w które oni za wszelką cenę chcieli wierzyć; po drugie dlatego, że było to dopiero pierwsze rzeczywiste zażamanie się jego konstrukcji propagandowych, zażamanie poprzedzone długim okresem sukcesów. Było to zarazem zażamanie ostateczne, ale tego wszak wyznawcy hitleryzmu do końca nie widzieli. Propaganda została wtedy nasiloną do niebываłych rozmiarów, a była to przecież propaganda, która przez długi czas odnosiła sukcesy. Jej twierdzenia sprawdziły się wielokrotnie, a rzeczywistość przez długi czas zdawała się potwierdzać tezy kulawego Mefista. Przecież słońce kiedyś naprawdę oślądało Führera i wszyscy widzieli to na własne oczy. Teraz, kiedy nadciągnęły chmury, zatkwił było wytkumaczyć, że to jest zjawisko przejściowe, dokładnie zresztą przewidziane; trzeba więc cierpliwie doczekać chwili, kiedy słońce pojawi się znów.

Jest oczywiste, że taka, utwierdzona licznymi sukcesami propaganda, może stosunkowo długo bronić się przed zdemaskowaniem, długo wywierać wpływ psychologiczny na ludzi chcących jej - nawet wbrew faktom - wierzyć. Taka właśnie sytuacja panowała w Niemczech. Inaczej jest z propagandą zdemaskowaną, która nie może się powołać na wiarogodne sukcesy z przeszłości /a zwłaszcza z niedalekiej przeszłości/, na osiągnięcia powszechnie akceptowane, a nie będące tylko gołosłownym sloganem, któremu przeczoży rzeczywistość. Taka propaganda, szczególnie gdy przeżyje kilka kolejnych zażamań, gdy jej mechanizm i cały ogrom jej przeinaczeń zostaną parokrotnie odsłonięte, gdy więc zostanie zdyskredytowana, leoz powtarza się ją nadal z uporem i długotrwałe - staje się narzędziem samobójczym. Nie tylko nie jest skuteczna, leoz przynosi skutki przeciwe do tych, jakie zamierzają osiągnąć jej twórcy. Dochodzi wręcz do tego, że adresaci odczytują taką propagandę odwrotnie: gdy ona twierdzi, że coś jest czarne, adresaci wierzą, że to jest białe i nie ma już znaczenia jaki jest prawdziwy kolor. Inteligentniejsi kierownicy propagandy próbują czasem wykorzystać tę prawidłowość: chwają coś, licząc, że w powszechnej opinii zasiana zostanie nieufność. Tego rodzaju chywy zastosowano na przykład kilka razy w stosunku do niektórych dostojników Kościoła w Polsce. Na ogół jednak kierownicy propagandy nie stać na takie chytro-

ści właśnie dlatego, że byłoby to nazbyt sprzeczne z opinią i poglądami grupy rządzącej. A zresztą skutki tego są zwykle bardzo nietrwałe.

Różnica między propagandą, z jaką mamy dzisiaj do czynienia a tą, którą wyobrażał sobie Goebbels, uwidacznia się najwyraźniej, gdy przytoczyć definicję sformułowaną przez ministra propagandy Rzeszy w roku 1933:

"Istota propagandy polega na tym, aby zdobyć ludzi dla jakiejś idei, związać ich z nią tak głęboko, tak żywotnie, by ostatecznie stali się jej niewolnikami i nie potrafili się od niej wyzwolić".

Jest rzeczą oczywistą, że dzisiejsi twórcy propagandy nie mogą stworzyć niczego podobnego, nawet gdyby ich było na to stać intelektualnie. Jeżeli centralną ideą, wokół której obraca się i wadza ta propaganda, jest idea "mniejszego zła", w której otwarcie powiada się, że reprezentuje się zło, tyle że trochę mniejsze, niż inne zło możliwe - to czy można dla tej idei "zdobyć ludzi i związać ich z nią głęboko"? Tego nie potrafiłby nikt, nawet Goebbels, który był kulawy, ale którego propaganda kulawa nie była. Teraz zaś jest odwrotnie.

Różnica polega więc na tym, że Goebbelsowi, jego manipulacjom, kłamstwom, przeinaczeniom, większość społeczeństwa jednak wierzyła. Jego konstrukcja propagandowa zwała się wraz z Trzecią Rzeszą i dopiero na samym końcu naród przyłapał go na generalnym kłamstwie. Dzisiejsi natomiast twórcy propagandy usiłują nam sprzedać swój towar w sytuacji, gdy im samym mało kto wierzy /to znaczy mało kto, poza szeroko pojętą grupą rządzącą/ i od lat wciąż i wciąż przykapywano ich na kłamstwie. Ich konstrukcje zwały się znacznie wcześniej i już niejedną raz, dlatego nie ma szansy na powtórzenie fenomenu dawnej propagandy totalitarnej. Pozostaje im szerzenie dezinformacji, co czynią bezustannie, ale to jednak nie to samo. To jest totalitaryzm ukłonny, skrofuliczny.

Mogą także, i robią to, używać pewnego groźnego narzędzia, jakie mają do dyspozycji: mogą fałszować język, przeinaczać, nadawać mu inne znaczenie, niszczyć znaczenie dawne. Wspaniała książka Victora Klemperera "LTI" ukazuje wymownie, jak się to czyni. Jest to niszczyielski proces, w którym podstawowe słowa tracą swoje znaczenie zasadnicze, nabierają innego.

Pojechałem kiedyś do małego, polskiego miasteczka na prowincji zakierując ze sobą listę dziesięciu najprostszych towarów, które zamierzałem kupić: pastę do zębów, papierosy, koperty, chleb, masło itd. Było to w okresie największych braków. Obszedłem wszystkie miejscowe sklepy, ale nie udało mi się kupić ani jednej z zapisanych rzeczy. Natomiast w kiosku z gazetami kupiłem pewien dziennik centralny. Znalazłem w nim tytuł: "O dalsze doskonalenie zaopatrzenia rynku".

A oto inny przykład. Wiadomość o zdevaluowaniu złotówki w stosunku do innych walut ukazała się w całej prasie pod tytułem: "Dewizy zdrożały". To nie złoty traci wartość, to dewizy drożeją, ponieważ, jak wiadomo, na Zachodzie jest inflacja. Oto w jaki sposób próbuje się zrobić ludziom z mózgu szare mydło. Wystarczy też czasem posłuchać słodko-malającego tonu, w jakim spikerki Polskiego Radia czytają wiadomości dziennika. One już nie czytają, one śpiewają. Są to arie niemal bez sków, ponieważ w odczytywanych wiadomościach brakuje nieraz podsta-



wowych informacji - jest to dziennikowa wokaliza. Sądzę, że mierzymy do dalszego doskonalenia informacji.

A jednak cały ten trud, te tak konsekwentne wysiłki podejmowane od tylu już lat przynoszą tylko powierzchowne i nietrwałe wyniki. Sierpień 1980 pokazał, że kiedy się nie ma narodości niczego do powiedzenia i gdy nie można wskazać celów odpowiadających jego oczekiwaniom - wówczas propaganda staje się bezradnym młóceniem słomy, a czynione przez nią wysiłki i hałas zastrzają tylko napięcia społeczne, radykalizują nastroje. Uprawianie jej staje się wtedy zajęciem, które najgłębiej frustruje tych, którzy muszą się nim parać. I właśnie wówczas prawdziwe znaczenie dawnych pojęć z dnia na dzień powraca do znaczenia. Ludzie go nie zapominają.

Stanisław Ossowski napisał kiedyś chłodno i trzeźwo:

"Polityka to forma działalności zmierzającej do jak największej mocy w stosunkach społecznych, to znaczący do umacniania, rozszerzania i utrwalania władzy. Łamanie reguł gry w atmosferze praworządności może poważnie wzmacniać potęgę grupy rządzącej. Jeżeli jednak grupa ta troszczy się o trwałość swej władzy i nie chce rezygnować z tych korzyści, jakie daje opinia praworządności na przyszłość, musi troszczyć się, aby nie utracić zaufania co do swej praworządności, musi się troszczyć, aby podwładni zachowali przekonanie, że żyją w warunkach, gdzie reguły gry obowiązują. Idzie o zastosowanie takich metod, które by nie zniechęciły poddanych do planowania działalności drugodystansowej, niezbędnej dla funkcjonowania organizacji państwowej i które by nie odebrały mocy sankcjom innego rodzaju, niż sankcje przemocy. Jedną z takich reguł wskazywał władcom Machiavelli, gdy mówił, że władca nie musi być uczciwy, natomiast winien się starać o opinię człowieka uczciwego". /6/

I coś można do tego dodać? Chyba tylko to, że taka ocena nie może pochodzić od samej tylko grupy rządzącej, jest bowiem wówczas bezwartościowa. Podobnie ocena chleba nie może pochodzić tylko od piekarza.

\* \* \*

Pora na jeszcze jedną uwagę. Wbrew temu, co się nieraz sądzi, analiza hitleryzmu rzadko tylko może przynieść pożytek przy wyjaśnianiu zjawisk zachodzących w innych krajach i w innych czasach. Hitleryzm trwał krótko i przez cały czas zmierzał do jednego tylko, głównego celu. Najlepiej wyraził to Tomasz Mann w swym słynnym liście do dziekana wydziału filozoficznego uniwersytetu w Bonn, napisanym na Nowy Rok 1937:

"Jeden jest i tylko jeden być może sens i cel narodowo-socjalistycznego systemu państwowego: naród niemiecki poprzez nieubłagane niszczenie, gnębienie, tępienie każdego sprzecznego dążenia, przygotować do "nadchodzącej wojny", zrobić z niego bezgranicznie powolny, żadną myślą krytyczną niesplamiony, zapędzony w ślepe i bezkrytyczną niewiedzę instrument wojenny. Innego sensu i celu, innego usprawiedliwienia system ten mieć nie może... Skoro tylko obedrzemy go z myśli o wojnie jako celu, nie będzie już niczym więcej, jak tylko oszustwem popełnionym na ludzkości - będzie zupełnie bezsensowny i zbyteczny". /7/

Tak właśnie było: hitleryzm dążył do wojny jako do głównego celu. Wywołał ją i przegrał - cto cała historia. Ale co by było, gdyby do wojny nie doszło, gdyby świat zjednoczył się i umożliwił Hitlerowi wywołanie wojny, albo gdyby przeszkodziły mu w tym jakieś inne przyczyny? Są to rozważania czysto teoretyczne, ale możemy sobie na nie pozwolić, bo ukazują tę rzecz w innej perspektywie. Gdyby więc systemowi hitlerowskiemu przyszło działać nie dwanaście lat /z czego pięć było wojennych/, ale znacznie dłużej - i to w warunkach pokoju? Sądzę, że prędko ujawniłaby się jego niewydolność, albowiem to nie był system zdalny do działania we względnie normalnych warunkach i rozwiązywania normalnych problemów społeczeństwa. I jak by wtedy wyglądało dzieło doktora Goebbelsa? Na ile i na jak długo jego propaganda byłaby skuteczna? Jak długo ludzie chcieliby wierzyć w zakłęcia, które okazały się jałowe i nieprawdziwe? Sądzę, że owo dzieło wnet przemieniłoby się w to, w co zawsze przemienia się długotrwała i sprzeczna z codzienną rzeczywistością propaganda: w fabrykę samozłudzeń, w które na końcu wierzą już tylko jej dyrektorzy.

Kazimierz Dziewanowski<sup>x/</sup>

#### Przypisy:

1. Cyt. wg "The Goebbels Diaries: the Last Days". Londyn 1978, str. 317.
2. John Toland: Adolf Hitler. Nowy Jork 1977, str. 1213.
3. Joachim Fest: Oblicze Trzeciej Rzeszy. Czytelnik, Warszawa 1970, str. 144-145.
4. Adolf Hitler: Mein Kampf. Str. 302.
5. Alan Bullock: Hitler - studium tyranii. Czytelnik, Warszawa 1969, str. 185.
6. Stanisław Ossowski: Władza polityczna i władza ekonomiczna. W: O strukturze społecznej. PWN, Warszawa 1982, str. 71-72.
7. Cyt. wg "Wiadomości Literackie", nr 13 /699/, rok 1937.

---

<sup>x/</sup> materiałów Komitetu Kultury Niezależnej. Nadtytuł pochodzi od redakcji "Mostu".

Andrzej Darski

## KOTWICE NADZIEI

Już z odległości wielu kilometrów od główek gdańskiego portu, tam, gdzie na tle brudnego, bałtyckiego nieba rysują się sylwetki stoczniowych dźwigów, widać wierchożki trzech stalowych krzyży, powiązanych ze sobą kotwicami nadziei. Różne w formie, lecz identyczne w przesłaniu pomniki, upamiętniające tragiczną historię dramatycznego tygodnia 14-20 grudnia 1970 roku stoją również w Gdyni, Szczecinie, Elblągu. Obeliski powstały w 1980 roku, w dziesięć lat po krwawym proteście, o dziesięć lat za późno. Ktoś oboj, nie znający naszych realiów, może zapytać: dlaczego tak się stało? Skąd to opóźnienie? Przyczyna tkwi w tych samych źródłach, co i powody grudniowej tragedii. Jest nią arogancja władzy.

### AROGANCI STOPIEŃ PIERWSZY

Byłoby zbyttnim uproszczeniem sprowadzać przyczynę wybuchu gniewu społecznego na Wybrzeżu, a następnie niemal w całym kraju, do ogłoszonej przez władzę, drastycznej podwyżki cen w sobotni wieczór, 12 grudnia 1970 roku. Kryzys narastał już od lat, kończyła się era tak zwanej małej stabilizacji. Ni komu nie wystarczyły deklaracje o konieczności ciągłego zaciśnięcia pasa w imię przyszłych pokoleń. Żadna z liczących się w Polsce grup społecznych nie mogła być usatysfakcjonowana. Sfrustrowana inteligencja, w przeważającej części odsunięta od jakiegokolwiek wpływu na bieżące i perspektywiczne postanowienia kierownictwa państwowego, żyła pamięcią niedawnego, gorącego przedwiosnia. Skostniałe i apatyczne struktury związkowe nie spełniały oczekiwań zrzeszonych w nich robotników. Coraz mocniejszym głosem wypowiadali się przedstawiciele młodego pokolenia - ludzie, dla których doświadczenia ostatniej wojny było tylko mglistym wspomnieniem lub kartkami ze szkolnego podręcznika. Dla nich właśnie perturbacje ekonomiczne i brak szerszych perspektyw awansu materialnego i społecznego był najbardziej odczuwalny. Społeczeństwu nie odpowiadał, lansowany oficjalnie przez najwyższe autorytety państwowe, ascetyczny sposób życia: chciano lepiej mieszkać, ubierać się, podróżować, poznawać życie innych. Wyższy poziom wykształcenia, powszechne zatrudnienie, rozwój niektórych gałęzi przemysłu, serwowane przez środki masowego przekazu jako zdobycze lat powojennych, postrzegane były przez wielu bez otoczki wydumanego raczej sukcesu, w pełni zwyczajnie i naturalnie. Tak więc społeczne rozczarowanie musiało wcześniej czy później gdzieś znaleźć ujście.

Lecz rozczarowaną była także druga strona. W pojęciu liczących się członków elity władzy, społeczeństwo nie dorosło



Jeszcze do nowego kształtu ustrojowego Polski Ludowej. Niestety - jak w takich przypadkach zawsze bywa - społeczeństwo może zbrnąć się na władzę, zaś odwrotna sytuacja nigdy nie powinna mieć miejsca. Rządzący - nawet świeżo przekonani co do słuszności swoich racji - "obrażając" się na społeczeństwo, tracą poczucie realizmu, wynikające z prostego faktu, iż nastrojów społecznych odmienić się nie da bez skutecznej reformy przynoszącej szybko konkretne, pozytywne efekty lub choćby rokującą perspektywę poprawy. Zaś bazowanie na własnym chęćjstwie, czy też nie popartym żadnymi sprawdzalnymi danymi przekonaniu o celowości obranego kierunku, musi rodzić niezrozumienie i arogancję wobec powszechnych postaw oraz dążeń.

## AROGANCI STOPIEŃ DRUGI

Każda podwyżka cen jest posunięciem niepopularnym, choć bywają podwyżki uzasadnione sytuacją ekonomiczną, przyjmowane jako zło konieczne. Lecz pomysł wprowadzenia podwyżki tuż przed świętami Bożego Narodzenia, rozsyfrwany jako chęć ściągnięcia jak największej ilości gotówki - to już był poważny błąd polityczny. Co więcej, związki zawodowe i organizacje społeczne, przeznaczone jakby z urzędu do ochrony interesów pracowniczych, w pełni i bez najmniejszych zastrzeżeń zaakceptowały zarówno formę, jak i termin fatalnego posunięcia władz. Kształt komunikatu o podwyżkach, przekazany wieczorem 12 grudnia przez radio i telewizję, a powtórzony we wszystkich niedzielnych wydaniach gazet, także nie łagodził napiętej już sytuacji. Dla poprawienia wrażenia pisano najpierw o znacznych nawet obniżkach cen na niektóre artykuły przemysłowe /np. telewizory staniały o 13 proc., radia turystyczne o 19 proc, maszyny do szycia i magnetofony o około 20 proc./.. Rekompensata, polegająca na cenowych redukcjach, była jednak iluzoryczna - tańszymi stały się głównie dobra użytku trwałego, kupowane raczej rzadko, lub zalegające sklepowe półki bubble, wzmrosły natomiast ceny podstawowych artykułów spożywczych. Jak przyznały w redakcyjnych komentarzach gazety niedzielne, podwyżka najbardziej uderzała w słabo i średnio zarabiających, którym obiecano przyznanie zasiłków rodzinnych. Prasa milczała jednak na temat ich wysokości, terminu wypłacania i sposobów obliczania.

Odpowiedzią na posunięcia władz był spontaniczny strajk robotników nocnej zmiany Stoczni Gdańskiej, z 12 na 13 grudnia. Rano do protestu dołączyli dokerzy. Następnego dnia, w poniedziałek, strajkowała już cała Stocznia im. Lenina oraz Stocznia Północna. Rozpoczęły się manifestacje uliczne, starcia z oddziałami wojska i milicji, podpalono wiele budynków użyteczności publicznej. Pierwsze ofiary śmiertelne - zresztą po obu stronach - były tragicznym efektem właśnie poniedziałkowych zajęć. Lecz najgorsze miało dopiero przyjść. Sąsiednia Gdynia ominęła fala ulicznych w pierwszych dniach tygodnia, lecz nie ominęła jej uliczna śmierć. We czwartek rano, 17 grudnia, zgromadzone przed stacją Gdynia-Stocznia czołgi i transportery opancerzone otworzyły ogień do wysiadających z pociągów i udających się do pracy ludzi. Według oficjalnych danych, podanych między innymi w książce Mieczysława F. Rakowskiego "Przesilenie grudniowe", zginęło wtedy 18 osób.

Tego samego dnia strajki, demonstracje i krwawe ofiary były udziałem Szczecina, a także Elbląga. Dopiero niedziela przyniosła względne wyciszenie nastrojów społecznych. Jednak cena

tego pozornego spokoju była zdecydowanie zbyt wysoka. Skutkiem jednej, nie przemyślanej do końca decyzji, był ciężący na historii Polski powojennej krwawy kryzys społeczno-polityczny.

### AROGANCI STOPIEŃ TRZECI

Wynika on z dwóch poprzednich odsłon, zaś ogniskuje się wokół stercunku ówczesnej elity władzy oraz ośrodków wykonawczych do słusznego protestu robotniczego. Wybrzeże zostało praktycznie odcięte od reszty kraju, a milczenie ogólnopolskich środków masowego przekazu przełamano tylko wszechpętną plotką i audycje zachodnich rozgłośni radiowych, rządzonych również po polsku. Gdy we czwartek, czyli 4 dni od rozpoczęcia dramatu głównych miast Wybrzeża, pękła zmowa milczenia - gazety sprowadziły autentyczny sprzeciw robotniczy do chuligańskich i kryminalnych ekscesów. "Wykorzystując sytuację, jaka wytworzyła się wśród robotników Stoczni Gdańskiej - stwierdza czwartkowy komunikat PAP - elementy awanturnicze i chuligańskie, nie mające nic wspólnego z klasą robotniczą, zdemolowały i podpaliły kilka budynków publicznych i obrabowały kilkadziesiąt sklepów. Wobec interweniujących funkcjonariuszy porządku publicznego dopuszczono się mordów, jest również wielu ciężko rannych przebywających w szpitalach". Podobne w treści, nieprawdziwe wypowiedzi, ilustrowane były fotografiami rozbitych sklepów i obrabowanych ptek.

Mieczysław F. Rakowski w swojej książce zanotował i taki epizod: "Również tego samego dnia /t.j. we czwartek - przyp. aut./ kierownictwo polityczne rozważało propozycję wprowadzenia stanu wyjątkowego na terenie Wybrzeża. W pośpiechu przystąpiono do pisania artykułu, który miał uzasadniać tę decyzję. W pierwszym akapicie autor stwierdzał, iż wydarzenia na Wybrzeżu sprzyjają bońskim rewizjonistom. W późnych godzinach wieczornych odstąpiono od zamysłu wprowadzenia stanu wyjątkowego". Co komu mogło przyjść z mieszania do polskich spraw przedwojennych mieszkańców Gdańska czy Szczecina?

Również erucjacje publiczne przedstawicieli władz centralnych i lokalnych oscylowały wokół ogólnie nakazanego praisie schematu. Na pierwszy plan wybijano dwutorowość grudniowych zajęć, minimalizując robotniczy sprzeciw, podkreślając zaś akty chuligaństwa i wandalizmu. Prawdą jest, iż tłum rządził się swoimi prawami, iż w przypadku ulicznych starć i demonstracji często rabowane są sklepy, wybijane szyby, podpalane samochody. Lecz winą za taki rozwój sytuacji można obarczyć jedynie tych, którzy woleli uliczną formę dyskusji od rzeczowej, ale i bardziej spokojnej wymiany zdań. Po drugie - gdy fala strajków rozprzestrzeniła się na cały kraj - dopuszczono możliwość rozmów jedynie w ramach istniejących już organizacji społecznych i pracowniczych, całkowicie ignorując wyłonione spontanicznie, ale i w pełni demokratyczne i posiadające duży autorytet przedstawicielstwa robotnicze, jakimi były komitety strajkowe. A przeciwieństwem z budynek, który został podpалony przez demonstrantów w Szczecinie, był gmach Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych, co było oczywistym dowodem, że ówczesne związki nie cieszyły się szacunkiem robotników.

Dopiero zmiana liderów ekipy rządzącej wpłynęła na rozszerzenie politycznej optyki władzy. Lecz to nie mogło już wrócić życia zabitym.

Skutkiem owych trzech stopni arogancji była nikomu niepożrebna śmierć wielu osób, strajki, podpalone budynki publiczne, rozbite sklepy. Arogancja wykopała głęboki dół, pełen żalu i nieufności, między społeczeństwem a władzą. W burzliwy sposób doszło do zmiany ekipy rządzącej. Prócz tego wszystkiego, w umysłach ludzi myślących pozostała jeszcze gcrzka świadomość, iż tragedii grudniowej można było w prosty sposób uniknąć. Rozsądne reformy ekonomiczne i polityczne, proponowane zresztą przedgrudniowej elicie rządzącej przez osoby cieszące się społecznym zaufaniem, a także - mogłoby się zdawać - zaufaniem władz, pozostały martwymi memoriałami, z gatunku tych, które bezsensownie zaśmiecają wnętrza szuflad. Oporna na reformy, nadkruszona rzeczywistość małej stabilizacji była jednak silniejsza od głosów wzywających do koniecznej naprawy Rzeczypospolitej.

Nawet wtedy, gdy przepełniająca beczką gorzycy decyzja o podwyżkach została podjęta i ogłoszona, można było zapobiec demonstracjom i strajkom, ocalić życie pierwszym i następnym ofiarom poprzez uznanie banalnego faktu, iż społeczeństwo świadome swoich potrzeb i aspiracji nie może w sztuczny sposób być wtłaczane do roli przedmiotu władzy, lecz jest samo w sobie jej podmiotem. Rzeczowa, choć często trudna dyskusja, wzajemne wykrzyczenie sobie wszystkich żalów, przy założeniu, iż cała rzecz odbywa się wokół stołu, a nie na ulicy, studzi gorące głowy, pozwala na znalezienie korzystniejszej dla wszystkich formuły ustępstw i kompromisu. Sztuka dyskusji jest bodaj najtrudniejszą w świecie, lecz nie może być obca tym, którzy mienią się politykami.

Miastety, opamiętanie nie przyszło nawet na widok pierwszej krwi. A jeszcze w owym czasie można i trzeba było zapobiec masakrze pod Stoczną im. Komuny Faryskiej w Gdyni, gdyby wszystkie posunięcia władz były w pełni skoordynowane, gdyby informacja była pełna, gdyby na decyzyjnym szczycie nie znalazły się nieodpowiednie osoby. W wywiadzie udzielonym tygodnikowi "Czas" Stanisław Kociołek, ówczesny członek Biura Politycznego, a nieco wcześniej I sekretarz KW w Gdańsku, autor nieznaczęnego przemówienia środowego, które idących do pracy ludzi zaprowadziło pod karabinowe lufy, powiedział, iż istniał wtedy szalony pomysł pacyfikacji hoteli robotniczych i wywiezienia ich mieszkańców gdzieś pod Słupsk. Kociołek sprzeciwił się temu w przesłuchaniu, iż podobne posunięcie doprowadzi tylko do kolejnych ofiar. Gdyby w ten sposób postępowano za każdym razem... Gdyby zwyciężył rozsądek, nie byłoby zwłok chłopca niesionych na drzwiach na ozale robotniczego pochodu, nie byłoby biało-czerwonego sztandaru umazanego we krwi zabitego, nie byłoby rozpacz rodziny poległych, bólu rannych, osmalonych kikutów domów straszących wypalonymi oknami, wybitych szyb, przewracanych samochodów. Nie byłoby też nienawiści i żalu, a także okrutnego przeświadczenia, że gdyby...



## AROGANCJA RAZ JESZCZE

25 stycznia 1971 roku w siedzibie gdańskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej, nowo wybrany I sekretarz KC PZPR Edward Gierrek w towarzystwie Piotra Jaroszewicza, Edwarda Babiucha, Franciszka Szlachcica, spotkał się z przedstawicielami przemysłu okrętowego i innych zakładów. Ze świetlicy WRN popłynęły w Polskę słowa, które dziś brzmią jak ironia: "Możecie być przekonani, że wszyscy jesteśmy ulepieni z tej samej gliny i nie mamy innego celu jak ten, który deklarujemy. Jeśli nam pomożecie - mówił I sekretarz - to sądzę, że ten cel uda nam się wspólnie osiągnąć. No więc jak - pomożecie?" Chóralną odpowiedź, daną przez wierzących raz jeszcze robotników, powtarza do dziś, na kształt motywu popularnej piosenki, czy lepiej gorzkiego, autoironicznego żartu, cały kraj. I na tym powinien kończyć się tekst poświęcony Grudniowi 70 - oczywiście bez późniejszych dygresji - gdyby pisany był przed 14 lutego 1971 roku. Tego dnia właśnie, na spotkaniu z włókniarkami kózkimi, Piotr Jaroszewicz, Jan Szydłak i Józef Tejchma zapytali: "Pomożecie?", a kobiety odpowiedziały zgodnym "NIE!". Nazajutrz, 15 lutego, grudniowe podwyżki cen zostały cofnięte, lecz gazety w swych sprawozdaniach z zebrania pominęły spontaniczny okrzyk robotnic. Koło historii obróciło się do punktu wyjścia. Wtedy to, w niecałe dwa miesiące po krwawych starciach na Wybrzeżu, rozpoczął się raz jeszcze arogancji stopień pierwszy, tyle, że na nowym etapie i w nowym wykonaniu. Zaś jego koniec wszyscy doskonale znamy.

W Sierpniu 1980 roku nie strzelano, choć jest wielce prawdopodobne, iż niektórym członkom najwyższych władz partyjnych i państwowych podobne pomysły chodziły po głowie. Rozmiary, zasięg i stanowczość robotniczego protestu zaskoczyły rządzących, zmusiły do podjęcia negocjacji ze strajkującymi. Nie wypełniło to jednak do końca arogancji władzy, która tylko pozornie okazywała pokorę. Dowody w tej sprawie można mnożyć niemal w nieskończoność. Prewencyjne aresztowanie członków opozycji demokratycznej, represjonowanie osób wspomagających strajki, groźby pod adresem przywódców robotniczych, zmieniające się komisje rządowe o nieokreślonych kompetencjach, prowadzone przez nieodpowiednich, zadufanych w swoich funkcjach i domniemanej pozycji społecznej działaczy.

Identycznie wyglądał okres legalnego działania "Solidarności". Wpisywanie całych paragrafów do statutu Związku, zrywanie rozmów, liczne ataki słowne czynione przez najwyższych rangą funkcjonariuszy partii i państwa, czy wreszcie prowokacja bydgoska. Aż za dużo, by w całej pełni zrozumieć autentyczne intencje władz.

Po 16 miesiącach finał - raczej nieoczekiwany, zadziwiający brutalnością i arogancją właśnie. Wprowadzenie 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego było tragiczną przygrzywką do obchodów kolejnej rocznicy tamtego Grudnia. Mimo zapewnień władz, musiały się połać krew. Raz jeszcze użyto przemocy, zastąpiono język wątpliwego jakościowo dialogu i negocjacji nagą siłą milicyjnych pał i karabinów. Zamordowani górnicy ze Śląska do dziś czekają na swoje krzyże. Czy zostaną one spięte kotwicami nadziei? - odpowie przyszłość.

Podobnie jak w 1970 roku władza uparła się, że wie i potrafi lepiej. Skutkiem takiego przekonania były pękające w

szwach więzienia i obozy internowanych, na cmentarzach w całej niemal Polsce przybyły świeże groby. Zorganizowana przemoc miała zastąpić marzenia o demokracji i dostatniejszym życiu. Rozwiązano niezależne organizacje, próbowano łamać, zmuszać do werbalnej choćby uległości niepokorne sumienia wielu Polaków. "kryta za plastikowymi tarczami i szeregami "scotów" władza chciała dowieść swojej siły i zdecydowania, raz jeszcze - przez nikogo nie prozeczna - zbawić kraj. Arogancja sięgnęła zenitu - można ją porównać jedynie do stalinowskiej nocy terroru. Podobno zdecydowano się wtedy na mniejsze zło. Czy spróbował to ktoś wytłumaczyć rodzinom zastrzelonych górników?

Jak to już wcześniej bywało, podciągnięta do rangi obowiązującego prawa machina represji zacięła się, nie spełniła pokładanych w niej oczekiwań. 13 grudnia rozjaśnił tylko polskie horyzonty - już nie było kłopotu z rozpoznaniem kto jest nasz, a kto obcy, czerwony. Padła jednak szansa zreformowania nierreformowalnego ustroju.

Gdy w kimś upatrujesz swojego wroga i decydujesz się na walkę - zniszcz go, nigdy nie upokarzaj, bowiem upokorzenie można wybaczyć, lecz nigdy się go nie zapomina. Totalitarne rządy mogą wyniszczyć całe narody - historia notuje wiele takich przypadków - jednak w naszej sytuacji szczęśliwie nie wchodzi to w grę. Tak więc stan wojenny był powziętą z arogancji chęcią upokorzenia, policzkiem, napluciem w serca i dusze ludzkie. I również z tego punktu widzenia jawi się jako polityczna grupota, samookaleczenie, które - miał przerazić - tylko utwierdziło społeczeństwo w siusznosci obranej w Sierpniu, a może jeszcze wcześniej, u zarania komunistycznej władzy w Polsce, drogi. Śmieszna i tragiczna zarazem wojna z własnym narodem, krew i łzy, gra pozorów oraz szeroka przepaść, której dna - jak na razie - nie widać.

Już z odległości wielu kilometrów od główek gdańskiego portu, tam, gdzie na tle brudnego, bałtyckiego nieba rysują się sylwetki stoczniowych dźwigów, widać wierzchołki trzech stalowych krzyży, powiązanych ze sobą kotwicami nadziei... Zostały odsłonięte o całe 10 lat za późno, lecz odsłonięte je w przekonaniu, iż nigdy więcej arogancji władzy nie trzeba będzie zmywać robotniczą krwią. Niestety, władza po raz kolejny nie zrozumiała danej jej przez Historię przestrogi.

Andrzej Darski

Jerzy Zamróz

## SZTURMOWA BRYGADA

Kiedy mówi się o Polskim Październiku, nie sposób nie wspomnieć o "Po Prostu". Było to bowiem pismo, które najbardziej odważnie i konsekwentnie wkroczyło w margines swobód, które przyniosła ówczesna "odwilż" i potrafiło ten margines poszerzać, łamiąc, jeden po drugim, kanony obowiązujące prasę w latach pięćdziesiątych.

"Po Prostu" nie było bynajmniej samotne w swoich wysiłkach, ale jakoś tak się działo, że wyprzedzało inne tytuły, zarówno w rejestrowaniu społecznych zjawisk, w demaskowaniu rzeczywistości, jak i w wysuwaniu obejmujących coraz to nowe obszary wniosków.

Rola, którą pismo to spełniało w formułowaniu określonej koncepcji społeczno-politycznej, począwszy od lat bezpośrednio poprzedzających wydarzenia październikowe, po jesień roku 1957, jest bezeporna. Podobne zjawisko już nie powtórzyło się w naszej powojennej historii<sup>x/</sup>. Pismo lansowało odnowę - ruch na rzecz suwerenności, demokracji i praworządności, stało na jej straży i padło wraz z zawiedzionymi nadziejami społeczeństwa.

Zapewne wiele z tego było dziełem historycznego przypadku. Pismo powstało w roku 1947, jako kontynuacja przedwojennego, wileńskiego tygodnika. Ale dopiero po śmierci Stalina i w następstwie tego wydarzenia, ożywienie w środowisku akademickim zgrupowało wokół pisma ciekawą intelektualnie, ambitną i żądną zmian młodzież. Tworzył się nowy zespół redakcyjny, złożony z ludzi niespokojnych, próbujących myśleć samodzielnie.

Niewątpliwie "Po Prostu" było drożdżami, instrumentem przyspieszającym zachodzące w tamtym okresie procesy. Odważnie pokazywało istniejącą rzeczywistość i wskazywało, jak ją zmieniać. Polski Październik wziął swą nazwę od miesiąca, w którym nastąpiła kulminacja wydarzeń, uwieńczonych VIII plenum PZPR i powrotem do władzy Władysława Gomułki. Ale przed Październikiem był Poznański Czerwiec - dramatyczny zryw robotniczego protestu. Przed czerwcem zaś było wiele wydarzeń prostujących polskie drogi. Było rozliczanie z okresu stalinowskiego i poststalinowskiego bezprawia, przywracanie praworządności, rehabilitowanie niewinnie zgładzonych i prześladowanych. Był proces narastania ludzkiego gniewu i narastania nadziei. Klasa robotnicza, całe społeczeństwo odsyskiwało, z własnego nadania, swą podmiotowość. We wszystkich tych procesach zespół "Po Prostu" i wydawane przezeń pismo, odgrywały ważną i inspirującą rolę.

<sup>x/</sup> Z wyjątkiem, być może, "Gazety Krakowskiej" w okresie 15 miesięcy "Solidarności", choć zasięg "Gazety" był, siłą rzeczy, o wiele bardziej ograniczony /red./



"Po Prostu" formułowało swój program w marszu. Początkowo jego główną klientelą była młodzież. Pismo pomagało jej wyrwać się z marazmu i nawoływało, by sama przekształcała swoje życie. Ludzie zgrupowani wokół "Po Prostu" powoływali "grupy rewolucyjne" i Kluby Młodej Inteligencji. Ale, wraz z penetrowaniem rzeczywistości, dostrzegali coraz jaśniej, że nie tylko o młodzież chodzi. Że zasadniczo sprzeczność, to sprzeczność między ukstałtowanym, narzuconym z zewnątrz systemem, a kulturą społeczeństwa i aspiracjami całego narodu.

Ci, którzy przynieśli do Polski realny socjalizm obcego chowu, obiecywali, że będzie więcej chleba i więcej wolności. Rzeczywistość zaś zadawała kłam głoszonym hasłom. Stała się wręcz zbrodnicza. Trzeba było mieć odwagę nie tylko piętnować, ale i wskazywać, co robić, by sytuację zmieniać. "Po Prostu" tę odwagę wykazało.

Idea: nie socjalizm dla ludzi, a socjalizm tworzony przez samych ludzi - stała się myślą przewodnią pisma.

Działac przyszło im nie tylko w burzliwych i trudnych czasach. Również w warunkach, kiedy fronty walki w partii - siłę bądź co bądź wiodącej w tamtych czasach - zaczęły się zamazywać. Gomułka stał się nadzieją, a potem w okresie październikowych wydarzeń - wręcz legendarnym przywódcą z wielkim autorytetem w społeczeństwie. Gomułka miał program idący dalej niż jakakolwiek wówczas grupa w partii. Ale do władzy chciał dojść drogą wewnątrzpartyjnych przetargów i przegrupowań. Do narodu zaś chciał wyjść z proklamowaniem swobód... które ten naród już sam zaczął sobie brać.

Powszechnie sądzono wówczas, że Gomułka i Październik to to samo. Ale to nie było to samo. Gomułka nie identyfikował się z ruchem październikowym. Ruch mas wprost go zaskoczył. Ale stanął na czele tego ruchu. Jak się okazało, również po to, by go skanalizować i spacyfikować. Ale wtedy, kiedy przybyła do Polski delegacja KPZR z Chruszczowem, by przywołać wasali do porządku, nie było alternatywy. Albo Gomułka z jego programem, albo przegrana, a może wariant, który wkrótce skapał we krwi Węgry.

Oni, ci z "Po Prostu", poparli Gomułkę, ale nie chcieli, tak jak on, zatrzymać się w pół drogi. Tym bardziej nie godzili się na odwrót od Października. I musieli popaść w nieuchronny konflikt z partią. Już w styczniu 1957 roku "Po Prostu", jako jedyne pismo, nie poparło apelu Gomułki o głosowanie do sejmu bez skreśleń. Postulowało wybory - nawet w tych ograniczonych, ówczesnych warunkach. To był jeden z kamieni milowych konfliktu zespołu z koncepcjami Gomułki i jego linią odwrotu od Października.

W październiku 1957 r. "Po Prostu" padło, zgilotynowane przez partię. W huku petard, w obłokach gazu łzawiącego, w komocie policyjnych pałek oddziałów atakujących demonstrowających studentów. Wraz z likwidacją "Po Prostu" padły nie tylko społeczne nadzieje. Zaczął się szybki demontaż, zarówno Rad Robotniczych, jak i wszelkich - z takim trudem odbudowywanych - więzi poziomych w społeczeństwie. "Po Prostu" chciało, by ruch październikowy wykształcił własne społeczne struktury. Ale były one dopiero w początkowej fazie rozwoju. Zaś bez nich ruch październikowy nie mógł się obronić...

Po wydarzeniach lat 1970, 1976, 1980, a szczególnie roku 1981, pojawiły się liczne zarzuty, że "Po Prostu" spełniało fałszywą rolę - kłodziło społeczeństwo, że socjalizm jest reformowalny. Ale ci z zespołu, którzy do dziś pozostali wierni swym ideałom, niezmiennie powiadają, że socjalizm nie musi wcale oznaczać "realnego socjalizmu", wyhodowanego na totalistycznej, obcej glebie i przeflancowanego do nas na bagnetach. Przypominają, że socjalizm w Polsce nie zaczynał się od Lenina i nie kończył na KPP. Oni chcieli rozwijać nasze własne, polskie, bogate tradycje autentycznej społecznej lewicy i im właśnie chcą pozostać wierni.

Ale niech mówią - podbeletryzowane nieco i spisane dopiero po latach - fakty. Tak, jak je widzą autorki książki, które nie dane było ukazać się w oficjalnym obiegu.

• • •

Barbara N. Łopieńska, Ewa Szymańska

### ŁUDZIE Z "PO PROSTU"

/fragment/

Tego dnia Jan Olszewski miał wyznaczone kolejne posiedzenie specjalnej komisji do zbadania skandalu wywołanego raportem "Po Prostu" pt. "Błoto i dolary". Ambroziewicz machnął ręką: daj sobie spokój, nikt tam nie przyjdzie w taki dzień. Olszewski pojechał i ku jego zaskoczeniu cała komisja, z generałem na czele, stawiała się na umówioną godzinę i zachowywała jak gdyby nigdy nic. Olszewski pamięta, że w wypadku generała ten spokój go zaskokował. Wymknął się po trzech godzinach i pojechał na Żerań. Dowiedział się, że druga zmiana została na noc. Żałoga była przekonana, że trzeba będzie bronić zakładów. Olszewski sprawdził jeszcze na Pradze kilka adresów, pod które można by jak mówi, przerzucić ludzi z mieszkań i późną nocą dotarł do drukarni na Marszałkowską. Olszewski pamięta, że dyżurny cenzor, całkiem zaniedbując swe obowiązki radził, jak rozmieszczać teksty na kolumnie. Podeszedł do nich uczeń drukarski. - Panie redaktorze, co się dzieje? - Czołgi są na wysokości Łęczycy - powiedział Olszewski. Wtedy chłopak zapytał, a właściwie stwierdził: ci z Żerańia nam chyba pomogą. - Nie kolego, oni nam nie pomogą, nikt nam nie może pomóc. - No to trudno, my się będziemy bili.

- Takie były - mówi Jan Olszewski - nastroje tej nocy.

- Tej nocy, jak pamięta jeden z ówczesnych cenzorów, szef cenzury powiedział wychodząc: macie tu telefon domowy Cyran-kiewicza. Po nocy zniszczyć. A ówczesny kierownik wydziału prasy, agitacji i propagandy Andrzej Werblan oraz jego zastępca do spraw prasy, Mieczysław Rakowski, nie wychodzili z no-cnej placówki cenzury w Domu Słowa Polskiego.

Tej nocy Anna Bratkowska miała, jak mówi, załatwioną metę u Jacka Woszczerowicza. Wolała jednak siedzieć w ZMP na Smolnej, naprzeciwko KC. Gdyby coś zaczęło się dziać, to byłoby widać. Ale w KC nic się nie działo, w każdym razie nic nie było widać. Ktoś na Smolnej nie wytrzymał, wsiadł w jeepa i pojechał na rogatki Warszawy. Opowiadał, że w lasku bielanskim coś się rusza. Ktoś drugi pojechał na Wolę i widział tam

jakąś zbrakaną, bliżej nie określoną jednostkę.

- Nad ranem rozeszliśmy się - mówi Anna Bratkowska - i wielu z nas poszło spać nie do swoich domów. Było umówione, że jeśli się zacznie, zawiąją fabryczne syreny.

W oknach Belwederu wciąż paliło się światło. Jerzy Morawski, wówczas sekretarz KC, pamięta, że siedzieli w gmachu Urzędu Rady Ministrów i czekali na wiadomości. Późnym wieczorem wpadł Roman Zambrowski, który brał udział w rozmowach z delegacją radziecką. Wszystko przeegrane, powiedzieli. Nic z tego nie będzie. A kilka godzin później, jak pamięta Morawski, przyszła wiadomość: dogadali się, odlatują. I pamięta jeszcze, że nieco później Gomułka opowiadał, jak wylewnie i serdecznie się żegnali.

W "Nowych Drogach" z października 56, przechowywanych do dziś w niejednym domu jako rewelacja, można przeczytać m.in. wyjaśnienia Aleksandra Zawadzkiego, jakich udzielił on członkom KC: "... Przebieg dyskusji był partyjny, pryncypialny, nieraz z temperamentem z obu stron, ale z intencją niewątpliwie najlepszą i mającą na celu wyjaśnienie podstawowych zagadnień zarówno łączących nas stosunków, jak i patrzenia przez kierownictwa naszych partii na sytuację, na stosunki między naszymi krajami i teraz i na przyszłość, na sytuację międzynarodową..." To wszystko. Rozmowy w Belwederze pozostały nieznane. Więc spekulacje trwają do dziś.

Flora Lewis w książce pt. "A Case History of Hope", wydanej w USA w 1968 roku, przytacza fragmenty rozmów między obiema delegacjami. Czy rzeczywiście padły takie właśnie słowa - nie wiadomo. Według niej Chruszczow mówił: "To nie demokratyzacja - to anarchia. Tego się nie da opanować. Musicie to zatrzymać". Gomułka reagował gorąco i spontanicznie. "Będę musiał porozmawiać z narodem. Powiem przez radio, co mam do powiedzenia".

No, ale nie będą nam cudzoziemcy mówić, co się działo w przerwie naszego plenum. W każdym razie radio w pewnym momencie rzeczywiście dostało cynk, żeby przygotować się do bezpośredniej transmisji. Transmisja nie odbyła się i tylko Gomułka wie, co miał wtedy do powiedzenia.

A my, jak dotąd, nie wiemy nawet, jak to było naprawdę z tymi ruchami wojsk. Trzy dni po VIII Plenum Gomułka uspokajał na Placu Defilad ludność Warszawy, mówiąc, że otrzymał od Chruszczowa zapewnienie: wojska radzieckie wrócą w ciągu dwóch dni do swoich miejsc stacjonowania.

W "Nowych Drogach" ze stenogramem z VIII Plenum, który ludzie czytali z zapartym tchem, minister obrony narodowej, marszałek Rokossowski, mówił, że to były tylko jesienne manewry. Ale znowu Ryszard Turcki pamięta, że na jednej z zamkniętych narad Gomułka wspominał o odszkodowaniach uzyskanych od strony radzieckiej za pola uprząwane zniszczone przez czołgi. A co do wojsk polskich, czyli tych kilku kolumn czołgów, które, jak mówił na VIII Plenum Artur Starewicz, szły w kierunku Warszawy: "Towarzystwo wie, że - wyjaśniał Rokossowski - że jest to okres, kiedy wojska przeprowadzają ćwiczenia taktyczne, bo już skończyły się ćwiczenia kompanijne, batalionowe, pułkowe, a teraz dywizje ćwiczą na obozach i poza obozami, gdyż teren obozów jest za mały". I dalej: "Nie wolno, nie mamy prawa podejrzewać Wojska Polskiego o to, że mogło ono być wykorzystane przeciwko rządowi albo partii. Nie mamy takich żołnierzy. Żołnierze składają przysięgę na wierność władzy ludowej i rządowi RP. Swojej przysiędze pozostaną wierni do końca".



Rankiem 20 października, drugiego dnia plenum, Warszawę obiegła wieść, że delegacja radziecka odleciała. Jan Olszewski pamięta, że wtedy dopiero po dwa nieprzespanych nocach poczuł się cholernie zmęczony. Pamięta niepowtarzalne uczucie wielkiej wygranej. Zwycięstwo Gomułki wydawało się przesądzone. Olszewski poszedł spać i obudził się, kiedy przez radio szło przemówienie.

O tym przemówieniu ludzie z "Po Frostu" mówili potem, że coś niebywałego, kiedy słuchali radia wydawało im się, że Gomułka mówi językiem ich publicystyki. Zartowali, że tego jeszcze nie było, aby pierwszy sekretarz zapożyczał sformułowania z radykalnej prasy.

Przemówienie Władysława Gomułki na VIII Plenum było najostrejszą krytyką stalinizmu, wygłoszoną kiedykolwiek z oficjalnej trybuny. Ale, jak mówi Władysław Bienkowski, wówczas jego bliski doradca, cały dowcip polegał na tym, że to było przemówienie polityka będącego jeszcze w opozycji do władzy.

W czasie gdy radio nadawało przemówienie Gomułki, w Politechnice nadal trwał wielki, tego dnia już 20-tysięczny wiec. Wiece odbywały się na wszystkich uczelniach i w wielu zakładach, ale żaden nie był tak burzliwy, jak ten w Politechnice.

- Histeryczny, gniewny - mówi Bratkowska. - Wiec ludzi złych i rozdrażnionych. Nie podniosły, jak stocznia w sierpniu, lecz agresywny.

Przemówienia leciały ciurkiem, kto chciał, wchodził na trybunę i mówił. A było do omówienia wszystko - od krzywd minionego okresu, do wołania o samorząd, demokrację i suwerenność. Byli też mówcy, którzy krzywozeli: trzeba się uformować w czwórki i iść pod KC.

Elżbieta Lasota, naczelny "Po Frostu", już rano czuł, że aby uniknąć tragedii trzeba, jak mówi, znaleźć formę przeniesienia do KC tego, co dzieje się na wiecu. Poinformował do KC powiadzić, że jego zdaniem kierownictwo partii powinno być przygotowane na przyjęcie delegacji. Trafiał na Witolda Jarozińskiego, sekretarza KC: towarzyszu Lasota, powiedział Jaroziński, czy w sobie wyobrażacie, że plenum KC będzie obradowało pod naciskiem ulicy?

A w tych dniach "ulica", jak mówi Anna Bratkowska, wyszła z marazmu w świat wielkich emocji. Największe emocje wyzwalały się w auli Głównej Politechniki Warszawskiej. Za trybuną stał aktywny Żerania, Róży Luksemburg, Kasprzak - taka ówczesna struktura poziomu oraz przedstawiciele Komitetu Warszawskiego, którzy w ostatnich tygodniach tym strukturom sprzyjali. Co by nie mówiono o stalinowskiej przeszłości i sekretarza KW, Stefana Staszewskiego, faktem jest, że cały komitet, łącznie ze swoim szefem, odegrał w Październiku rolę, której obyczaj partyjny tamtych czasów nie przewidywał. Na wiecach instancja bratała się z narodem. W artykule pt. "Komuniści Warszawy" "Po Frostu" pisało ze szczerym entuzjazmem: "Komuniści warszawscy - przede wszystkim organizacje partyjne zakładów pracy i instytucji oraz aktywiści warszawskiego komitetu partii - bez poleceń "odgórnych", bez szeregówym instytucji i wytycznych, bez ogładania się na koniunkturę polityczną określonych działaczy natolińskich, którzy - bądź co bądź - mieli w swym reku siłę militarną, w chwili kiedy jeszcze nieznany był wynik plenum, potrafili stanąć na czele mas i organizować społeczeństwo Warszawy w określonym politycznym kierunku. Komuniści warszawscy zagrali vabanque".

Potem ludzie z "Po Prostu", kiedy już ochłonęli, mieli sobie trochę za złe tę gorliwą pochwałę instancji. To nie uchodziło pismu, którego naczelną dewizą było, jak utrzymują do dziś, niewiązanie się z żadną grupą, żadną frakcją. Bo, kto wie, o co grają ci na wysokich szczeblach, kiedy idą va banque.

Ale 20 października, drugiego dnia VIII Plenum, podczas wiecu na Politechnice, nikt się nad takimi rzeczami nie zastanawiał. Liczyło się jedno: wygrać Październik. A wygrać Październik to w tych dniach znaczyło doprowadzić do władzy Gomułkę. I nikt już - również ludzie z "Po Prostu" - nie zastanawiał się nad tym, czy jest on, czy też nie jest, odpowiednim przywódcą na okres demokratyzacji. I tak to w tych dniach wielkiego zagrożenia wszystko się uprościło.

Wszystko się uprościło i zebrany na wiecach ludziom potrzebne były proste słowa. Do prostych wiecowych słów największy talent miał Lechosław Goździk. "Wasz Goździk, to nasz Goździk" pisali robotnicy z różnych fabryk na transparentach.

Ten Goździk, jak pamięta Anna Bratkowska, ze swoim wyglądem filmowego amanta, w płaszczu z podniesionym kołnierzem. Miał za sobą cały mit klasy robotniczej i żadnych kompleksów. Kiedy w auli Politechniki sytuacja stawała się zapalna i zdawało się, nic już nie powstrzyma młodzieży przed wyjściem na ulicę, wtedy mikrofon brał Goździk i mówił mniej więcej tak: myśmy się nad tym zastanawiali na Żeraniu i doszliśmy do wniosku, że nie ta forma. I to natychmiast skutkowało. Po trzech nieprzespanych nocach Goździk nie dawał już rady stać za trybuną. Anna Bratkowska pamięta, że spał na stojąco w małym korytarzyku na pierwszym piętrze, tam gdzie krużganki, a ona go podtrzymywała. Kiedy był potrzebny, szturchała go i Goździk natychmiast znajdował te trzy zdania, na które czekał wiec.

To było fascynujące - mówi Anna Bratkowska. - Mogłabym go tak podtrzymywać jeszcze trzy tygodnie.

Słowa się zapomina, magnetofonów nie było, pozostało jej w pamięci wrażenie, że Goździk po prostu mówił to, co myślał. Anna Bratkowska, dziś zastępca naczelnego "Kulis" /tekst był pisany przed stanem wojennym, w r. 1981 - przyp. red./, zastanawia się właśnie nad artykułem o Październiku. Przejrzała wszystkie codziennych gazet, znalazła projekty samorządu FSO i jest tam wszystko, łącznie z punktem, że samorząd wybiera dyrektora.

- No i czy można nam się dziwić - mówi - że chorujemy trochę wszyscy na "déjà vu"?

Wtedy ludzie z "Po Prostu" przeżywali swoje wielkie dni. Lasota był w euforii. Drugiego dnia Plenum wiec na Politechnice wybrał go przewodniczącym delegacji, która udała się do KC z plikiem rezolucji. Przyjęli ich: Gomułka, Zawadzki, Cyraniewicz i Ochab. Czy była przerwa w obradach plenum, czy może wiedzieli, że jedzie delegacja z wiecu - Lasota nie wie. W każdym razie zostali przyjęci natychmiast. W papierach Lasoty zachowało się zdjęcie, jak ożywiony i zrelaksowany Gomułka pokazuje Ochabowi maszynopis z trścią rezolucji.

Wrócili na wiec, bo wiec czekał na odpowiedź.

- Wygłosiłem płomienne przemówienie - mówi Lasota. Nie wiem, co tam mówiłem, nie pamiętam, ale wszystko, co mówił Gomułka, przekazałem.

Pisało o tym "Życie Warszawy" następnego dnia: "Gdy spytano, między innymi, jaka jest rękojmia utrwalenia i rozwijania obecnych przemian, Władysław Gomułka odparł, że w wielkiej mierze zależy to właśnie od powagi i aktywności ludu warszawskiego."

Zdanie to spotkało się z ogromnym aplauzem wiecu... Władysław Gomułka podkreśla, że kierownictwo partii, realizując program dalszej demokratyzacji życia w naszym kraju i władząc jedną gwarancją wypełnienia tego programu w wężu z klasą robotniczą, pójdzie do mas i ujawni przed nimi najboleśniejszą prawdę. Władysław Gomułka podkreśla parokrotnie, że programowi demokratyzacji towarzyszyć będzie jawność życia politycznego!

W czasie gdy Lasota relacjonował na wiecu przebieg spotkania z kierownictwem partii, Tadeusz Jaszczuk, dziennikarz "Po Prostu", pisał na kolanie komentarz dla Warszawskiej Fali, bo Fali bardzo zależało, żeby komentarz wygłosił właśnie ktoś z "Po Prostu". "Dziwna rzecz - pisał na kolanie Jaszczuk - mimo iż każda z rezolucji redagowana była w innym miejscu i czasie, podstawowe ich punkty pokrywały się ze sobą".

"Żądamy pełnej jawności życia politycznego i gospodarczego" - odczytuje dziś Jaszczuk pierwszy punkt ze swojej zabazgrołonej ołówkiem kartki.

"Wyciągnięcie konsekwencji i poinformowanie o tym społeczeństwa - poparcia samorządów robotniczych".

"Pełnej demokratyzacji" - czyta Jaszczuk i przy tych samorzędach i demokratyzacji głos mu się łamie. Rzuci kartki, na których zostały jeszcze punkty: "swobody działania prasy i radia - suwerenności i wyboru własnej drogi do socjalizmu, zgodnej ze specyfiką każdego z krajów, oraz opartej na równorzędności każdego z partnerów i wzajemnym poszanowaniu - przyjaźni do Związku Radzieckiego".

W niedzielę wieczorem, trzeciego i ostatniego dnia plenum, warszawskie drukarnie otrzymały listę nowych członków Biura Politycznego.

- Wyszliśmy pijani z redakcji - mówi Anna Bratkowska. - Słiszy dużą grupą i pamiętam, że usiłowaliśmy r budki na placu Trzech Krzyży dodzwonić się do naszego "ulubieńca", generała Witaszewskiego-gazurki.

Roman Zimand, Krzysztof Pomian i jeszcze paru bawili się w kolporterów nadzwyczajnego dodatku "Trybuny Ludu". Ludzie wybiegali z mieszkań, przez całą noc czynne były warszawskie kawiarnie, na Foksal szalało z radości towarzystwo w SDP. Ryszard Turski udał się spokojnie do domu, aby w wielkim, otwierającym kolejnym numer "Po Prostu" artykuł, pt. "Polski Październik", wyłożył sens fetowanego tej nocy zwycięstwa: "Co się stało w naszym kraju? Mówiąc najprościej i najjaśniej trzeba chyba stwierdzić, że dokonała się u nas po prostu rewolucja... Wydarzeniom październikowym nadaje szczególnie rewolucyjny charakter to właśnie, że doniosła, jeśli nawet nie wręcz decydującą rolę, odegrali w nich robotnicy, studenci. Nie były pałacową imprezą, miały charakter jak najbardziej plebejskiego ruchu społecznego, kierwanego przez najbardziej konsekwentnych, ideowych członków partii - komunistów... Jedno wydaje się niewątpliwe. Tego ogromnego ruchu, tych sił, które wyzwoliły się w narodzie - nie wolno zaprzepaścić".

- To było wielkie, niezapomniane przeżycie - mówi Jerzy Morawski, jeden z tych, którzy przyjmowali w KC delegacje z całej Polski. - Gmach KC był jakby okupowany przez ludzi odelegowanych z fabryk, uczelni, z jednostek wojskowych, aby zadeklarować poparcie.

Na wezbranej Fali uczuć nrodowych wyzwalały się również siły, które, jak głosili nowi przywódcy, i jak się wtedy wydawało ludziom z "Po Prostu", stanowiły zagrożenie dla Października. Dlatego nie odmawiali, gdy KC zwracało się do re-



sakcji, żeby "dać pomoc na wiece", które wciąż odbywały się w całej Polsce. Janusz Kuczyński, 26-letni wówczas dziennikarz "Po Prostu", pojechał w charakterze "pomocy" z Adamem Schaffem do Lublina, a na jeden z najbardziej burzliwych wieców, w Gdyni, oddelegowano Eligiusza Lasotę. Prośba KC brzmiała: lecieć natychmiast samolotem.

- Gomułka - mówi Lasota - był zajęty i przekazał przez Morawskiego, że mnie upoważnia, abym powiedział na wiecu w Gdyni, że rozmawiałem z towarzyszem Wiesławem osobiście. Żebym przekazał główne tezy polityczne i powiedział, że procesy poznańskie będą zrewidowane, a Wyszyński uwolniony z aresztu.

Na gońcówskim lotnisku czekały już dwa samoloty. Jedną dla Lasoty, drugi dla zastępcy Goździka - Zuzankiewicza. Na lotnisku w Gdańsku czekały już dwa samochody milicyjne i eskorta.

- Na świątkach i syrenie polecieliśmy do Gdyni.

A tam na trybunie stał właśnie oficer w mundurze komandora marynarki wojennej, który wzywał, żeby wiec udał się pocnodem pod konsulát ZSRR. Lasota wpadł na trybunę i powiedział: przysyła mnie tow. Gomułka, który zapewnia, że nowe kier. wnictwo partyjne już przystąpiło do działania. Tłum zaczął śpiewać "Jeszcze Polska nie zginęła", a Lasota mówił dalej o konieczności demokratyzacji, no i, oczywiście, nawoływał do spokoju i pracy.

- Typowe wiecowe przemówienie w październikowym duchu - mówi Lasota.

Byli dumni i szczęśliwi, że popularność i zaufanie, jakim się cieszyło "Po Prostu", okazywały się potrzebne nowemu kierownictwu. Od Piasta i Rzepichy żądet przywódca nie wzbudził takich nadziei, jak Gomułka. Ta ogólnonarodowa euforia, że jak przyjdzie Gomułka, wszystko będzie dobrze, porwała również ludzi z "Po Prostu".

No, może to nie jest ten najlepszy styl, pomyślał Jan Olszewski. Kiedy usłyszał: "Niech każdy przy swoim warsztacie wykaże wierność i oddanie Polsce Ludowej". Tak mówił Władysław Gomułka do prawie półmilionowej publiczności, zgromadzonej trzeciego dnia po zakończeniu plenum, na Placu Defilad. To nie jest styl - myślał Olszewski - który dorasta do sytuacji.

No, może trudno jest rozstać się ze starymi numerami, mówili, kiedy przeczytali następnego dnia w "Życiu Warszawy" notatkę pt. "Nieodpowiedzialne wybryki", a szło w niej o srontaniczny, młodzieżowy pochód, który po wiecu na placu Defilad przeszedł Nowym Światem, skandując: "Precz z Rokossowskim, uwolnić Wyszyńskiego".

Po redakcji chodził naburmuszony Roman Zimani. Chodził i powtarzał: jeszcze nie wiecie, jak będziecie płakać. To, jak pamiętają, było nie do wytrzymania. Wirpsza nie wytrzymał i wrzasnął: Ty... ty... ty... pierdłona kasandro!

Barbara N. Kopieńska

Ewa Ozymanska

Andrzej Julicki

## O KSZTAŁT REFORMY

Konflikt społeczno-polityczny w Polsce, a więc ostra konfrontacja między rządzącymi a rządzonymi, nie powstał ani bezpośrednio przed Sierpniem 1980, ani też później, w ciągu 500 dni "Solidarności". On istniał z a w s z e, od początku powstania PRL! Jego geneza to brak akceptacji ze strony społeczeństwa dla modelu "z importu", dla brutalnych metod rządzenia, dla arogancji i ignorancji aparatu. U najważniejszych źródeł konfliktu znajduje się zatem b r a k i d e n t y f i k a c j i klasy robotniczej, chłopstwa, młodzieży i całego /poza pewnym marginesem, wynoszącym 3-5 proc./ społeczeństwa z państwem "dyktatury n a d p r o l e t a r i a t s m".

### W PRZEDEDNIU ZJAZDU "SOLIDARNOŚCI"

Przypomnijmy, gwoli lepszemu oddania klimatu politycznego w Polsce w końcu 1981 r., że w skrytych "21 postulatach" Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku z sierpnia 1980 r. punkt pierwszy głosi: "Akceptacja niezależnych od partii i pracodawców, wolnych związków zawodowych, wynikających z ratyfikowanej przez PRL Konwencji nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy".

Oprócz postulatów dotyczących prawa do strajku, wolności słowa, przywrócenia do pracy zwolnionych po konfliktach w 1970 r. i w 1976 r., w punkcie 6 czytamy: "Podjąć realne działania w celu wyrowadzenia kraju z sytuacji kryzysowej poprzez: podawanie publicznie pełnej informacji o sytuacji społeczno-gospodarczej i umożliwienie wszystkim uczestniczenie w dyskusji nad programem reform".

W przededniu Zjazdu "Solidarności", a więc już po IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR, którego uchwały, wbrew oczekiwaniom, nie wpłynęły na poprawę sytuacji społeczno-politycznej, nie mówiąc już o gospodarczej, atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. "Solidarność" oskarżała władze o niedotrzymanie zobowiązań przyjętych przez rząd w Porozumieniach z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia. Natomiast premier i członkowie jego ekipy mówili o "dobrej woli" i bezradnie rozkładali ręce, bądź wysuwali oskarżenia pod adresem "Solidarności".

W tym miejscu potrzeba choć kilku zdań na temat osoby nowego wówczas premiera - gen. Wojciecha Jastrzębskiego, łączącego również /a może przede wszystkim/ z tym urzędem funkcję I sekretarza KC i ministra Obrony Narodowej, a także funkcję /bliżej niesprecyzowaną/ w ramach Układu Warszawskiego. Niewątpliwie, pod względem charakterologicznym różnił się on.

/raczej na korzyść/ od swoich niefortunnych poprzedników: Piotra Jaroszewicza, Edwarda Babiucha i Józefa Pińkowskiego.

Od czasów Stalina istnieje też pewien mit o szczególnej jakoby roli Pierwszego /Generalnego/ Sekretarza partii. Tymczasem trzeba wyraźnie powiedzieć, że wszyscy sekretarze, od Władysława Gomułki począwszy /Bierut był zwyčajnym funkcjonariuszem Kominternu i NKWD/, byli i są zakładnikami w rękach aparatu i aparatczyków. Wojciech Jaruzelski jest zaś p o t r ó - j n y m z a k ł a d n i k i e m : - aparatu - swoich generałów - generałów sowieckich w ramach Paktu Warszawskiego.

Jaruzelski, od chwili skumulowania w swym ręku kluczowych stanowisk w kraju, mówił wiele i w sposób przejmujący, rzucał apele i składał przyrzeczenia i nie tu jest miejsce na analizę jego postawy, jego szczerości bądź jej braku; ważne jest to, że w tym samym czasie aparat uprawiał obstrukcję i s a b o - t o w a ł k r u c h e porozumienie rządzących z rządzonymi...

To prawda, że "Solidarność" nie wypracowała /do chwili swego zjazdu/ konkretnego programu reform gospodarczych, a liczne wypowiedzi jej przywódców były mało precyzyjne, a niekiedy wręcz bałamutne, jako że ich cechą szczególną była fragmentaryczność. Ale zapytajmy jeszcze raz: czy "Solidarność" była powołana do reformowania gospodarki w sensie najbardziej dosłownym?

W kierownictwie Związku, w gronie jego doradców, nie brakowało oczywiście świadomości, że sytuacja kraju jest niezwykle groźna, że ten okręt zaczyna tonąć. Członyw opozycjonista za czasów Gomułki i Gierka, Jacek Kuroń, twierdził:

"Ponieważ "Solidarność" nie może organizować nowego systemu, a musi on być organizowany przez społeczeństwo, trzeba budować nową organizację do rządzenia, ale nie ma być to partia, lecz ruch samorządów, który będzie organizacją do rządzenia gospodarką, przedsiębiorstwem, regionem. Walka o samorząd musi się stać dla nas podstawową walką. I chodzi tu o taki samorząd, który by programem swoim na dziś uoczy- nił wychodzenie z kryzysu. Poprawa gospodarki rolnej - to dzieło dla ruchów samorządów, a nie rządu, które- rego praktycznie nie ma".

To fakt, że "Solidarność" nie miała programu reformy gospodarczej. Lecz nie miał programu również i rząd! A to, co władze usiłowały sprzedać jako program, pozostawało li tylko ególnikowym opisem, powierzchowną analizą, rejestrem pobożnych życzeń, nikogo nie obowiązujących.

Tę dotkliwą lukę próbowali uzupełnić niezależni naukowcy /niekiedy dość ściśle związani lub sympatyzujący z "Solidarno- ścią". M.in. powstały wówczas pewne interesujące propozycje w Szkole Głównej Planowania i Statystyki oraz w Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu.

Dość szeroki rezonans zyskał "Scenariusz Zespołu 9", którego promotorem był Stefan Bratkowski, szef "Życia i Nowoczesności" oraz prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

"Scenariusz Zespołu 9 w sprawie przedsięwzięć i kroków, które, jak sądzimy, są niezbędne dla przeciwdziałania dalszemu rozkładowi gospodarki narodowej i zapobieżenia katastrofie społeczno-gospodarczej oraz wyjścia z kryzysu" - tak brzmiała



pełna /nieco przydługa/ nazwa tego dokumentu, którego oryginalność polegała m.in. na propozycji: przejścia od stanu do stanu /jest to termin techniczny/; na ukazaniu tego, czego najbardziej skoncentrowany wysiłek aparatu administracyjnego nie może załatwić i co musi wziąć na siebie społeczeństwo.

Scenariusz uwzględniał przede wszystkim przedsięwzięcia i n f r a k r ó t k i e i k r ó t k o o k r e s o w e, tj. obliczone na tygodnie prac żniwnych, wykopków i miesiące szczytu jesienno-zimowego w transporcie, energetyce, ogrzewnictwie; dotyczył zatem działań realizowanych pod presją wyścigu, jaki społeczeństwo musiało ponieść z niebezpieczeństwem głodu, zima i niepewnego jutra. Scenariusz ten nie przekreślał długofalowego programu stabilizacji, przedstawionego przez rząd, jakkolwiek różnił się od niego w wielu szczegółach, zwłaszcza podejściem do problemów i proponowanymi rozkożeniami zadań w czasie.

Autorzy "Scenariusza" wyhodzili z założenia, że istnieją trzy podstawowe kompleksy: kompleks węgla i energii elektrycznej; kompleks żywności; kompleks efektywnych inicjatyw, które stanowią s i ł ę n o ś n ą uchronienia kraju przed katastrofą i stworzenia przesłanek dla poprawy sytuacji gospodarczej. Gwoli uzupełnienia - trzeci kompleks to była d r o b n a w y t w ó r c z o ś ć i działy obsługujące gospodarstwa domowe, które mogły niemal natychmiast wpłynąć na zwiększoną podaż towarów i usług na rynku.

"Scenariusz" zakładał: ograniczenie produkcji stali /do 14 mln ton/; cementu /do 14 mln ton/; reglamentację energii elektrycznej /m.in. kryterium zobowiązań eksportowych, bądź przydziały na zasadzie przetargu i cen negocjowanych/. Proponując z a s a d ę p r e f e r e n c j i w dostawach dla potrzeb produkcji dla przedsiębiorstw wchodzących w rejestr wymienionych trzech kompleksów, przewidywał on zarazem p r z e r w a n i e p r o d u k c j i w okresie jesienno-zimowym w innych zakładach, bądź p r z e s t a w i e n i e p r o d u k c j i dla potrzeb kompleksu żywnościowego lub gospodarstw domowych.

"Scenariusz" zakładał także powołanie /pod dowolną nazwą/ z a r z ą d u g o s p o d a r c z e g o, coś w rodzaju 4-5-osobowego dyrektoriatu czy też komisariatu w ramach lub przy Radzie Ministrów, składającego się z n i e z a l e ż n y c h m e n a d ź e r ó w, którzy nie byłiby związani z żadnym lobby.

Na uwagę zasługiwały propozycje dotyczące podjęcia szybkich prac nad uregulowaniem zarządzania handlem zagranicznym i radykalnym zmniejszeniem wolumenu inwestycji oraz przyjęcia w trybie pilnym zasady, że przedsiębiorstwa osiągające dodatnie saldo w handlu zagranicznym mają prawo do określonego /różnicowanego zależnie od branży/ odpisu dewizowego i pełne prawo korzystania z niego.

Szczególne podkreślenia wart był następujący postulat: "Uregulowanie całego systemu bankowego w najbliższym czasie, ponieważ bez takiego systemu uruchomienie mechanizmów ekonomicznych, a zatem reformy gospodarczej, stanie się fikcją".

"Scenariusz" zawierał 6 aneksów, stanowiących uszczegółowienie zasadniczych postulatów i propozycji. Autorzy "Scenariusza" /4 doświadczonych menadżerów, 4 specjalistów od za-

rządzenia, w tym członkowie partii i działacze katoliccy/, stwierdzając, że NSZZ "Solidarność" jest "czołową siłą społeczną", jednocześnie nie poskąpili jej ostrych uwag krytycznych. Apelowali jednocześnie, by wszyscy działacze regionalni i lokalni "Solidarności" przedłożyli interes narodu nad własne interesy i ambicje, i spróbowali sprawdzić swe zdolności nie tylko w demonstracjach siły, ale i gospodarczej inicjatywy.

### FOD KRYPTONIMEM "SIEĆ"

Ruch, który otrzymał nazwę "Sieć", stanowi jeszcze jeden, bodajże najwymowniejszy, dowód spontanicznego charakteru wielu inicjatyw społecznych, podejmowanych w Polsce po Sierpniu 80. Stąd pewna trudność definicji tego zjawiska. Niemniej, można pokusić się o następujące ujęcie: "Sieć - to ruch samorządów, stanowiący kontynuację rewolucji związkowej, w wyniku której powstała "Solidarność".

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że "Sieć" powstała jako nurt "Solidarności", z inicjatywy działaczy związkowych /choć nie wyłącznie/, a jednocześnie władze NSZZ "Solidarność", w postaci Krajowej Komisji Porozumiewawczej, nie inspirowały bezpośrednio tego ruchu, a nawet zachowywały wobec niego stanowisko powściągliwe. Nie tu miejsce na rozstrząsanie problemu, dlaczego było tak, a nie inaczej. Czeszta, jak się wydaje, ani wówczas, kiedy "Sieć" powstała, ani obecnie, kiedy "Solidarność" jest zdelegalizowana, zaś samorządy w zakładach pracy wiodą żywot godny pożakowania, trudno by odpowiedzieć na to pytanie. Wszak wszystko to działo się w warunkach wyjątkowych, w zawrotnym tempie, gdy całość, jak się okazało, zmierzsza - z wyroków losu i podstępów władz państwowych - ku katastrofie.

Mówiąc o ruchu "Sieci", a więc o ruchu samorządowym w czołowych przedsiębiorstwach /głównie przemysłowych/, należy uzmysłowić sobie, że tradycja samorządu w Polsce ma zapisaną bogatą kartę. W jednej z publicznych dyskusji na temat "Sieci" stwierdzono m.in.:

"... odbierając nam władzę, przez 55 lat państwo druzgotało punkt po punkcie wszystkie istniejące samorządy, które zesmy odziedziczyli z lat międzywojennych /.../ Warszawska Spółdzielnia Mieszkańcowa, "Spółem", zaopatrzenia... przecież to wszystko prawie było w rękach robotniczych i zostało zabrane. I nie ma tu, nie ma żadnej między związkami zawodowymi a samorządem sprzeczności /.../ Jeżeli Krajowa Komisja Porozumiewawcza nie włączy się, to przegra. Czy to będzie Wałęsa, czy nie Wałęsa - przegra. Po tylko przez samorząd związek zawodowy może naprawdę działać. A nie przez rchwały i protesty...".

I jeszcze jedna znamienita uwaga:

"Aktywna część społeczeństwa polskiego, a więc szlachetnie, widzi swoją szansę w zniszczeniu ograniczeń w zakresie decydowania o sobie".

Trudno nawet powiedzieć dokładnie: gdzie, kiedy i w jakim zakładzie została powołany pierwszy samorząd po Sierpniu 1980. Niemniej jednak, można powołać się na opracowanie pt. "Taktyka i strategia działania sieci" z drugiej połowy 1981 roku, w któ-

rym podkreśla się:

"Sieć powstała z inicjatywy Komisji Zakładowej NSZZ "Solidarność" Stoczni Gdańskiej jako wyraz zapotrzebowania załóg pracowniczych do wzajemnych roboczych kontaktów i wymiany doświadczeń w działalności związkowej. Za datę powstania Sieci można przyjąć 18 marca 1981 r., gdy Komisja Zakładowa WSK PZL Rzeszów przyjęła propozycję Stoczni Gdańskiej...".

W każdym bądź razie, w lipcu 1981 roku na Zjeździe Samorządów Zakładów, który odbył się w Gdańsku, ruch był reprezentowany przez przedstawicieli ok. 1000 zakładów produkcyjnych! Należy przy tym zaznaczyć, że nie było liczącego się przedsiębiorstwa w kraju, które pozostawałoby poza zasięgiem Sieci.

Jak się rzekło, samorzady powstawały żywiołowo, ale niemal natychmiast wykonały się inicjatywy koordynacyjne, m.in. w Gdańsku, Elblągu, Rzeszowie, Zielonej Górze, we Wrocławiu i innych miastach oraz regionach.

Ruch "Sieci" odbył kilka ogólnokrajowych zjazdów m.in. w Gdańsku, Katowicach, Białymstoku. Ten ostatni miał miejsce w listopadzie 1981 r., a więc tuż przed zamachem stanu Jaruzelskiego.

Pierwsze dyskusje już to w zakładach pracy, już to w regionach bądź na forum ogólnokrajowym, koncentrowały się na reformie gospodarczej oraz na projektach ustaw o przedsiębiorstwie państwowym i samorządzie. Raz po raz wyznaczała się też sprawa powołania Izby Samorządowej jako drugiej izby Sejmu PRL.

Postronnego obserwatora mogą dziwić gorące dyskusje wokół takiego punktu ustaw o przedsiębiorstwie i samorządzie, jak kwestia powołania i roli dyrektora w przedsiębiorstwie. Była to wszakże sprawa kardynalna. W dotychczasowej praktyce, zapożyczona żywcem z doświadczeń sowieckich, dyrektor pochodził z tzw. "nomenklatury", czyli figuruje w odpowiednim rejestrze centralnym/bądź regionalnym/ i jest, jak to się mówi, "przywożony w teczce". Natomiast w skali kraju funkcjonuje tzw. "karuzela", na której kręcą się, w zasadzie, po wasze czasy "urodzeni dyrektorzy". Są to na ogół ludzie o miernych kwalifikacjach zawodowych, lecz posiadający "piękną kartę partyjną". Można nie mieć odpowiednich kwalifikacji, ale wystarczyć dostać się do "nomenklatury", a więc wsiąść na "karuzelę" i reszta działa s i - ż a i n e r o j i... Przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem PZPR o f i c j a l n i e stwierdzono, że zaledwie 10 proc. pracowników aparatu partyjnego pracowało w wyuczonym zawodzie! Ale ci sami aparatczycy obejmowali w ramach "karuzeli" kierownicze stanowiska w przemyśle i w innych dziedzinach gospodarki, załogi zaś nikt nigdy z zdanie nie pytał.

Twórcy samorządów rozumowali logicznie: skoro ma być reforma gospodarcza, wsparta na filarach ustawy o samodzielnym przedsiębiorstwie i ustawy o samorządzie, skoro przedsiębiorstwo ma być jednostką samofinansującą się - to dlaczego załoga musi akceptować dyrektora "z teczki"? Osobnika, którego niekiedy jedyną "zaletą" był długi staż partyjny w aparacie lub nawet w przemyśle, ale w zakładach niejako przypadkowych?



Twórcy "Sieci" w regionach podejmowali liczne rozmowy z posłami na Sejm PRL, próbując w miarę dokładnie przedstawić opinie kolektywów robotniczych na temat kształtu i treści projektów wspomnianych ustaw. Podejmowano również próby montowania grup inicjatywnych, składających się z posłów poszczególnych regionów. Były to próby niekiedy nawet udane, niektórzy bowiem posłowie wykazywali zrozumienie dla stanowiska związkowców - twórców samorządu.

Działacze "Solidarności" bynajmniej nie negowali roli państwa lub jego organów przedstawicielskich bądź wykonawczych. Podkreślali oni w rozmaitych wystąpieniach, że państwo ma zajmować się s t r a t e g i c z n y m i funkcjami kierowania gospodarką, natomiast przedsiębiorstwo powinno być d o m e n a s a m o r z ą d u.

Jeżeli chodzi o stanowisko władz i aparatu partyjnego wobec koncepcji i pierwszych kroków "Sieci", to, jak się wydaje, oficjalnie nigdy i nigdzie /przed stanem wojennym/ nie zostało ono zaprezentowane. Ale tu i ówdzie zwracano uwagę, że: "Proponowany przez "Sieć" model samorządu, który m.in. zakłada całkowite przejście majątku przedsiębiorstwa przez załogę, jest sprzeczny z obowiązującymi zasadami ustrojowymi...". Taką opinię znalazł można m.in. w materiałach z dyskusji na naradzie sekretarzy partyjnych województwa elbląskiego oraz w niektórych enuncjacjach prasowych, inspirowanych przez "centrum", które wówczas wolało nie ujawniać swoich rzeczywistych poglądów na tak doniosłe sprawy. Przecież to właśnie było g ł ó w n e p o l e w a l k i: samodzielność przedsiębiorstw /rzeczywista, nie zaś fikcyjna/, oparta na samorządzie pracowniczym, nie kontrolowanym przez aparat partyjny, w warunkach ponoszenia przez przedsiębiorstwo pełnej odpowiedzialności ekonomicznej, a do tego jeszcze koncepcje poszerzenia, a właściwie zmiany struktury Sejmu. Miało to wyglądać tak:

"Sejm winien być parlamentem dwuizbowym:

- a/ Izba poselska o kompetencjach stanowiących sprawy polityki zagranicznej, obronności kraju, przeszerzania prawa i porządku publicznego. W skład jej weszliby posłowie proponowani przez aktualnie działające partie i stronnictwa polityczne;
- b/ Izba samorządowa o charakterze społeczno-gospodarczym, która wytyczałaby strategię gospodarczą kraju, zasady polityki społecznej, podział dochodu narodowego itp. W jej skład weszliby przede wszystkim przedstawiciele samorządów pracowniczych, terytorialnych, związków zawodowych, stowarzyszeń naukowo-technicznych, grup ochrony środowiska itd..."

W tej sytuacji elita władzy w Polsce, przedstawiciele aparatu partyjnego, "etatowi" posłowie i w ogóle ludzie "z teściaka", "z karuzeli" - cała ta n o m e n k l a t u r a z r o z u m i a ła, że jest to r e w o l u c j a, która po prostu smiercie tę władzę. Niektórzy zrozumieli to wcześniej, już w chwili kiedy zrezygnowano z użycia siły podczas strajków sierpniowych, już wówczas, kiedy podpisywano p o r o z u m i e n i a w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu, porozumienia, których interpretacja od początku miała charakter konfliktowy. Był to bowiem d a l s z y c i ą g konfliktu rządzących z rządzo-

## WRZESŃOWE UCHWAŁY SEJMU PRL

Dziś z perspektywy czasu /nawet krótkiego, w sensie historycznym/ wyłania się z zawiłych układów i nakładających się na siebie konfrontacji podstawowy błąd o p o z y c j i, której przywódcy niekiedy występowali pod szyldem "Solidarności". Polegał on na przeświadczeniu, że w i a d z a l e ż y n a u l i c y, że wystarczy tylko pochylić się i...

Z drugiej strony, elita władzy, a zwłaszcza jej aparat, kompletnie zatracił /o ile kiedykolwiek posiadał/ zdolność widzenia spraw we właściwym wymiarze; wolbrzymiały one /może nawet czasem świadomie/ niebezpieczeństwo dla zasad ustrojowych, dla których największym zagrożeniem był... sam aparat. Oczywiście, presja z e w n ę t r z n a była ogromna; natomiast przywódcy państwa i partii nie byli w stanie /bądź nie chcieli/ r z e t e l n i e wyjaśnić sojusznikom istoty konfliktu i ukazać realnych perspektyw pokonania kryzysu, bez uciekania się do rozwiązań siłowych.

Stąd niekonsekwencje, meandry, wolty i dalsza utraty wiarygodności władz...

Pod silną presją opinii publicznej, w warunkach nie zażegnanych do końca kontrowersji z "Solidarnością" w kwestii pewnych założeń, 25 września 1981 r. Sejm PRL przyjął Ustawę o przedsiębiorstwach państwowych oraz Ustawę o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego.

Zgodnie z pierwszą Ustawą, "Przedsiębiorstwo jest Samodzielną, Samorządną i Samofinansującą się jednostką gospodarczą, posiadającą osobowość prawną". W tym zapisie została wyrażona z a s a d a t r z e c h "S", która miała być konstrukcją nośną reformy gospodarczej.

Ciekawym novum był art. 14 Rozdziału III: "Przedsiębiorstwo państwowe może utworzyć w drodze umowy przedsiębiorstwo mieszane z podmiotem zagranicznym".

Art. 31 Rozdziału VIII głosi m.in.: "Organami przedsiębiorstwa państwowego są: ogólne zebranie pracowników /delegatów/, rada pracownicza i dyrektor przedsiębiorstwa".

Natomiast Art. 34 Rozdziału VIII stwierdzał: "Dyrektora przedsiębiorstwa państwowego powołuje i odwołuje organ załogowy, bądź rada pracownicza. W stosunku do decyzji powołującej lub odwołującej dyrektora organom tym przysługuje wzajemnie prawo do zgłoszenia umotywowanego sprzeciwu...".

Jednakże przepisy rozdziałów XII i XIII, dotyczące nadzoru nad przedsiębiorstwem państwowym oraz tworzenia "zrzeszeń przedsiębiorstw" znacznie osłabiały pozytywną wymowę niektórych nowatorskich rozwiązań.

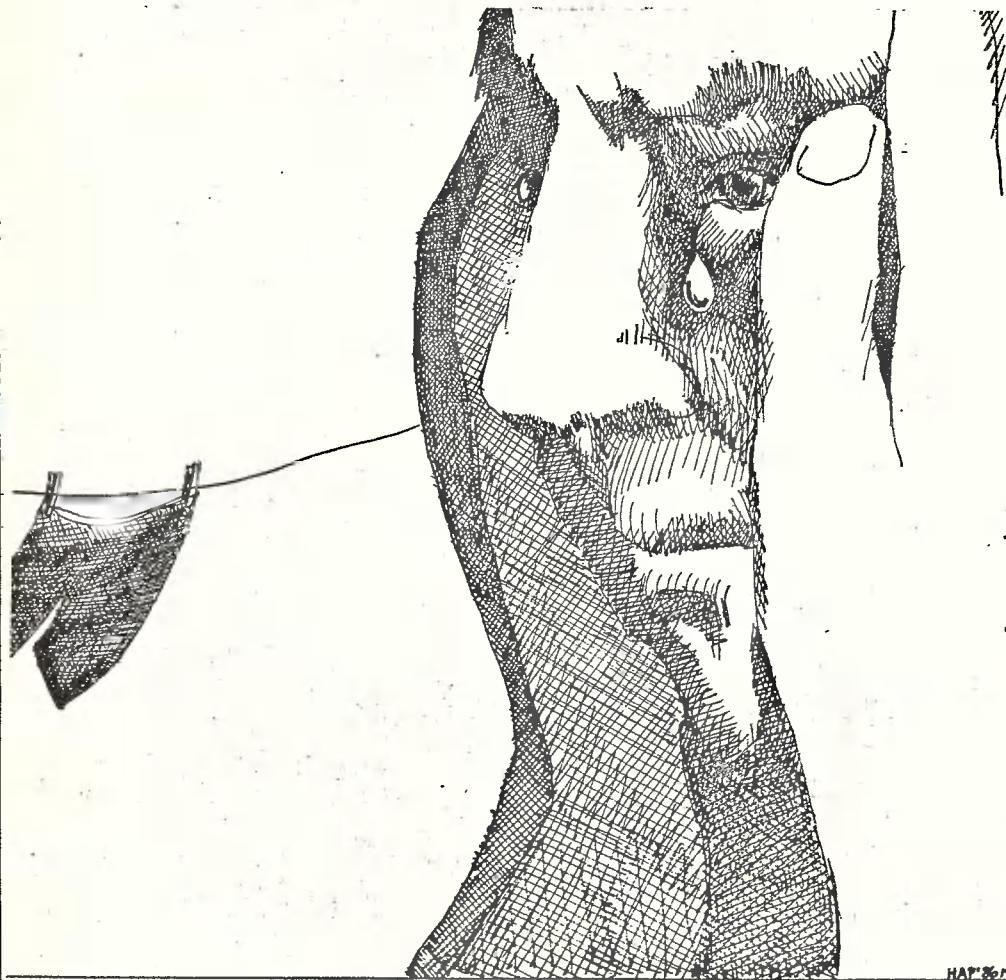
Z kolei Ustawa o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego, aczkolwiek wnosząca, w porównaniu z poprzednią ustawą o samorządzie robotniczym z dnia 20 grudnia 1958 r., pewne nowe elementy, niemniej jednak jej podstawowym mankamentem było to, że nie uwzględniała ona realiów f a k t y c z n e j s y t u a c j i w wielu przedsiębiorstwach, zwłaszcza wielkiego przemysłu, g d z i e j u ż f u n k c j o n o w a ła "S i e ć".

Bronisław Geremek, czołowy doradca "Solidarności", tak oto widział stosunek Związku do samorządów, ujmując go w szerszej płaszczyźnie, aniżeli jego miejsce i rola w przedsiębiorstwie:

".../ my sprawę samorządu pracowniczego traktujemy jako element, instrument nacisku na państwo po to, ażeby dokonała się cała reforma gospodarcza, po to, ażeby zmieniły się instytucje państwowe, żeby zmienił się aparat centralny gestii ekonomicznej".

/Dokończenie w następnym numerze/

Andrzej Julicki



HAF 301



# I TAK ZACZĘLIŚMY TO ROBIĆ...

mówi JAN LITYŃSKI

Jan Lityński: -... tuż po Radomiu i Ursusie część ludzi z "listu 59-ciu" napisała protest, właściwie poparcie dla protestujących robotników. Myśmy się na tej liście oczywiście nie znaleźli, ponieważ nie byliśmy na "Liście 59-ciu", a chcieliśmy coś podpisać. My, to znaczy pokolenie młodsze - m.in. Artek Macierewicz, Sewek Blumsztajn - postanowiliśmy wtedy też napisać jakiś list. Spłodziliśmy ten list z ogromnymi trudnościami, zbieraliśmy się przez długi czas i nie mogliśmy wymyślić jego formuły. Ja chciałem, żeby to był list młodej inteligencji, która próbuje opisać sytuację, żeby to nie był list emocjonalny. U Antka bardziej wychodziły właśnie takie rzeczy emocjonalne. Gdy wreszcie list był gotowy, podpisało go 15 osób; wyskuliśmy ten list, ale był to kompletny niewypał, nikt tego nie zauważył. To sfrustrowało zarówno Antka, jak i mnie, i na tym skończyła się ta wstępna działalność. Nie próbowaliśmy wtedy szukać jeszcze żadnych kontaktów z robotnikami, uważaliśmy, że nie mamy żadnych szans.

Potem był proces /robotników/. Ktoś się o tym dowiedział, nie wiem w jaki sposób, chyba Jacek Kuroń, i szykowaliśmy się, żeby pójść na ten proces. Śmiejąc się, że miałem właśnie telefon od mojego przyjaciela z Holandii i odwozyłem mu się wtedy powiedzieć, że jest ten proces. Z blizną sercem poszedłem następnego dnia do sądu, ponieważ myślałem, że zostanę zatrzymany za kontakty z zagranicą. /.../

Ten okres "przedKurowski" zaczyna się właśnie wtedy. Wówczas to Jacek i my wszyscy dowiedzieliśmy się, jak to naprawdę wyglądało. To było tak, że na korytarzu sądowym stała milicja. Nie wpuszczili nas, oczywiście, ani na salę, ani na korytarz, tak że tych sześciu /bodajże/ oskarżonych z Ursusa nie widzieliśmy, ale wtedy ktos nawiązał pierwsze kontakty, ktoś odwozył się do ich rodzin i zaczął z nimi rozmawiać. Szybko zebrano się jakieś pieniądze. Proces trwał kilka dni i te kontakty były coraz głębsze; ci ludzie opowiadali nam o tym, co się działo w Ursusie.

---

X/ Materiał z Archiwum "Solidarności". Relacja nagrana latem 1981 r. W wybranym fragmencie wspomnień Jana Lityńskiego dokonano niezręcznych skrótów i przeprowadzono najniezbędniejszą obróbkę tekstu spisano go z taśmy magnetofonowej.  
/Red./

Do procesie, kiedy oskarżeni byli już rozdzieleni, a ich rodziny zaczęły się zgłaszać do poszczególnych adwokatów, odbyła się dyskusja, co robić dalej. Z adwokatów od razu zgłosili się Olszewski, Grabiński, Sika-Nowicki, Lis-Olszewski - taki stały zespół adwokatów, który potem przez długi czas bronił i pomagał we wszystkich sprawach KOR-u i Biura Interwencyjnego.

Odbyliśmy tę dyskusję z Antkiem, w której Antek był bardzo optymistycznie i bojowo nastawiony, a Jacek znacznie mniej. Był tam chyba jeszcze Stefan Kawalec, który w zasadzie nie zabierał głosu, a jeżeli zabierał to raczej po stronie Antka. Antek miał wtedy taką koncepcję ogromnego uderzenia, jeżdżenia z ludźmi po obozach studenckich, zbierania pieniędzy, chodziło mu o rozpoczęcie takiej ogromnej akcji. Myśmy z Jackiem uważali, że na akcję jest za wcześnie, że trzeba rozpocząć dopiero we wrześniu i że trzeba będzie bardzo powoli rozpoczynać, dlatego, że to się nie będzie chciało rozkręcić.

Pytanie: - Kiedy to zebranie było?

- To nie było zebranie, to było takie spotkanie u Marty Mikielowskiej, chyba tuż po wyrokach. Pierwszy proces był 2 albo 3 lipca, czyli to było w okolicy 7 lipca. Myśmy uważali, że zaczynać będzie można dopiero wtedy, kiedy zjawią się studenci, dlatego, że nawet jeśli zaczniesz się zbierać pieniądze podczas wakacji, to ci ludzie, którzy będą je zbierali, nie będą mieli takiej wiarygodności. /.../

Antek rozpoczął tę akcję chyba siłami tylko "Czarnej Jedynki". Plus Henio Wnec, który nawiązał oddzielnie kontakty. A my, na następnym spotkaniu, które miało miejsce już w trakcie akcji organizowanej przez Antka, postanowiliśmy wydawać jakieś pismo. Tu znowu ja byłem bardzo sceptyczny, natomiast bardzo entuzjastyczny był Jacek: że trzeba wydawać pismo, które będzie informować o wszystkim, co się dzieje, zarówno o całej akcji, jak i o wszystkich rzeczach wokół akcji. Ja uważałem, że takie pismo długo się nie utrzyma, jednak weszliśmy do tego pisma. Pierwszy numer - to było tuż przed powstaniem KOR-u - robił: Sewek, Antek Libera i Adam Wojciechowski, którego wtedy Jacek przedstawił jako człowieka, który może dużo rzeczy zrobić. Adam właśnie się wtedy przeniósł z Wadowic do Warszawy; był po wypadku, w którym potrafił go na ulicy samochód.

I tak zaczęliśmy to robić...

Pierwszy numer był bardzo niedobry, nie mieliśmy wykształconego żadnego języka, nie umieliśmy podawać wiadomości; ale chyba w pierwszym numerze jest już informacja o powstaniu KOR-u. Ja przy powstaniu KOR-u bezpośrednio sam nie byłem. /.../ W każdym razie Jacek był wtedy w wojsku i dostał krótki urlop. Myśmy jeszcze przed powstaniem KOR-u rozmawiali z Antkiem na ten temat, że trzeba by stworzyć taką "czapkę" dla ludzi, którzy jeżdżą /ohcdzi o udział w procesach radomskich - przyp. red./, żeby oni mieli jakies zabezpieczenie. Mówiło się też o tym, żeby ci ludzie gwarantowali nam informacje i myśleliśmy też o ludziach z kręgu "Listu 59-ciu", ewentualnie o Wiktorze Woroszylskim z kręgu pisarzy.

x/ Drużyna harcerska szkół mokotowskich, prowadzona przez A. Macierewicza i P. Naimskiego /red./

Pierwsze spotkanie, o ile wiem, nie wyszło, dlatego, że zamiast Komitetu Obrony Robotników oni chcieli od razu założyć Komitet Obrony Praw Człowieka, a trzeba to było jednak skierować na konkretną akcję i wtedy, kiedy Jacek przyjechał, to powiedział, że albo uda się to założyć, albo się założy własnymi siłami. Zebrano tych ludzi i oni się zgodzili na założenie KOR-u, ale ja - powtarzam - przy tym nie byłem.

- Czy jak się ta akcja zaczęła w lipcu, to wście też jeździli, czy tylko "Czarna Jedyńka"?

- Antek zastanawiał taką zasadę, że nie jeździ nikt z ludzi, którzy mogliby być obserwowani przez policję. Np. nie jeździł ani Antek, ani Piotrek /Naimski/, którzy to wszystko organizowali, ale nawet Lutek Dorn, który był już wtedy trochę znany z powodu różnych rzeczy na Uniwersytecie. Na ten temat mógłby dużo więcej powiedzieć Heniek /Wujec/, dlatego, że on próbował robić to niezależnie od Antka; nawiązał te kontakty w tym samym czasie, podczas tego procesu, o którym wspominałem, z tym, że włączył się do tej grupy antkowej.

Tak było z tym jeżdżeniem, że ja nawet nie wiem dokładnie, kto jeździł do Ursusa; odbywało się to w dość głębokiej konspiracji.

- Latem odbyło się kilka różnych spotkań w gronach, które częściowo później utworzyły KOR. Czy wiedziałeś o tych spotkaniach, brałeś w nich udział?

- Takich spotkań było dużo. To, które mi się wryło w pamięć, to było spotkanie, na którym postanowiono wydawać Biuletyn. Na tych spotkaniach latem ja nie byłem, natomiast to spotkanie było już w trakcie rozwiniętej akcji pomocy. Był tam już Mirek Chojecki, który miał plany jeżdżenia do Radomia. Mirek został ściągnięty przez Piotra Naimskiego, z którym razem studiowali i Mirek poprzez jakieś swoje AK-owskie kanały zaczął szukać kontaktów radomskich. Była tam wtedy taka charakterystyczna różnica zdań: ja nie pamiętam, kto był za tym, żeby to robić od razu na powielaczu, ale większość, i Jacek, była za tym, żeby nie robić na powielaczu, nie tylko dlatego, że to jest niebezpieczne, ale także dlatego, że robienie na maszynie do pisania wytworzy taką siatkę organizacyjną, która będzie podstawą dla dalszego działania. W ten sposób to będzie się rozprzestrzeniało trochę wolniej, ale wytworzy się siatka powiązań.

- Kto jeszcze uczestniczył w tej naradzie?

- Był Antek Macierewicz, Mirek Chojecki, Adam Wojciechowski, Antek Libera, Jacek Kuroń, Sewek, ja, Basia Toruńczyk.

- Kiedy to miało miejsce?

- Pod koniec sierpnia - na początku września, dokładnie nie pamiętam. Dla mnie to było ważne dlatego, że tam postanowiono robić Biuletyn i chyba wybrano nawet nazwę "Biuletyn Informacyjny".

- A kiedy zaczęliście jeździć do Ursusa, tzn. kiedy została sformułowana ta zasada, że jeżdżą tylko ci, których nie śledzą?



- Ja do Ursusa nigdy nie jeździłem. Potem było tak, że akcję ursuską przejął - ponieważ to się rozrastało, już po powstaniu KOR-u robiła się z tego coraz bardziej wielostopniowa machina - więc przejął ją głównie Darek Kupiecki, który zajmował się organizowaniem ludzi. Natomiast kiedy Mirek wpadł /bo Mirek na początku sam jeździł/, a potem zaczął organizować akcję/ i wyrzucono go z pracy, został członkiem KOR-u i część ursuską przekazał Romaszewskim. Romaszewscy przez Bogdana Zalegę ściągnęli mnie do siebie. Romaszewscy mieli wtedy za sobą okres, kiedy Wojtek Onyszkiewicz organizował akcję zbierania podpisów w Ursusie wśród robotników, pod żądaniem przywrócenia do pracy wyrzuconych. Wtedy powstał pomysł, aby podobną akcją zrobić w Radomiu; akcją nie pomocy, ale o charakterze bardziej politycznym. Ja miałem robić właśnie tę stronę polityczną, natomiast włączyłem się w trakcie zbierania podpisów pod listem ludzi, którzy oświadczyli, że byli torturowani. To był bodajże koniec października.

- Czy znałście się wcześniej - z Romaszewskimi, z Wujcem, czy też poznaliście się przy tej okazji? I w jaki sposób robiono ten list, do jakiego stopnia była to inspiracja KOR-u?  
/.../

- O inspiracji KOR-u w ogóle tutaj trudno mówić, dlatego że w pewnym momencie Radom i Ursus niejako odłączyły się od KOR-u. To znaczy KOR nie był nawet instytucją koordynującą, tylko taką, gdzie się oddawało materiały; Radom natomiast funkcjonował prawie zupełnie samodzielnie. Po pewnym czasie Romaszewscy działali nawet niezależnie od Mirka, któremu tylko przekazywali informacje.

Radom był całkowitą inicjatywą z naszej strony. Bogdan Zalega znalazł jednego z robotników, który chociaż złożył skargę. Romaszewscy od początku mieli ideę, że trzeba to jakoś uwiecznić na piśmie, to, co ci ludzie mówią. Bogdanowi się to udało, ten robotnik zgodził się złożyć skargę i wtedy powstała idea zbierania podpisów pod jednolitym listem, poza skargami indywidualnymi. Skargi indywidualne szły bardzo opornie, napisało je dwudziestu kilku ludzi. Natomiast te zbiorowe szły łatwiej i tam podpisało się pięćdziesiąt kilka osób.

To wyglądało tak: chodziło się od jednego do drugiego i mówiło się: "czy zgodziłbyś się to podpisać?" Niektórzy podpisywali bez oporów, inni się zastanawiali dosyć długo. Ja próbowałem przez dłuższy czas zrobić akcję podobną, jak w Ursusie, ale w przeciwieństwie do Ursusa myśmy nie mieli żadnych kontaktów z zakładami pracy. Na ogół było tak, że mieliśmy kontakty tylko z ludźmi wyrzuconymi, a bardzo rzadko się trafiało do ludzi, którzy zostali w zakładzie pracy. Dopiero później można było do nich trafić, natomiast w tym okresie mieliśmy kontakty tylko z ofiarami represji, które nie pracowały i były na zasiłkach KOR-owskich.

Zbieranie podpisów skończyło się pod koniec listopada. Natomiast dalej ciągnęliśmy akcję pomocy, szukania nowych ofiar represji. Ja byłem głównie nastawiony na tworzenie takich grup robotniczych, które by dyskutowały.

Czy myśmy się znali? Heńka znałem bardzo dobrze od wielu lat, natomiast Romaszewskich nie znałem.

- Jak robiony był ten wielki list ponad osiemset robotników Ursusa? Czy oni tym samym sposobem zbierali podpisy, czy wiesz coś o tym?

- Znam to z opowiadań. To była znacznie bardziej robotnicza inicjatywa, ponieważ żeby zebrać tyle podpisów, musieli być ludzie, którzy zbierali je w zakładzie pracy, tam robotnicy przejawili dużo inicjatywy.

- Rozwiń ten wątek: jak ludzie wchodzili do pracy w KOR-ze, jak odbywało się wejście do środowiska i do działalności?

- Znajomi znajomych, tzn. jak ktoś się zgłaszał, to kierowało się go albo do Darka Kupieckiego, albo do Romaszewskich, przychodził z jakimś poręczeniem. Była atmosfera zupełnego braku konspiracji, dlatego że każdy, kto przychodził, miał pełne zaufanie. Wiadomo było, że u Romaszewskich jest centralna kartoteka radomska i gdy ktoś przychodził, Zosia albo Zbyszek wyciągali tę kartotekę. Po pewnym czasie zaczęło się obawiać policji i przeniesiono kartotekę do jakiegoś innego mieszkania, ale w dalszym ciągu było tak, że ktokolwiek przyszedł, to mógł tę kartotekę zobaczyć. I rzeczywiście, był to czysty przypadek, że kartoteka nie wpadła, dlatego, że rewizja w tym mieszkaniu, w którym była kartoteka odbyła się w dzień po tym, kiedy kartotekę przeniesiono. Było to tak /opowiedziałyby to dokładnie Zosia Romaszewska albo Joasia Marczevska, bo wtedy Zosia przestała prowadzić kartotekę i prowadziły ją Joasia Marczevska i Krysta Starczewska/: przyszła jakaś nowa dziewczyna, która pierwszy raz pojechała, która nie знаła nikogo - a tam już siedziała policja - i zdała dokładnie całą relację, wszystko bardzo skrzętnie opowiedziała przy tej policji. Tak, że była atmosfera całkowitego zaufania. Romaszewscy dopiero potem nabrali podejrzeń w stosunku do innych ludzi. Ale wtedy była taka atmosfera, że jak ktoś ma poręczenie, to znaczy, że jest w porządku i wydaje mi się, że z tego powodu nigdy wpadki nie było, że ta wpadka na Żoliborzu była z powodu obserwacji policyjnej, a nie dlatego, że ktoś donosił.

Tworzyły się te kółka. Ja próbowałem to robić w Radomiu. Miał tam bardzo fajną grupkę robotników Grzesz Boguta. Nie w samym Radomiu zresztą, a głównie w miejscowościach podradomskich. On z tych okolicznych wiosek zbierał ludzi, którzy byli poszkodowani i to była jedna grupa, a druga to była moja. Były też takie grupy w Ursusie. Wychodziło to jednak niezbyt dobrze, te spotkania dyskusyjne nie były zbyt udane. Próbowaliśmy robić takie spotkania robotników z Radomia i robotników z Ursusa i na przełomie 1976 i 1977 roku odbyło się kilka takich spotkań. Jedno było z Jackiem Kleyffem, jedno z Krzysztofem Wolickim, który mówił o aktualnej sytuacji politycznej. Oba były bardzo udane. Kleyff śpiewał, Wolicki, który bardzo dobrze mówi, wciągnął ludzi w dyskusję. Na tej dyskusji był zresztą ten znany Majewski z Ursusa, który potem został skazany za wyrzucenie ojca przez okno. Majewski był na tych dyskusjach zawsze bardzo ostry, mocno antykomunistyczny. Inni ludzie, zwłaszcza ci z Radomia, byli znacznie spokojniejsi; ja tam sprowadziłem bardzo fajnego człowieka, który był kiedyś członkiem partii i oni się bardzo ostro starli w dyskusji zainspirowanej przez Wolickiego.

Było też jedno bardzo nieudane spotkanie, które organizował Bukner /?/. Miało to być spotkanie z prominentami muzycznymi, którzy mieli ochotę zobaczyć poszkodowanych robotników, ale przyszła tylko profesor Irena Dubiska. I wtedy weszła policja, która nas śledziła, lecz zdążyliśmy wcześniej wysłać robotników, bo zobaczyliśmy policję.

Wtedy, kiedy zaczęły się te spotkania, policja zaczęła bardzo ostro chodzić. To był przełom 1976/1977 roku. Na tych spotkaniach nikt nie wpadł, ale najprawdopodobniej o wszystkich robotnicy byli śledzeni i wzywano ich później na policję, a także ich żony, które bardzo mocno straszyla. Głównie przez to te spotkania upadły. Nie dlatego, że były nieudane.

- Czy zespół robotników, który bywał na tych spotkaniach, utrzymał się potem jakoś w kręgu "Robotnika"?

- Nie. Ani ta część ursuska, ani część radomska. Oni powoli topnieli, momentami w bardzo nieprzyjemny sposób. Np. w Radomiu był taki robotnik bardzo zaprzyjaźniony, inteligentny chłopak, budowlany, który po pewnym czasie zaczął wszystkich podejrzać o to, że są współpracownikami Bezpieki - po 2-3 wizytach na policji. W ogóle nie można było do niego przychodzić, bo tak był przestraszony, że jak ktoś do niego zachodził, to zaglądał do torby, czy nie ma aparatu podsłuchowego. W zasadzie wszyscy się wystraszyli. Potem, już po lipcu, z niektórymi z nich miałem kontakt, ale oni bardzo szybko odpadli.

Ja miałem, jak już mówiłem, takie zadanie, aby robić ten bardziej polityczny ruch kółkowy, czyli ja zbierałem najlepszych, najciekawszych ludzi. Z tych ludzi został tylko Poldek Gierek. Przez krótki czas był jeszcze taki majster z "Waltera", który początkowo bardzo chętnie chodził na spotkania, a potem żona mu zabroniła i on się przestraszył. Zresztą to wszystko było bardzo pokręcone: ten majster, to taki bardzo fajny, inteligentny chłopak, ale jeden z jego synów siedział w więzieniu, skazany na 9 lat za kradzież. Taki w ogóle jest cały Radom. Drugi syn poszedł do wojska, to on się nagle przestraszył. Majster z awansu, bo on skończył technikum już w trakcie pracy. Jego syn, idąc już taką w miarę normalną drogą, próbował kończyć zawodówkę, a drugi był normalnym kryminalistą.

Te kontakty, spotkania trwały do kwietnia-maja /1977 r./ W Radomiu te kontakty półpolityczne ciągle się rozszerzały, już nie na zasadach dawania pieniędzy, ale na zasadach dyskusji. Myśmy bardzo długo nie dawali żadnej literatury. W styczniu-lutym zaczęliśmy dopiero dawać literaturę: Biuletyn i Komunikaty KOR-u, Komunikaty ogólniejsze, a Biuletyn bardzo ostrożnie. Po pierwsze, Komunikaty były od początku podpisywane, a Biuletyn nie był podpisywany, miał taki walor zupełnie nielegalny. Te kontakty w większości były na zasadzie charytatywnej, dawano się pieniądze, rozmawiało się, zbierało się informacje i nic więcej. Chcieliśmy najpierw robić spotkania, a potem ewentualnie na tej bazie dawać coś do czytania. Przy czym nie mieliśmy żadnych informacji zwrotnych z czytania tych Biuletynów i Komunikatów. Oni to brali, mówili o sytuacji, ale nie mówili o poziomie, o tym, czy informacje są dobre, czy informacje są prawdziwe - w ogóle się tym nie zajmowali.

- Nie wiadomo, czy czytali?

- Chyba czytali, dlatego, że w marcu-kwietniu, kiedy niek-



tóre z tych kontaktów były już bardzo żywe, oni domagali się, że choć coś dostawać. Oni to chłonęli, przyjmowali całość, zupełnie bezkrytycznie. Ja liczyłem na to, że ten artykuł o Radomiu, który napisałem /wyszedł on w marcu/, wzbudzi jakieś dyskusje, ale to zostało przyjęte, wchłonięte i nic więcej.

Takie kontakty, co do których liczyłem, że dłużej się utrzymają, że będą jakos owocowały, pączkowały dalszymi kontaktami - miałem w kwietniu-maju 20-25 ludzi i liczyłem na to, że wokół nich coś się utworzy /z Radomia, bo Ursusa praktycznie zupełnie nie znałem/.

- Czy robiąc to seminarium skorzystaliście z pomocy KOR-u jako instytucji, z pomocy ludzkiej, finansowej itd.? Czy próbowaliście wykorzystywać jakoś tych ludzi, którzy wtedy podpisywali te wszystkie listy o Komisję Nadzwyczajną?

- Nie. Moje jazdy do Radomia były jazdami niezależnymi od KOR-u, były tylko uzgodnione z Romaszewskimi. Finansowo - od kiedy wyrzucono mnie z pracy, brałem zwrot kosztów podróży. Jak było spotkanie, to Romaszewscy wykładali z tych pieniędzy KOR-owskich na herbatę i na ciastka.

- Tylko twoje kółko wtedy funkcjonowało, jeżeli chodzi o Radom?

- To nie było kółko. Kółko to myśmy chcieli zrobić na tych wspólnych spotkaniach radomsko-ursuskich. Ja ciągle marzyłem o tym, żeby ci ludzie zaczęli nawiązywać kontakty między sobą i ciągle podawałem im - za ich zgodą - adresy, żeby się nawzajem kontaktowali, ale to na ogół nie wychodziło. To wychodziło tylko wtedy, kiedy to było bardzo blisko siebie i kiedy ci ludzie mniej więcej się znali /znajomy znajomego/. Np. Danusia Chomiczka /ale to były kontakty innego typu/ kontaktowała się z Ewą Soból - narzeczoną Piaseckiego, który siedział w więzieniu od marca w sprawie Brożyny. Był taki Józek Szczepanik, który bardzo chętnie kontaktował się z ludźmi, tzn. jeździł do nich i podawał informacje, ale z tego się żadne więzy nie wytwarzały. Ja bardziej liczyłem na to, że oni zorganizują jakieś spotkanie ze swoimi znajomymi i to wychodziło tak, że niekiedy przychodziły 2-3 osoby.

- To znaczy stan na maj 1977 był taki, że gdyby zaczęli inteligentki się wycofać, to tam by nic nie pozostało?

- Zostałaby tylko pamięć o tych, którzy przyjeżdżali. Zostałaby atmosfera, że tym ludziom się pomogło i o tym cały Radom wiedział. W Radomiu wszyscy wiedzieli o tym, że ktoś przyjeżdża i udziela pomocy i po pewnym czasie zaczęli się ludzie zgłaszać na tej zasadzie, że coś wiedzieli; zgłaszali się przez swoich znajomych radomskich. Ale żadna organizacja czy nawet nieformalne związki, na pewno by nie zostały. Grzesiowi /Pogucie/ udało się zrobić taką grupę, która spotykała się w miarę regularnie, ale kiedy on się z tego wycofał, to ja żadnego z tych ludzi potem już nie spotkałem, żaden z nich nie był w jakiś sposób aktywny. Grześ wycofał się po lipcu, wtedy, kiedy zaczął pracować w NOWEJ, może troszeczkę wcześniej.

- A ty jak długo jeździłeś do Radomia?

- Próbowałem to kontynuować po lipcu, po amnestii. Potem udało mi się rzeczywiście zorganizować kółko, głównie przez Poldka Gierka, który był wtedy bardzo aktywny. To było około 20 osób, z czego na działaczy nadawało się 5-6 osób.

Z KOR-em natomiast to było tak, że wtedy, kiedy w zasadzie akcja pomocy się skończyła - bo ona umierała śmiercią naturalną, już w okolicach lutego widać było, że nakłady środków są niewspółmierne do osiągniętych rezultatów - dużo ludzi się w tym czasie wycofało, zostawali tylko ci, którzy byli najbardziej wytrwali, którym najbardziej się podobała ta działalność, jak Darek i Heniek w Ursusie, Irena Bałak, Łuczywowie. W Radomiu byli wtedy jeszcze: Romaszewski, Grześ Boguta, ja oraz Bogdan Zalega, który kursował pomiędzy jedną grupą a drugą. Wtedy ta fala opadła; było to związane również z tą pseudoamnestią lutową: Gierek wydał wtedy amnestię dla tych, którzy wykazali skruchę i rokują nadzieję, że nie wrócą na drogę przestępstwa. Ta fala zainteresowania KOR-em, sympatii do KOR-u wtedy opadła. Myśmy się wtedy spotkali z ogromnym naciskiem na to, żeby KOR rozwiązać, czemu byli przeciwni głównie ludzie jeżdżący do Radomia i Ursusa, którzy w dyskusjach wewnętrznych wskazywali na to, że byłby to koniec naszej działalności. A myśmy głównie bazowali na mieście KOR-u, na tym, że dzięki istnieniu KOR-u, ci ludzie czuli się bezpieczni. W kręgach inteligencji warszawskiej była wtedy taka atmosfera wokół KOR-u, że KOR za dużo żąda, że już w zasadzie osiągnęło się wszystko. Nie było to głośno wypowiedziane, ale czuło się taką atmosferę. To był luty-marzec 1977 r. W marcu powstał Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, który przez działaczy KOR-u został odebrany jako atak na KOR, jako instytucja, która chce odebrać KOR-owi jego pole działania, mimo że do robotników miała zupełnie minimalne szanse dotarcia. /.../

KOR był traktowany wtedy - trudno mi teraz ocenić, jak to było procentowo, ale była taka atmosfera, że KOR niepotrzebnie działa. Myśmy próbowali to bardzo mocno zwalczać, dlatego że, po pierwsze, w więzieniu siedziało jeszcze dwadzieścia kilka osób, a po drugie, wydawało nam się wtedy, że to nam odetnie jakiegokolwiek szanse akcji w środowisku robotniczym. Romaszewscy mieli, jeszcze przed powstaniem ROPCiO, pomysł, żeby przekształcić KOR w Komitet Obrony Praw Człowieka, żeby rozszerzyć działalność, ale to wtedy nie przeszło. Raczej staliśmy na stanowisku, że powinna zostać ta sama nazwa, która w Radomiu była wtedy niezwykle popularna. /.../

To był mniej więcej marzec i mieliśmy wtedy zupełne załamanie /działania?/.

Ja ciągnąłem te kontakty, było ich coraz więcej, ale nic z tego nie wynikało.

Potem przyszedł maj i sprawa Pyjasa, która zupełnie zmieniła sytuację.

- Jak ta sprawa była odebrana w "twoim" kręgu radomskim? Pyjas, aresztowania, Głodówka?

- Praktycznie w ogóle nie była odebrana. Gdy przyjechałem później do Radomia i zacząłem objeżdżać swoje kontakty, to ci ludzie byli bardzo zadowoleni, że wyszedłem z więzienia, ale ta cała sprawa właściwie dla nich nie istniała. Oni się ucieszyli, chcieli kontynuować te kontakty, ale nie odebrali amne-

stii lipcowej jako wielki sukces, który da im większe szanse działania, większe poczucie bezpieczeństwa. Dla nich było to miłe spotkanie po kilku miesiącach. Z wyjątkiem tych najbardziej aktywnych, jak Poldek, Łwa Soból czy Hanka Ostrowska - siostra Piaseckiego, który siedział w więzieniu w sprawie Brożyny - którzy byli już nastawieni na działalność. Co z tego wyszło, to jest inna sprawa, bo Hanka dosyć szybko się z tego wycofała, ale to byli ludzie, którzy chcieli coś zrobić, którzy byli bardzo aktywni przy rozdawaniu Biuletynu, Komunikatów.

- Jak ty się znalazłeś w więzieniu?

- Tak, jak zawsze. Wyszła sprawa Fyjasa. Najpierw pojechał wtedy chyba do Krakowa Mirek Chojecki, potem Antek /Macierewicz/. W Krakowie była grupa studentów pomagających KOR. Z nimi były już pewne kontakty przedtem. Jakies kontakty miał Sewek, który tam ze dwa razy jeździł. Raz albo dwa razy był tam Paweł Bąkowski. I oni tam pojechali po śmierci Fyjasa.

Więc wybieraliśmy się wtedy do Krakowa, ale w trakcie wyjazdu zatrzymano Halinę /Mikołajską/ z Anką Kowalską i Adamem Michnikiem. Byliśmy wtedy u Jacka i poszliśmy z Gieniem Klocem na Żytnią upomnieć się o nich.

Zatrzymano nas na całą noc. Całonocna rozmowa z oficerem śledczym na Żytniej była pasjonująca. To nie była typowa rozmowa z milicjantem, bo on był normalnym człowiekiem. Interesował się, chciał się czegoś dowiedzieć, próbował dyskutować. To był bardzo fajny, młody chłopak. Ja w pewnym momencie pytam się go, czy oni biją podczas śledstwa, a on mówi - i to mną wstrząsnęło - koledzy moi biją, ja nie biję, niekiedy, jak się zdenerwuję bardzo, to uderzę. Przetrzymali nas przez noc, Adama już wtedy zatrzymali, Halinę i Ankę wypuścili wcześniej. I kiedy wyszliśmy z Gieniem, to już nie było po co jechać, to chyba była niedziela.

Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że są zatrzymania w Krakowie. Jacek był już wtedy zatrzymany. W sobotę były te pierwsze zatrzymania, więc w poniedziałek było już dosyć oczywiste, że są sankcje. Jacek został wzięty z domu, Mirka wzięli z tej rewizji u Jacka, Adam siedział już z sankcją z tego zatrzymania w trakcie wyjazdu. To był makabryczny okres, tuż przedtem, kiedy mnie aresztowali, dlatego, że KOR był w tym czasie instytucją bardzo scentralizowaną. Była to organizacja jednoakcyjna, w związku z tym wszystkie nici tej jednej akcji trzymali ówczesni członkowie KOR-u, czyli Mirek, Antek, Piotrek i Jacek. Tak że te 3 czy 4 dni przed moim aresztowaniem to był okres próby nawiązania jakichkolwiek kontaktów w atmosferze grozy: ciągle kogoś zatrzymywano, dowiadaliśmy się o nowych sankcjach - w sumie nie było ich dużo, ale wtedy robiło to ogromne wrażenie, każdego dnia oczekiwaliśmy, że zatrzymają następnych. Ciągle coś planowaliśmy, przede wszystkim chcieliśmy zrobić mszę i ulotki, ale była atmosfera grozy. Przyszędł wtedy do mnie Darek Kupiecki i wymyśliliśmy, że trzeba zrobić coś w rodzaju zastępczej grupy KOR-owskiej. Darek zwrócił się z tym do tych starszych ludzi z KOR-u, m.in. do Anieli Steinsbergowej, i oni stawili niesłychany opór. Widać było, że dla nich KOR, to jest świętość, że nie można tego naruszać przez wprowadzanie, nawet



czasowe, nowych ludzi. Myśmy im zaproponowali pięć osób na miejsce tych pięciu aresztowanych: Darek, ja, Sewek, Romaszewski i chyba Grzesz Boguta, ale tego nie jestem pewny.

Potem mnie aresztowano, drugi raz w ten sam sposób - tak jak przed marcem: znudziło mi się bieganie po znajomych i niespanie w domu i postanowiłem przemocować u siebie. Nad ranem, oczywiście, zapukali i zatrzymali mnie. Siedziałem przez dwa dni na Mostowskich i dostałem sankcję z dwóch artykułów: 273 i chyba 275, wszystko wokół rozpowszechniania fałszywych wiadomości. Ale w ogóle nie byłem przesłuchiwany, tzn. jakiś prokurator postawił mi zarzut, a w kilka godzin później dostałem sankcję z taką próbą przesłuchania i od razu zostałem przewieziony na Mokotów. Byłem przewożony z Sewkiem, próbowałem rozmawiać z nim; facet, który nas przewoził zaczął nam grozić biciem, doszło niemalże do starcia słownego, ale już był Mokotów i wprowadzili mnie do celi.

Chyba przez miesiąc siedziałem z takim chłopaczkiem, który próbował porwać samolot, komandosem, który był jakoś nieszcześliwy, więc próbował uciec z wojska. W trakcie warty zżapał jakiś samochód, pojechał na lotnisko, strzelając i raniąc kogoś, wsiadł do samolotu, zażądał, żeby go zawieź do Afryki Północnej. To nie jest więzienie cywilne, ale więzienie MSW i wszystkie sprawy prowadzone przez wojsko odbywają się w tym pawilonie MSW.

Cele są tam czteroosobowe, dosyć wygodne. Drugi chłopak, Alek Jaworski dostał 10 lat za defraudację - był celnikiem. Alek był niewątpliwym kapusier, ja znałem jego znajomych i najprawdopodobniej dlatego z nim siedziałem. Charakterystyczne jest dla mokotowskich kapusiów, że są to ludzie po wyroku, którzy mają wszelkie prawa więźnia śledczego, a nawet więcej niż prawa więźnia śledczego; siedzi taki i twierdzi, że ma drugą sprawę i że go przesłuchują w związku z tą sprawą, więc chodzi na przesłuchania. Ale bardzo mi się dobrze z nim siedziało, bo to był mniej więcej mój równoletek, gawędziarz. Był jeszcze jakiś facet z PIHM-u, ale krótko, a tak to cały czas siedziałem z tym Alkiem. Siedziało mi się dobrze, tylko że byłem napięty, dlatego, że ja tam przyszedłem z taką optymistyczną wizją, że lada dzień wychodzę. W więzieniu bardzo źle się wtedy siedzi, ponieważ czeka się cały czas, a jednocześnie miałem tę świadomość, że mogę siedzieć kilka lat. Ale w zasadzie oczekiwałem, że będzie amnestia.

Byłem raz przesłuchiwany. Wszyscy mieli to samo przesłuchanie: zarzucili nam jakieś ogromne pijaństwo, w którym miał brać udział Mirek Chojecki, ja i jakieś dziewczyny z Radomia.

- Jaka była droga od 22 lipca /amnestia/ do powstania "Robotnika"?

- Wiadomo było, że trzeba iść dalej, ale jak iść dalej? - na to znacznie trudniej było odpowiedzieć. Drugiego dnia po wyjściu mieliśmy awanturę z Jackiem. Ja traktowałem siebie i Adama jako umiarkowanych, natomiast Jacek był wtedy taki, że idziemy od przodu natychmiast. W czasie pisania pierwszego po wyjściu oświadczenia KOR-u, u Anieli Steinsbergowej, gdzieśmy się z Jackiem nie tyle pokłócili, co poróżnili, Jacek miał takie wizje, że tutaj już się zaczyna coś wspaniałego, że tysiące ludzi ten ruch poparło i miał takie dwa porównania: jedno, że on jest takim człowiekiem, który wisi na skraju przepaści,

wpija się w coś i chce wejść na tę górę; drugie, że ten ruch przepycha się z rządem - "kto kogc", że to już jest właściwie moment starcia. Antek i Piotrek też byli trochę w takim nastroju, co Jacek. Myśmy z Adamem również uważali, że coś dużego się stało, ale że nie jest tak, iż już można nie wiadomo co zaczynać. U Jacka to był raczej taki szok po wyjściu z więzienia, w praktyce nie było to sprecyzowane.

Potem rozjechaliśmy się. Ja pojechałem do Kamienicy Królewskiej - umówiliśmy się, że tam będzie zjazd 30-40 osób, który mówi, co należy robić. Jacek zaczął wtedy pisać któryś ze swoich tekstów, chyba "Zasady ideowe". W Kamienicy okazało się, że te różnice nie są aż takie zasadnicze. Postanowiliśmy, że musi powstać pismo. Zapropnowaliśmy to ja z Jackiem, i jednocześnie Adam przyjechał również z takim pomysłem. To było jakoś tam poparte przez Antka. Ja z Jackiem uważaliśmy, że redaktorem tego pisma może być tylko Adam i w zasadzie zostało to przyjęte.

Tam też zostało postanowione, że nie może być dalej KOR, że KOR musi się jakoś przekształcić, zresztą przy moim oporze. Uważałem bowiem, że to nic nie szkodzi, że może być KOR, który przeformułuje swoje dalsze cele. Ale szczególnie członkowie KOR-u uważali, że jeżeli będzie przeformułowanie celów, to trzeba zmienić nazwę, bo KOR się zobowiązał do tego, że zamknie swoją działalność wtedy, kiedy zmieni swoje cele. Wtedy sformułowano pierwsze pomysły powstania Komitetu Samoobrony Społecznej.

Był tam Antek Macierewicz, Stefan Starczewski, Krysia Starczewska, Halina Mikołajska, Janusz Przewłocki, /.../ chyba był Piotrek Naimski, Jacek Kuroń, Tadek Walendowski. Przyjechał Bogdan Borusewicz z Gdańska, wtedy go poznałem. Mirka Chojeckiego, Heńka Wujca ani Konrada /Bielńskiego/ wtedy nie było. Był też Adam Michnik, Jan Józef /Lipski/, Anka Kowalska, chyba był i Grzesz Boguta. Bogusi ani Basi Toruńczyk nie było. Basia się w ogóle w tym okresie wyłączyła. Kiedy myśmy siedzieli, Basia współredagowała Biuletyn z Staszkiem i z Joanną Szczęsną, ale kiedy myśmy wyszli, odsunęła się. Joanny ani Sewka też nie było. Byli za to Romaszewscy.

Omawiano tam jeszcze sprawę Biura Interwencyjnego. Romaszewscy przyjechali na parę dni, żeby zrobić Biuro Interwencyjne i byli bardzo rozczarowani, że właściwie z tego Biura nic nie wychodzi. Rzeczywiście, nic nie wychodziło. Powstanie Biura zostało ogłoszone w marcu i w zasadzie na początku zgłaszali się sami dwulanci. Początkowo miała je prowadzić Krysia Starczewska i nic z tego nie wychodziło. Potem przejęli to Romaszewscy, którzy w Kamienicy byli bardzo niezadowoleni, że wszystko się rozwala. Romaszewscy mają tendencję, żeby co pewien czas mówić, że "wszystko się wali".

Kontynuowano również dyskusję nad Deklaracją Ruchu Demokratycznego, która została tak nazwana później. Ale dyskusje rozpoczęły się już wcześniej.

Były dwie próby zorganizowania spotkań aktywu KOR-owskiego. Obie były nieudane, dlatego że wkrożyła tam policja, bo to był już okres, kiedy policja bardzo ostro wkraczała i rozbijała wszystkie zebrania. Potem, tuż przed aresztowaniem /w maju/ było spotkanie, które się udało. Tamte dwie próby

były w kwietniu, jedna u Łuczywów, druga nie pamiętam gdzie.

Trzecie spotkanie, w mieszkaniu Romaszewskich, udało się, dlatego że myśmy to nazwali "Konferencją Londyńską". Tam było BBC i dzięki temu policja nie wkroczyła - ze względu na telewizję angielską. Na tym spotkaniu już była mowa o tym, że trzeba zorganizować głodówkę. Ja byłem zasadniczym ideowym przeciwnikiem głodówki, dlatego, że uważałem, iż głodówka to jest, po pierwsze, granie na uczuciach, więc jest to trochę niemoralne. Poza tym, że jak już głodować, to trzeba głodować do końca, że taki tygodniowy protest nie ma sensu, bo jest trochę farsowy.

Oczywiście, nie miałem racji. Była tam dyskusja nad tym, kto ma wziąć udział w tej głodówce, w jaki sposób ją organizować. Chodziło o to, że wielu ludzi się w to angażuje, ryzykuje i chciałoby w jakiś sposób zaznaczyć swoje uczestnictwo. Skoro już ludzie ryzykują, grozi im wyrzucenie z pracy albo są wyrzucani z pracy i mają ochotę, żeby ta ich działalność była działalnością znaną, żeby byli mniej więcej tak bronieni jak członkowie KOR-u, to żeby była jakaś deklaracja, która byłaby z jednej strony deklaracją o charakterze ogólnoprogramowym, wychodzącą poza cele KOR-u, a z drugiej strony - żeby była deklaracją uczestnictwa w ruchu. Tak powstała idea tej deklaracji.

Ta właśnie dyskusja, rozpoczęta u Romaszewskich, była kontynuowana w Kamienicy. Nie pamiętam, gdzie pierwszy raz wystąpiły te różnice, które pozornie były tylko różnicami słów, a świadczyły o pewnym rozłamowaniu się w monolicie KOR-owski, który dopóki był jednolity, to nie było w jakiej sprawie się różnić. Był ROPCio i ci ludzie, którzy odskoczyli od KOR-u do ROPCio, czyli Ziemiński, Morgiewicz i Kaczorowski. Wystąpiły różnice - ale ohyba później - nad nazwą tego dokumentu: czy ten dokument ma się nazywać Deklaracja Ruchu Demokratycznego, czy Deklaracja Samorządu Demokratycznego. To drugie forsował bardzo mocno Adam, częściowo Jacek, a wielkimi przeciwnikami byli Antek i Piotrek. Już po Kamienicy odbyła się duża dyskusja, gdzie głównie ustalono, że powstaje pismo /jeszcze bez nazwy/. To było też u Romaszewskich; wzięli w niej udział Starsi Państwo z KOR-u. Prowadził ją Szczypiorski, był też Cohn, Aniela Steinsbergowa. Była tam dyskusja nad Deklaracją Ruchu Demokratycznego z głosowaniem, gdzie jednym głosem przegłosowano Deklarację Ruchu Samorządu Demokratycznego. Czuliem wtedy, że jest to na pograniczu rozłamu, zresztą Antek też to powiedział, ponieważ Antek /Macierewicz/, Piotrek /Najmski/, Wojtek /Onyszkiewicz/ i kilka innych osób związanych z Antkiem głosowało, żeby to była Deklaracja Ruchu Demokratycznego, a nie Deklaracja Ruchu Samorządu Demokratycznego.

- W końcu nazywała się Deklaracja Ruchu Demokratycznego.

- Tak. Dlatego, że myśmy uznali, iż skoro ma to doprowadzić do rozłamu, to lepiej złać taką pseudo /w gruncie rzeczy/ demokrację, bo demokrację przypadkowego zebrania, niż kłócić się o słowo, chociaż Adam do końca o to walczył bardzo mocno.

- Był tam jeszcze inny podział, znacznie bardziej znaczący: podział między Adamem a resztą, bo Adam w gruncie rzeczy torpedował tę deklarację. Główną uwagę zwracał na to, żeby pod tą deklaracją były nazwiska - że powinna być to raczej elitarna



Deklaracja. Natomiast myśmy uważali /Wujcowie, Romaszewscy, Antek, Piotrek, ja/, że deklaracja powinna objąć jak najszerszą liczbę osób i że lepiej zrezygnować z jakości nazwisk, a żeby zaznaczyć się w tym uczestnictwo. Kiedy przeforsowano tę szeroką koncepcję, Adam w ogóle torpedował to, żeby ludzie o znanych nazwiskach podpisywali się. Ja, walcząc wtedy z Adamem, uważałem, że jest to różnica niewyczućcia -- że Adam wrócił wtedy z Francji i nie wyczuwał trochę tego, co tutaj się stało; że nastąpiło przeniesienie ciężaru tego ruchu z ruchu inteligencji warszawskiej na coś znacznie szerszego, i że ważniejszych jest pięciu nowych ludzi do działania, niż kolejny podpis człowieka o znanym nazwisku.

Przedstawiam teraz ten konflikt może trochę mocniej, niż on wtedy się rysował. Było też takie spotkanie u Wujców -- pierwsze spotkanie "Głosu" -- kiedy Adam został mianowany jedynym niby-naczelnym, a Antek drugim, nie było jasne, kto ma być organizacyjnym. Antek przedstawił wtedy koncepcję "Głosu", która była kompletnie nie do przyjęcia, bo była to pomysł zrobienia hagiografii postkorwowskiej. Sprzeciwił się temu Jacek, który uważał, że to powinno być pismo typu "Po prostu". To był taki pomysł, z którym myśmy się zgadzali, że ma być pismo zamiast organizacji. I "Robotnik", i "Głos" miały być pismami zamiast organizacji, tylko skierowanymi na inne środowiska. Wrzesień, październik /1977/ to był okres mnóstwa spotkań i wszyscy brali udział we wszystkich spotkaniach, we wszystkich inicjatywach. To był wyraźnie nowy okres, widac było, że kształtują się nowe inicjatywy i każdy będzie szukał w tym miejsca dla siebie. /.../

- We wrześniu powstał również KSS "KOR". Opowiedz, jak to było.

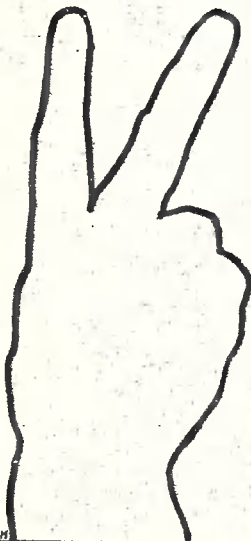
- KSS "KOR" powstał na takim posiedzeniu, na którym ja nie byłem. Już w Kamienicy była mowa o tym, że trzeba zmienić nazwę. Padły tam również propozycje. W końcu Jan Józef, już po Kamienicy, wymyślił, że to ma być właśnie Komitet Samobrony Społecznej "KOR". KOR w cudzysłowie, żeby zachować nazwę tradycyjną. Nazwę tę chyba zakomunikował na pierwszym dużym spotkaniu po Kamienicy, właśnie na tej dyskusji nad Ruchem Samorządu Demokratycznego u Romaszewskich. We wrześniu również było ostatnie spotkanie KOR-u, które przekształciło KOR w KSS "KOR". Wtedy oficjalnie odeszli z KOR-u Morgiewicz i Kaczorowski, bo Ziemiński już przedtem nie uczestniczył w pracach KOR-u. Morgiewicz nie był sygnatariuszem ROPGIO, niemniej odgrywał rolę przedstawiciela ROPGIO w KOR-ze. Oni nie zgodzili się chyba nawet podpisać sprawozdania finansowego. Wtedy był ten komunikat Komisji Rewizyjnej pozakorowskiej /Bienkowski, Kisielewski i Kijowski/ i nastąpiło przekształcenie. Na następnym spotkaniu myśmy zostali przyjęci, tzn. Konrad, Andrzej Celiński, Heniek Wujec, Sewek i ja oraz Lilka Wosiek i Leszek Kołakowski. Również Zbyszek Romaszewski.

Myśmy, łącznie z Romaszewskim, weszli na zasadzie klucza "młody KOR", tzn. młodzi działacze KOR-owsy. Heniek był bardzo aktywny w Ursusie w akcji pomocy. Heniek, Konrad, Zbyszek i Celiński /Celiński mniej/ byli głównymi organizatorami w okresie, kiedy myśmy siedzieli, szczególnie Heniek i Zbyszek. Konrad miał zawsze duży autorytet, ale w tym okresie nie było jeszcze dokładnie wiadomo, co Konrad robi, bo

był trochę utajniony. /.../ Lilka weszła na zasadzie takiego pomysłu, że to będzie dobry kontakt ze środowiskami katolickimi, trochę jako przedstawicielka KIK-u. /.../

Wszystkie te osoby z "młodego KOR-u" były zgłaszane przez Adama, który miał dobre kontakty z Andrzejem /Celińskim/ i na niego stawił. Tak samo z Konradem, który był z nami zawsze zaprzyjaźniony mniej lub bardziej luźno, ale był z tego naszego klucza. Nie wiem, czy Antek stawiał opór przeciwko naszemu przyjęciu, ale niewątpliwie nie był z tego zadowolony, bo to było wyraźne wzmocnienie pozycji w KOR-ze Adama i Jaoka. W tym czasie Antek i Piotrek zaczęli tracić wpływy, z tym, że wtedy nikt sobie z tego nie zdawał sprawy do końca, a te konflikty wyszły dopiero później. /.../

Oprac. M.S.



## PROTOKOŁY KOMISJI GRABSKIEGO

W poprzednim, 7-8 numerze naszego pisma opublikowaliśmy protokół z przesłuchania b. i sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka przez tzw. Komisję Grabskiego, powołaną w kwietniu 1981 roku przez I Plenum KC dla rozliczenia prominentów dekady lat siedemdziesiątych, w celu "oczyszczenia atmosfery" w partii przed nadzwyczajnym, IX Zjazdem. Cele zresztą były wielorakie, także i o nich pisze poniżej Grażyna Pomian. Protokoły Komisji traktowane były jako dokumenty najtajniejsze z tajnych, dostęp do nich mieli tylko nieliczni. Mimo to, wydostały się przecież jakoś z partyjnych sejfów i opublikowane zostały w drugim obiegu, w niewielkim nakładzie, przez Krakowski Komitet Przeciw Przemocy w 1985 roku. Stamtąd też zaczerpnięły zeznania Gierka, zapowiadając jednocześnie, że w następnych numerach opublikujemy jeszcze kilka innych przesłuchań. Jednak w tym czasie te kompromitujące partię teksty upowszechnione zostały przez RWE, a ponadto ukazały się drukiem z początkiem br. nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu, w opracowaniu i z obszernym wstępem Grażyny Pomian. Dlatego też rezygnujemy z pierwotnego zamiaru i zamiast kolejnych protokołów, publikujemy /za wydaniem paryskim/ tekst Grażyny Pomian, będący rzeczową analizą nie tylko samych protokołów, ale także i mechanizmów sprawowania władzy przez PZPR nad nami i wewnątrz samej partii. Tytuł pochodzi od redakcji.

Grażyna Pomian

## AUTO - DA - FÉ

W kilka dni po wydarzeniach w Bydgoszczy, w ciągu jeszcze napiętej sytuacji politycznej, IX Plenum Komitetu Centralnego PZPR podjęło 30 marca 1981 roku decyzję o zwołaniu nadzwyczajnego zjazdu partii. Kierownictwo PZPR, wahające się do tej pory między reformami a zachowaniem wszystkich dotychczasowych prerogatyw partii, oscylujące między ugodywymi a twardym kursem wobec "Solidarności", deklarujące gotowość wprowadzenia zmian w aparacie, a jednocześnie broniące do ostatka każdego prominenta oskarżonego przez opinię publiczną o nieudolność lub sprzeniewierzenie społecznych pieniędzy, zostało wreszcie zmuszone do podjęcia jednoznacznej decyzji. Wydawało się, że zwycięstwo odnieśli reformatorzy, gdyż z ich grona rozlegały się najgłośniejsze nawoływania o



wybory w partii, tymczasem był to początek ich klęski.

W uchwale wspomniano co prawda o przeciwstawianiu się "postawom zachowawczym, hamującym niezbędne przeobrażenia, obniżającym autorytet i wiarygodność partii", lecz głównym celem kampanii wyborczej miała być konsolidacja partii wokół kierownictwa, "broniącego podstaw socjalizmu". Członkowie partii mieli walczyć o przestrzeganie centralizmu demokratycznego, a tym samym przeciwstawiać się ideom głoszącym pluralizm ideologiczny i podważającym kierowniczą rolę partii. Wróg wewnętrzny i zewnętrzny został jasno określony. Była nim "prawica", oddziaływająca na "Solidarność" i inspirująca "działalność sprzeczną z jej statutem". Przeszłość PZPR w tym odpowiedziałność jej kierownictwa, jakby uległa zapomnieniu. Wspomniano o konieczności "przyspieszenia pracy nad określeniem odpowiedzialności politycznej członków partii winnych naruszenia norm prawa i zasad moralnych", lecz miały się tym zająć odpowiednie komisje kontroli partyjnej, co nie stwarzało dla nikogo szczególnego niebezpieczeństwa. W uchwale nie wrócono zresztą do osobiściej odpowiedzialności poprzedniego Biura Politycznego, aczkolwiek mówiono o niej podczas dyskusji na plenum.

Platforma wyborcza określona w uchwale była odpowiedzią kierownictwa partii na własne ustępstwa wobec "Solidarności" po wydarzeniach bydgoskich. Rozpoczęcie walki z "prawicowym" przeciwnikiem miało nie tylko przerwać dyskusję nad przeszłością, ale przede wszystkim zapewnić działaczy PZPR i komunistycznych sąsiadów o przestrzeganiu przez kierownictwo PZPR ortodoksyjnych pryncypiów i zachowaniu przodującej roli, jeśli nie w społeczeństwie, to przynajmniej w partii.

Rozbieżność z własną publicznością była kompletna. Nikt z uchwały nie był zadowolony, ani reformatorzy, którzy przypuszczali, zresztą słusznie, że uchwała zapoczątkuje odwrót od zapowiedzianych reform i wycofywanie się z porozumień gdańskich, ani partyjni beton, dla którego uchwała była zbyt żądna, a kierownictwo PZPR było i tak odpowiedzialne za stałą "wyprzedaż socjalizmu". Najbardziej zawiedzeni byli jednak szeregowi członkowie partii, których jedna trzecia - o czym nie należy zapominać - należała do "Solidarności". Cgół partii był zrewoltowany i zirytowany inercją kierownictwa, toteż rozpoczęcie kampanii wyborczej było o wiele gwałtowniejsze, niż się spodziewali autorzy uchwały. Kierownictwo PZPR straciło kontrolę nad partią.

Zebrań wyborcze zamieniały się w trybunały ludowe. Na ławie oskarżonych sadzano było i aktualne kierownictwo partyjne, a także różnych przedstawicieli aparatu partyjnego i państwowego łącznie z sekretarzami komitetów zakładowych i dyrektorami. Wymieniano ich przewinienia i żądano ukarania. Surowego ukarania. Sypały się oskarżenia o sprawy wielkie i błahе, interes partykularny bywał często utożsamiany z ogólnym. Największe oburzenie wywoływały wszystkie sprawy o zawłaszczenie lub roztrwonienie mienia społecznego, po prostu zwykłe złodziejstwo. Niestety sprawa przywilejów prominentów bardzo często przestaniała strukturalny niedowład systemu, a co ważniejsze, była świadomie wykorzystywana przez aparat dla obrony partii.

Zrewoltowani członkowie partii, których trudno uważać za świadomych swej misji reformatorów, bo takimi nie byli, krytykowali byłe i aktualne władze PZPR w imię bliżej nie sprecyzowanych ideałów socjalizmu, a przede wszystkim w imię egalita-

ryzmu. Powtarzane od lat hasło, że wszyscy są równi, że mają takie same prawa i obowiązki w partii i wobec partii, bo mają takie same legitymacje, jak bumerang uderzyło w jego głosicieli. Te słabo opłacane tkaczki, ci górnicy harujący w niezliczonych nadgodzinach, ci niezadowoleni ze swego losu technicy i weterynary na urzędniczych posadkach inżynierowie nagle znaleźli okazję do rewanzu i nie zrezygnowali z niego. Postulaty ukarania winnych podnoszone na każdym prawie zebraniu nie mogły zostać bez echa, tym bardziej, że podobne głosy z nie mniejszą gwałtownością rozlegały się na zebraniach "Solidarności". Aparat partyjny nie mógł sobie pozwolić na to, by być kto i byle gdzie oskarżał, a następnie osądzał członków kierownictwa, nawet byłego. Obowiązał się, całym zresztą zasadnie, że narastające oskarżenia staną się zagrożeniem dla istnienia partii.

Wiosną 1981 roku nie było możliwe wycisnienie dyskusji toczących się w organizacjach partyjnych, ale ciągle jeszcze można było stworzyć sytuację, w której rola wiodąca przypadnie Komitetowi Centralnemu. Miesiąc po decyzji o zwołaniu zjazdu, kolejne plenum powołało specjalną komisję pod przewodnictwem T. Grabskiego, ówczesnego sekretarza KC, której celem miała być "ocena dotychczasowego przebiegu i przyspieszenie kwestii odpowiedzialności osobistej członków PZPR pełniących kierownicze funkcje i przedłożenie w tej sprawie odpowiednich wniosków Komitetowi Centralnemu". Zakres działalności komisji nieprzypadkowo nie został nigdy publicznie ustalony, natomiast jej powołanie od razu stało się wydarzeniem w partii. Co prawda PZPR była już oswojona z komisjami mającymi wyjaśnić przyczyny kolejnych kryzysów partii, po których ślad ginął, lecz tym razem zadaniem komisji było ustalenie osobistej odpowiedzialności członków na najwyższych szczeblach partyjnych, co wywołało wiele emocji w partyjnych szeregach.

Oficjalnie komisja miała prawo do rozmowy z wszystkimi pełniącymi kierownicze funkcje w latach siedemdziesiątych, ale w praktyce lista przesłuchiwanym ograniczyła się do dygnitarzy usuniętych po VI Plenum. Przewodniczący komisji uciekał się do najrozmaitszych wybiegów, narażając się nawet na przykre uwagi ze strony pozostałych członków, aby tylko wyłączyć z obrad - jak sam mówił - obecnych prominentów. Przed komisją nie będą więc odpowiadać: S. Kania, W. Jaruzelski, K. Barcikowski, J. Tejcma i inni członkowie Sekretariatu i Biura Politycznego, którzy po powstaniu "Solidarności" nadal pozostali na stanowisku bądź na nie powrócili, z jednym wyjątkiem - M. Jagielskiego.

Niezależnie od intencji ówczesnego kierownictwa, powołanie komisji zostało odebrane przez opinię publiczną jako powołanie specjalnego trybunału PZPR, który miał sądzić i miał skazać. Naciski na komisję były wielostronne: członkowie partii domagali się pełnej wiedzy o minionym dziesięcioleciu i informacji o jej obradach. Dygnitarze wzbierali się jak mogli przed przesłuchaniem, gdyż sama ich obecność była równoznaczna z potępieniem. Członkowie aparatu wraz z najwyższymi władzami chcieli ograniczyć zakres jej działalności, obawiając się wyników przesłuchań. Niepokój budził nie tylko cel, w jakim została powołana, ale również kontekst społeczny, w jakim miała działać. Istnienie niezależnej od PZPR wielomilionowej "Solidarności" zmieniało wszystko, łącznie z ukła-



dami partyjnymi. Nie bez znaczenia był fakt, że komisja stawiała się instrumentem w walce o stanowiska na szczytach hierarchii PZPR. Nie chodziło wyłącznie o skompromitowanie osób przesłuchiowanych, ważne było także co kto mówił, kogo obciążał i kogo uniewinniał. U wielu komisja budziła lęk o własną pozycję, u wszystkich - obawę o ujawnienie rozmów. Stąd kategori czny zakaz udzielania dziennikarzom informacji poza oficjalnymi komunikatami oraz nieukrywana trwoga, aby materiały nie wpadły w ręce "Solidarności".

Czy motywy powołania komisji były zrozumiałe dla wszystkich funkcjonariuszy partyjnych i państwowych? Zapewne nie, jeśli jej członkowie uważali za konieczne podkreślenie w sprawozdaniu końcowym przyczyny jej powołania: "społeczeństwo, w tym członkowie partii głównie ze środowisk robotniczych, domagało się przyspieszenia działań kontrolnych. /.../ Również w samym Komitecie Centralnym PZPR narastała świadomość, że proces rozliczeń powinien być załatwiony przed IX Zjazdem PZPR w celu skupienia partii na rozwiązaniu palących spraw gospodarczych, społecznych i politycznych". Jaśniej powiedzieć nie było można. Publicznie przyznawano, że komisja została powołana, bo tego domagali się członkowie partii, a Komitet Centralny uznał, że jej powołanie może być użyteczne, gdyż pozwoli na zamknięcie dyskusji i zajęcie się bardziej "palącymi" sprawami. Tym bardziej, że nieustannie powracanie do przeszłości, a tym samym wszczynanie dyskusji nad partią i jej kierownictwem, w coraz większym stopniu ciążyło funkcjonariuszom partyjnym. Ale nio, łącznie z IX Zjazdem, tej dyskusji nie było w stanie przerwać, choć niewątpliwie nastąpiło po nim jej wyociszenie.

Nowo wybrane władze wszystkich szczebli organizacyjnych PZPR podkreślały z satysfakcją, że partia, która pozbyła się skorumpowanych i skompromitowanych działaczy, jest partią całkowicie odnowioną, która nie ma nic sobie do zarzucenia. W tym sensie komisja całkowicie spełniła oczekiwania partii, zarówno jej kierownictwa jak wielu jej członków. Na pytanie "kto winien" udzieliła jasnej i łmiennej odpowiedzi, ba, zażądała wykluczenia z partii byłego pierwszego sekretarza wraz z jego najbliższymi współpracownikami, oo w polskiej partii zdarzyło się po raz pierwszy. Gorzej natomiast było z udzieleniem odpowiedzi na pytanie "jakie mechanizmy społeczno-polityczne przesądziły o głębokim kryzysie gospodarczym Polski i kolejnej kompromitacji kolejnej ekipy PZPR". Ale nie po to ta komisja w takim składzie została powołana, by udzielała odpowiedzi na tak sformułowane pytanie, aczkolwiek dysponowała wystarczającym materiałem, czego dowodem mogą być niniejsze protokoły.

Członków komisji dobrano troskliwie. Nikt nie znalazł się tam przypadkowo i nikt nie zawiódł oczekiwań kierownictwa PZPR, choć jej członkowie reprezentowali w owym czasie różne tendencje polityczne. Znaleźli się w niej przedstawiciele ortodoksyjnej linii partii, zwolennicy aktualnego kierownictwa, tzw. liberałowie, a nawet jeden członek "Solidarności". Byli weterani partyjni i przedstawiciele młodszego pokolenia. Wielu u chodziło za przeciwników polityki Gierka, gdyż w swoim czasie musieli opuścić zajmowane stanowiska. Zapewniono także odpowiednią reprezentację robotników, chłopów i funkcjonariuszy partyjnych. Nie zabrakło oczywiście inteligentów.

Wbrew deklaracjom T. Grabskiego, ponawianym na komisji i publicznych zebraniach, robotnicy i chłopci stanowili w komisji



mniejszość. Jak by nie czytać życiorysów członków komisji, trudno się doliczyć wymienianych przez niego siedmiu robotników i trzech chłopów. Rozmijanie się z prawdą nie było wynikiem omyłki przewodniczącego, lecz stanowiło jeden z przymyślnych zabiegów propagandowych: robotnicy i chłopci w tej komisji jak w całej partii odgrywają rolę dominującą. Był to wygodny argument dla wszystkich, którzy przypominali o robotniczym charakterze partii i powoływali się na liczbę robotniczych działaczy w "Solidarności". Wobec członków komisji zajmujących wysokie stanowiska w nomenklaturze byli w mniejszości. Odegrali jednak wyznaczoną im rolę klasy robotniczej uniesionej gniewem z powodu zachowania przywódców partii. Gniew zresztą był autentyczny.

Irytowały przykłady niegospodarności, przerażał brak odpowiednich kwalifikacji, ale przede wszystkim bolały uprzywilejowane warunki, w jakich żyli partyjni dygnitarze: luksusowe wille, dachy, ordery zapewniające podwyższone emerytury i przywileje dla dzieci. Wszystko uzyskiwane w drodze wyjątku, najczęściej wbrew obowiązującym przepisom, o czym obecny na obradach przedstawiciel NIK-u stale przypominał. Ujawniali swoje rozczarowanie tym większe, im głębsza i bardziej ślepa była ich wiara w oklaskiwanych przez siebie przywódców. Gdy Z. Grzyb mówiła E. Gierkowi: "Byliście dla nas pierwszym człowiekiem w kraju. Myśmy naprawdę wam zawierzili. My dzisiaj nie chcemy was osądzać, ale chcemy wyszukać przyczyn, które doprowadziły do stanu kryzysowego nasz kraj, że my dzisiaj, po trzydziestu latach musimy wprowadzać kartki na artykuły żywnościowe i nie tylko żywnościowe", to w jej słowach przebiegał zawód, jaki spotkał ją - członka partii - oraz echa rozmów prowadzonych wśród robotników. Krytyczne, często wręcz zjadliwe wypowiedzi robotników-członków komisji były spowodowane przez jeszcze jedną, bodaj najważniejszą przyczynę - codzienną konfrontację ze zwolennikami "Solidarności". Byli jedynymi, którzy żyli w takich samych warunkach co reszta ich kolegów, lecz wyróżniała ich przynależność do partii oraz członkostwo w najwyższych instancjach partyjnych. konieczność nieustannego usprawiedliwiania partii i tłumaczenia się ze swego udziału w KC wywierała wpływ na ich postawę. Wspominają o tym nieustannie, a dodatkowym elementem oskarżenia staje się argument: a teraz my się za was musimy tłumaczyć. Odnosi się wrażenie, że bardziej ich irytuje obowiązek tłumaczenia się niż samo istnienie kryzysu.

Nie mają zrozumienia dla sytuacji, w jakiej znaleźli się przesłuchiwanym przywódcy, które daje się odczuć w wypowiedziach funkcjonariuszy, zwłaszcza Grabskiego, który ani na chwilę nie zapomina o tym, że na tej komisji sądził się nie tylko przywódców partii, ale także jego własnych kolegów. Rewerencje wobec robotników kończą się w momencie, w którym zagalopowani w swojej krytyce przekraczają dozwoloną linię. Na przykład wówczas, gdy przekazują postulaty własnych organizacji partyjnych, sprzeczne z interesem aparatu. Przesłuchiwanym nie bez pewnej wyższości przypominają im, że sprawy państwa nie ograniczają się do problemów jednego zakładu, a postulatów jednej organizacji nie można odnosić do całej partii. Wiele ich pytań zostaje zresztą bez odpowiedzi.

Nie należy zapominać o tym, że w tej dziwnej sztuce o partii, która rozgrywa się na posiedzeniach komisji, rola każdego aktora jest niezbędna dla zrozumienia, czym była PZPR

przez ostatnie dziesięciolecie. Ważne jest nie tylko to, co mówią byli dygnitarze, ale także jakie pytania zadają, co przemilczają i jakie stanowisko zajmują ci, którzy reprezentują opinię partii. Wielu członków komisji miało ochotę na przekształcenie jej w sąd, w którym po jednej stronie są prawni i niewinni szeryfowie, a po drugiej - przestępczy gang. Na tę rolę żaden z przesłuchiwanym nie chciał przystać. Nie ukrywają swojej irytacji, czasem wręcz rozbawienia, gdy ich byli koledzy z uniesieniem wokają: jak mogliście do tego dopuścić. Gdy Jagielski przypomina Stawińskiemu: "nie wiem, kto z nas był dłużej ministrem" chce przez to powiedzieć, że wy, dzisiejsi sędziowie, byliście jednymi z nas. Takich przypomnień było wiele, zarówno w stosunku do członków komisji, jak wobec osób nadal pełniących kierownicze funkcje. Była to jedna z form samoobrony, o tyle przekonująca, że nikt z członków komisji poza Grabskim nigdy publicznie nie zabrał głosu, choć miał po temu niejedną okazję.

Niezależnie od wszystkich różnic dzielących członków komisji łączyła ich jedna, zasadnicza cecha: wieloletnia działalność w PZPR. Większość z nich uczestniczyła w kolejnych zjazdach i była wybierana do różnych instancji partyjnych, łącznie z KC. Wielu pełniło odpowiedzialne funkcje partyjne i państwowe, na których realizowali politykę, za jaką następnie sądzili jej twórców. Prawie nikt nie mógł powiedzieć przesłuchiwanym: ja protestowałem. Wręcz przeciwnie, oklaskiwali ich, wybierali bez większego sprzeciwu na najwyższe stanowiska i w sposób ostentacyjny popierali ich politykę. Jeśli były jakieś sprzeczności, to poza wtajemniczonymi nikt o nich nie wiedział. O postulatach zgłaszanych podczas kampanii wyborczej na VIII Zjazd też nikt nie wiedział, aż do czasu powstania "Solidarności". Ponawiany wobec byłych przywódców zarzut o ignorowaniu krytycznych głosów wystawia jak najgorszą opinię całej partii. Milcząca zgoda na zatajenie prawdy i publiczne wystąpienia /w.in. na zjeździe/ popierające linię polityczną kierownictwa partii określają współodpowiedzialność każdego członka partii, nawet tego, który po powstaniu "Solidarności" poczuł się nagle oszukany i ośmieszony i dlatego wreszcie otworzył usta.

• • •

Początkowe nadzieje kierownictwa PZPR, że komisja szybko załatwi zleczone jej zadanie, okazały się bezzasadne po pierwszym posiedzeniu. Jej członkowie z różnych powodów zajęli pozycję surowych sędziów; trochę udzieliła im się atmosfera kraju, trochę zasmakowali we władzy, jaką otrzymali nad niedawnymi przywódcami i przy okazji załatwiali zadawione porachunki, niektórzy przejęli się hasłami odnowy i stale powoływali się na mandat Komitetu Centralnego. W ich dociekliwości było także wiele ze zwykłej ludzkiej ciekawości; jak tam, "na górze", podejmują się decyzje i rządzi w naszym imieniu.

Komisja uparcie dążyła do uzyskania jakiejś wiarygodnej odpowiedzi na pytanie: "gdzie była ta przyczyna zła", która spowodowała "to nieszczęście", ale jednocześnie podkreślała, że jest wyzbyta osoblistych antypatii i spełnia tylko obowiązek nałożony przez partię.

Przesłuchiwanym podkreślają swoją komunistyczną wiarę i zęfanie do komisji jako reprezentanta kierownictwa PZPR, nawet wówczas, gdy dają odczuć, że są pokrzywdzeni jej sądami. Rozpoczynają swe wyjaśnienia pełni dobrej woli, ale o swojej

działalności mówią ogólnikowo. Tak, jakby nie mogli zapomnieć o pełniących funkcjach i zajmowanej pozycji, jak gdyby one im dyktowały to co mogą, a czego nie powinni powiedzieć w gronie osób, które nie należą do ścisłego kierownictwa. Są ostrożni i wyważeni. Często czują się w obowiązku wyłączenia deklaracji wiernopoddanej wobec aktualnego kierownictwa PZPR i swojego poparcia dla uchwał VI Plenum. Przyznają się do popełnienia różnych błędów, w mniejszym lub większym stopniu poczuwają się do odpowiedzialności za nie, ale nikt nie chce się uznać za winnego. I tu za każdym razem następuje wielkie rozczarowanie komisji. Czują się zawiedzeni tym, co uszykali i tym co zobaczyli - postawą niedawnych dygnitarzy. Domagają się dalszych wyjaśnień, ujawnienia faktów, które znali tylko z pogłosek. Pytania stają się coraz bardziej dociekliwe, coraz bardziej agresywne. Czasem zamieniają się w referaty demaskujące sposób kierowania krajem przez PZPR.

Jak w psychodramie w pewnym momencie bariera psychologiczna pęka i przywódcy PZPR zaczynają mówić. Sądząc po ich własnych wypowiedziach, po raz pierwszy w życiu odważają się na mówienie o sprawach do tej pory przemilczanych, starannie ukrywanych przed społeczeństwem i własną partią, spychanych na dno własnej pamięci.

Czy wszyscy byli do końca szczerzy i otwarci? Nie. Przykładem może być wystąpienie T. Wrzaszczyka, który stanowczo uchylił się od wymienienia jakichkolwiek nazwisk i szeregów. Lojalność wobec kolegów, na którą się powołuje, była tarczą, która miała go ochronić przed zbyt kłopotliwymi pytaniami prowadzonymi do ujawnienia jego własnej odpowiedzialności. A poza tym nie wszystkie wewnętrzne hamulce przestały działać i zarówno przeszukiwani, jak przeszukujący, zdawali sobie sprawę z pewnych granic, których przekroczyć nie mogą. Przecież nawet w Biurze Politycznym byli bardziej i mniej wtajemniczeni, to coś dopiero mówić o przypadkowo powołanej komisji. Mimo, że rozmowy toczyły się wśród komunistów, na co jedna i druga strona wielokrotnie zwracała uwagę, to orwellowska reguła, że wśród równych są jeszcze różniejsi, ciągle w partii pozostaje aktualna. W tej komisji to, co zostało przemilczane, jest na swój sposób równie ważne jak to, co zostało powiedziane. Jedno i drugie świadczy o partii i stosunkach w niej panujących.

Przyszła i inna cenzura. Na jakimś etapie usunięto z protokołów dość istotne fragmenty. W najcięższym momencie urywają się wyjaśnienia E. Gierka, nie ma również dyskusji nad końcowym sprawozdaniem. Są jeszcze i inne opuszczenia, mniej jednak istotne z punktu widzenia poruszanych problemów. Kto i kiedy ocenzurował protokoły - trudno powiedzieć. Ochrona dobrego imienia PZPR nie wchodzi w grę, gdyż dostępne materiały są wystarczająco oskarżycielskie. Mógł działać strach przed ZSRR, a mogła niechęć do ujawnienia spraw personalnych, w które sam cenzor mógł być zamieszany. Dodatkowe fakty mogłyby pogłębić naszą wiedzę, ale ich brak nie podważa wartości samych protokołów. Są dokumentem bezcennym.

Po raz pierwszy od VIII Plenum z października 1956 roku zostaje ujawniony dokument partyjny o takiej doniesłości politycznej. Nie mówi się w nim o zbrodniach i torturach, jego głównym, prawie wyłącznym bohaterem jest gospodarka. Spoż-



czeństwo jest tłem dla działań gospodarczych i jest przez dygnitarzy PZPR traktowane jak instrument, który ma zapewnić jej poprawne funkcjonowanie. Produktywizm to jedyne, co komuniści akceptują jako wartość, ale nawet tego nie umieją porządnie zrealizować. Z prowadzonych rozmów wyłania się faktyczny obraz "realnego socjalizmu", takiego, jakiego pragną i usiłują urzeczywistnić jego pomysłodawcy.

Dowiadujemy się, w jaki sposób funkcjonował aparat partyjny, jego najwyższe instancje i do jakiego stopnia słowo "demokracja" było w nich pustym dźwiękiem. Opowiada się nam o wzajemnych stosunkach i zależnościach między Prezydium Rządu, które było częścią Biura Politycznego i Biurem jako całością i braku jakiegokolwiek odpowiedzialności obu tych instancji przed kimkolwiek. Przypomina się komunistyczne kanony wiary, wedle których się rządzi lub powinno się rządzić, którym była podporządkowana gospodarka, i którym chciano podporządkować całe życie społeczne. Zasady, w które obecni na komisji wierzą i odstępstwo od których byłoby poczytywane za zdradę partii. Wspomina się o warunkach, w jakich zapadały konkretne decyzje gospodarcze i polityczne i o przesłankach, które o nich zdecydowały. Poznajemy motywy i aspiracje głównych aktorów sztuki, w której wszyscy bez naszej woli musimy uczestniczyć, a przede wszystkim ich kwalifikacje i umiejętności, a właściwie ich brak, do rządzenia 35-milionowym państwem. Odsłania się przed nami to, co było zakryte i pilnie strzeżone jako tajemnica najwyższej państwowej wagi. Protokoły komisji Grabskiego to opowieść komunistów o ich metodach rządzenia, opowieść o nich samych. Tym cenniejsza, że wszyscy jej uczestnicy są przekonani o wyższości ideologii komunistycznej nad każdą inną i wszyscy, nawet jeśli stają się jej ofiarami, są gotowi nadal ją urzeczywistniać.

Wiele z rzeczy powiedzianych na komisji było już znanych. Mówiła i pisała o nich opozycja, czasami wspominała i oficjalna prasa. Do września 1980 roku propaganda partyjna zaprzeczała faktom, minimalizowała niedociągnięcia i wychwalała "zobycze socjalizmu". VIII Zjazd po zostanie przykładem tego, co partia w okresie kryzysu chciała i faktycznie mogła powiedzieć bez naruszania istniejących struktur. Wejście "Solidarności" na scenę polityczną całkowicie zmieniło sytuację. Dyskusja przybrała na ostrości, domagano się zmian instytucjonalnych i personalnych. Aktyw partyjny obiecywał i zwierał szeregi. Pod hasłem "bronimy szkalowanych" prawie każdy działacz i funkcjonariusz mógł liczyć na pomoc i wsparcie instancji partyjnych i państwowych.

Na komisji, między innymi, panowała zupełnie inna atmosfera. Otwarcie i dobitnie mówił się kryzysie, o tym, że od czterdziestu lat ciągle jako społeczeństwo żyliśmy na krawędzi przepaści. Wizja opustoszałych sklepów mogła się bez trudu ziszczyć wcześniej niż w 1981 roku. Nigdy - jak stwierdził J. Pińkowski - nie mieliśmy zapasów mięsa więcej niż na miesiąc. Gospodarka funkcjonowała w zasadzie tak samo, jak podczas II wojny stulecia. Byle co mogło odsłonić jej strukturalne wady i doprowadzić do ogólnego zastoju. Istnienia kryzysu ani jego rozmiarów nikt na komisji nie kwestionował, a co więcej odpowiedzialnością za jego powstanie obarczono najwyższe instancje

partyjne. Prawie wszystkie najważniejsze decyzje lat siedemdziesiątych zostały przez komisję omówione, lecz niektóre tematy, np. gospodarza koncepcja rozwoju Polski, polityka inwestycyjna, pożyczki zagraniczne, wydarzenia z 1976 roku powracały nieustannie. I nic dziwnego. Były kluczem do zrozumienia największego od 1945 roku kryzysu politycznego Polski.

Wprowadzając nową politykę gospodarczą ekipa gierkowska kierowała się następującymi przesłankami: stagnacji gospodarczej lat sześćdziesiątych, która spowodowała strajki na Wybrzeżu, przeciwstawimy dynamiczny rozwój przemysłowy, dzięki któremu nie dojdzie już więcej do konfliktów społecznych. Za pieniądze zachodnich bankierów, w dodatku tanie i łatwo dostępne, uczynimy z Polski dziesiąte mocarstwo przemysłowe. Drugi spakiny eksportem, on też zapewni warunki do dalszego rozwoju gospodarczego.

Zapowiedziane zmiany przyjęto z nadzieją. Sądzono się, że na terenie gospodarza da się coś zrobić, że być może "gospodarz" ze Śląska uczyni Polskę dostatnią. Wkrótce fachowcy, a od 1976 roku prawie wszyscy, wiedzieli, że się pomylili. Zamiast spodziewanego dobrobytu kraj pogrążył się w kryzysie, ale nikt łącznie z opozycją nie zdawał sobie sprawy ze stopnia marnotrawstwa, bałaganu i nieudolności, ze stopnia podporządkowania gospodarza decyzjom politycznym.

Rozpoczęciu dynamicznej polityki inwestycyjnej nie towarzyszyły żadne reformy. Centralne ośrodki dyspozycyjne nie umiały, a właściwie nie mogły pogodzić skostniałej struktury organizacyjnej z dynamicznym rozwojem gospodarczym. W rezultacie, mimo rozwijającej się centralizacji, każdy właściwie robił co chciał.

Pożyczki zagraniczne brano lekko, bez większego zastanowienia i każdy obronniejszy wiceminister mógł je uzyskać, a na pewno już ten, który reprezentował przemysł ciężki i maszynowy. Siła przebiecia i mocne poparcie szarych eminencji ekipy gierkowskiej były konieczne dla uzyskania jakichkolwiek pieniędzy, nie tylko dewiz. Na pytanie, dlaczego o tak skandaliczny sposób zaniehdano chemię, J. Szydłak odpowiedział: minister Konopacki "to złoty człowiek, dobry komunista, ale nie na czasy, kiedy trzeba było walczyć o każde pół miliarda złotych". Każde województwo brało udział w wyścigu po inwestycje, katowickie pod tym względem przodowało. Gdy nie udawało się ich umieścić w planie, rozpoczynano budowę poza nim licząc na to, że prędzej czy później rząd udzieli niezbędnej subwencji. I każde województwo wiedziało jedno: im będzie miało więcej przemysłu ciężkiego, tym bardziej będzie się liczyło przy rozdawaniu pieniędzy. Za inwestycjami przemysłu ciężkiego szło budownictwo mieszkaniowe, wyższe zarobki i lepsza opieka społeczna. Każdy sekretarz marzył o Katowicach. Po 1975 roku partykularyzmy się wzmocniły. Nowe województwa starały się dorównać starym, a wszystkie razem chciały narzucić centrali swój punkt widzenia. Przegrywały województwo słabsze, rolnicze, takie, które nie miały za sobą żadnego wpływowego mecenasa.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych do normalnych obciążeń inwestycyjnych doszła zwiększona produkcja na rzecz wojska: jego dozbieranie i modernizowanie. W związku z kry-

zysem energetycznym postanowiono przyspieszyć inwestycje węglowe, szczególnie Bełchatów z jego węglem brunatnym. W tej sytuacji budżet państwa stawał się kompletną fikcją. Drukowano coraz więcej pieniędzy, dostarczano na rynek coraz mniej towarów. Tym bardziej, że przemysł lekki, spożywczy i drobny były zaniedbane. Nigdy nie starczało na nie pieniędzy. Brakowało ich również na prywatne rolnictwo.

Do przyspieszenia i pogłębienia kryzysu przyczynił się waleń plan modernizacji Polski. Wszyscy, od sekretarza komitetu zakładowego i naczelnika gminy, aż po rząd i Biuro Polityczne, żyli w euforycznym uniesieniu; każdy na swój sposób i wedle swoich możliwości chciał się za wszelką cenę uwolnić. W imię tego hasła wprowadzono nowy podział administracyjny kraju, przy okazji hamując rozwój wielu miasteczek i budownictwa mieszkaniowego. Każde nowe województwo rozpoczynało swoją egzystencję od budowy okazałych gmachów dla partii, wojewody i milicji. W imię nowocześnieści niszczone przemysł drobny i terenowy. Małe, niezwykle użyteczne zakłady produkujące m.in. igły, sznurki, pudełka, lekarstwa włączono do wielkich kombinatów produkujących głównie dla przemysłu ciężkiego i całkowicie podporządkowanych państwu. W imię modernizacji Polski kupowano licencje nie bacząc na to, czy są techniczne i materialne warunki dla ich realizacji. Inwestowano ogromne sumy w hutnictwo i przemysł maszynowy, nie troszcząc się o równomierny rozwój kraju ani o utrzymanie na dobrym poziomie starych technologii. W rezultacie mieliśmy kolorowe telewizory, a chłop nadal nie mógł kupić wiadra i wideł. Czy nie było przeciwko temu sprzeciwów? Były, jeśli zawierzyc m.in. wypowiedział T. Pyki. Ale lobby przemysłu ciężkiego i samochodowego zawsze zwyciężało i nie można było przeferować innej polityki inwestycyjnej.

Komisja Planowania ciągle się rozbudowywała /w ostatnich latach liczba wiceprzewodniczących odpowiadała liczbie wicepremierów/ lecz nie miało to większego wpływu ani na jakość planów, ani na ich kontrolę. Efekty planowania przeważnie niewiele miały wspólnego z początkowymi projektami. Faworyzowano niezliczone komisje utytułowanych ekspertów, wykonywano wiele rzeczowych i ponoć cennych analiz, ale decyzje zapadały niezależnie od nich. Właściwie nie wiadomo gdzie. Komisji trudno było się doszukać ojców większości dyskusyjnych decyzji.

Nie było jednego centrum decyzyjnego i wykonawczego. Teoretycznie miało tę rolę odgrywać Biuro Polityczne, ale de facto jej nie pełniło. Wiele decyzji było podejmowanych przez Prezydium Rządu, wiele przez jakieś poszczególne grupy, a wiele - jak to się okazało na komisji - zostało podjętych nie wiadomo gdzie, kiedy i przez kogo. Posiedzenia Rady Ministrów w pełnym składzie odbywały się dwa razy do roku. Dyskusji przeważnie nie było. Sądząc po protokołach Biura Politycznego dyskusje merytoryczne również należały tam do rzadkości, przynajmniej te protokołowane. Wszystko się działo za kulisami, między swoimi, między wtajemniczonymi. Była jeszcze sprawa wzajemnych stosunków między poszczególnymi członkami Biura Politycznego. Autokratyczny Jaroszewicz i niezdecydowany Gierek. Klany tych dwóch usiłowały narzucić swoją wolę. J. Szydłak jako wicepremier podejmował jakąś decyzję, a w następnym tygodniu M. Jagielski, również wicepremier, ją anulował i podejmował swoją. NIK rozpoczynał kontrolę, nagle przychodziła decyzja z Urzędu Rady Ministrów o jej przerwaniu. Były osoby, których ruszyć było



niepodobna, np. szefa Radia i Telewizji. Sam J. Łukasiewicz meldował E. Gierkowi, że Szczepański "zagląda do zbyt głębokiego kielicha", ale ciągle się okazywało, że jego przydatność była większa niż jego wady. Kariera dał Nikodemów Dyzmów stała otworem. Musieli spełniać tylko jeden warunek: zaakceptować ideologiczno-polityczne reguły gry.

I tak to szło. Czytają protokoły nie należy się oburzać, że tyle pieniędzy, tyle ludzkiego wysiłku zostało bezpowrotnie zmarnowanych, dziwić się należy, że kraj i ludzie w ogóle jakoś egzystowali. W imię lepszej przyszłości, do której miała doprowadzić modernizacja Polski, niewiele kłopotano się o teraźniejszość. Ludzie mieli pracować dużo, jak najwięcej, za małe pieniądze. Ich zarobki były związane z miejscem pracy /np. kopalnie, prestiżowe budowle, milicja/, bądź z presją, jaką wywierali na władze. Obawiano się otwartych konfliktów społecznych i starano się ich uniknąć z co najmniej dwóch powodów: pozostawały w całkowitej sprzeczności z przyjętą na samym początku lat siedemdziesiątych koncepcją rozwoju Polski oraz z obrazem stabilnego kraju, który jest dobrą lokatą dla zagranicznych pieniędzy. A bez dalszych pożyczek nie wyobrażano sobie funkcjonowania gospodarki.

Pożyczki zagraniczne. Wszystko co się z nimi wiązało było otoczone ścisłą tajemnicą. Tym ściślej, im bardziej te sprawy stawały się publiczne. Zadłużenie Polski jako problem ekonomiczny i polityczny zostało przez Biuro Polityczne przedyskutowane dopiero w 1978 roku. I wtedy właśnie dowiedział się o nim E. Gierek - człowiek, który decydował o sprawach państwa. Zapewne Biuro Polityczne mogło wcześniej zająć się rozmiarem zadłużenia i możliwościami, zresztą minimalnymi, jego spłat, ale nie było ku temu żadnej atmosfery. Jedni nie przyjmowali do wiadomości niczego, co by zakłócało ich wizję świata, inni, jeśli nawet orientowali się, przeważnie milczeli. F. Szlachcic był jednym z niewielu, którzy zaprotestowali przeciwko nadmiernemu zadłużeniu Polski i odezwał z funkcji sekretarza KC. Strach o własną posadę nie był jedyną ani najważniejszą przyczyną milczenia. Odstępstwo od przyjętej przez partię koncepcji było dla nich równoznaczne z kolejnym zdezawuowaniem polityki gospodarczej partii, a z kolei jej zasadnicza zmiana byłaby połączona z obniżeniem się stopy życiowej i prawdopodobnym wybuchem konfliktu społecznego.

Skala strajków lipcowo-sierpniowych była dla kierownictwa kompletnym zaskoczeniem. Nie tylko nastąpiła kompromitacja partii, ale powstała "Solidarność" i tego członkowie komisji swoim dawnym przywódcom nie mogli wybaczyć. Komisja wiele czasu poświęciła sprawie pożyczek, w których widziała główną przyczynę kryzysu. Polityczne uzależnienie się Polski od Zachodu uzasadniało tolerancją dla opozycji, w której komisja widziała główną sprawczynię niepokojów społecznych. Z tą oceną wielu przesłuchiwanym się zgadzało i przyznawało, że popełnione polityczny błąd. Oponowali natomiast przeciwko twierdzeniu, że kredyty zostały źle wykorzystane. Bronili swojej polityki gospodarczej, która pozostała dla nich jedyną możliwą. Trzeba przyznać, że byli konsekwentni.

Mimo kryzysu energetycznego, mimo bankructwa polityki realnej i przeznaczania jednej trzeciej pożyczek na zakup żywności nadal rozwijano przemysł ciężki. Modyfikowano ce praw-

da plany gospodarcze, starano się powstrzymać proces inwestycyjny, obcinano import, w wyniku czego wiele kosztownych inwestycji zostało przerwanych, a inne pozostały niewykorzystane z braku materiałów, ale podstawowe wytyczne dynamicznego rozwoju pozostały aktualne do sierpnia 1980 roku. Nie zmienił ich nawet bunt robotników z Radomia i Ursusa. Na zasadniczą reformę gospodarczą nie zdobyto się zresztą po dzień dzisiejszy. Zabrakło wyobraźni społecznej i odwagi, by w imię interesów kraju zrezygnować z pryncypiów ideologicznych.

Na co w takim razie liczono? Na cud - odpowiada J. Pińkowski. Liczono na to, że zła passa przejdzie, że wyroby przemysłu maszynowego zaczną się wreszcie sprzedawać za granicą, że przyjdzie jeden, a może trzy lata pod rząd prawdziwego urodzaju. Czekano, aby cena ropy spadała a węgla wzrosła, żeby - jednym słowem - sytuacja się zmieniła. Czekając na Godota liczyli na przetrwanie; na uspokojenie społecznego niepokoju, na zniechęcenie opozycji, a przede wszystkim na dalsze zagraniczne przeżytki. Tak, jak liczą na nie i dzisiaj.

OCzekiwania decydentów o tyle się sprawdziły, że rzeczywiście coś się w Polsce stało, a mianowicie powstała "Solidarność". Z protokołów jasno wynika, że było to wydarzenie, z którym w kilka miesięcy po nim członkowie komisji ciągle nie byli się w stanie pogodzić. "Solidarność" była bardzo rzadko na komisji wymieniana, tak jakby była słowem tabu. Natomiast wielokrotnie i w różnej tonacji, od rozpacy po irytację, padały te same pytania: "jak doszło do tej tragedii?", "jak mogliście do tego dopuścić?" i zawsze będzie chodziło o powstanie "Solidarności". Pytania o przyczyny kryzysu, które były naczelnym tematem komisji, nigdy nie dotyczyły powstania niezależnych związków zawodowych. "Solidarność" stała się wstrząsem dla partii i tak była odczuta przez większość jej członków. Wywoływała w niej krańcowe nastroje: od entuzjazmu do wrogości, ale nie dotyczyło to komisji, która wykazała wyjątkowy brak zainteresowania przebiegiem konfliktu.

Nie zadawano żadnych pytań. Nie zainteresowano się nawet stanowiskiem poszczególnych członków Biura Politycznego wobec strajków i sposobów ich zakończenia. Nie było pytań, tak jakby w ogóle nie było porozumień gdańsko-szczecińskich. A co dziwniejsze, przesłuchiwanie przywódcy PZPR również nie skorzystało z okazji, jednej z niewielu dla nich sprzyjającej i nie próbowali się pochwalić przed komisją ani swoją rozumą polityczną, ani kompromisowym stanowiskiem wobec jednego z największych konfliktów społecznych. Obie strony milczały, bo w gruncie rzeczy obie uważały sposób zakończenia strajków za klęskę partii. Ze względu na obowiązującą w partii dyscyplinę członkowie komisji nie mogli w sposób stanowczy i jednoznaczny potępić starego Biura Politycznego za zgodę na powstanie niezależnych związków, podczas gdy nowe Biuro nie przestawało ich uznawać. Komisja obradowała między swoimi. Nie była krępowana propagandowymi tezami. Spontanicznie demonstrowała wrogość wobec "Solidarności", nie mogąc potępić jej powstania starała się ją ignorować.

Obrady komisji odbywały się w czasie największych sukcesów związku, gdy wydawało się, że sprawa jego istnienia raz na zawsze jest przesądzona, gdy jego przywódcom naprawdę się zdawało, że rozmawiając z Rządem rozmawiają "jak Polak z Polakiem".

Wiele, bardzo wiele, było natomiast pytań o 1976 rok. Dla

członków komisji była to jedna z najważniejszych spraw, która przesądziła o dalszych losach ekipy Gierka. Zarzuca się jej, że nie umiała zapobiec konfliktowi, a następnie nie umiała czy nie chciała wyciągnąć ekonomicznych i politycznych konsekwencji wobec własnej polityki i postępowania. Omawia się szczególnie przygotowanie podwyżki cen, sposób jej przeprowadzenia i odwołania. Żąda się wyjaśnień w sprawie zakazu użycia broni w taki sposób, jakby wyrażano wątpliwości co do przebiegu wypadków. Późniejsze prześladowania mieszkańców Radomia są natomiast przemilczane. Wyraża się wątpliwości co do zasadności organizowania wieców potępiających wicherzyo-  
li, które przez aparat partyjny były odebrane jako wyraz poparcia dla Gierka i Jaroszewicza i nie przyniosły żadnego politycznego efektu. Rozważania nad takimi czy innymi decyzjami z 1976 roku służą do sformułowania krytycznej oceny ostatniego pięcioletnia lat siedemdziesiątych.

Oskarża się byłych przywódców o brak politycznej koncepcji, o lansowanie tezy o jedności moralno-politycznej narodu, która w istocie oszabiała partię i ułatwiała działalność opozycji. Oskarża się o ignorowanie opinii członków partii a zarazem brak konsekwencji w realizacji programów i uchwał instancji partyjnych. Nieprzekonywująca jest dla komisji decyzja o odwołaniu podwyżki, niezrozumiała - pobłażliwość wobec organizującej się opozycji, błędem - niezwołanie plenum, a skandalicznym faktem - utrzymanie Jaroszewicza na stanowisku premiera. Dymisja Jaroszewicza - zdaniem komisji - byłaby okazją do przywrócenia choćby częściowego zaufania społeczeństwa dla kierownictwa, a zarazem okazją dla zmodyfikowania polityki gospodarczej. Ale nio takiego się nie stało i stara ekipa pozostała w tym samym składzie aż do VIII Zjazdu. Dopiero na nim Jaroszewicz stał się obiektem powszechnej krytyki, zręcznie zorganizowanej przez Sekretariat KC. Jego dymisja była faktycznie jedyną zmianą, jaką wprowadził VIII Zjazd.

Chronienie Jaroszewicza jest niezrozumiałe dla komisji. Wyjaśnienia odwołują się przeważnie do przyjaźni, jaka go łączyła z Gierkiem. Wydaje się jednak, że kluczem do zagadki jest wypowiedź E. Babiucha: "W grudniu 1970 roku faktyczna zmiana kadrowa polegała na tym, że nie tylko nastąpiła zmiana pierwszego sekretarza, ale równocześnie premiera". Otóż to. Wiadomo, że po grudniowych zajściach na Wybrzeżu Moskwa domagała się zmiany kierownictwa. I ta zmiana nastąpiła. Premierem mianowano Jaroszewicza, dchrze znanego komunistom sowieckim nie tylko z ostatniej posady - wieloletniego przedstawiciela Polski w RWPG. Miał stanowić przeciwwagę dla Gierka, jedynego sekretarza z Europy Wschodniej, który nie miał za sobą dłuższego pobytu w ZSRR, natomiast wiele lat spędził na Zachodzie. Nie ma żadnego dowodu na to, że Piotr Jaroszewicz był agentem Moskwy, lecz zachowanie Biura Politycznego wskazywałoby, że uważano go za jej zaufanego członka. I to wystarczało jako dyrektywa. Inaczej nie można wytłumaczyć uporu, z jakim go utrzymywano na stanowisku ani samego przebiegu zjazdu, który miał udowodnić, skądinąd dość rozpowszechnioną opinię, że Jaroszewicz nie cieszy się poparciem partii.

Można oczywiście przyjąć inne założenie; do tego stopnia bano się Jaroszewicza, że nikt nie ośmielał się wystąpić z otwartą propozycją jego dymisji, aż dopiero na zjeździe, bez



uprzedzenia, zawiadomiono go, że nie wejdzie do Biura Politycznego i przestanie być premierem. Tylko skąd ten strach?

Zaprzepaszczenie okazji, jaką stwarzał VIII Zjazd dla zmiany polityki było kolejnym zarzutem komisji wobec byłych członków Biura. Groźnym zarzutem, gdyż propaganda partyjna przedstawiała dyskusję przedzjazdową jako wielki ruch reformatorski, poprzedzający postulaty "Solidarności". W jej wydaniu każdy protest o zasięgu pisku myszki urastał do ryku lwa, a partia była pełna odnowicieli gnębionych przez grupę konserwatywno-autokratyczną z Biura Politycznego. Propagandowy zabieg mógłby się powieść, przynajmniej we własnych szeregach, gdyby oskarżeni chcieli dobrowolnie wziąć na siebie rolę winowajców. Ale żaden z nich nie chciał występować ani jako despota, ani jako prześladowca nieugiętych bojowników prawdy.



Każdy z dymisjonowanych po VI Plenum członków Biura Politycznego - nie dotyczy to Jagielskiego i Pińkowskiego - składa przed komisją samokrytykę, ale stanowczo odmawia uznania siebie samego czy całego Biura za głównego sprawcę kryzysu. Nawet Jaroszewicz, stosunkowo najbardziej samokrytyczny, powołuje się bez przerwy w charakterze usprawiedliwienia na złą sytuację gospodarczą Polski przed 70 rokiem, na niski poziom techniczny przemysłu polskiego, wreszcie na kryzys światowy, którego drugotwalości ani głębokości nikt z rządzącej ekipy nie przewidział. Babiuch, broniący swojej działalności sekretarza KC, odsłania z kolei mechanizmy działania aparatu politycznego z lat poprzednich. Można się z nim bez trudu zgodzić, że nie był on wówczas ani demokratyczniejszy, ani skuteczniejszy. Gierek, który przez komisję, a zapewne przez część aparatu od początku był przeznaczony na głównego winowajcę, szczególnie ostro się temu sprzeciwia. Jego linia obrony staje się mimowolnym oskarżeniem systemu i odsłania jego podstawowe słabości. Na wielokrotne pytania: ozy komisji znane są przykłady szikanowania kogokolwiek za zabranie głosu na forum partyjnym, za każdym razem nie ma jednoznacznej odpowiedzi, tylko bąkanie o jakiejś niesprzyjającej atmosferze. Gierek nie chce się również pogodzić z koncepcją pracy komisji, która ograniczyła swoje śledztwo do ostatniego dziesięciolecia. Dla niego ostatni kryzys jest wynikiem poprzednich i wymienia wszystkie kolejne strajki, do których był posyłany w charakterze rozjemcy. Nie zapomina o czerwcu 1956 i grudniu 1970, o ówczesnych ofiarach. Kryzysy są dla niego związane z partią i jej stylem pracy. "Towarzysze - zwraca się do komisji - przecież zrozumiecie, w tej partii na przestrzeni trzydziestu kilku lat posługujemy się tym samym tematem". I przypomina zaskoczenie i bezradność partii przed każdym kolejnym konfliktem społecznym. Wypomina strach kierownictwa przed strajkującymi robotnikami, nie zapomina wytknąć, że w grudniu 1970 nie było ochotników na wyjazd do Szczecina i przypomina, jak gorąco go wówczas proszono, by zechciał objąć funkcję pierwszego sekretarza. Podkreśla swoją odwagę, a oo więcej jest głęboko przekonany, że gdyby nie jego wrzesniowy zawał, wypadki polityczne potoczyłyby się inaczej. Pojechałby do Jastrzębia i przekonałby górników o nieskuteczności ich żądań, wytrumaoczyłby, że Polska węgiem stoi i nie byłoby wolnych sobót, do których wszyscy uczestnicy komisji mają wrogi stosunek. Jest pewny siebie i jego słowa brzmią jak oskarżenie aktualnej ekipy.

Komisja źle przyjmuje wyjaśnienia byłego pierwszego sekretarza. Pomijając już sprawę jego hardego tonu i nieprzyjemną sprawę własności domów, co do których Gierek utrzymywał, że były mu dane w dożywocie, podczas gdy dokumenty łącznie z aktem notarialnym dowodziły, że były jego własnością, była jeszcze inna sprawa, najistotniejsza: odpowiedzialności sekretarza przed partią. Członkowie komisji nie chcą przyjąć do wiadomości złego funkcjonowania systemu z partią na czele, jak nie chcą zaakceptować własnej odpowiedzialności za powstawanie kryzysu. "Po to was wybraliśmy sekretarzem" - mówi jeden z członków komisji i mówi zgodnie z lenińskimi tradycjami: jeden szef, cała władza, jedna odpowiedzialność. Zresztą wystarczy przypomnieć historię kolejnych sekretarzy KPZS: Stalin był odpowiedzialny za zbrodnie, Żagry i czystkę w partii, Chruszczow - za rozłożenie rolnictwa, Breżniew - za stagnację gospodarki i bezruch partii. Obdarzanie szefa absolutną władzą, a następnie obarczanie go wyłączną odpowiedzialnością jest niezwykle wygodne dla partii, łącznie z jej szeregowymi członkami. Nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za decyzje podejmowane w ich imieniu. Niejako z góry są usprawiedliwieni z własnej bezczynności. Byłoby byli posłuszni i przestrzegali dyscypliny, to nic poza własnym sumieniem nie zagrozi ich spokojowi. Chyba, że wybuchnie nowy konflikt społeczny. Wówczas, jak to było podczas 1956, 1970, 1980 roku, w partii ujawniają się trzy grupy członków: pierwsza na znak protestu oddaje legitymacje, druga próbuje partię naprawiać, trzecia optuje za starym, wypróbowanym modelem i popiera aktualne kierownictwo.

W dyskusji na komisji, ostrej i bezpardonowej, chodzi więc o przypomnienie Gierkowi jego podstawowego obowiązku: wzięcia na siebie winy za kryzys partii i gospodarki, a także o obronę pewnej koncepcji partii i modelu społecznego. Mnożą się wypowiedzi i apele. Od zasadniczych, typu: "twierdząc, że jesteście komunistą", aż po patetyczne: "ty jesteś częścią tej partii". I nic. Nie ma pożądanej samokrytyki. Są więc inne próby. Na pytanie o kontakty z opozycją zaskeczony Gierek odpowiada: "nie mam powiązań, towarzysze, z jakimkolwiek opozycjonistą. /.../ Miałem spotkanie z Wyszyńskim..." Pytań tego typu będzie więcej i będą się powtarzać wobec innych osób. Dla komisji i zapewne dla wielu członków PZPR świat byłby prostszy, gdyby kryzys był spowodowany współpracą Gierka z opozycją, a jeszcze lepiej byłoby, gdyby się okazało, że był szpiegiem amerykańskim, świadomie sabotującym politykę partii. Niestety, życiorys Gierka, jak i innych przeszukiwanych, okazał się nieskazitelny. Byli dobrymi komunistami.

W samoobronie Gierka i innych przywódców odnajduje się wiele z reakcji zwierzyńny zaszczywanej przez nadchodzącą nagonkę. Świat, ich świat, zmienił się w ciągu kilkunastu godzin, podczas których trwał VI Plenum. Byli na szczytach partyjnej władzy, a teraz na komisji wielu się domyśla, że mogą być wykluczeni z partii. Są sami, przeraźliwie sami. Wystarczy przejrzeć nekrologi, które się ukazały po śmierci Żukaszewicza i Grudnia. Odczuwają to jako niesprawiedliwość i nieolejalność ze strony byłych podwładnych i kolegów pełniących niegdyś i nadal te same kierownicze stanowiska. Dlatego bronią się do ostatka. Przypominają swoją młodość i wojenne zasługi. Przypominają, że nie oszczędzali siebie, że

pracowali po 14 godzin na dobę, że chorzy, bez należytego wypoczynku wracali do swoich obowiązków, że rezygnowali z życia towarzyskiego, a nawet rodzinnego i wszystko na próżno. Bronią siebie i swojego stanowiska politycznego z konieczności, niejako wbrew swojej woli oskarżają system, którego byli współtwórcami i ślepych wykonawcami. Ich niechęć do uznania się za winowajców jest miarą zmian, jakie zaszły w partii. Nie ma już dobrowolnych ochotników na męczenników.

• • •

Brak skruszonych grzeszników nie przeszkodzi komisji uznać przestępczych przywódców /z jednym wyjątkiem S. Kowalczyka/ za odpowiedzialnych za kryzys ekonomiczny i polityczny w kraju. To oni, dlatego że byli nietolerancyjni, lekkomyślni, że wynosili się ponad Komitet Centralny, szczególnie Gierek, że zaniechali kontrolę, nie słuchali protestów, a wręcz przeciwnie, tłumili krytykę, są sprawcami zła, całego zła i muszą ponieść odpowiednią karę. Swoją działalnością wyrządzili szkodę państwu i partii i komisja wymienia listę przewinień, m.in. "niedocenianie pełnego dorobku Polski Ludowej i ograniczanie się do dekady lat siedemdziesiątych" oraz "zatajenie faktycznego stanu partii i państwa, uniemożliwiającego VIII Zjazdowi podjęcie właściwych ocen i uchwał". Konkluzje raportu komisji nie były niespodzianką: partia została uniewinniona, a bierność jej członków usprawiedliwiona. IX Zjazd, który w propagandzie partyjnej uchodził za odważny i odwoleńczy, w gruncie rzeczy niewiele się różnił od VIII. Zamiast jednej osoby odpowiedzialnej za złe funkcjonowanie systemu znalazło się ich ośmioro, z pierwszym sekretarzem na czele. I one, tak jak poprzednio Jaroszewicz, miały skupić na sobie całe niezadowolenie członków partii i społeczeństwa. Zasadniczy model funkcjonowania socjalizmu nie był przedmiotem żadnej dyskusji. Proponowane reformy, w wielu wypadkach nawet nowatorskie, nigdy nie dotyczyły roli partii w społeczeństwie i pluralizmu związkowego. Z zarzutów wysuwanych pod adresem ekipy gierkowskiej można odczytać zakres i kształt pożądanej przez komisję demokracji. Na przykład zwiększenie uprawnień Komisji Samorządu Robotniczego, respektowanie konsultacji społecznych gwarantowanych przez Konstytucję czy zwiększenie samodzielności podstawowych ogniw partyjnych.

Końcowe sprawozdanie komisji zasługuje na szczególną uwagę właśnie dlatego, że jest poprzedzone protokołem z dyskusji. Dysproporcja między tym, co się mówiło w wąskim, zaufanym gronie, a tym, co przekazuje delegatom jest uderzająca. Przestępczenia przywódców PZPR nie tylko odsłaniają mechanizmy funkcjonowania systemu, ale również ujawniają жаłowosć działań zmierzających do jego polepszenia i zwiększenia efektywności. W sprawozdaniu wszystkie błędy sprowadzają się do wypaczenia przez kierownictwo zasad centralizmu demokratycznego. Tym samym komisja wyznacza granicę błędów, do jakiego partia chce i może się przyczynić. Sprawozdanie potwierdza tezę J. Baryły - ówczesnego szefa Zarządu Głównego WP, a obecnego sekretarza KC - wypowiedzianą podczas przesłuchania Jagielskiego, ale jak gdyby skierowaną do wszystkich rozdyskutowanych i wątpliwych w partii: "Nam się mówi, że bałagan gospodarczy czy nieumiejętność gospodarowania jest immanentną cechą socjalizmu, a przecież to nieprawda. Fakt, że wiele krajów socjalistycznych rozwija się doskonale przekreśla tę tezę. W moim świętym przeko-



naniu jest to wynik subiektywnych błędów". Przyczyny kryzysu rzeczywistości zostały sprowadzone do "subiektywnych błędów". Nie ulega żadnej wątpliwości, że osobiste cechy charakteru odegrały znaczną rolę w kształcie i rozmiarach polskiego kryzysu. Zapewne jeszcze większą rolę odegrał brak kompetentnych polityków i technokratów. Rządzili Polską ludzie niskiego lotu i marnych kwalifikacji. Niezdolni do przewidzenia konsekwencji podejmowanych przez siebie decyzji, nieustannie wahający się w wyborze politycznych metod, co w rezultacie powodowało niezadowolone wszystkich. To prawda, tak było. Ale osobiste cechy ekipy gierkowskiej nie zadecydowały o kolejnej kompromitacji polskiego socjalizmu. Od 1945 roku nie było ani jednej ekipy, której bilans byłby pozytywny.

O kryzysach zadecydowała ideologia "socjalizmu realnego", innego zresztą nie ma. Ona kształtowała gospodarcze programy rozwoju i wpływała na podejmowanie doraźnych decyzji. Spadek wpływów propagandy reżimu na społeczeństwo nie jest tożsamy ze śmiercią ideologii. Protokoły pokazują, że jest ona środkiem komunikacji i sposobem myślenia. Istnieje jeden język i te same pojęcia dla wszystkich; przesłuchiwanym przywódców, członków komisji i zapewne wielu członków partii.

Dla uczestników komisji nie ulegało żadnej wątpliwości, że reprezentują jedną i słuszną koncepcję rozwoju społeczeństwa, od której nie ma odwrotu. Prawa historii, obiektywne, nie podlegają dyskusji. Ekipa Gierka była m.in. krytykowana za to, że nieumiejętnie prawa historii realizowała, że nie umiała pogodzić ekonomii z komunistycznymi zasadami. Wedle tych praw raz wzięta władza nie może być ani oddana, ani z nikim dzielona, gdyż byłoby to zaprzaczenie wobec wyznawanych przez siebie wartości oraz zmarnowanie wysiłku poprzednich pokoleń. O konieczności utrzymania komunistycznej władzy nie zapominali ani przesłuchiwanym, ani przesłuchujący i mówili o tych eprawach zwyczajnie, bez patosu. Od czasu do czasu, dla poparcia własnych sków, przywoływali na świadka klasę robotniczą, bardzo rzadko konkretnych robotników. Wiosną 1981 roku już wszyscy łącznie z ortodoksyjnymi komunistami wiedzieli, że robotnicy są zróżnicowani i niekoniecznie przychylni partii, jak np. robotnik Lech Wałęsa. Klasa robotnicza jako pojęcie funkcjonujące w ideologii nie straciła jednak na znaczeniu. W końcu to w jej imieniu rządzi partia, a ona już abstraktem nie jest.

Nie było również żadnej wątpliwości co do wyższości własności kolektywnej, a właściwie państwowej, nad własnością prywatną. Uosabia ona - jeśli nie praktycznie, to przynajmniej teoretycznie - postęp, wydajność i harmonijny rozwój społeczny. Z własnością państwową wiąże się nierozłącznie centralne planowanie, w odstępstwach od którego m.in. w tzw. teorii planu otwartego komisja upatrywała jedną z najważniejszych przyczyn klęski gospodarczej.

Z faktu uznania własności państwowej za wyższy etap rozwoju społecznego wynikały konkretne decyzje dotyczące gospodarki chłopskiej, rzemiosła a nawet spółdzielczości. "Prywatna własność chłopska to mogą być delikatesy, a nam potrzebna obszarowo wielka produkcja rolna z PGR-ów i spółdzielni

produkcji" - tak na komisji mówił J. Łukaszewicz i nikogo to nie oburzało ani dziwiło. Wręcz przeciwnie, przy innych okazjach, np. ajencjach, wyrażano zastrzeżenia i krytykowano partię, że pozwoliła na bogacenie się małej grupki ludzi kosztem "mas pracujących". Historia zakupu licencji traktora jest jednocześnie ilustracją stosunku partii do indywidualnej gospodarki chłopskiej; tendencji do upaństwowienia ziemi towarzyszyła koncepcja dużego traktora, zaś mały zwiastował ulgową politykę wobec chłopca. Dziś ilustracją tych stosunków jest zwlekanie z decyzją uruchomienia kościelnej fundacji rolniczej.

Upaństwowienie środków produkcji jest oczywiście niewystarczające dla realizacji komunistycznego programu. Ważny jest kierunek rozwoju przemysłu. Od czterdziestu lat rozwija się więc przemysł ciężki. Przy każdym konflikcie społecznym stwierdza się, że w jakiejś mierze zdecydowały o nim zaniedbania przemysłu lekkiego i spożywczego, ale polityka inwestycyjna pozostaje taka sama.

Wszystko - oświata, kultura, środki masowego przekazu, nie mówiąc już o milicji i wojsku - jest postrzegane jako własność państwa, którego zarządzanie z racji historycznych spoczywać musi w rękach komunistów. Społeczeństwo jako samodzielny podmiot działania nie istnieje i nie jest zresztą na komisji przedmiotem dyskusji. Jest partia i jest tłum. Gierek i inni często w swych wypowiedziach podkreślają, że oszuja się odpowiedzialni przed członkami partii. Wyłącznie przed nimi. Zresztą nigdy nie pada określenie: my, Polacy. Raz tylko u F. Szlachca pojawia się słowo "ojczyzna". Polska jest wymieniana wyłącznie jako nazwa kraju, chciałoby się rzec - przedmiotu. Dla działaczy PZPR nie jest ona wspólnotą duchową naznaczoną tradycjami historycznymi ani samostatną wartością, za którą się odpowiada przed potomością. Dlatego na komisji mówią: "ten kraj", "ci ludzie", "oni". Gdy J. Pińkowski bronił siebie i kolegów przed posądzeniem o oportunistę, użył następującego argumentu: "w końcu /szło/ o poważne sprawy, o sprawy kraju i sprawy partii i wszyscy dobrze zdawali sobie z tego sprawę". Połączenie partii z krajem jest charakterystyczne. Dygnitarze PZPR już inaczej myśleć nie potrafia; pomysłność kraju identyfikują z przetrwaniem partii. Dla Polski i Polaków miejsca nie ma.

W ideologii realnego socjalizmu, w tej mieszance marksizmu-leninizmu z praktyką kolejnych sekretarzy sowieckiej partii, populizm i egalitaryzm odgrywają znaczną rolę, zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych. Wówczas wykonuje się jakiś spektakularny gest wobec klasy robotniczej, który jest z reguły pozbawiony głębszego sensu społecznego, ale zawsze przez propagandę zresztą wykorzystywany. W 1968 roku ofiarowano młodzieży robotniczo-chłopskiej dodatkowe punkty na wyższą uczelnię, Gierek zapoczątkował konsultacje z ludnością, co nawet zostało wpisane do konstytucji, Jaruzelski zagwarantował chłopcom konstytucyjną własność ziemi oraz powołał brygady robotniczo-chłopskie, które mają ścigać nieuczciwych rzemieślników i właścicieli sklepów oraz tropić nieudolnych biurokratów. Zabiegi propagandowe jednych śmieszają, innych irytują, ale zawsze znajdują swoją publiczność, która jest usatysfakcjonowana wzrostem swojego społecznego znaczenia.

Ostentacyjne bogacenie się działaczy partyjnych w latach siedemdziesiątych, które było realizacją drugiej połowy gierkowskiego hasła: "zeby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dos-

tańniej", było krytykowane i demaskowane podczas "Solidarności" zarówno przez jej członków jak partyjnych. Sprawa nieuczciwości i wykorzystywania dla materialnych korzyści zajmowanego stanowiska była jednak pochodną potrzeby egalitarności. Aozkolwiek w sprawozdaniu końcowym komisja wspomina o osłabieniu poczucia zasad moralnych, kwestia przywilejów, które jak manna spadały na głowy dygnitarzy była podczas obrad bardziej problemem politycznym niż moralnym.

Propagowanie idei egalitarnych niejednokrotnie pozostawiało w sprzeczności z pojęciem sprawiedliwości społecznej. Podczas dyskusji o 1976 roku Gierk z niejaką dumą przytaczał swoją ówczesną opinię o konieczności zrównoważenia podwyżki cen ekwiwalentem finansowym przeznaczonym dla każdego konsumenta w tej samej wysokości. Taką rekompensatę uważał za jedynie sprawiedliwą, gdyż, jak podkreślał, "wszyscy mamy jednakowe żądanki". W kilka lat później w imię tej samej egalitarności tworząca się "Solidarność" uchwaliła tzw. "ważówkę", która na łamach prasy partyjnej była zresztą ostro krytykowana.

Egalitaryzm jako filozofia życia społecznego nie sprowadza się do problemów materialnych. Na komisji ujawniały się odruchy antyinteligentne, nieufność do ekspertów i dyplomów. Trybunałem odwoławczym spornych problemów stawały się "masy partyjne", które w przeciwieństwie do sądanego kierownictwa reprezentowały rzetelność, mądrość i doświadczenie. Piękni są ci szeregowi komuniści, równie piękni jak bohaterowie filmów socrealistycznych.

U powszechnienie się idei egalitarnych w społeczeństwie nie ulega żadnej wątpliwości. Trudno tylko wymierzyć, o co pochodzi z ideologii komunistycznej, a co zrodziło się z własnej tradycji narodowej. Ale ta mieszanka staje się coraz niebezpieczniejsza. Tym bardziej, że egalitaryzm jest jedyną z niewielu wartości, które są wspólne dla PZPR i społeczeństwa.

Ważnym składnikiem socjalizmu realnego jako ideologii jest stosunek do ZSRR i partii bolszewickiej - wzoru, który różnych narodowych odchyłań, jest przez wszystkie kraje demokracji ludowej akceptowany i respektowany. Na komisji obecność "wielkiego brata" była przez cały czas wyczuwalna, ale jednocześnie było mało pytań, bardzo mało zważywszy niezwykle zażyłe stosunki łączące obie partie i okres w jakim toczyły się obrady.

Niektórych członków komisji zadziwił fakt, że Polska zamiast zacieśniać stosunki z ZSRR i innymi krajami RWPG kupowała nowoczesną technologię wyłącznie na Zachodzie. Trudno ustalić, czy odpowiedź Jaroszewicza przypominająca o przemysłowym zacofaniu kraju przodującego socjalizmu zadzwoliła pytającego. Problem zależności naszych zakupów licencyjnych od potrzeb ZSRR został poruszony przez T. Wrzaszczyka. Było to zresztą przedstawiane jako rzecz naturalna, odpowiadająca interesom obu państw. Padło tylko jedne pytanie dotyczące opinii "towarzyszy radzieckich" o naszej polityce gospodarczej: naturalnie była ona negatywna. Charakterystyczne, że pytanie zostało zadane Jagielskiemu jako przedstawicielowi RWPG, a więc osobie, która niejako z urzędu miała kontakty z Rosjanami. Czytając protokoły trudno byłoby się domyślić, że oba kraje utrzymywały ożywione kontakty handlowe i politycz-



ne, a kolejne delegacje partyjne każdego prawie dnia miały się na Okęciu. Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć założenie, że państwowe i partyjne władze ZSRR były doskonale zorientowane na polityce Gierka i sytuacji w kraju, i że znały ją nieporównanie lepiej niż polska elita władzy. Być może ta polityka im się nie podobała, ale publicznie zaniepokoiili się dopiero po powstaniu "Solidarności". Zadłużenie, bałagan gospodarczy i ogólny kryzys nie powodował gniewnych wstępniaków w "Prawdzie" ani pogróżkowych listów od przyjaciół komunistów. Zakres swobodnego decydowania Polski o swoim losie został jeszcze raz jasno określony.

Mimo braku pytań, stosunek do ZSRR odgrywa na komisji rolę papierka lakmusowego. Przyparty pytaniami do muru, zaniepokojony Gierek czuje się w obowiązku złożyć deklarację wierności komunistom sowieckim. Jaroszewicz nie zapomina wspomnieć o pomocy, jaką Polska otrzymywała od ZSRR. W wypowiedzi Wrzaszczyka pobrzmiewa nuta pogróżki, gdy przypomnia komisji stanowisko "bratnich partii komunistycznych" w sprawie niebezpiecznej sytuacji w Polsce. Szlachcic skarżący się na plotki przypomina, że w zależności od sytuacji politycznej raz był agentem, innym razem wrogiem. Obie wersje miały go skompromitować jako działacza. W warunkach politycznego uzależnienia Polski od ZSRR trudno uciec od takich pomówień. Są one częścią składową wszelkich decyzji politycznych. Opatrzanie etykietą "wróg" lub "przyjaciel" ZSRR pozwala frakcjom partyjnym na niszczenie lub budowanie kariery ludzi, których popierają. Być może ze zwykłego strachu obie strony przemilczały na komisji eprawę stosunków polsko-sowieckich. Na wszelki wypadek.

Komisja kończyła obrady w zupełnie innej atmosferze niż je zaczynała. Rzeczywistość coraz bardziej ciążyła na postawie pytających. W ciągu kampanii wyborczej PZER się zmieniała i jej działacze w coraz mniejszym stopniu nadążali za zmianami. Wielu się im przeciwstawiało. Na zebraniach masowo wykreślano funkcjonariuszy lub po prostu tych, którzy się nie podobali. Niektórzy członkowie komisji już wiedzieli o swojej porażce, inni się jej spodziewali. Byli zaniepokojeni tym, co się w partii dzieło i z tym większą niecierpliwością wysłuchiwali kolejnych usprawiedliwień. Atakowali i potępiali. Członkowie komisji za wszelką cenę chcieli obronić partię, dzięki protokołom oskarżyli ją, jak niewielu dotąd. Sami o sobie powiedzieli prawdę.

Grażyna Pomian

#### Od redakcji

W SKŁAD PARTYJNEGO TRYBUNAŁU WCHODZILI:

**Tadeusz Grabski** /przewodniczący/ - m.in. b. I sekretarz KW w Koninie, w 1999 roku usunięty ze stanowiska za krytykę początków gospodarczych Jaroszewicza. Po sierpniowych strajkach dokooptowany do KC, następnym sekretarz KC. Witany tam jako naturalny sprzymierzeniec odnowy, szybko okazał się czołowym, obok Stefana Olszowskiego, eksponentem pezetpeerowskiego betonu. Przegrawszy wybory na IX Zjazd, znajduje się obecnie na partyjnej zsyłce za granicą.

Tadeusz Piszbach /wiceprzewodniczący/ - ówczesny I sekretarz KW w Gdańsku, zastępca członka Biura Politycznego. Uważany za jednego z czołowych rzeczników reformy partii i za cichego sympatyka tzw. struktur poziomych, przegrał w wyborach na IX Zjeździe, a następnie, po 13 grudnia, usunięty został ze stanowiska i jako radca handlowy wysłany do Helsinek, gdzie przebywa po dziś dzień.

Zygmunt Wronski - pracownik ZM "Ursus", od 1971 r. członek KC. W maju 1981 r. wszedł w skład Biura Politycznego w charakterze "dyżurnego" robotnika. Przepadł w wyborach na IX Zjazd.

Adam Bałdys - górnik kopalni "Czerwone Zagłębie", od 1975 roku członek KC. Przepadł w wyborach na IX Zjazd.

Józef Baryka - generał dywizji, ówczesny szef GZP i wiceminister obrony narodowej. Przepadł w wyborach na IX Zjeździe. Po 13 grudnia członek WRON. W lipcu 1982 r. dokooptowany do KC. Obecnie sekretarz KC, członek BP.

Ignacy Drabik - starszy mistrz w ZM "Fredom-Mesko" w Skarżysku-Kamiennej. Na VIII i ponownie na IX Zjeździe wybrany do KC.

Zofia Grzyb - brygadzystka w radomskim "Radoskórze". Od lutego 1980 r. /VIII Zjazd/ członek KC. Do października 1981 roku członek "Solidarności", z której wystąpiła na znak protestu wobec "reakcyjnej polityki jej przywódców", ale przede wszystkim zgodnie ze stosowną uchwałą Biura Politycznego. Od IX Zjazdu do dziś - członek BP.

Tadeusz Kościowski - "wzorcowy" dyrektor PGR-ów, a następnie także prywatny hodowca owiec. B. zastępca członka KC, we wrześniu 1980 r. dokooptowany do składu KC. Przepadł w wyborach na IX Zjazd.

Stanisław Królik - "wzorcowy" przewodniczący "wzorowej" spółdzielni rolniczej, Budowniczy Polski Ludowej, od 1968 r. członek KC. Przepadł w wyborach na IX Zjazd.

Stanisław Opałko - od 1972 r. dyrektor naczelny Zakładów Azotowych w Tarnowie, a następnie emeryt. Jesienią 1980 r. wybrany I sekretarzem KW w Tarnowie, którą to funkcję pełni po dziś dzień. Poseł na sejm czterech kadencji. Od września 1980 r. członek KC, ponownie wybrany na IX Zjeździe.

Edward Pustelnik - ślusarz ze Szczecińskiej Stoczni Remontowej "Gryf". Od VIII Zjazdu członek KC. Przepadł w wyborach na IX Zjazd.

Jerzy Putrament - pisarz, b. politruk i dyplomata, długoletni wiceprezes ZLP, naczelny redaktor "Literatury", wieloletni członek KC i partyjny nadzorca Związku Literatów. Kawaler licznych najwyższych orderów peerelowskich i sowieckich. Przepadł w wyborach na IX Zjeździe.

Eugeniusz Stawiński - b. działacz KPP. Od 1949 do 1968 r. minister przemysłu lekkiego. W 1956 r. zastępca członka BP, od 1968 r. do IX Zjazdu - wiceprzewodniczący Komisji Rewizyjnej KC.

Henryk Szafranski - działacz PFR, b. robotnik, a następnie inżynier w Ursusie. Od 1956 do 1971 r. w aparacie party-

nym PZPR, m.in. jako I sekretarz warszawskiego KW. W latach 1971-1985 /do ostatnich wyborów/ - członek Rady Państwa. Od 1964 r. do IX Zjazdu - członek KC. Budowniczy PL.

Andrzej Wasilewski - od 1965 r. do dziś dyrektor PIW-u, b. sekretarz POP przy ZLP. Od 1971 do IX Zjazdu zastępca i członek KC. Po 13 grudnia dokooptowany do KC, współtwórca neo-ZLP.

Władysław Piłatowski - do grudnia 1970 r. m.in. I sekretarz KW we Wrocławiu. Od 1971 r. dyrektor naczelny NIK, a od listopada 1980 r. jej wiceprezes. W tym charakterze uczestniczył w pracach Komisji.

#### PRZED KOMISJĄ GRABSKIEGO ZEZNAWALI:

Edward Babiuch - od grudnia 1970 r. do lutego 1980 r. sekretarz KC, członek BP, a następnie, do sierpnia 1980 r. - premier PRL. Od września 1980 r. /VI Plenum KC/ pozbawiony - podobnie jak pozostali jego koledzy - orderów i wszystkich stanowisk /w tym mandatu poselskiego/, na IX Zjeździe wykluczony z partii.

Edward Gierek - od grudnia 1970 r. do września 1980 r. - I sekretarz KC PZPR. Odsunięty na VI Plenum, na IX Zjeździe wykluczony z PZPR.

Zdzisław Grudziń - w latach 1970-1980 - I sekretarz KW PZPR w Katowicach, zastępca a następnie członek BP. Usunięty z partii przez wojewódzką przedzjazdową konferencję PZPR. Zmarł 30 stycznia 1982 r. na zawał serca.

Mieczysław Jagielski - do października 1971 r. m.in. stały przedstawiciel PRL w RWPG, a następnie, do 1976 r., przewodniczący Komisji Planowania przy RM i zastępca członka BP; później wicepremier i członek BP, w którym to charakterze podpisywał Porozumienia Gdańskie. Mimo pełnej współodpowiedzialności za utopienie "drugiej Polski", przed Komisją występował jedynie w charakterze świadka, ciesząc się w owym czasie nawet opinią partyjnego "liberała". Przepadł w wyborach na IX Zjeździe, a następnie, w lipcu 1981 r., odwołany z funkcji wicepremiera, pogrążył się w politycznym niebycie. Jest profesorem nadzwyczajnym na SGPiS-ie.

Piotr Jaroszewicz - od grudnia 1970 r. do lutego 1980 r. /VIII Zjazd/ - premier PRL. W lutym 1981 r. zostaje wykluczony z PZPR przez CKKP. Najbardziej obciążony odpowiedzialnością za kryzys gospodarczy kraju. Formalnie oskarżony, miał stanąć przed Trybunałem Stanu, jednak po 13 grudnia odstąpiono od tego zamiaru. Obecnie, zapewne w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, pędzi - podobnie jak Gierek - spokojny żywot zasobnego emeryta partyjnego.

Stanisław Kowalczyk - od 1971 r. sekretarz KC, a od 1973 r. do września 1980 r. minister spraw wewnętrznych i zastępca, a następnie członek BP. Od VI Plenum pozbawiony stanowisk i wpływów politycznych, jednak - podobnie jak Jagielski - przed Komisją stanął tylko w charakterze świadka.

Jerzy Łukaszewicz - od 1971 r. sekretarz KC, zaś od 1975 r. - ponadto zastępca członka BP, a od VIII Zjazdu członek BP. Główny architekt tzw. propagandy sukcesu, jeden z najbardziej znienawidzonych ludzi ekipy gierkowskiej. Na IX Zjeździe wyrzucony z PZPR. Zmarł w 1983 r.



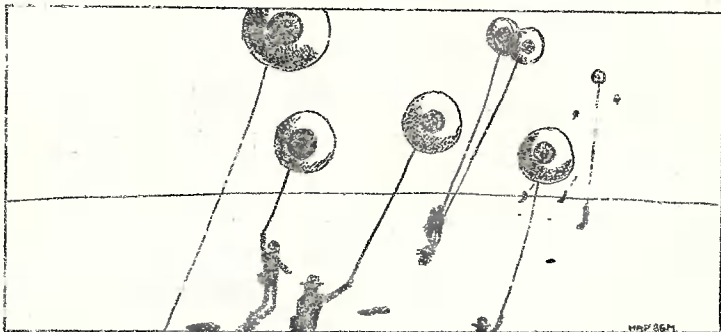
Tadeusz Pyka - w 1974 r. I wiceprzewodniczący Komisji Planowania, w latach 1975-1980 /do 25 sierpnia/ - wicepremier i, od VIII Zjazdu, zastępca członka BP. Usunięty z partii przez IX Zjazd, powrócił do pracy naukowej na WSE w Katowicach, gdzie jest profesorem.

Franciszek Szlachocic - generał, od lutego 1971 r. do kwietnia 1974 r. minister spraw wewnętrznych, a następnie sekretarz KC i członek BP. Od 1974 r. do 1976 r. - wicepremier. Odsunięty ze ściślej ekipy kierowniczej - jak sam twierdzi - za krytyczny stosunek do polityki gospodarczej Jaroszewicza, został prezesem Głównego Urzędu Miar i Wag. Przed Komisją Grabskiego stanął na własne żądanie. W 1981 r. próbował powrócić do gry, ale przepadł w wyborach na IX Zjazd.

Józef Pińkowski - od 1971 r. I zastępca przewodniczącego Komisji Planowania, a od 1974 r. - sekretarz KC. Od sierpnia 1980 do marca 1981 r. premier rządu PRL, jeden z głównych "hamulcowych" zapoczątkowanych przez Sierpień przemian. Mimo swej oczywistej odpowiedzialności za lata siedemdziesiąte i on również stanął przed Komisją jedynie w charakterze świadka. Obecnie "prywatny obywatel PRL".

Jan Szydłak - w latach 1968-1976 sekretarz KC, a następnie wicepremier i od lutego 1980 r. /b. krótko/ przewodniczący CRZZ. Od 1971 r. był również m.in. bardzo aktywnym przewodniczącym TPR. Od grudnia 1970 r. do 25 sierpnia 1980 roku - członek BP. Usunięty przez IX Zjazd z PZPR.

Tadeusz Wrzaszczyk - od grudnia 1970 r. minister przemysłu maszynowego, a od 1975 r. przewodniczący Komisji Planowania i jednocześnie wicepremier. Od 1975 r. zastępca członka, a od VIII Zjazdu członek BP. Ze wszystkich stanowisk odszedł 25 sierpnia 1980 r. W lutym 1981 r. wykluczony z PZPR przez CKKP. Wraz z Jaroszewiczem miał odpowiadać przed Trybunałem Stanu za doprowadzenie kraju do ruiny gospodarczej.



## ZERWANE DRUTY

więc to już

słowa jak ostry hamulec  
przycinają język

popchnięci  
padamy sobie w ramiona  
śmiesznie  
jak ludzie w tramwaju  
na ostrym zakręcie

więc to już

stygna żelazka rąk

zerwane druty  
bezzadnie zwisają  
na słupach

gasną żarówki oczu

zdarzenia  
sznurek tramwajów zatrzymany

potem  
słysząc zgrzyt  
/może klucza/  
zgrzyt tłumiony  
w poduszce  
roztopiony w końcu  
na mokrych policzkach

## WIERSZE

**Barbary  
Sadowskiej**

### OJCU

I

siedmioletnie dzieci  
piszą koślawe tato  
a ja myślałam koślawo  
myślę koślawo

w nocy  
jesteś koło mnie  
nieznany  
wyczuwalny  
bardzo dobry  
ojcze

w dzień  
zostają mi tylko ręce  
stygające ręce  
wyjęte ze snu  
drgające do ciebie

II

kiedy dostanę karabin  
strzelę w słońce

wtedy wszyscy  
będziemy ślepi

ślepcem trudniej  
trafić do siebie  
ojcze

/Wiersze Barbary Sadowskiej  
z "Almanachu młodych 1958/59",  
Wyd. Iskry, Warszawa 1960/

## DZIWNE PRZYPADKI PROFESORA DAVIESA

Jeremi Jesion

# CIEŃ

Norman Davies, czterdziestosześcioletni profesor historii, zna Polskę i jej historię jak niewielu tylko Polaków. Ten obywatel brytyjski, Walijszczyk z pochodzenia, studiował w swoim czasie na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a potem spędził w Polsce jeszcze szereg lat, uzyskując - również na UJ - tytuł doktorski. Przy wrażliwości, jaką dysponuje, umożliwiło mu to nie tylko zdobycie ogromnej wiedzy o naszym kraju i jego historii, lecz także zrozumienie współczesnych polskich problemów, konfliktów i sprzeczności, trudnych lub wręcz niemożliwych do zgłębienia dla większości cudzoziemców interesujących się kwestią polską i pragnących pojąć, co się właściwie dzieje w dziwnym kraju między Bugiem a Odrą.

Profesor Davies jest też autorem wielu prac naukowych, w tym poświęconych naszej historii. Pierwsza z nich "God s Playground", czyli "Boże igrzysko", dwutomowa historia Polski, ukazała się w 1981 r., wydana przez Oxford University Press, w rok zaś później w Nowym Jorku, nakładem Columbia University Press. Druga, pod tytułem "Heart of Europe" - "Serce Europy", wyszła po obu stronach oceanu w trzy lata później. Obie przyniosły rozgłos autorowi. Niestety, sława prof. Daviesa nie dotarła do Polski, gdzie jest znany i wysoko ceniony zaledwie przez wąskie grono intelektualistów, znających język angielski. O wydaniu u nas książek prof. Normana Daviesa, który rozumiał Polskę, jak to się nie udało dotychczas żadnemu cudzoziemskiemu historykowi, w PRL nie może być mowy. Książki Daviesa - według opinii peerelowskich cenzorów - są bowiem szkodliwe i antykomunistyczne, zaś do polskich urzędów mogłyby trafić jedynie truizmy. Nie zanosi się więc na przekłady i publikacje, a urzędy celne pilnie baczą, aby nieprawomyślnie książki Normana Daviesa nie przedostały się przez granicę. Stąd też padają one ofiarą konfiskat, po czym adresaci otrzymują rozmaite dziwnie brzmiące uzasadnienia. Jednemu z nich, któremu swą książkę "Serce Europy" w prezencie przesłał sam prof. Davies, wyjaśniono, iż publikacja jest szkodliwa dla... Związku Radzieckiego. Ludzie mogący ją przeczytać wyrwywają więc sobie z rąk nieliczne egzemplarze krążące po Warszawie, Krakowie i może paru innych miastach.

Wobec ścisłego embarga na książki angielskiego profesora, władze są przekonane, iż treść ich i wymowa pozostają nieznane polskiemu społeczeństwu. Dlatego stosunkowo niedawno, bo w dniu 31 lipca br. nazwisko profesora Daviesa trafiło na Zamy "Trybuny Ludu" w kontekście, którego najmniej mógłby oczekiwać sam zainteresowany. Otóż "Trybuna", piórem swego amerykańskiego korespondenta, Włodzimierza Łozińskiego, wzię-



za Normana Daviesa w obronę, w związku z niesprawiedliwością, jaka spotkała go w 1986 r. na Uniwersytecie w Stanford w Kalifornii, gdzie miał objąć stanowisko kierownika katedry Historii Europy Wschodniej, którego nieoczekiwanie mu odmówiono. Z tekstu artykułu Łozińskiego - nie tylko nierzetelnego w intencjach, ale i upstrzonego żenującymi błędami i nieścisłościami - wynika, iż przyczyną niepowodzeń, które go spotkały jest słynny konserwatyzm i antykomunizm Uniwersytetu w Stanford, z czego implicite można by wyciągnąć wniosek, że Davies jest człowiekiem o poglądach prokomunistycznych. Łoziński nie posuwa się jednak aż tak daleko, ograniczając się do stwierdzenia, iż "prof. Davies stał się jednym z przykładów klęski chibektywnego patrzenia i prezentowania rzeczywistości". Brzmi to wręcz wrzuszająco, biorąc pod uwagę, że - mało znane, niestety, w Polsce - "Serce Europy" zaczyna się tak:

"W niewielu krajach na świecie system rządzenia jest tak skompromitowany jak w Polsce. Cokolwiek by kto myślał o wydarzeniach lat 1980-81, żaden rozsądny obserwator nie może zaprzeczyć, że powstanie ruchu "Solidarności" dowiodło ostatecznie, iż polski reżim komunistyczny stracił zaufanie wszystkich, z wyjątkiem własnej elity. Ogłoszenie stanu wojennego z dnia 13 grudnia 1981 trzeba traktować jako milczące przyznanie, że władza komunistyczna może utrzymać swą kontrolę tylko poprzez brutalną siłę /.../. Z pewnością z punktu widzenia klasycznego liberalizmu, który zakłada, że rząd powinien rządzić zgodnie z wolą rządzonych, PRL jest po prostu politycznym trupem, który nigdy nie powinien się być narodzić."

- Pomimo to, w pewnych szczególnych okolicznościach "Trybuna Ludu" nie waha się przedstawiać prof. Daviesa niemal jako zwolennika realnego socjalizmu.

Historia ta, która poruszyła część opinii amerykańskiej i europejskiej, a także większość historyków na świecie, jest następująca.

Przed paru laty prof. Norman Davies, profesor Szkoły Studiów Sławistycznych i Wschodnioeuropejskich w Londynie, został zaproszony przez Uniwersytet w Stanfordzie jako tzw. visiting professor. Wkrótce wykłady jego zdobyły sobie ogromną popularność i zainteresowanie wśród studentów, a ich poziom naukowy oceniono wysoko. Toteż, gdy na katedrze Historii Europy Wschodniej w Stanford powstał wacat, rozważał zaczęto ewentualność powierzenia jej Daviesowi. W tym celu, zgodnie z przyjętą w Stanford procedurą, zasięgnięto opinii o nim u dwudziestu pięciu wybitnych historyków w świecie, zaś poufne rekomendacje złożone na ręce prof. Paula Robinsona, prezesa komitetu zajmującego się wyborem i angażowaniem profesorów na wakujące stanowiska /Łoziński nazywa ten komitet "komisją spraw kadrowych"/, brzmiały bardzo pochlebnie i przesądziły sprawę na korzyść kandydata. Gdy jednak prof. Norman Davies przeniósł się na stałe do Stanford, gdzie już miał objąć etanowisko, wykonała się nieoczekiwana i niezwykła przeszkoda. Podczas dodatkowych wyborów o raczej formalnym charakterze, przeprowadzonych wśród profesorów wydziału historii, już po zatwierdzeniu jego kandydatury przez władze uczelni, w styczniu 1986 r., decyzję o powierzeniu mu katedry zakwestionowano. Dwunastu, spośród dwudziestu czterech profesorów wydziału, głosowało przeciwko, je-

denastu za, jeden wstrzymał się od głosu, co przeważało szale na niekorzyść profesora. W rezultacie odmówiono mu stanowiska kierownika katedry Historii Europy Wschodniej. Przebieg głosowania stanowił zaskoczenie, początkowo nie bardzo było wiadomo, co stało się przyczyną nagłej wolty. Dopiero późniejsze dyskusje wokół tego wydarzenia, dość sensacyjnego jak na stosunki panujące w Stanford, rzuciły enop światła na tę sprawę. Zarzutom, jaki postawiono Daviesowi był antysemityzm, a także nieobiektywne przedetawienie stosunku Polaków do Żydów podczas ostatniej wojny światowej. Przez szereg miesięcy prof. Davies na próżno domagał się jakichkolwiek wyjaśnień, bądź postawienia mu konkretnych zarzutów, z których mógłby się oczyścić. Przez szereg miesięcy wokół tej nad wyraz przykrej sprawy trwała w Stanford oficjalna cisza, wśród nieoficjalnej lawiny plotek i spekulacji. Spowodowało to nawet protest studentów, którzy zwrócili się do rektora uczelni, prof. Jamesa Rosse, o wyjaśnienia. Rektor oświadczył, iż właśnie bada sprawę i zachowując dużą powściągliwość w swych enuncjacjach, napomknął jedynie, iż przyczyną stanowiska części profesorów historii jest antysemicki rozdział książki "Boże igrzysko". Wyjaśnił też, że prof. Davies stał się ofiarą luki istniejącej w przepisach uczelni, które niedostatecznie chronią profesorów "wizytujących", w odróżnieniu od stałych członków grona profesorskiego.

Po licznych naleganiach i monitach prof. Daviesa, dopiero w maju rektor James Rosse sformułował pisemne wyjaśnienie, dotyczące stawianych mu zarzutów. Z dokumentu tego wynika, że przyczyną odrzucenia kandydatury stał się rozdział "Boże igrzysko", zatytułowany "Żydzi", której to książki najwidoczniej historycy ze Stanfordu wcześniej nie przeczytali, choć wydano ją blisko pięć lat przed opisanymi tu wydarzeniami. W rozdziale tym, wedle wyjaśnień rektorskich, prof. Davies zajął, jako historyk, stronnictwo stanowisko, opowiadając się po stronie Polaków, wobec zarzutów na temat ich stosunku do Żydów podczas drugiej wojny światowej. "Zarzuty skupiają się wokół rozdziału "Żydzi" w książce "Boże igrzysko" - oto fragment pisma rektora Rosse - który krytycy uważają za nie tyle wykazujący brak wrażliwości, co broniący w sposób niemożliwy do przyjęcia zachowania Polaków."

Wyjaśnienie to, z datą 2 maja 1986, prof. Davies otrzymał w cztery dni po wniesieniu przez siebie powództwa do sądu o odszkodowanie w wysokości 3 mln dolarów nie przeciwko Uniwerseytetowi w Stanford, co zresztą niektórzy uważają za błąd, lecz przeciw dwunastu profesorom, którzy głosowali przeciwko niemu, powodując nie tylko utratę katedry, lecz naruszając jego dobre imię jako his toryka. "To stwierdzenie - napisał prof. Davies w swym oświadczeniu złożonym w dniu 12 maja w odpowiedzi na list rektorski - potwierdza moja przekonanie, iż Wydział Historii odmówił mi stanowiska w Stanfordzie nie dlatego, iż posiada nowe lub istotne dowody mego niewystarczającego po omu naukowego czy wadliwego nauczania, lecz ponieważ nie podoba się moją punkt widzenia na problemy kontrowersyjne, zwłaszcza na historie stosunków polsko-żydowskich". Podkreślił też, iż podobne posunięcie jest sprzeczne z Deklaracją Wolności Akademickich Uniwerseytetu w Stanford, zapewniającą swobodę głoszenia swych przekonań, a także z kodeksem cywilnym stanu Kalifornia. Przyczyną uniemożliwienia mu objęcia katedry były bowiem wyłącznie jego poglądy,

które nie znalazły akceptacji wśród znacznej części profesorów historii ze Stanfordu, co jest tym dziwniejsze, iż występował zawsze jako rzecznik pojednania Polaków i Żydów. Wreszcie Norman Davies wytknął sposób, w jaki potraktowano go na Uniwersytecie w Stanford już po owym przykrym wydarzeniu. Nikt z władz uniwersytetu nie rozmawiał z nim o tym, co zaszło, nie uruchomiono żadnego postępowania wyjaśniającego, nikt nie postawił mu konkretnych zarzutów, ani go nie wysłuchał. Profesor Davies musiał wnieść powództwo do sądu, aby zmusić przeciwnych mu profesorów Wydziału Historii do wysłuchania przynajmniej na sali sądowej jsgo racji - skomentowało postępowanie uczelni pismo "The Stanford Daily" z dnia 15 maja 1986 roku.

Zanim przejdę do omówienia reperkusji tego, co spotkało prof. Daviesa, warto zapisać Czytelnika, choćby w krótkich słowach, z przedmiotem kontrowersji, jaki stanowi wspomniany już rozdział o Żydach w "Bożym igrzysku". Rozdział ten, zajmujący się położeniem Żydów w Polsce głównie w wieku dziewiętnastym, w okresie międzywojennym oraz drugiej wojny światowej, zajmuje około 25 stron w dwutomowym dziele, przy czym wydarzeniom ostatniej wojny autor poświęca niecałe cztery strony. Wyraża on przy tym interesujący pogląd, iż nazistowski plan "rozwiązania kwestii żydowskiej", czyli całkowitej zagłady Żydów, powstał dopiero w trzecim roku wojny, po przystąpieniu do niej Stanów Zjednoczonych, z których opinią liczyły się Niemcy hitlerowskie. Choć więc Żydzi i w pierwszych latach wojny doznawali brutalnych prześladowań i upokorzeń, nie myślano jeszcze wówczas o ich całkowitej zagładzie.

"Jedną z poważnych kontrowersji historycznych jest zachowanie się nieżydowskiej ludności wobec nazistowskiego "ostatecznego rozwiązania" - pisze Davies. - Niektórzy żydowscy pisarze, uczeni czy powieściopisarze, jak Leon Uris, rozpowszechniali opinie, że Polacy odeszli się z zagłady Żydów, albo w najlepszym razie przyglądali jej się z obojętnościąсторонnych obserwatorów. Polacy, występujący w obronie własnego społeczeństwa, pisali o przypadkach niesienia Żydom pomocy, czy nawet ratowania ich przed nazistami przez ludzi odważnych. Jedni i drudzy pomijali realia życia pod nazistowskim terrorem, które w Polsce były okrutniejsze i bardziej długotrwałe, niż gdziekolwiek indziej w Europie. Pytać, dlaczego Polacy uczynili niewiele, by pomóc Żydom, to to samo, co pytać, dlaczego Żydzi nie uczynili nic, by wspierać Polaków... W kraju, gdzie natychmiastowa śmierć czekała każdego, kto naruszył nazistowskie przepisy i gdzie nazisci mogli egzekwować kary na udręczonej polskiej ludności, polski lekarz w Oświęcimiu, partyzant z lasu czy chłop żyjący w nieustannym lęku przed represjami, nie mogą być osądzeni na podstawie norm moralnych obowiązujących wolnych ludzi, żyjących w normalnych czasach, podobnie jak nie można osądzać w ten sposób informatorów żydowskich, którym przypadkiem udało się ocalić swe życie przez składowanie donosów na współwyznawców, czy też żydowskich prostytutek pracujących w wartowniach SS. Zarówno Polacy, jak i Żydzi, byli ofiarami terronu, który warunkował ich zachowanie".



W dalszej części swych wywodów Davies przypomina, iż polskie podziemie aż do 1943 r. nie przeciwstawiało się również egzekucjom ani deportacjom Polaków, ponieważ było za słabe i nie dość dobrze zorganizowane, aby próbować czegokolwiek poza lokalnymi akcjami dywersyjnymi. Nie chce oceniać stanowiska, jakie zajęą w tej niezabliźnionej wciąż sprawie prof. Davies, choć myślę, że większość społeczeństwa polskiego uznałaby je za słuszne. Osobiście, stykając się z cudzoziemcami, obserwowałem zdumienie, jakie wzbudzała w niektórych informacja, że w Oświęcimiu czy Majdanku ginęli nie tylko Żydzi, ale i Polacy, a także ludzie innych narodowości. Pomimo wszystkiego, co dotychczas napisano o drugiej wojnie światowej, obraz sytuacji, jaka panowała wówczas w Polsce, nie dla wszystkich jest jasny i w pełni zrozumiały.

Sposób, w jaki potraktowano wybitnego historyka odbił się szerokim echem w prasie amerykańskiej. Już po wniesieniu przez niego powództwa do sądu, z atakiem na Davies'a wystąpił docent Wydziału Historii w Stanford, Jon Adelstein, zarzucając mu na łamach "The Stanford Daily" przeinaczanie rzeczywistości historycznej i oskarżając Polaków, iż nie uczynili nic, by przeszkodzić w systematycznym mordowaniu ludności żydowskiej, w którym pomagali i z którego byli zadowoleni. Adelstein wyraził też - znany już z filmu Lanzmana - pogląd, że Hitler wybrał Oświęcim i ulokował inne miejsca eksterminacji w Polsce ze względu na panujący tam, jak to określił, jadowity antysemityzm. Równocześnie Adelstein wyraził przekonanie, iż odmowa, jaka spotkała N. Davies'a, nie była spowodowana jego poglądami, lecz właśnie przeinaczaniem faktów historycznych w oderwaniu od realiów.

Z wycinków prasy amerykańskiej, które dotarły do moich rąk, wynika jednak, że większość prasy ujęła się za prof. Daviesem. Ściągnięcie do uniwersytetu na stałe uczonego, który był tam już znany jako wykładowca, a następnie odprawienie go bez uzasadnienia, uznano za wręcz nieprzyzwoite. Zresztą w samym "The Stanford Daily" przeważały głosy broniące angielskiego profesora. Inne pisma wspominały o silnym lobby żydowskim i... marksistowskim działającym na Uniwersytecie w Stanford, który "Trybuna Ludu" przedstawia jako zdecydowanie antykomunistyczny. Wzmianka o lobby marksistowskim brzmi szczególnie interesująca, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę poglądy prof. Davies'a na najnowszą historię Polski. Podczas pobytu w Stanford doszło zresztą do paru ostrych starć Davies'a z marksistami, a czym wiem z jego własnych ust. Sprawą zainteresował się też angielski tygodnik "The Mail of Sunday", który przytoczył opinię pewnego historyka brytyjskiego na temat uczeni amerykańskich: "Amerykańscy akademicy zawsze mówią wiele o wolności poglądów. Rozumieją przez nią jednak tylko wolność zgadzania się z ich własnymi poglądami. W Ameryce istnieje coś w rodzaju kulturalnego stalinizmu, który jest bardzo niepokojący - piszą Adrian Lithgow z "The Mail of Sunday". - Profesor Davies padł jego ofiarą."

Lista osób, które wyraziły swe zaniepokojenie z powodu tego, co spotkało Davies'a, jest długa. Znajduje się na niej Czesław Miłosz, Zbigniew Brzeziński oraz dr Israel Sharak, prezes izraelskiej Ligi Praw Człowieka, który stwierdził po prostu, że Davies padł ofiarą szowinizmu żydowskiego, profesor ze Stanford, Antony Polański, prezes Instytutu Studiów

Polsko-Żydowskich w Oxfordzie i działacz wielu organizacji żydowskich w swoim czasie współpracujący z Daviesem oraz prof. J. Zubrzycki z Australijskiego Narodowego Uniwersytetu w Cambridge, przy czym ostatni dwaj spośród przykładowo wymienionych udzielali rekomendacji na temat prof. Daviesa na prośbę Uniwersytetu w Stanford i określili go jako jednego z najwybitniejszych na świecie historyków Europy Wschodniej. Amerykański profesor historii Terence Emmons, uczestniczący również w pracach komitetu, którego zadaniem było obsadzenie katedry w Stanford, nazwał prof. Daviesa "czołowym historykiem Polski w świecie angielskojęzycznym".

Sam profesor Davies wypowiedział się następująco na ten temat na łamach "The Stanford Daily", w artykule poświęconym metodom badań historycznych: "Żaden historyk nie może skarżyć się, jeśli jego praca jest atakowana. Przeciwnie, powinien przyjmować to z zadowoleniem. Atak i przeciwniak stanowią bowiem jedyną drogę do głębszego zrozumienia zjawisk. Trzeba jednak przestrzegać przy tym pewnej zasady: atak i towarzyszące mu argumenty muszą być podnoszone jawnie, nie zaś za zamkniętymi drzwiami. Historyk ma prawo oczekiwać, że jego krytycy przedstawią dowody, że nie będą krytykować go z punktu widzenia swych własnych interesów i uprzedzeń. Ma też prawo spodziewać się, że wedle wzorców jakie przykłada do samych siebie, oceniać będą wiedzę innych".

Kampania prasowa, krytyka Uniwersytetu w Stanford i sprzeciwy wyrażone przez uczonych nie przyniosły żadnych rezultatów. Prof. Davies, który po zaprzeczeniu mu katedry sprzedał swój dom w Anglii i osiedlił się w Stanford, musiał wraz z rodziną powrócić do Wielkiej Brytanii. Proces, który wytoczył dwunastu historykom ze Stanfordu, prawdopodobnie zaciągnął się na długo, dochodzenie sprawiedliwości nie jest, niestety, zawsze sprawą prostą również i pod tamtą szerokością geograficzną. Pełnomocnikiem Daviesa został znany adwokat kalifornijski i były kongresman, Paul N. McCloskey.

Tymczasem wokół sprawy Daviesa zaczęły dziać się rzeczy dziwne, dające wiele do myślenia o potęgę owego szowinistycznego dwunastoosobowego lobby ze Stanfordu i nieodparcie narzucające pytanie, kto właściwie za nim stoi. Przede wszystkim księżki Normana Daviesa, poszukiwane na rynku amerykańskim, o które upominają się czytelnicy, przestały docierać do księgarni w całych Stanach Zjednoczonych, choć nakłady ich bynajmniej nie są jeszcze wyczerpane. Zaczęły też ginąć jego artykuły wysyłane do prasy amerykańskiej, m.in. do "Los Angeles Time". O Paulu McCloskey, dotychczas cieszącym się nienaganą opinią i powszechnym szacunkiem, zaczęły krążyć uporczywe plotki, jakoby łączyły go związki z terrorystami. Wreszcie w Paryżu nieznanemu oszust podjął na podstawie sfałszowanego czeku poważną sumę z konta Profesora, za co zresztą odpowiada bank. Wszystko to są przypadki bardzo dziwne, nie licząc niespodziewanej odsieczy ze strony "Trybuny Ludu", która mogła jedynie zaszkodzić profesorowi Daviesowi w oczach tych, którzy o nim słyszeli.

Zresztą sam Davies jest jeszcze obiektem rozmaitych, bardziej lub mniej zakamufLOWANYCH, pomówień i zarzutów. Nie wiem, jakie korzyści może odnieść żydowskie lobby szkodząc prof. Daviesowi i jego reputacji w świecie, myślę jednak, że niewielkie poza bezinteresowną satysfakcją z wyrządzenia zła drugiemu

człowiekowi. Z pewnością jednak upadek autorytetu i popularności znanego uczonego byłby na rękę komuś innemu, kogo profesor Davies bezkompromisowo kompromituje. Mam tu na myśli reżim radziecki, którego macki w Polsce Profesor obnaża bez skrępowania. Nie oszczędza również władz PRL, tak bardzo nie lubiących czytać o sobie prawdy. Gen. Jaruzelski ogromnie obraził się kiedyś na min. Weinbergera, gdy ten nazwał go sowieckim generałem w polskim mundurze. Norman Davies w "Sercu Europy" określa "naszego przywódcę" jako człowieka Moskwy w Polsce i ordynansa sowieckich generałów, który dokonując zamachu stam wywręczył Armię Czerwoną w nieprzyjemnym zadaniu, jakie być może spadłoby na jej barki. Jak twierdzi, już od roku 1956, po wydaleniu Rokossowskiego, Jaruzelski był szkolony wojskowo i przygotowywany do ewentualnej interwencji wojskowej w Polsce.

W swoich historycznych publikacjach o Polsce, prof. Davies podkreśla też, niedocenianą przez państwa zachodnie, rolę Polski w Europie, pisząc, że nasze losy nie powinny pozostać obojętne światu. Oto końcowy fragment "Serca Europy":

"Polska powróciła znów do zwykłych warunków, których codzienność wypełniają niepowodzenia polityczne i chaos gospodarczy, ale pomimo wszystkich swych problemów jest czymś więcej niż obiektem ciekawości i współczucia. Raz jeszcze podczas krótkiego antraktu "Solidarności" Polska pokazała, że jest skarbnicą idei moralnych i odwiecznych wartości, zdolnych przetrwać niejedną katastrofę wojskową czy polityczną. W długim biegu dziejów, losy PRL mieć będą niewielkie znaczenie; jest przegniła do szpika kości. Ale losy Polaków zasługują na jak największe zainteresowanie każdego człowieka. Przenieszenie Polski, areny wszystkich europejskich rozgrywek, jest jednym z wyznaczników przyszłych losów całego kontynentu. Bardzo to kuszące dla narodów Europy wyobrazić sobie, że zależą same od siebie, a wymazanie Polski z mapy Europy nie zagrozi bezpieczeństwu ich własnych domostw. Jest to wielka iluzja... Dzwon nad Wisłą bije dla nas wszystkich. Ponieważ Polska jest miejscem, gdzie rywalizujące ze sobą kultury i filozofie naszego kontynentu przeciwstawiają się sobie w sposób szczególnie ostry, gdzie europejskie dramaty rozgrywają się na ciele żywego, wielomilionowego narodu. Polska nie jest gruda ziemi, ani nawet odległym przylądkiem. Jest sercem Europy".

Autor piszący podobne słowa, będący w dodatku uzynym o renomie światowej, o którego książkach wyrażają się w superlatywach najpoważniejsze gazety świata, może być uważany za niebezpiecznego tylko przez tych, których machinacje i metody, pozwalające na trzymanie w ryzach innych narodów, odszkania i analiza w sposób naukowy, ukazując zarazem na przykładzie Polski tragiczne skutki, jakie niosą ze sobą. Pozbawienie go kryzysu zaufania, rzućcie cienia na jego etykę i wyrobienie mu opinii historyka stronnicego, a przez to mało wiarygodnego, byłoby skuteczną bronią w zwalczaniu jego wójtów i obniżeniu prestiżu wydawanych książek, demaskujących obóz realnego socjalizmu. Czyżby jednak świat w 1986 roku był jeszcze wciąż tak naiwny, aby zadanie to mogło się powieść?

Jeremi Jesion



Henryk Grynberg

TAK SAMO

Tak samo błękitne to niebo starożytne  
taki sam do nieba kapitol  
i senat tak samo zdezorientowany  
wypatruje przyszłości  
wytrzeszczonymi oczami  
i tak samo ogłupiały lud rzymski  
rozwydrzony od darmochy i igrzysk  
krwawych  
i tacy sami barbarzyńcy u granic  
wciąż niebo tak samo zatroczone bogami  
i zbawicielami  
rozdarłe bezsilnym wołaniem  
boleśnie porane krzyżami  
nawet Jezusa tak samo ukrzyżowano  
i na naszych oczach przybito  
do sześcioramiennej gwiazdy  
sześć milionów razy umierał  
więc i taki sam Józef Flawiusz po rzezi  
zagląda cesarom w oczy  
i notuje losy  
ciągle tej samej wojny  
gdy tak samo obleżona Jerozolima  
broczy tą samą krwią

ZANIM ZAPOMNĘ

Najpier było słowo  
a potem zbrodnia  
i nie kain lecz abel  
umierał bezpętnie  
a ile bitew z goliątem daremnych  
ile świątyń zburzonych nade mną  
ile ark zatopionych  
na dzień przymierza  
z ziemi niewoli  
nad rzeką pustki uchodźczej  
zanim zapomnę Trebлінkę  
/maleńka miejscina gdzie moja rodzina/  
niechaj uschnę w obelisk  
soli z żydowskich łez

/Z tomu "Wiersze z Ameryki",  
Oficyna Poetów i Malarzy,  
Londyn 1980/

## Z DZIEJÓW ŻYDOWSKIEGO OBYWÓDU AUTONOMICZNEGO

Marian Sabat

# RAJ NA SYBERII

"Po raz pierwszy w swej historii naród żydowski może zrealizować gorące pragnienie utworzenia swej własnej ojczyzny, zbudowania państwa narodowego" - tak oto głosił dekret przyjęty w Moskwie przez Prezydium Rady Wykonawczej Komitetu Centralnego WKP/b/ pięćdziesiąt lat temu, 29 czerwca 1936 r. Wbrew pozorom, nie chodziło tu jednak o poparcie sowieckich komunistów dla ruchu syjonistycznego i dla osadników żydowskich walczących wówczas z Arabami i Anglikami o odtworzenie w Palestynie - po 2,5 tysiącu lat wygnania - historycznego państwa żydowskiego. Chodziło o Birobidżan - stalinowską "szansę" dla Żydów, którzy w Kraju Chabarowskim, nad Amurem, na ziemi surowej i zapomnianej przez Boga i ludzi, na błotach i bagnach, przy granicy z Chinami mieli budować - oczywiście w ramach sowieckiej "rodziny narodów" - socjalistyczne państwo ?? żydowskie. Dział jest tam Żydowski Obwód Autonomiczny - terytorium o powierzchni mniej więcej Belgii, zamieszkiwane przez 212 tysięcy ludzi, w tym zaledwie 12 tysięcy Żydów. Już 50 lat temu, gdy sowieckie politbiuro wydało przytoczony powyżej dekret, wiadomo było /bo dzieje Birobidżanu sięgają lat dwudziestych/, że Birobidżan z wielkiej nadziei rosyjskiego judaizmu przekształcił się w budzący śmiech i grozę przykład fiaska "polityki żydowskiej" państwa sowieckiego.

Trudno się zatem dziwić, że jakiegokolwiek informacje na temat Birobidżanu są w prasie realnego socjalizmu niezwykle rzadkością, zwłaszcza poza ZSRR. Do tego stopnia, że dziś dla młodszego pokolenia słowo "Birobidżan" jest po prostu tylko nie znaczącym, nie budzącym żadnych skojarzeń dźwiękiem. Toteż swego rodzaju swenementem była publikacja w "Perspektywach" /nr 30/86/ reportażu Olgierda Budrewicza z Birobidżanu, zatytułowana - jakby na ironię - "Ziemia Obiecana nad Amurem". Budrewicz sam zresztą pisze o mieście Birobidżan jako o "stolicy niezwykłego i nader rzadko przez cudzoziemców odwiedzanego kraju". Widać gospodarze niezbyt są skłonni do prezentowania wyników stalinowskiego eksperymentu na niwie polityki narodowościowej. Wpuszczono go tam też tylko na półtora dnia, tak, że przy pisaniu reportażu musiał posilkować się sowieckimi publikacjami propagandowymi w rodzaju Jewgienija Bugajenki "Nad brzegiem Amuru".

Reportaż, którego krótkie omówienie prezentujemy na naszych łamach, budzi niezucia mieszane. Z jednej strony ma być, mimo wszystko, reklamą sowieckiej wielkoduszaności i tolerancji wobec Żydów /ktoś mógłby ludziom radzieckim zarzucić antysemityzm, a tu, patrzcie, ocaliłszy żydkom całe "własne" państwo!/, z drugiej zaś, Budrewicz jest zbyt starym wygą reporterskim, żeby nie wiedział o czym pisze i jak draż-

liwy jest to temat. Więc gdy naga prawda co chwilę, niczym szydło, wyłazi ze sfatygowanego worka, mruga okiem do czytelnika i co raz posikkuje się wykrzyknikiem "Zrozum to Kisch!", że niby jakie to dziwy dzieją się na tym świecie - dostały je-wrięje kawał dalekiej Syberii, mlekiem i miodem płynący, a po 60 latach jest ich tam zaledwie 12 tysięcy czyli około 5 proc. ogółu ludności Żydowskiego Obwodu Autonomicznego. Więc zastanawia się Budrewicz: "Tylko dwanaście? Dlaczego nie przyjechali ich więcej? I dlaczego kilka procent mieszkańców stanowi o nazwie kraju? Zrozum to, Kisch!".

Otóż Kisch na pewno by zrozumiał, tak jak rozumie to i Budrewicz, choć czyni karkołomne wysiłki, by prawda zbyt jaskrawo nie biła w oczy. Dowiadujemy się więc, że "Wielka Obietnica musiała nad Amurem wydawać się kiedyś dość mgławicowa, bo ten rejon świata nie należy do klimatycznie czy geograficznie żat-wych. Jadąc z Chabarowska, widziałem przez okno nie kończące się obszary bagien, miejscami zmeliorowane i zamienione w łąki, a nawet pola uprawne, p r z e w a ż n i e j e s z c z e o c z e k u j ą c e z a g o s p o d a r o w a n i a /wszystkie podkreśl. N.S./.

Pierwszymi "przesiedleńcami" /tak właśnie pisze Budrewicz, w cudzośliwie, czyżby miał coś szczególnego na myśli?/ byli biedni, często niepiśmienni mieszkańcy słumsy Odessy, Woroneża, Kijowa. "Pewnie słyszeli o pięknych górach i czystych potokach, o rosnących tu drzewach korkowych i kwiatach lotosu, o bażantach, łososiach, puchaczach, jeleniach. Potwierdzyli im się c h y b a te opowieści, ale musieli też doświadczyć surowości i kaprysów klimatu, warunków życia w sąsiedztwie chińskiej granicy, przeszkód w uprawianiu dziewiczych ziem, ogromnych przestrzeni, wielkich odległości od poprzednich miejsc zamieszkania".

Istotnie, Birobidżan dzieli od Moskwy 8358 km oraz pięć dni i nocy jazdy pociągami, w latach dwudziestych musiało to trwać kilkakrotnie dłużej, choć sam Dzierżyński zawiadywał wtedy soc-wieckim kolejnictwem. Starzy zaś kołchoźnicy /a jakże/ opowiadali Budrewiczowi, wspominając tamte lata, jak to ze swego gospodarstwa musieli brnąć kilka kilometrów do Birobidżanu, który wtedy był jeszcze przysiółkiem o nazwie Tichonkaja /Cichutka/, przez błota i bagna przez dwa dni. Fakt, że tylko taki cudotwórca jak Stalin mógł sprawić, iż dziś znajduje się tu dwustatyczne miasto, choć wokół nadal rozciąga się złowroga pustynia topieli i mokradeł, przez którą dopiero teraz próbuje się przetrząść szosę w kierunku Moskwy...

Bo miało być zupełnie inaczej.

Pisze Budrewicz, jak to "grupa żydowskich intelektualistów zwróciła się do Stalina z prośbą o powołanie do życia odrębnej jednostki administracyjnej, która stałaby się krajem radzieckich Żydów. Pierwsze decyzje zapadły w 1928 roku. W maju 1934 roku Michaił Kalinin podpisał dekret o utworzeniu autonomicznego obwodu, który wykrojono z Kraju Chabarowskiego". Wszystko to - jak w starym dowcipie o Radiu Erywań - prawda, tylko że starania rozpoczęto wkrótce po rewolucji, że Żydom nie chodziło o Syberię, ale o Krym /jako że na Ukrainie było ich najwięcej/ i że miało to być cała republika żydowska, a nie obwód, zaś obwód powstał dlatego, że w chwili kiedy Kalinin podpisywał swój dekret, w kilka lat od rozpoczęcia osiedlania Żydów w Birobidżanie, wiadomo już było o fiasku całego przedsięwzięcia. W Kraju Chabarowskim, oprócz przymusowo osiedlonych tam Żydów



i zesłańców z Rosji i Ukrainy /o których Budrewicz wspomina dyskretnie jako o instruktorach rolnych, uczących osiedleńców żydowskich uprawy ziemi/, nie pozostał dobrowolnie prawie nikt! Dowiadujemy się o tym zresztą między wierszami i od Budrewicza, kiedy pisze: "Powstał autonomiczny obwód, przyjechało wiele tysięcy ludzi, także inteligencja. N i e - k t ó r z y pojawiali się na krótko, coś budowali, pisali jakąś książkę i wracali do Moskwy." Otóż wiadomo, że tych "niektórych" była przygniatająca większość i dlatego dziś w Birobidżanie jest zaledwie 12 tysięcy Żydów, zaś miasto sprawia wrażenie jakby było przykrojone nieco na wyrost, by użyć słów Budrewicza - "jest j e s z c z e jak za duże buty dla dziecka".

Dwa słowa o tym, jak wygląda dzień dzisiejszy tego żydowskiego rajku na ziemi w sowieckim wydaniu, na podstawie raportu "Perspektyw".

Więc w tym z a d u ż y m mieście są ponoć szerokie arterie i nowoczesne gmachy, a kilka budynków wzniesiono "na miarę milionowego miasta". Jednym z nich jest ogromna siedziba filharmonii, jak pisze reporter, "jednego z najciekawszych gmachów tego rodzaju między Uralem a Pacyfikiem". Co prawda, nie wyjaśnia, dlaczego jest on taki ciekawy, ale możemy sami się domyśleć, że pewnie z tego powodu, iż można w nim podziwiać nie tyle koncerty muzyki poważnej, ale występy iluzjonistów i seanse hipnozy. Iluzjoniści byli zresztą z samego Magadanu, ale z którego gułagu o tym się nie dowiadujemy. Dyrektor owej "filharmonii" wytłumaczył zresztą zahipnotyzowanemu Budrewiczowi, że u nich filharmonia oznacza po prostu siedzibę wielu różnych instytucji kulturalnych i że w ogóle to mają w Birobidżanie kameralny muzyczny teatr żydowski, grupę folklorystyczną "Cajt", grupę estradową "Frejchels", dwa zespoły muzyki klasycznej i cyrk dla dzieci /żydowskich?/. Jest też w Birobidżanie amatorski teatr żydowski, podobno na bardzo wysokim poziomie, choć nie wiadomo, co to oznacza. Po tej wylizance Budrewicz wdycha "cudów nie ma" - i nie wiadomo, co ma na myśli.

Okazuje się przy tym, że wizyta polskiego reportera w Birobidżanie wymaga swobodnego samozaparcia i niemalei odwagi osobistej. Oto w redakcji pisma "Birobidżaner Sztjern" /Gwiazda Birobidżanu/ Budrewicz otrzymuje pryncypialne zapytanie: "Czy nie obawia się pan, że za wizytę u nas zaatakują pana w jakimś kraju syjoniści?". I bystro odpowiada: "Zawsze istnieje ryzyko zawodowe...". Tego chyba by nawet Mrozek nie wymyślił...

Nawiasem mówiąc, owa "Gwiazda Birobidżanu" ukazuje się w nakładzie 12 tysięcy egzemplarzy, co nie tylko pokrywa zapotrzebowanie lokalne, ale wystarcza nawet na eksport "do Związku Radzieckiego i za granicę". Myliłby się jednak ten, kto by myślał, że "Birobidżaner Sztjern" drukowana jest w języku jidisz. Jest ona drukowana całkiem po prostu cyrylicą, w języku rosyjskim, zaś jej szef, niejaki Walery Panman - który też nie zna tego języka - zapewnia Budrewicza, iż "językowi jidisz na pewno nic nie grozi" i że "w wielu szkołach istnieje możliwość - nie obowiązek - nauki języka jidisz".

Jest zresztą Birobidżan w każdej sferze krainą niezwykłych możliwości. Można na przykład kultywować religię żydowską, bowiem jest w Birobidżanie jedna synagoga /w zwyczajnym budynku mieszkalnym/, cóż, skoro nie ma tu ani jednego rabi-

na, a także "koniecznego quorum grupy religijnej"...

A tak w ogóle, to kultura żydowska rozwija się burzliwie: główna ulica miasta nosi miano Szolema Alejchema i w całym Birobidżanie jest nawet jeden pisarz, Borys Miller, który wydaje książki w języku jidisz...

Nad gospodarką nie będziemy się tutaj dłużej zatrzymywać, bo choć jest w obwodzie około 50 zakładów, to pewnie funkcjonują one podobnie, jak w całym Związku Sowieckim.

Tak czy inaczej, niewątpliwie jest Birobidżan swego rodzaju fenomenem. Dostrzega to Budrewicz, pisząc: "Fenomen daleko-wschodniego obwodu żydowskiego polega więc na tym, że mniejszość firmuje ten kraj, ma w nim wiele do powiedzenia, że znaczna część ważnych stanowisk w administracji, przemysłu, rolnictwie, handlu, w instytucjach kulturalnych obsadzona jest przez Żydów. Wszyscy których spotykałem, deklarują się jako patrioci tej ziemi. Mówią mi, że nikt stąd nie wyjechał do Izraela, że nie istnieje u nich antysemityzm. Wierzą w przyszłość kraju, bez względu na to, czy powiększy się liczba ludności żydowskiej, czy nie; ani konstytucja, ani jakakolwiek ustawa nie określa wymogu ilościowego wiodącej grupy etnicznej w republice czy obwodzie".

Ta refleksja mówi nam wszystko: oto na najdalszej Syberii Wielki Ironista zafundował Żydom Ziemię Obiecaną, w której dziś po prostu Żydów prawie już nie ma i nigdy nie będzie; jest ich tam zaledwie garstka, nie zapuszcili w Birobidżanie korzeni, mają świadomość, że żyją w świecie jeszcze jednej sowieckiej fikcji, którą kontynuują spadkobiercy Josifa Wissarionowicza. A że nie wyjeżdżają do Izraela i określają się "patriotami tej ziemi" - no cóż, na pewno ułatwia im to najbardziej liberalna ze znanych na świecie polityka emigracyjna ZSRR...

Są tu więc szczęśliwi. Do tego stopnia, że gdy Budrewicz domagał się od swych rozmówców choćby jednej anegdoty czy dowcipu żydowskiego, popatrzili na niego, jakby spadł z Księżycy, stwierdzając z nostalgią: "to przedrewolucyjne...". I niech to posłuży za puentę tego tekstu.

Marian Sabat

## BIROBIDŻAN

Dla dopełnienia obrazu dziejów Żydowskiego Obwodu Autonomicznego w Birobidżanie, publikujemy poniżej wywiad, jakiego udzielił czasopismu francuskiemu "L'Alternative" /nr 25/ Henrie Sloves, historyk, dramaturg i pisarz, piszący w języku jidisz, autor m.in. książki pt. "Państwo żydowskie w Związku Sowieckim". Tytuł wywiadu "Birobidżan - narodowe centrum Żydów w Związku Sowieckim". /Red./

- W jakich okolicznościach powstał projekt Birobidżanu?
- Trzeba go umieścić w całym kontekście sowieckiego judaizmu tamtej epoki. Po Wojnie Domowej Żydzi żyli w największej

nędzy. Przed wojną 50 tysięcy z nich utrzymywało się z roli, uprawianej w koloniach żydowskich na Ukrainie. Ci Żydzi jednak zostali całkowicie wyniszczeni. Od końca Wojny Domowej dawni rolnicy żydowscy próbowali odbudować swoje gospodarstwa przy pomocy organizacji międzynarodowych, w bardzo ciężkich warunkach.

Pozostała jednak ogromna masa Żydów w różnych miejscinach, w których pozbawieni oni byli jakichkolwiek perspektyw. Rewolucja Październikowa, choć dużo zrobiła dla ludności żydowskiej znosząc ustawy antysemityczne, to jednak, co jest paradoksem, pozbawiła również dużą część tej populacji jej praw obywatelskich. Zaliczano bowiem do burżuazji armię małych, biednych handlarzy, zaś do kleru - całą masę rabinów, kantorów itd. Położenie tych ludzi, zdegradowanych ekonomicznie i politycznie, było rozpaczliwe.

Po Wojnie Domowej żyło więc w Związku Sowieckim milion Żydów, bez perspektyw na przyszłość. Interesowali się oni pracą na roli, ponieważ żyli w pobliżu wsi i ponieważ władze im w tym pomagały. Powoli też, zwiększające się liczebnie kolonie oddalały się od miłośin, w których początkowo były położone, ponieważ ziemia ulegała szybkiemu wyjąłowieniu. Koloniści kierowali się na południe, kontynuując historyczny kierunek ekspansji judaizmu rosyjskiemu - ku dawnym koloniom żydowskim na Ukrainie, a potem w kierunku Krymu, gdzie w latach 1923-24 rozwinęły się bardzo ważne i silne liczebnie nowe kolonie. Szczególnie udana kolonizacja Krymu była nawet dumą rosyjskiego żydostwa. W kontekście właśnie tych okoliczności pojawiła się idea stworzenia żydowskiej jednostki państwowej na ziemi Związku Sowieckiego.

Na początku "Jewsekcja" /1/ zaniebrywała zupełnie problem kolonii rolnych, zajmując się głównie proletaryzującą masą żydowskich, o której sądziła, że jest bardziej korzystna dla zbliżenia się Żydów do socjalizmu. Jewsekcja musiała się jednak w końcu zainteresować ruchem kolonizacyjnym, który postępował na Południe i masy te organizował i kanalizował. W tych właśnie warunkach nastąpił fakt, który można uważać za historyczny: w 1926 roku, na kongresie Geserdu /2/ Michaił Kalinin po raz pierwszy wspominał o utworzeniu żydowskiej jednostki państwowej. Wywołało to spore poruszenie w Jewsekcji, która widziała w tej idei wyraz antyleninowskiego nacjonalizmu. Ponieważ Żydzi nie tworzyli narodu, uważano, że nie powinni pretendować do tworzenia własnej siedziby narodowej.

- Czy były jakieś inne tendencje w łonie Jewsekcji, dotyczące tego problemu?

- Tak, Jewsekcja nie była zbyt jednolita. Występowały w niej trzy główne tendencje. Był więc dość ważny nurt aktywnych asymilatorów, którzy twierdzili, że praca polityczna w języku jidisz nie ma sensu ani przyszłości, a tym bardziej tworzenie sieci szkół żydowskich, ponieważ ostatecznym celem jest doprowadzenie mas żydowskich do komunizmu, a to wymaga porzucenia jidisz na rzecz języka rosyjskiego.

Istniał też nurt całkowicie przeciwny poprzedniemu, który nie mógł się jednak swobodnie ujawniać. Był to nurt "wrażliwości narodowej", który uważał za szkodliwe podtrzymywanie odrębności narodowej. Był wręcz przeciwnie, pośrodku, trzeci nurt, najbardziej liczny i wpływowy, który mówił: jesteśmy Jewsekcją, żydowską sekcją partii komunistycznej. Jesteśmy mniej-



szością narodową. Konstytuująca sowiecka daje mniejszościom narodowym najszersze prawa, by one istniały, by się rozwijały itd. Rzeczą główną jest więc dla nas rozwijanie socjalizmu, komunizmu.

Projekt Kalinina utworzenia ośrodka narodowego /powiedział on nawet, że obowiązkiem narodu żydowskiego jest kontynuowanie swego historycznego istnienia/ był całkowicie obcy mentalności Jewsekcji, ale Kalinin był przewodniczącym Związku Sowieckiego /WCIK/ i trzeba mu się było podporządkować<sup>x/</sup>.

Sowieckie Towarzystwo Żydowskie, które ciepło przyjęło sugestię Kalinina, było przekonane, że dotyczyła ona Krymu; był on atrakcyjny zwłaszcza dla tych, którzy chcieli osiąść na ziemi. A chodziło o 500 tysięcy osób, według przeprowadzonej wówczas ankiety.

Jednakże władze sowieckie wymyśliły inny projekt, zupełnie dla środowiska żydowskiego nieoczekiwany - ten z Birobidżanem. Krym, Ukraina były centrami żydowskimi już od dawna, podczas gdy Birobidżan był to Daleki Wschód, ziemia całkowicie opustoszała i nieprzyjazna, granicząca z Chinami. Inicjatywa ta wywołała zdumienie, ale pochodziła od rządu i została przekazana organizacjom żydowskim przez Geserd i Comerd /3/.

Gdy już wymyślono projekt z Birobidżanem, wysłano na miejsce komisję, która przez kilka miesięcy niezwykle niedbale prowadziła badawcze. Miało to miejsce w latach 1927/28. Jewsekcja nie miała nic wspólnego z tym planem. Istnieją wszelkie podstawy by przypuszczać, że projekt z Birobidżanem wywodził się z decyzji strategicznych: chodziło o zaludnienie Dalekiego Wschodu, praktycznie niezamieszkałego i bardzo bogatego w surowce, by przeciwstawić się inwazji Japonii.

#### - Jak była zorganizowana rekrutacja do Birobidżanu?

- Realizacja tego projektu została powierzona Geserdowi i zrobiono wokół niego wielką wrzawę propagandową. Nie dawało to jednakże większych rezultatów z tej prostej przyczyny, że Birobidżan był ziemią nieznaną, z klimatem, o którym mówiono, iż jest bardzo surowy. Był to dziki kraj, bez kultury, gdzie wszystko trzeba było zrobić od podstaw. Z początku rekrutacja organizowana była naprędce i bez przygotowania. Gdy po miesiącu podróży przybyły tam pierwsze grupy osadników, w których były nawet prostytutki, znalazły tylko dziewiczy las i błoto. Pierwszą ich reakcją było - "wracać". Tak też działo się przez dalsze miesiące i lata: planiści ustalali liczby: tysiąc, dwa tysiące, pięć tysięcy emigrantów - nie czyniono jednak prawie nic, lub bardzo mało, by przyjąć tych ludzi na miejsce. Były więc ciężkie wyjazdy i powroty. Populacja Żydów w Birobidżanie oscylowała w pierwszych latach między dwoma i pięcioma tysiącami. Birobidżan zatem, który stał się z czasem oficjalną żydowską jednostką państwową, nigdy nie miał w rzeczywistości wystarczająco dużej ludności, by uzasadniało to jego nazwę.

Gdy Kalinin mówił o jakimś żydowskim obszarze państwowym, nie precyzował jego statusu prawnego. W Związku Sowieckim istnieje cała hierarchia jednostek państwowych: dzielnice autonomiczne, regiony autonomiczne, republiki autonomiczne, republiki federalne... Nie precyzowano zatem statusu prawnego tej jednostki. Kalinin jednak powiedział, że gdy przyjedzie sto

<sup>x/</sup> Kalinin sam był z pochodzenia żydem. /Przyp. red./

tysięcy osób, to można będzie utworzyć republikę. Ponieważ jednak populacja Żydów w Birobidżanie po kilku latach nie przekroczyła 10 tysięcy osób, była to jakaś taka nieokreślona jednostka państwowa.

Tymczasem za granicą nis znano prawdziwej sytuacji. Projekt utworzenia jakiejś jednostki państwowej dla Żydów w Związku Sowieckim - jak to natychmiast ogłoszono - wywołał nieopisaną entuzjazm. Po raz pierwszy od 2000 lat skonkretyzowała się nadzieja na państwo żydowskie.<sup>x/</sup>

W końcu XIX i na początku XX wieku istniała organizacja terytorialna stworzona przez Zangwilla /4/, która uważała się za organizację bardzo serio i za taką ją uznawano. Należała ona do nurtu antyżydowskiego, który nie był zbyt aktywny, ale stworzył żydowskie kolonie w Argentynie, za cenę ogromnych kosztów. Kolonizacja w Palestynie była również związana z trudnymi problemami finansowymi. I oto, po raz pierwszy w historii Związek Sowiecki oferował za darmo ziemię i prawie darmo - transport. Ruch terytorialny zatem stał się jednym z najgorętszych propagatorów Birobidżanu, podobnie jak wszystkie środowiska komunistyczne i prosowieckie. W Stanach Zjednoczonych wielkie żydowskie organizacje pomocy, takie jak Joint, stworzyły organizację specjalną Agro-Joint.

W Ameryce Południowej i w krajach europejskich, gdzie istniały wielkie aglomeracje żydowskie, miliony osób wyrażały chęć osiedlenia się w nowym państwie żydowskim. Związek Sowiecki na początku lat trzydziestych, widząc, że wśród Żydów sowieckich brakowało entuzjazmu wobec osiedlenia się w Birobidżanie, liczył bardzo na zagranicę. I to do tego stopnia, że upoważnił Birobidżan, który był jeszcze tylko dzielnicą, do nadawania cudzoziemcom obywatelstwa sowieckiego. W ciągu roku przybyło 500-600 osób z USA, Ameryki Południowej, Litwy i Palestyny. Jeszcze więcej przybyło w następnym roku, ale oczywiście, Żydzi amerykańscy, zetknąwszy się z rzeczywistością Birobidżanu, szybko wyjechali z powrotem.

Z Francji Geserd przysłał 100 osób - intelektualistów i rzemieślników. Ale prawie wszyscy oni, podobnie jak Belgowie, wrócili do swych krajów. Kilku cudzoziemców zostało w Birobidżanie i innych dużych miastach. Byli to zwłaszcza Litwini, niektórzy nawet pozostali w Birobidżanie.

Jewssekcja została zobligowana, by zaakceptować projekt Birobidżanu, ale robiła wszystko, aby zminimalizować jego głęboki sens: prasa oficjalna w języku jidisz i rosyjskim wyażała, by przybywać i budować "socjalizm na Dalekim Wschodzie". Otóż, by budować ten socjalizm, nie było żadnej potrzeby, aby jechać 10000 kilometrów przez Syberię - można było to zrobić na miejscu, w Europie. Kierownictwo Jewssekcji miało wszelkie podstawy, by obawiać się nowej ofensywy przeciwko nacjonalizmowi pod różnymi formami. Hasło takie rzucił już Stalin - był to początek terroru. Owa tendencja, aby ukryć aspekt narodowy całej sprawy, była jedną z przyczyn całkowitego fiaska projektu. W latach 1933-34 dokonał się powa-  
żny zwrot - nastąpiła nowa ekipa, kierowana przez profesora Libberberga, który stanął na czele projektu. Birobidżanowi

<sup>x/</sup> Sloves pamięja tu, nie wiedzieć czemu, tzw. deklarację lorda Balfoura z 1917 roku w sprawie utworzenia w Palestynie żydowskiej siedziby narodowej /przyp. red./

przyznano status obwodu autonomicznego. Liberberg, który kierował Instytutem Kultury Żydowskiej w Kijowie, zdecydował się opuścić tę najważniejszą z żydowskich instytucji kulturalnych w ZSRR i zabrał ze sobą do Birobidżanu całą ekipę kompetentnych i zaangażowanych ludzi. Do decyzji tej nakłaniał go Kalinin - ale to jednak Stalin, a nie Kalinin, decydował o sowieckiej polityce. Pomimo wszystkich trudności, Liberberg i jego ekipa zdecydowali się zbudować Birobidżan, jako żydowską jednostkę państwową z językiem jidisz.

Był to złoty wiek Birobidżanu: stworzono seminarium nauczycielskie, szkołę inżynierską, górniozą, szkołę medyczną, liceum żydowskie, które stało się jedną z najważniejszych instytucji nauczania na Dalekim Wschodzie i szeroką sieć szkół powszechnych.

Po raz pierwszy ustabilizowała się też emigracja. Plan przewidywał 10 tysięcy osób rocznie. Przybywało i zostawało około 8-9 tysięcy. Pokazały się kokchozy i sowchozy, ludność się powiększała. W końcu 1936 roku Liberberg został wezwany do Moskwy i tu aresztowany. To, co zostało zrobione przez jego ekipę, było odtąd systematycznie niszczone. Był to rzeczywisty koniec całego przedsięwzięcia, nastąpiły dalsze aresztowania, egzekucje. Jedynym wybawieniem była ucieczka, toteż populacja żydowska zmniejszała się w zastraszającym tempie.

Po wojnie nastąpiła nowa próba wznowienia projektu. Populacja Żydów w Rosji ogromnie ucierpiała. Ci, którzy nie zdokali uciec przed okupacją niemiecką, zostali wymordowani - inni, kilka setek tysięcy, znaleźli się w Azji Centralnej.

Michoels /5/ znów podniósł sprawę Krymu - był to projekt o tyle łatwy do zrealizowania, że Krym został przez Stalina opuszczony z ludności tatarskiej. Projekt ten został jednak odrzucony i wykorzystany później jako główny punkt oskarżenia w procesie przeciwko intelektualistom żydowskim w 1952 roku. Rząd sowiecki sam organizował wyjazdy do Birobidżanu, w specjalnych, stosunkowo dobrze wyposażonych pociągach. Chciał zmienić kierunek fali Żydów, którzy chcieli zostać po wojnie u siebie, zwłaszcza fali Żydów ukraińskich.

W istniejącej wówczas atmosferze pogromów tysiące sowieckich Żydów wsiadało do pociągów. W latach 1946-47 przyjechało tu 30-40 tysięcy osób, może nawet i więcej, i Birobidżan wydawał się być w lepszej sytuacji gospodarczej, przemysłowej i nawet kulturalnej. Jednakże antysemityzm był wówczas w pełnym rozkwicie i wszystko zostało znów zniszczone: szkoły, teatr, instytucje, gazety. Pisarze, kierownictwo polityczne obwodu, zostali aresztowani, a niektórzy z nich rozstrzelani pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Japonii. I znów jedynym wybawieniem była ucieczka. Ale Birobidżan stał się pułapką.

Był to koniec marzenia o sowieckim państwie żydowskim. Dziś dziesiątki tysięcy Żydów żyje w Birobidżanie. Liczba ich wynosi 175 tysięcy osób. Istnieje tam symbolizna, jedna gazeta, bardzo mało czytana, nie ma żydowskiej szkoły. Taki jest smutny koniec Birobidżanu.

---

x/ Sloves myli ogólną liczbę ludności Birobidżanu z liczbą mieszkających tam Żydów. Budrewicz podaje 12 tysięcy i na pewno się nie myli /przyp. red./



- Projekt stworzenia państwa żydowskiego w Birobidżanie był tylko jednym z wielu pomysłów, jakie ruch syjonistyczny lokował ponadto w Ugandzie, czy w Palestynie. Czy sądzi pan, że był on skazany na niepowodzenie właśnie w ZSRR?

- Trudno jest odpowiedzieć na to pytanie. Nie jestem pewny, czy Birobidżan był skazany na los, jaki go spotkał. Sądzę, że ten projekt padł przede wszystkim ofiarą Stalina. Powstaje, oczywiście, pytanie ogólniejsze, które można sobie postawić: czy można utworzyć państwo żydowskie byle gdzie, to znaczy bez tradycji, bez powiązań historycznych? Czy możliwe jest stworzenie państwa żydowskiego gdzie indziej niż w Palestynie czy w Izraelu? Przyznam, że nie potrafię odpowiedzieć z oąą pewnością na to pytanie, ponieważ wielu pisarzy, myślicieli i polityków żydowskich szczerze wierzyło w Birobidżan, w możliwość utworzenia państwa żydowskiego poza Palestyną. Czy się mylili? Nie jestem o tym przekonany. Nie mówię jednak, że było to przeznaczenie. To jest historia.

Tłumaczyła: Ewa Burska

### Przypisy:

1. Jewsekcja - zbiór sekcji żydowskich utworzonych w 1918 roku w ramach partii komunistycznej w ZSRR. Z początku Jewsekcja miała status autonomiczny i funkcjonowała jako żydowska organizacja komunistyczna. Z biegiem czasu stała się ona po prostu aparatem wykonawczym, który miał obowiązek stosować wśród Żydów linię partii.

2. Geserd - Towarzystwo lokujące Żydów na ziemi, powołane w 1925 roku przez rząd sowiecki. Z początku jego plan głosił, że rozlokuje około miliona Żydów na ziemi, zwłaszcza na Ukrainie i na Krymie. Jego dyrekcja odegrała decydującą rolę w opracowaniu projektu w Birobidżanie. Geserd został rozwiązany pod koniec II wojny światowej.

3. Geserd - imna struktura, instalująca Żydów na ziemi. Geserd zależny był bezpośrednio od rządu, podczas gdy Geserd był małą żydowską strukturą sowiecką.

4. Szarai Zangwill - powieściopisarz, urodzony w Londynie w 1857 r., zmarł w 1926 r. w krajach anglosaskich i w świecie żydowskim cieszył się do II wojny światowej znaczną sławą literacką. Autor zwłaszcza "Króla pałasy". Założyciel żydowskiej organizacji terytorialnej, przeciwstawiającej się syjonistycznemu projektowi utworzenia państwa żydowskiego w Palestynie.

5. Salomon Michaels - urodzony w 1890 r., zmarł w 1948 r. Wielki aktor i reżyser żydowski w ZSRR. Twórca Państwowego Teatru Żydowskiego w Moskwie, który został zamknięty w 1940 roku. Jedną z ciekawych osobistości Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, utworzonego w ZSRR podczas II wojny światowej. Zamordowany przez tajną policję z rozkazu Stalina /oficjalnie zginął w wypadku samochodowym/.

## **ŻÓŁTY EMMANUEL**

W Wiedniu mieszkaliśmy w hotelu.

W hotelu mieliśmy niebieski dywan i trzyskrzydłowe lustro, które mogłoby zaspokoić każde upodobanie: jedno skrzydło pogrubiało, drugie wychudzało, a trzecie robiło jednocześnie jedno i drugie. Może właśnie dlatego było nam w Wiedniu tak wesoło.

Nasz pokój znajdował się na parterze, obok pokoi HIASu i JOINTu, do których od rana do nocy stały trupy, tak że przedostać się do naszego pokoju przez zwarty szpaler Żydów było sprawą niełatwą.

Za każdym razem wypytywano nas: "A państwo dokąd? Dlaczego bez kolejki? Państwo nie stali w kolejce! Co za bezczelność!"

Najbliższemu wyjściu z naszego pokoju towarzyszył długi i męczący powrót...

Dlatego też ożęsto wychodziliśmy rano i wracaliśmy późno wieczorem.

Zwiedzaliśmy Wiedeń.

Wszyscy Żydzi jeździli w Wiedniu na gapę. Przez całą swą wielowiekową historię Wiedeń nie oglądał takiej ilości "gap". Ani jeden Żyd nie był w stanie poświęcić na jeden przejazd tramwajem dwóch kilo bananów - tyle mianowicie kosztował bilet w przeliczeniu na owoce. Żadne pogroźki ani ostrzeżenia nie były w stanie zmusić Żydów do kupna biletu - banany brały górę.

Grupy Żydów tłoczyły się przy drzwiach tramwaju i na widok kontrolerów błyskawicznie wypadały z wagonu jak desant powietrzny. Kontrolerzy wiedeńscy drugo nie mogli zrozumieć owego grupowego nurkowania, dopóki nie złapali pewnego razu starego Żyda, który ze względu na stan zdrowia nie zdażył w porę wyskoczyć, został odprowadzony na policję i wszystko wydał.

My nigdy nie jeździliśmy na gapę - babcia kategorycznie zabroniła.

Alę też i z bananów nie rezygnowaliśmy - chodziliśmy na piechotę.

Chodziliśmy po Ringu, po Karl-Platzu, do Opery, do Schönbrunna i od Schönbrunna do Frateru i zaoszczędziliśmy w sumie około tony bananów.

Lubiliśmy Wiedeń - dzwoneczki tramwajów, konie przy kościele św. Stefana, wystawy sklepowe na Grabenstrasse, kiełbasa na targu mięsny, fontanny w Belwedsrze oraz Rubens. Nie wiadomo czemu babci szczególnie spodobał się Rubens w Muzeum Narodowym. Postać na jednym z jego obrazów przypominała babci jej siostrę - więc babcia była w Muzeum ze ożętery razy.

Potem babcia zaczęła szukać miejsc związanych z Mozartem i wszyscy padaliśmy ze zmęczenia. A kiedy postanowiła ruszyć zszlakiem Beethovena, nie wytrzymaaliśmy i postanowiliśmy kupić jeden bilet miesięczny - dla tego, kto się szczególnie zmęczył. Ów szczególnie zmęczony wsiadał do tramwaju, odbywał wycieczkę po mieście i jednocześnie odpoczywał.

Wieczorem, kiedy bez tohu waliliśmy się na kółka, babcia brała bilet miesięczny i ponownie ruszała na miasto. Nie mogła znieść, żeby bilet, który tyle kosztował, leżał bezużytecznie. Zmęczona przemierzała miasto z jednego końca na drugi i pchnęła je na tyle, że mogłaby pracować jako przewodnik.

Zwiedziliśmy prawie wszystko, prócz Opery.

Wszyscy zachwycali się Operą, mówili, że to coś nadzwyczajnego i że trzeba tam koniecznie pójść.

Babcia nie lubiła opery. Więcej nawet - nienawidziła jej. Pewnego razu widziała operę, w której Lenin odśpiewał swoje Tezy Kwietniowe, a Dzierżyński parę rozkazów Czeka - i ochota na operę przeszła jej na oaze życia.

- Przecież nikt nie każe pani słuchać - mówili Żydzi - niech pani pójdzie popatrzeć jak ludzie są ubrani, jakie brylanty, jakie futra! Gdzie jeszcze pani coś takiego zobaczy?

Babcia nie miała ochoty.

- Nie znam się w ogóle na operze - mówiła - i nie znam się wcale na brylantach.

A skoro babcia nie chciała iść do Opery, więc jednocześnie my też nie.

I oto pewnego wieczoru, kiedy wszyscy Żydzi wybrali się do Opery - wystawiano "Cyganię" - postanowiliśmy pójść do kina. Ale nie po prostu do kina, lecz na film pornograficzny. Jak to się mówi, w celach poznawczych.

- A wy dokąd - spytała babcia - do Opery?

- Coś ty - odpowiedzieliśmy niewinnie - do kina.

- Na pewno coś antyradzieckiego?! - przeraziła się babcia. - Proszę was, tylko nie antyradzieckiego! Nie zapominajcie - Grisza wciąż jeszcze tam! Sioma również...

- Ależ nie antyradzieckiego - zapewniliśmy - zwykły film. Melodramat.

- No to ja idę z wami - powiedziała babcia - uwielbiam melodramaty.

Troszkę zawahaliśmy się.

- Zrozum, jest to szczególnie melodramat - powiedzieliśmy - bardzo tragiczny... A w dodatku po niemiecku...

- Znam go lepiej od was - obraziła się babcia i całą rodziną z babcią na czele ruszyli na pornograficzny film.

W tym czasie, kiedy wszyscy Żydzi poszli na "Cyganię". Absolutnie wszyscy, nawet pewien głuchy poszedł!

- Przecież pan nic nie będzie słyszał, Załmanie Nikolajewiczu - uprzedzano go.

- No to zobaczę - odpowiadał spokojnie - być w Wiedniu i nis zobaczyć Opery?!

Kino znajdowało się niedaleko od hotelu.

Kiedy weszliśmy na salę, pociemniało nam w oczach - dookoła siedzieli Żydzi, którzy poszli oglądać "Cyganię", a całkiem z przodu siedział głuchy Załman Nikolajewicz.

Miłośnicy opery nie wiadomo czemu patrzyli w sufit.

- Swoją drogą, jaki kulturalny naród - zauważyła babcia - inni poszliby do knajpy, nażłopaliby się jak chozery, a nasi poszli do Opery, do kina. Co znaczy pęd do sztuki!...

Babcia usiadła i my również usadowiliśmy się po cichu obok niej.

- Dobry wieczór - powiedziała babcia.

Ani jeden Żyd się nie ruszył.

Babcia znów przywitała się, leoz jakoś nikt nie chciał do



niej się przyznawać. Ani też do siebie. Wszyscy siedzieli niczym obcy sobie ludzie i z uwagą studiowali sufit. Nawet Szałtupier, któremu lekarze zabronili podnosić wysoko głowę.

Babcia też spojrzała na sufit, ale nic ciekawego tam nie zobaczyła - sufit jak każdy inny...

- Nie wiedzą Państwo, kto gra? - spytała babcia.

Nikt nie odpowiedział.

- A kto napisał scenariusz?

Żydzi studiowali nadal sufit.

W końcu zgasło światło.

- Przynajmniej jest jakiś tytuł? - spytała babcia.

- Żółta Emmanuela - powiedział Szałtupier zmienionym głosem.

- Żółty Emmanuel? - powtórzyła babcia. - Co to, c chińskim Żydzie?

Ale muzyka zagłuszyła jej słowa.

Babcia przetrzała okulary i z uwagą zaczęła wpatrywać się w ekran.

- Jeśli czegoś nie zrozumiecie, to ja przetłumaczę - przyrzekała.

Tego, co się działo na ekranie, babcia nie całkiem rozumiała. Najpierw pomyślała, że to coś w rodzaju kroniki filmowej "Zdrowie" - pokazywano części ciała ludzkiego.

- Leczenie chorób skórnych - nie wiadomo czemu przetłumaczyła babcia - metodami nowoczesnymi.

Przy kolejnych scenach babcia zrozumiała, że to wcale nie choroby skórne.

- Mowa o budowie ciała kobiety - powiedziała głośno - anatomia człowieka.

Nikt nie protestował.

Lecz nagle pokazano coś takiego, czego przy najlepszych chęciach nie można było zaliczyć ani do chorób skórnych, ani do budowy ciała kobiecego.

Wzburzona babcia przestała nawet tłumaczyć.

- A może to na temat urologii - pomyślała głośno.

I nagle zobaczyła... Babcia nie mogła uwierzyć. Zdjęła okulary, przetrzała je - nic się nie zmieniło. Jeszcze raz je przetrzała. Nie, to było to, właśnie to!...

Wtedy babcia doszła do wniosku, że ma halucynacje. Obróciła się do nas i po cichu spytała:

- Co wy widzicie?

- Nic - odpowiedzieliśmy - podmiejski dom, pole. A co takiego?

Wtedy babcia doszła do wniosku, że nawala jej głowa. Rozejrzała się i żeby się raz jeszcze upewnić, zwróciła się do siedzącego z przodu Szałtupiera:

- Proszę wybaczyć, Naumie Lwowiczu, oo pan widzi?

Naum Lwowicz zrobił się purpurowy.

- Gdzie? - spytał.

- Na ekranie, na ekranie!

Naum Lwowicz jaśniał w ciemności jak czerwona latarnia, lecz milczał.

- Pytam, czy pan coś widzi? Czemu pan milczy? - rzekła babcia.

- Widzę to, co wszyscy widzą - odrzekł w końcu Szałtupier.

- A cóż widzą wszyscy? - nalegała babcia.

- To, co ja widzę - powiedział Szałtupier.

- Ale co? Czy pan może powiedzieć, co?

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Pani sama widzi... A pani, czy pani może powiedzieć?  
 - Ja nie mogę - odpowiedziała babcia.  
 - To dlaczego pani żąda tego ode mnie?  
 - To znaczy, że pan widzi to samo, co ja? - przeraziła się babcia.  
 - Myślę, że tak - powiedział Szaftupier.  
 - I nie wstyd panu?  
 - A pani? - spytał Szaftupier.  
 - Ja szłam na melodramat! - powiedziała babcia.  
 - A ja do Opery - rzekł Szaftupier.  
 - Czy pan kiedykolwiek widział coś takiego? - spytała babcia.  
 - A gdzie miałbym widzieć? - rzekł Szaftupier. - Gdzie? W Mohylowie?  
 - Co za ohyda - powiedziała babcia - chodźmy stąd!  
 - Chodźmy - zgodził się Szaftupier. - Tylko najpierw obejrzymy do końca. Zapłaciłem trzydzieści szylingów.  
 - Byłam o panu lepszego zdania - rzekła babcia i wstała.  
 - Idziemy! - powiedziała do nas. - Ja wam pokażę melodramat!  
 - Czy oszukaliśmy cię? - zapytaliśmy. - Czy film jest antyradziecki?  
 - Gorzej - powiedziała babcia. - Gdyby Mozart coś takiego zobaczył...

Wielbiciele opery zaczęli na nas syczeć:

- Proszę państwa, państwo przeszkadzają... Proszę ciszej.  
 - Przeszkadzam? - rzekła babcia. - Proszę chwilę zaczekać.

Wyszła z rzędu i zaczęła biegać po sali. Wreszcie znalazła wyłączniki i zapaliła żyrandole. Ostre światło oświstliło mikosników opery - siedzieli z otwartymi ustami i patrzyli na ekran. Kiedy zapaliło się światło, wszyscy natychmiast zamknęli usta i ponownie wlepili wzrok w sufit.

- Dysydenci - krzyczała babcia - czy dlatego wyjechaliście z Rosji? Przecież jechaliście do swojej historycznej ojczyzny!... A gdzie siedzicie?

Wszyscy milozeli, udając, że nie znają ani babci, ani nie znają się nawzajem, ani nie znają swojej historycznej ojczyzny, ani nie wiedzą, gdzie się znajdują...

- Czy w imię tego warto było przechodzić przez cło i odawać legitymację partyjną? Co? Fytam was!

Nikt nie odpowiadał. Zaozłościśmy ciągnąć babcie do wyjścia. Zjawił się administrator.

Babcia zażądała książki zażaleń. Administrator niczego nie rozumiał i powtarzał w kółko coś niezrozumiałego.

Wtedy babcia zażądała przerwania pokazu.

- Gdyby to widział Mozart - krzyczała - albo, oo gorsza, Beethoven...

Administrator nie znał wielkich mistrzów, poprosił więc babcie o opuszczenie sali i pod akompaniament babcinych krzyków "pockarzę się wyżej" wynieśliśmy się z sali.

Trzecha trafu, że w tym ozasie odbywały się wybory. Po całym mieście wędziłe porozwieszane były portrety kandydatów; wszyscy kandydaci uśmiechali się, a najszerszy z nich - Kreisky.

Wszyscy Żydzi wiedzieli, że Kreisky to Żyd i że jego brat sprzedaje w Tel-Awiewie pierożki.

Ale babcia nie wierzyła:

- Jaki z niego Żyd - krzyczała - to morda chozera. Po pierwsze, nie jest podobny, a po drugie, żaden Żyd nie zezwoliłby na taki "melodramat"!

I postanowiła poskarżyć się do innego kandydata, z wąsami i bujną czupryną, który był podobny do Żyda.

Mówiliśmy babci, że to wcale nie Żyd, że to prawicowiec, lecz babci on się podobał i ona postanowiła go odnaleźć. I zrobiła to bardzo szybko. Do wyborów pozostawał tydzień i wszyscy kandydaci występowali, gdzie się dało. Nasz wąsacz, trzeba trafić, występował po prostu w metrze. Nie zdążyliśmy nawet tam zejść - babcia od razu go ujrzała. Wąsacz przemawiał. On obiecywał. On zapewniał i usmiechał się. Po przemówieniu obszedł wszystkich stojących dookoła, ścisnął każdemu rękę.

Po tym jak uściskał rękę babci, ona odezwała się:

- Czy pan wie, co się dzieje?

Kandydat nie wiedział.

- Czy pan wie, co wyprawia się w mieście, przez które płynie modry Dunaj?

Kandydat nie wiedział o niczym.

- Ja nie mogę panu powiedzieć - rzekła babcia - jestem ko-bietą. Niech pan pójdzie i obejrzy waszego "Zółtego Emmanuela". Mozart i Beethoven przewracają się w grobie...

Babcia opowiedziała ze szczegółami, co obejrzała.

Kandydat słuchał z uwagą. Żaden kandydat na posła nie słuchał tak babci, jak ów prawicowiec. Wszystko zrozumiał i od razu w metrze, wobec tłumu wiedeńców, uroczyście obiecał babci, że natychmiast, jak tylko zostanie wybrany na kanclerza, położymy kres pornografii.

Babcia spytała, czy nie może zrobić tego wcześniej.

- Nie leży w mojej gestii, Frau - powiedział wąsacz - władzę sprawuje Kreisky.

- To choyer - powiedziała babcia.

- Owszem - odrzekł kandydat. Czy pani będzie głosować na mnie?

- Co za pytanie - powiedziała babcia - obiema rękoma!

Ale głosować babci nie dano. Nie była jeszcze obywatelką... Sześć dni na otrzymanie obywatelstwa - to, mimo wszystko, ciut za mało.

Babcia namalowała plakat i przez cały dzień demonstrowała przed siedzibą rządu, żądając prawa do głosowania i zakazu pornografii.

Nie uzyskała ani jednego, ani drugiego.

Wybrano Kreiskiego, ale gdyby babcia głosowała, to możliwe, że wybraliby wąsacza. I położyliby kres pornografii. A tak to wciąż ją pokazują, chociaż Żydzi - wielcy miłośnicy opery wiedeńskiej - już jej nie oglądają w ciemnej sali w mieście, gdzie płynie modry Dunaj i gdzie żyli Mozart i Beethoven. W Wiedniu zrobiło się ich teraz mniej. Wysyłają ich teraz szybko do Rzymu. Chodzą słuchy, że to po wypadku z bacią.

Kreisky był bardzo niezadowolony z jej zachowania.

Nie wiadomo, tak się mówi...

Aleksander i Lew Szargorodsky

/"Archipelag" nr 5/32, maj 1986/



# Fakty - Sygnały - Opinie

## PLAN GRY ZBIGNIEWA BRZEZIŃSKIEGO

Zbigniew Brzeziński, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego w administracji Cartera, napisał ostatnio książkę, w której proponuje nową strategię nuklearną w stosunku do ZSRR. Książka, zatytułowana "Plan gry: geostrategiczne założenia współzawodnictwa amerykańsko-sowieckiego" / "Game Plan: A Geostrategic Framework for the Conduct of the U.S.-Soviet Contest" / odzwierciedla twarde stanowisko wobec ZSRR, z którego Brzeziński znany jest zarówno jako teoretyk i jako praktyk polityki strategicznej USA.

Autor nazywa książkę "poradnikiem działania", ponieważ - jak oświadczył reporterowi "New York Times'a", Davidowi K. Shiplerowi - wbrew zajmowanemu obecnie akademickiemu stanowisku w Ośrodku Studiów Strategicznych i Międzynarodowych na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie - nadal uważa się za człowieka czynu. Podczas wywiadu stwierdził: "Zawsze uważałem, że politologia nie może być jedynie zajęciem abstrakcyjnym, ale powinna zawierać element rzeczywistego zaangażowania w procesy, które bada. Do pewnego stopnia politologia przypomina praktykę lekarską, prawniczą lub wręcz prowadzenie przedsiębiorstwa, nie składa się bowiem z abstrakcji, ale polega na wyciąganiu wniosków z połączenia praktyki i doświadczenia praktycznego, które następnie poddaje się systematycznej analizie. Dlatego nigdy nie miałem cierpliwości do ezoteicznych i abstrakcyjnych pojęć wyrażanych środowiskowym żargonem, do słów, które niewiele ludziom mówią".

Propozycja zmiany obecnej strategii USA wobec ZSRR przedstawiona w nowej książce Brzezińskiego sprowadza się do dwóch punktów - zainstalowania ograniczonego systemu obrony przeciwrakietowej na lądzie i w przestrzeni kosmicznej oraz utrzymania liczby broni zaczepnych poniżej poziomu koniecznego dla zaatakowania wszystkich strategicznych celów w ZSRR w ramach "pierwszego uderzenia". Propozycja ta wyraża zarówno ze stanowiska ugodowego, co twardego. Przyjęcie jej oznaczałoby bowiem z jednej strony wyłamanie się Stanów Zjednoczonych z ABM /Antiballistic Missile Treaty - układu o obronie przeciw pociskom balistycznym/ z roku 1972, z drugiej zaś - ograniczenie liczby nowych broni zaczepnych, co do których ZSRR żywi obawy, iż w głównym stopniu przyczyniają się do destabilizacji zbrojeniowej.

Propozycja ta zawiera także elementy reaganowskiego planu obrony w kosmosie, oficjalnie znanego jako strategiczna inicjatywa obronna SDI. Brzeziński jest zdania, że na praktyczny użytek program ten jest w stanie stworzyć "porowaty",

czyli nie do końca szczelny, system obronny zdolny ochronić tylko "nasze własne dowództwo, władze administracyjne, środki łączności i siły strategiczne". Jako niemożliwe do realizacji lub niepożądane odrzuca natomiast Brzeziński cobydwa podejścia alternatywne wobec "wojen gwiazdnych". Uważa mianowicie, że kompleksowa kontrola zbrojeń jest niezmiernie trudna do osiągnięcia, a w jej braku możliwe są tylko porozumienia niższego rzędu. Z kolei stałe powiększanie nuklearnego arsenału zaczętego oznaczałoby konieczność zainstalowania na terenie Stanów Zjednoczonych około półtora tysiąca rakiet typu "Midgetman".

Teoretyczną podstawę proponowanego przez Brzezińskiego nowego rozwiązania strategicznego stanowi przekonanie, że - jak mówi Brzeziński - "konflikt amerykańsko-sowiecki nie jest epizodem, ale długotrwałym, historycznym współzawodnictwem pomiędzy potęgą lądową dążącą do dominacji nad Eurazją i międzykontynentalną potęgą morską, jaką są Stany Zjednoczone, dążącą do uzyskania gwarancji, że Związek Sowiecki nie zdominuje przy-czółków euroazjatyckich".

Zdaniem Brzezińskiego, główne fronty strategiczne w tym współzawodnictwie przebiegają w Europie Zachodniej oraz na Dalekim i Bliskim Wschodzie. Natomiast główny ciężar instalacji zbrojeniowych USA znajduje się na najmniej wybuchowym froncie w Europie, w związku z czym Brzeziński za słuszną uważa koncepcję zredukowania sił amerykańskich w Europie Zachodniej i przerwania głównego ciężaru utrzymania obronności na sojuszników z NATO.

Kolejnym założeniem w rozumowaniu Brzezińskiego jest małe prawdopodobieństwo rozwiązania współzawodnictwa między supermocarstwami na drodze całkowitego pojednania, bądź też na drodze ostatecznej konfrontacji. "Dlatego też - mówi Brzeziński - naszym zadaniem jest opracowanie dalekosiężnej geostrategii, która pozwoli nam konkurewować z Sowietami na trwałych podstawach, chronić nasze interesy, zwiększać bezpieczeństwo narodu, a w końcu wręcz zdobyć przewagę". "Muszą jednak od razu zastrzec się - kontynuuje Brzeziński - że przewaga jest czymś odmiennym od tradycyjnie pojmowanego zwycięstwa. Oznacza ona tworzenie międzynarodowego uwarunkowania przychylnego naszym wartościom i sprzyjającego przemianom wewnątrz Związku Sowieckiego, co wpływa na uelastycznienie postawy ZSRR wobec tego rodzaju układu międzynarodowego".

Zbigniew Brzeziński, który od czasu do czasu służy radą członkom administracji USA, wyraża obawę, by prezydent Reagan nie omezzkał użyć swej siły politycznej dla wyznaczenia nowej linii strategicznego postępowania Stanów Zjednoczonych. "Niepokoję się bardzo tym - mówi Brzeziński - że obecny prezydent, oświłek niezmiernie popularny i niezmiernie silny politycznie, może poostawić swojemu następcy nierozwiązane problemy strategiczne i geopolityczne, z którymi ów nie będzie mógł się uporać, ponieważ nie do uniknięcia jest, że będzie to człowiek politycznie słabszy. Dlatego sądzę, że prezydent powinien zgryźć ten orzech w ciągu ostatnich dwóch lat na urzędzie". Jeśli tego dokona, jego niedawna decyzja o wazamaniu się z ograniczeń układu SALT-2 może się okazać rozsądną, twierdzi Brzeziński, który jako negocjator traktatu ma podstawy do twierdzenia, że - jak mówi - "Sowieci oszukują".

Pomysł najnowszej książki Brzezińskiego narodził się w trakcie jego urzędowania w carterowskim Białym Domu, kiedy to -

Jak mówi - stała się dlań oczywista "ogromna potrzeba wycucia strategicznego ukierunkowania". "Jednym z powodów, dla których powstała ta książka - mówi Brzeziński - było przekonanie, że zbyt wielu członków rządu amerykańskiego - było przesłabych wagi zagadnień stosunków sowiecko-amerykańskich działa na zasadzie codziennej improwizacji, bez szerszego rozważania co do natury tego współzawodnictwa i bez dalekosiężnego planu strategicznego, którym kierowałyby się na co dzień przy podejmowaniu decyzji. Polityka jest daleko bardziej skuteczna, gdy oparta jest na zamysle strategicznym".

/Przedruk z "Nowego Dziennika",  
czerwiec 1986 r./

### RECENZJE

#### "AKWARIUM" X/

Jesteśmy w wiedeńskiej piwiarni, wśród gwarnego tłumu byłych walców - ludzi różnych warstw społecznych, ludzi w młodym i średnim wieku, a nawet zgoda starszych. Siedzą przy ciężkich dębowych stołach, zastawionych kuflami piwa; gaworzą beztrosko, raz po raz wybuchając gromkim śmiechem z bezpretensjonalnych, a niekiedy wręcz prostackich żartów kompanów. Jest i gromadka chłopów - tęgich, okazałych, rudebrodych, ubranych w skórzane, z szelkami, spodniki do kolan i białe koszule; na głowach zawadlako zsunięte na bok kapelusiki kolorowe z ptasimi piórkami.

Nieopodal samotny, młody mężczyzna, pogrążony w głębokiej zadumie przy pustym kuflu. Łokciami wparł się c stoł, podparł głowę i nic nie widzącym wzrokiem patrzy przed siebie.

Wiktor Suworow, major - wywiadowca rezydentury GRU w Wiedniu; były starszy lejtnant wojsk pancernych, uczestnik inwazji na Czechosłowację w 1968 roku; oficer wywiadu wojskowego korpusu, armii, a następnie okręgu podkarpackiego; oficer wojsk "specnazu" /specjalnego przeznaczenia - dywersji/, wreszcie słuchacz Akademii Wojskowo-Dyplomatycznej /5 lat/, do której kierowano "doskonalych i niezawodnych". Egzaminów wątpliwych - 5 tysięcy pytań w ciągu 6 dni... "Ile czołgów liczy dywizja pancerna Bundeswehry?"; "Gdzie znajduje się obecnie 142 dywizja powietrzno-desantowa US Army?";... Szybciej! Szybciej! "Ile to jest 127x25?" Szybciej! "Która z tych dziewczyn wam się podoba? Dlaczego?" Na ekranie setki, ty-

X/ "Akwarium" - Wiktor Suworów /pseudonim/. Powieść dokumentalna b. majora GRU /Głównie Razwiedowatielnoje Uprawlenie - Główny Zarząd Wywiadowczy Sztabu Generalnego Armii Czerwonej/, który w latach siedemdziesiątych opuścił placówkę w Wiedniu, uzyskując azyl w W. Brytanii. "Akwarium" - to olbrzymi szklany gmach Sztabu Generalnego w Moskwie, siedziba licznych służb GRU. /przyp. aut./



siące samochodów... "To ten?" Trzeba nacisnąć odpowiedni przycisk... Nie, do diabła! Lekkie uderzenie prądem wskazuje na błąd. Dziesiątki, setki twarzy. Trzeba rozpoznać właściwą osobę. Drżące palce w nerwowym skurczu nad pulpitem... T e n! Nie ma uderzenia prądem. W porządku. Na dziś koniec. Bezwładne ciało na łóżku. Spać, spać. Światło potężnego reflektora w oczu. "25x127"... Szybko! Gdzie znajduje się obecnie lotniskowiec US Navy "Coral Sea"? "W porządku. Dobranoc".

W Akademii mieszkało się na dachu pod Moskwą. Dacza ogrodzona wysokim protem. Na miejscu wszystko: basen, korty, boisko. Za murem, któż to wie? Może bracia Polacy? Może koledzy-słuchacze z zaprzyjaźnionej Kuby? Nie zna się z twarzy nawet kierowcy, który w kontenerze wozi przyszłych wywiadowców do różnych "punktów nauczania". Wykładowca za muslinową zasłoną. W stołówce /pustej/ nakryte stoły /jedzenie wysmienite/; po obiedzie wpisuje się do książki zamówień zyczenia na jutro. Wychodzi się. Powrót w kontenerze.

Program nieprawdopodobny. Starożytkoby normalnie na 10 lat. Dwa języki obce. Umiejętność posługiwania się coraz bardziej wyrafinowaną techniką szpiegowską. Historia. Psychologia. Karate. "Trzeba zapamiętać o rewolwerze - to dobre w filmach, w powieściach kryminalnych. Waszym jedynym atutem jest g ł o w a. Musicie być perfekcjonistami. Bezwzględnie poskusznymi perfekcjonistami. Do "Akwarium" trudno trafić. Wyjść samemu - nie sposób".

Tak. Podczas wstępnej rozmowy w Moskwie, jeszcze przed egzaminami, pokazano mu niemy film, z krematorium. Wózki z ciałami nieboszczyków toczyły się w stronę buchającego żarem pieca, szybki przechyl i oddala od pieca. Ale oto widać wyraźnie, że do wózka przymocowany jest ż y w y człowiek, który próbuje desperacko zerwać pęta. Film niemy, lecz s i ł y c h a ć jego krzyk. Wózek zbliża się i oddala od pieca. Zatrzymuje się. Ob-sługa /?/ zdejmuje nosze i stawia je pionowo pod ścianą. Zbliżenie kadru. Przystojna twarz, wykrzywiona w dzikim przerażeniu, cała zroszona potem. Taaaak... To Oleg Pińkowski, pułkownik GRU, zięć marszałka Werenowa, dowódcy wojsk raketowych, ulubieniec dam z sowieckiej nomenklatury, wybitny wywiadowca i... supertajny szpieg angielski. Nie zdołał Anglicy /a próbowali/ wydostać Pińkowskiego z matni. Został aresztowany. Skazany za zdradę Ojczyzny i... rozstrzelany, o czym mówił oficjalny komunikat.

Ale oto nosze znowu na wózku. Piec coraz bliżej i bliżej. I do ognia! "Wszystko".

Ale Suworow ma mocne nerwy. Brak udziału w tajnych operacjach GRU przeciwko... KGB i był dobry. W wojakach "specnazu" ćwiczył z "kukłami". Co to jest? To też zawodowa tajemnica, jak zresztą wszystko w tej branży. "Kukła" - to człowiek z wyrokiem śmierci. Możesz mu pokazać żebra, skrócić kark. To nie ma znaczenia. Ale uważaj! On o tym wie i może być również bardzo niebezpieczny. Stara metoda osławiania ze śmiercią i zabijaniem. Dawniej, w NKWD, nazywano ich "gladiatorami". A dziś - "kukła".

Kiedy Suworow ukończył wreszcie Akademię Wojskowo-Dyplomatyczną, rozmawiał z nim przed wyjazdem na Z a c h o d Kir Gawriłowicz /nie lubił, kiedy tytułowano go generałem pułkownikiem/, kierownik Wydziału Administracyjnego KC KPZR, któremu

podlegało i GRU, i KGB. Mały człowieczek o bezbarwnej twarzy, pozbawiony jakichkolwiek szczególnych cech. Mówił cicho, bez cienia uśmiechu: "Piłkowski - to sprawa znana i głośna, bo zdaliśmy tego, który miał go wywieźć w specjalnym schowku w wozie wystawowym, przyszytanym na targi w Moskwie. Ale kto szyszał o Władimirie Konstantinowic? Dobry był wywiadowca, lecz mieliśmy niezbite dowody, że pracował na o-  
bie strony. Przyjechał na urlop. Bardzo proszę, żeby go nie zabijać. Uwzględniliśmy jego prośbę. Pewnego dnia usnął w celi, a obudził się w... trumnie, pod ziemią. Do "Akwarium" trudno trafić. Wyjść samemu - nie sposób".

Praca w rezydenturze w Wiedniu. "Waregowie" - oficerowie zdobywający informacje i werbujący agentów; "borzyje" - oficerowie, którzy oszaniają operacje; oficerowie-szyfranci, którzy przez dwa lata nie opuścili terenu ambasady /"nie położono"/ i którym nie wolno wchodzić do innych pomieszczeń ani kontaktować się z pracownikami cywilnymi przedstawicielstwa dyplomatycznego.

Wartunek, kradzież rozmaitych tajemnic; przekupywanie /środki nieograniczone/ producentów supernowoczesnych urządzeń, objętych zakazem eksportu na Wschód; przekupywanie chłopów, zbierających na poligonach NATO "resztki" nowych pocisków i rakiet. Zakup całych hoteli i schronisk w Alpach, gdzie odpoczywają oficerowie 6 Floty, znajdującej się stale na Morzu Śródziemnym itd., itp. A przy tym zaciekle rywalizacja z KGB. "Kagebistów" oficerowie wywiadu wojskowego traktują pogardliwie i chętnie robią im "kawały", po których następuje "ewakuacja". Zresztą "ewakuacja", to metoda rozpowszechniona i wyczelowana do perfekcji. Przyjeżdża np. taki oficer w niedzielę na film do ambasady, a tu szyfrant: "Dielona do was". W gabinecie "nawigatora" /szef rezydentury/ "młodszy lider" /pierwszy zastępca/ i jeszcze ktoś. Delikwent zna reguły gry, ktoś już stoi za jego krzesłem. Sam podnosi rękaw marynarki i... zastrzyk. Wszystko w porządku. Człowiek rusza się i nawet uśmiecha się na pożegnanie jeszcze ze schodków samolotu "Aeroflotu", który odlatuje do Moskwy. A tam? To zależy. W najlepszym przypadku znajdzie się gdzieś, gdzie nawet nie będzie mógł "pochwalić się", że był w "specnazie", GRU i w ogóle na placówce.

Wiktor Suworow przeszedł wszystkie stopnie wtajemniczenia. Cieszył się szczególnym zaufaniem. Niechętnie zastanawiał się nad "filozofią" swojego zawodu. "Służę Sowietom i Sojuzu!" Zbierał przez lata kolejne wyróżnienia, pochwały, awanse. Pamiętał wszakże... Pragę 1968. Stary człowiek z dużą białą brodą, w meloniku, wali łaską po jego czołgu i coś wykrzykuje. A wokół milczący, wrogie tłum, który /to dziwne! /nie wita "oswoboditielej".

Nie raz również zadawał sobie pytania: - Dlaczego o n i są tacy ufní, bezbronni i zwyczajnie głupi? Dlaczego pozwalają nam niemal jawnie przygotowywać własną zgubę? Dlaczego?

Miał mocne nerwy. Ale któregoś dnia musiał /na rozkaz: "sprawdzian"/ podrzucić biblię do skrzynki pocztowej zastępcy attache wojskowego, swego niegdysiejszego przyjaciela. Był to pątek. I ów przyjaciel nie przybiegł w sobotę /wolna/ z przesyłką do rezydentury. Mówił później, że wyrzucił do śmietnika. To była prawda. Pojechał natomiast wraz z piękną żoną na film, no i... "ewakuacja".

Z "młodszy liderem" było jeszcze gorzej. Wpadł na zwykłej randce. Pech. W to miejsce miał przyjść "Drug" - superpartyjny agent, o czym wiedział tylko "Nawigator" i Suworow, który z ciekawości hotelu fotografował /"Minox", specjalnie zabezpieczony, o podwójnej błonie, która wyjmuje się dopiero w Moskwie/ teren i "Druga". Sfotografował zaś zwierzchnika, nie wtajemniczonego, ale z samochodu którego wysiadła piękna kobieta. Sam "Nawigator" wołał w rozpaczy: "Co będziemy teraz robić!?" Co było robić: "ewakuacja".

Małaśliwie wstają od stołu austriaccy chłopcy. Idą do drzwi. Nagle jeden odwraca się. Podchodzi do samotnego Suworowa i kładzie mu na ramię ciężką, spracowaną rękę. Klepie w milczeniu. Uśmiecha się przyjaźnie, p o l u d z k u, i idzie do swoich kompanów.

"To taak... A jeśli jestem śledzony przez naszych? Chłop się poznał, że jest źle, ale on p o l u d z k u, a tamci, których wysłał w ślad za mną "Nawigator"? Ewakuacja?"

Wiktor Suworow - doświadczony wywiadowca, przekonuje się w drodze z piwiarni, że jest śledzony. Kilka samochodów. Jedzie więc nie do Ambasady, lecz do swego mieszkania. Gdzie, jak wie, przyjdą do niego o świcie. Opuszcza potajemnie budynek /jednak przygotował sobie drogę odwrotu zawczasu/ i rusza w nieznaną. W małym lasku pod Wiedniem podejmuje ostateczną decyzję, która dojrzała w nim od dawna, czego nawet sam chyba nie domyślał się.

"Gdzie? Brytania. Tylko Brytania. Oni ostatecznie wyrzucili 105 oficerów GRU i KGB. Dowiedli, że stać ich na stanowczość. Wygrali. Tylko tam!"

Ostatnie epizody, próby nawiązania kontaktu z Ambasadą Brytyjską w Wiedniu, kiedy na karku siedzi mu już sfera epuszczo- na ze smyczy przez "Nawigatora" - należą do niezwykle dramatycznych kartek tej wyjątkowej książki. Wszystko wiśnie na włosku. "Ambasadora nie ma. Kim Pan jest? Co chce Pan przekazać w liście do Rządu JKM? Pan nie ma listu i nawet koperty... No, dobrze, proszę pisać. Cooo! Trzy litery i jakiś znak... Co to znaczy GRU... Dziś wolna sobota, nikogo nie ma... No dobrze, dobrze... Powtórzę komuś, jak Pan mówi, "kompetentnemu"... Tak, wezmę ostatecznie szkic z miejscem, gdzie Pana będzie można spotkać... Przedtem jednak Pan zadzwoni do Ambasady..."

Szczęściem dla Suworowa znalazł się "kompetentny" urzędnik, który natychmiast skontaktował się z Londynem, gdzie nie wszyscy wyjechali na weekend. Kiedy zadzwonił więc /spóźnił się o pół godziny, wszakże kluczył przed pogonią/, usłyszał w słuchawce: "Na miejscu wskazanym przez Pana już są nasi ludzie. Potrzebujemy Pana". Nie wiedzieć czemu Wiktor Suworow mówi po rosyjsku: "Spasiba".

X X X

Tę niezwykle książkę-dokument wydało w Londynie Overseas Publication. Radio "Swoboda" /znakomity lektor - Julian Panielcz/ przekazało jej treść słuchaczom. Na uwagę zasługuje wybór fragmentów obszernych, jak i pominięcia innych. Ponadto, co również warto odnotować, prowadzący audycję, Michał Kartaszow, b. oficer marynarki sowieckiej, podkreśla, iż jest to osobista relacja, osobiste refleksje i wnioski człowieka, który n i g d y nie ujawnił się i mieszka "gdzieś" w Anglii.



Nie pytam o adres. Nie wypada. A może nigdy nie było Wiktora Suworowa. Byli i n n i. Jakże to ważna książka i n a o z a s i e !

Piotr Miłośławski

### KOMU PURPURA?

We wspomnieniach, zawartych w swej pierwszej książce pt. "Dwadzieścia listów do przyjaciela", Swietłana Allilujewa opisuje ostatni okres życia swego ojca - Stalina.

Trzeba zastrzec na wstępie, że Swietłana w tym czasie, jak stwierdza, praktycznie nie miała żadnego kontaktu z pograżającym się coraz bardziej w schizofrenicznych omamach tyranem, który nie dopuszczał do siebie już nawet najbliższych towarzyszy walki i zbrodni. Jedynie "najwierniejszy z wiernych" - Poskriebyszew, wieloletni sekretarz Stalina, od czasu do czasu miał dostęp do wewnętrznych pomieszczeń dachy pod Moskwą. Nawet zaufana gospodyni, bodajże Marfa Piotrowna, nie oglądała swojego uwielbianego Pana całymi dniami.

Mały, jakby wysuszony człowieczek, o dziobatej, seplej twarzy, podtrzymujący jedną względnie sprawną ręką drugą rękę bezwładną, w waciaku i walonkach /stałe odczuwał zimno/, niepewnym krokiem snuł się po pustych pokojach lub siedział zagłębiiony w ogromnym fotelu, patrząc przed siebie. Prawie nic nie jadł, nie przyjmował leków; jedynie sporadycznie s a m sporządził sobie jakieś mieszanki lecznicze, o składzie których nikt nic nie wiedział.

Pozornie ten człowiek przez całe życie był skromny, jeżeli chodzi o osobiste potrzeby. N i e i n t e r e s o w a - ł y g o p i e n i ą d z e. Pensję, dostarczaną mu w zakładowanych kopertach, wrzucał do przepastnych szuflad swego biurka, gdzie piętrzyły się stopy takich kopert. U t r z y m a n i e ? Jego i dworu. Na to pracował cały kombinat rolno-spożywczy i specjalne przedsiębiorstwo dostawcze. Szło to wszystko w k o s z t y r z ą d o w e, księgowano w rachunkach Kremla.

Całe życie był nieufny. I miał ku temu wszelkie podstawy. Sam był uosobieniem przewrotności i braku nawet cienia skrupułów wobec najbliższych.

Co myślał w ostatnich dniach swego koszmarnego życia? Na jaką refleksję zdobył się, kiedy Poskriebyszew przyniósł mu groźną wiadomość, że oto w katastrofie samochodowej zginął dowódca straży kremlońskiej, drugi wierny paladyn, pierwszy wśród Negrów chroniących swego Wodza, który dla tych wciąż półdzikich wojowników pozostawał wodzem p l e m i e n n y m a n i e żadnym tam "chorążym pokoju", "koryfeuszem", "przywódcą światowego proletariatu". Oni zwyczajnie nie rozumieli tych pojęć. Byli ciemni, ale wierni. Natomiast ich oficerowie byli już lepiej wyedukowani i mieli, jak się okazało, całkiem "ludzkie odruchy".

Kiedy zmarł Stalin? Tego, oczywiście, nikt dokładnie nie wie. Czy Beria rzeczywiście tańczył nad trupem tyрана, jak ba-jał później Chruszczow? Jakże to ma znaczenie?

Jest wszakże jedna "perełka" w tej ponurej scenerii. Kiedy wreszcie powiadomiono Swietlanę o śmierci ojca i kiedy przybyła ona na dach pod Moskwą, ekonomka-gospodyni pociągnęła /ręczniami/ Swietlanę do biurka ojca, gdzie znajdowały się owe wspomniane stopy kopert.

"Ukrali! Swożoczy... ukrali dieńgi... Wot mierzawcy, wot złodziei!" - wołała wściekła, pomstując na "żelaznych czekistów", którzy nie pogardzili okazją. Ci - najwierniejsi z wiernych, pretorianie, synowie partii itd., itp. wykazali nadzwyczajny refleks i przytomność umysłu.

A co mieli robić? Przeznaczyć "spadek" na zwycięstwo rewolucji światowej? A może na ofiary czystek stalinowskich?

Ich wodzowie - Beria, Abakumow, Ignatiew - byli w tym momencie zajęci sprawami ważniejszymi... "Wyborem" następcy tyрана i zapewnieniem ciągłości przezeń stworzonego systemu, którego oni pozostawali filarem. Na Kremlu trwały przetargi.

"Potęgę miecza dotkliwiej odczuwa się w rozległej monarchii niż w małej wspólnocie. Najbliżsi politycy obliczyli, że żadne państwo nie może, nie narażając się na rychłe wyczerpanie swoich zasobów, utrzymać więcej niż jedną setną liczby mieszkańców pod bronią, to znaczy w nieróbstwie. Ale choćby nawet ten stosunek procentowy był stały, to wpływ wojska na resztę społeczeństwa będzie się zmieniać zależnie od stopnia jego rzeczywistej siły" - pisze znakomity historyk brytyjski Edward Gibbon w swej fundamentalnej pracy "Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego". Poświęca on wiele miejsca roli gwardii pretoriańskiej w systemie funkcjonowania państwa, pisząc m.in. "nieokiełznana wściekłość /pretorianów/ była pierwszym objawem i przyczyną chylenia się Cesarstwa Rzymskiego".

To oni zamordowali następcę cesarza-filozofa Marka Aureliusza, szlachetnego i bezinteresownego, starego Pertynaksę, który marzył o poskromieniu wszechwładzy tych "czekistów" etarżownego Rzymu. Zapłacił głową, którą obnoszono na włócznie po obozie pretorianów. Następnie zaś urządzono autentyczny przetarg o purpurę cesarską, który wygrał bogaty senator /wybitny przedstawiciel nomenklatury, jak byśmy dziś powiedzieli/ Didiusz Julian.

Triumf gwardii pretoriańskiej stał się jednak zarazem początkiem końca jej krwawych, haniebnych i szkodliwych dla imperium rządów.

Legiony w krajach podbitych przez Rzym, a przede wszystkim bitne legiony z Panonii, wyniosły na tron Septymianusa Sewera, nie związanego z patrycjatem, nie wywodzącego się z nomenklatury, zupełnego "Homo novus", który okazał się prawym człowiekiem i utalentowanym wodzem.

Ustały przetargi o purpurę cesarską, rozwiązano oddziały zachłannych i bezwzględnych pretorianów, lecz z miernych imperium zbliżał się nieubłaganie. Bowiem imperium nie mogło już bez nich istnieć.

Andrzej Kurbski

## PO AWARII

### Korespondencja własna z Kijowa

Wyjazd do ZSRR jest zawsze przeżyciem. Licznych wrażeń dostarcza już samo przekroczenie odpowiednio strzeżonej granicy, połączone z nader wnikliwą penetracją wagonów i bagażu podróżnych. Szczególne zainteresowanie służb celnych budzą oczywiście taśmy magnetofonowe, kasety video, no i książki. Celniczka przegląda pobieżnie kryminał Simonona, ale już dokładnie kartkuje skrypt studencki, wydany przez uniwersytecką małą poligrafię. Zadrukowane drobną czcionką, w technice powielaczowej, strony wzbudzają w niej zrozumiałą nieufność. Jeszcze tylko krótki test na ilość posiadanego złota, okularów przeciwsłonecznych, dzinsów itp. - i już po wszystkim. Można się odprężyć, a nawet rozzerwać! Podróżny, udający się w tę stronę po raz pierwszy, ma bowiem dodatkową atrakcję, jaką stanowi nieznaną bodajże gdzie indziej w świecie operacja wymiany podwozi w wagonach. Spod wtoczonych do długiej hali i uniesionych do góry wagonów, usuwa się koła o znormalizowanym w całej Europie rozstawie i podstawia inne, przystosowane do szerokich torów w imperium. Ponieważ cała ta operacja trwa długo, nierzadko do dwóch godzin, podróżny może spokojnie oddać się lekturze dekorujących halę haseł, sławiących Kraj Rad i studium nad godłami poszczególnych republik, stanowiących warianty różne zestawionych sierpów, młotów, kłosów, trybów itp.

Wyjazd do ZSRR w tym roku jest jeszcze większym przeżyciem, zwłaszcza jeśli celem podróży jest Kijów, leżący niespełna sto kilometrów od Czarnobyla. Jak żyje trzymilionowa stolica Ukrainy w dwa miesiące po awarii w pobliskiej elektrowni atomowej? Zemocjonowany przybysz z PRL-u, wysiadający z pociągu na kijowskim dworcu, nie dostrzeże jednak żadnych znamion wyjątkowości. Perony i pomieszczenia molochowatego dworca wypełniają, jak zwykle, objucone wszelkim dobrem tłumy, pokornie oczekujące na spóźnione z reguły pociągi. Nie odnotujemy też nic szczególnie szokującego w trakcie przejazdu taksówką z dworca do hotelu. Trzeba kilku dni, aby zorientować się nieco w sytuacji. Pierwsze, co zwraca uwagę, to nieustanne zmywanie wodą jezdni, chodników i torowisk tramwajowych przez samochody-polewaczki i odpowiednio do tego celu wyposażone wozy tramwajowe. Zmywa się również dachy, tarasy, balkony. Wchodząc do sklepów, kin, teatrów, hoteli i innych obiektów publicznych, przechodzi się po specjalnych, stale wilgotnych wycieraczkach, mających zapobiegać wnośeniu do środka skażonego pyłu ulicznego.

Innym zjawiskiem, które przybysz z zewnątrz zauważa dopiero na drugi lub trzeci dzień pobytu, to specyficzna atmosfera miasta. Kijów jest smutny - nie słychać tu dziecięcego gwaru i śmiechu. Żłobki, przedszkola, szkoły stoją puste. Rok szkolny, z uwagi na skutki awarii, skrócono, jednak dopiero w połowie maja wszystkie dzieci, zarówno te zupełnie małe, jak i w wieku szkolnym, wywiezione zostały z miasta i ulokowane na obozach i koloniach w mniej zagrożonych rejonach Ukrainy /ewakuowano do kraju także dzieci urzędników konsulatu polskiego/. Pusto również w parkach, ogrodach, na



placach zabaw i w podmiejskich lasach. W rozległym Ogrodzie Botanicznym Ukrainskiej Akademii Nauk ogrodniczkii, spulchniające motykami ziemię, ubrane są w długie białe fartuchy i kaski, a twarze przykrywają im maski z gazy. Miejscowe władze wydały komunikat ostrzegający przed dłuższym przebywaniem wśród zieleni. Z uwagi na stosunkowo niewielką ilość opadów deszczowych, pył radioaktywny utrzymuje się na drzewach, krzewach i powierzchni gisby.

Ostrzega się także przed spożywaniem niektórych ziemniaków, m.in. sałaty, szczypiorku, kopr, porzeczek oraz runa leśnego i słoneczników. Zaopatrzenie sklepów spożywczych - jak na stosunki w ZSRR - jest w miarę dobre, tzn. dostępne są podstawowe artykuły. Z oficjalnych enuncjacji wynika, że spożywanie ich nie szkodzi zdrowiu; część produktów dowodzi się podobnie spoza sfery zagrożenia. Nie wiadomo natomiast na pewno, jak jest z wodą. Władze twierdzą, że Dniepr nie został skażony. Niezwykle szybkie tempo budowy ujęć czerpiących wodę z innych źródeł, jak również wiercenie głębokich studni artezyjskich, zdaje się jednak sugerować, że albo stopień radioaktywności wody w Dnieprze odbiega od normy, albo też, że - mimo uspokajających doniesień - sytuacja w rejonie czarnobylskiego reaktora nie została jeszcze w pełni opanowana i niebezpieczeństwo skażenia rzeki jest nadal realne.

Zasłyszane w kraju informacje o chwilowym zniesieniu ograniczeń w sprzedaży alkoholu nie znajdują potwierdzenia. Być może, owo rozluźnienie miało miejsce w pierwszych dniach po awarii, obecnie wszystko wróciło do stanu poprzedniego. Sprzedają artykułów monopolowych zajmują się nieliczne sklepy, czynne od godziny 14-tej. Ruch w nich cichymi. W zaopatrzonych niegdyś obficie stoiskach alkoholowych "Gastornom"-ów, kupić dziś można jedynie szampana i najdroższe koniaki gruzińskie. Na ulicy rzadko spotyka się osobę nietrzeźwą. Czyżby ustawa Gorbaczowa przyniosła tak szybkie rezultaty? Zagadnięty na tę okoliczność kijowianin uśmiecha się tylko i proponuje pośrednictwo w zakresie kupna wódki o dowolnej porze dnia i nocy. Przed lepszymi kawiarniami i restauracjami, jak dawniej kolejki czekających na miejsca. Mimo wolnych stolików, "bramkarze" wybierają klientów po uważaniu. Z dostaniem się do środka nie mają problemu tylko cudzoziemcy i tak licznie spotykani w wielo miastach ZSRR, Gruzini. Pewni siebie, dostatnio i modnie ubrani, zaopatrzeni w pieniądze, zapełniają od wczesnych godzin co lepsze lokale.

Z dawnego Kijowa przetrwało do naszych czasów niewiele. Cieszący się niezmiennym powodzeniem turystów zabytkowy zespół "Pieczerskiej Ławry", czynny dla wiernych sobór św. Włodzimierza, tu i ówdzie stara secesyjna kamienica. Ocalała częściowo na prawym brzegu Dniepru stare cerkwie, wabiące zielono-złotymi kopułami, piękny widok przedstawiają jedynie z oddali. Odnowione z zewnątrz popieszczenie i byle jak przed Olimpiadą moskiewską, strasza z bliska zabitymi na głuche wrotami, kryjącymi zdewastowane wnętrza, bądź w najlepszym wypadku składy różnych towarów. Podobnie przy bliższym wejrzeniu prezentuje się współczesne budownictwo mieszkaniowe Kijowa. Zupełnie niezłą architekturę deprecjonuje fatalne wykonawstwo, odpadające tynki, pęknięte ściany, poprowadzone na zewnątrz /!/ przewody i rury. Wykńczone w miarę dobrze są jedynie gmachy reprezentacyjne, usytuowane przy głównych ulicach, jak choćby na popularnym Kreszczatiku.

Tu właśnie, pod olbrzymim gmaszyskiem domu towarowego - zwanego w skrócie GUM-em - natykam się na dźwigającego odkurzacz redaka. Znajomy z kraju, pracownik jednej z central handlu zagranicznego, przyjechał do Kijowa służbowo, w związku z odbywającą się w mieście wystawą polskich towarów eksportowych "Sdziano w Polsce". Siadamy na chwilę na pobliskim skwerze. Widząc moje zaskoczenie z powodu wyboru miejsca i terminu wystawy, znajomy wyjaśnia, że decyzje w tej sprawie zapadły rok temu. Co prawda, po awarii w Czarnobylu, przedsiębiorstwa handlu zagranicznego zgłaszały postulaty przełożenia imprezy, jednakże organizator wystawy - Polska Izba Handlu Zagranicznego - oświadczył kategorycznie, że żadnej zmiany być nie może. Kilkuset Polaków przyjechało do Kijowa z ekspozycją, mającą charakter niemal wyłącznie propagandowy, bo trudno mówić o handlowym. Nikomu w Polsce nie trzeba tłumaczyć, że nasi radzieccy partnerzy mają wystarczająco dobre rozeznanie w możliwościach eksportowych PRL-u, a zakres i wielkość dostaw ustalana jest centralnie. Wydano wiele milionów złotych, w zamian kraj "wzbogacił się" o trochę złota, szlachetnych kamieni, telewizorów, lodówek, odkurzaczy, "zażygalek" i innych cenionych na rynku dóbr, przywiezionych w prywatnych bagażach delegowanych pracowników. Trudno w tej chwili orzec - konkludował mój znajomy - jak na dwutygodniowy pobyt w Kijowie zareaguje moja tarczyca i ezpik kostny, jedno wszak jest pewne, że poważnie nadwyreżę wątrobę. I tu nagle urwał, bowiem nieopodal naszej ławki wylądowało stado gołębi. Rzuciły się łapczywie na okruchy, walcząc bez pardonowo o każdy kęs. Zastanawiający był wygląd tych ptaków - wynędzniałe, słabo upierzone, dźwigały na grzbietach, karkach i nogach wielkie, czerwone narcisła...

Podobno w pierwszych dniach po ogłoszeniu komunikatu o awarii, wybuchała w Kijowie panika. Miewiele jednak na ten temat mogłem dowiedzieć się. Kijowianie nie są skorzy do udzielania obcym informacji. Wieczorem, podobnie jak we wszystkie poprzednie wieczory, włączyłem telewizor, czekając na najświeższe wieści z Czarnobyla. Daremnie, przez cały czas mego pobytu raz tylko pojawiła się wzmianka nawiązująca do awarii. Dowiedziałem się, że strażacy z jakiegoś amerykańskiego "Pikatkowa" wyrażają podziw dla odwagi i poświęcenia swych czarnobylijskich kolegów. Ponieważ równą wstrząsliwość zachowywała miejscowa prasa, doszedłem do wniosku, że niebezpieczeństwo minęło, a przyczyny katastrofy są wyjaśnione. Nazajutrz wyjeżdżam. W dworcowym westybulu jak poprzednio przewalają się tłumy przyjezdnych i wyjeżdżających. Wysoko nad tłumem, niemal spod sklepienia, spoglądała na nas jedna z tysięcy wyrąbanych w kamieniu lub odlanych w metalu postaci "Wiecznie Żywego". Wróciłem do domu i nie mogę oderwać się od lektury przechowanych dla mnie numerów "Życia Warszawy". Czytam o karach wymierzonych odpowiedzialnym za bezpieczeństwo w Czarnobylu, o pomocy dla przesiedlonych, o pełnej poświęcenia pracy nad usuwaniem skutków awarii, a wreszcie o przyjęciu pomocy amerykańskich ekspertów przy budowie betonowego grobowca dla zniszczonego reaktora. Czytam i zadaję sobie pytanie: czyżby redaktorów dzienników telewizyjnych w Moskwie i Kijowie odcięto od dopływu informacji z TASS-a?

PANIE SEKRETARZU GENERALNY...

Stefan Bratkowski od dawna słynie z tego, że jest niepoprawnym idealistą. To zresztą za słabo powiedziane. On choruje na idealizm. Wierzy w człowieka i w dobro, a także w dialog i porozumienie. A także w rozsądek, w sprawiedliwość, w imperatyw moralny. Słownem - wierzy w świat całkiem inny od rzeczywistego. I z pewnością wierzy także, iż przekona doń innych, mając w zanadru wiele nośnych argumentów. Pod tym względem - mając proportion garde - przypomina Papieża: mając siłę argumentów, nie dysponuje tylko - drobnostką! - argumentem siły. To jest cały Bratkowski, na tym polega jego urok, za który wielu go lubi, ale też wielu wprost przeciwnie.

Z tej choroby nie wyleczyły go ani doświadczenia własne, ani powszechne, wystarczająco zdawałoby się dobitne dla każdego. Co więcej - ta choroba pogłębia się. Dowodem - jego sławny już list /a raczej memoriał - przyp. T/ do Michała Gorbaczowa, w którym z całą powagą proponuje, aby Wielki Brat... zrezygnował dobrowolnie, w imię "własnego interesu", ze swego przydomka i związanych z nim atrybutów i pozostał nam po prostu bratem! - układając się z nami po partnersku, w duchu wzajemnego wybaczenia i zapomnienia całej przeszłości.

To już nie jest idealizm, to czystej próby szaleństwo! Propozycja Bratkowskiego pozostaje w jaskrawej sprzeczności, po pierwsze, z samą naturą tego, co chciałby zmienić, po wtóre, z całym doświadczeniem historycznym, sięgającym znacznie głębiej niż rok 1917. Po trzecie zaś, wolno sądzić, że nawet gdyby wbrew logice zaowocowała /szaleństwo za szaleństwo/, daleko nie wszystkich z nas by ukontentowała. Aspiracji narodowych nie można bowiem przeciąć na pewnym z góry wykalkulowanym poziomie. One zawsze wybiegać będą do samego celu. Podobnie też, rachunku krzywd nie można przekreślić dla doraźnie obliczonych, a przy tym jakże ograniczonych korzyści. To w ogóle nie jest wartość przetargowa. Z pamięci narodowej nie można usunąć tego, co w niej tkwi jak gwoździ. Każdy Polak od dawna wie, że są rany, które tylko podłość może zabić.

Propozycja Bratkowskiego powoduje, że wielu Polaków zapewne przewraca się w grobach. Wiemy, jak wielu i w jakich grobach. Zauważmy, że autor memoriału nawet nie wymienił nazwy, która jest symbolem najtragiczniejszym...

Z tym memoriałem należałoby podjąć zasadniczą i szczegółową polemikę. Nie czynimy tego, traktując ten tekst jako wykwit trudnych czasów, w których żyjemy i fatalnej sytuacji, z której trudno znaleźć jakies zadowalające wyjście.

I jeszcze tylko jedna uwaga, tycząca formy. Forma jest bez zarzutu, cechuje ją starannie ważony umiar, kurtuazja, wysoka godność piszącego, a także żarliwość oraz wiara, że w świecie polityki istnieje jeszcze prawda obiektywna i poczucie moralne. Tak pisywał Paderewski do prezydenta Wilsona. Szkoda, że Stefan Bratkowski nie jest, niestety, Paderewskim, a jeszcze większa szkoda, że Gorbaczow nie jest Wilsonem.

T.



TELEFON DO SZCZYPORSKIEGO

"Czy zna pan telefon do Kremla?" - pod takim tytułem ukazał się artykuł Andrzeja Szczypiorskiego w "Frankfurter Allgemeine Zeitung" we wrześniu 1985 roku. Tłumaczenie i druk tego tekstu na naszych łamach /nr 5-6/86/ wzbudziło polemiki, z których jedną - przekazaną do redakcji - publikujemy poniżej<sup>x/</sup>.

Najpierw cytaty. W podrozdziale "Na czym polega niepodważalność?" znajduje się następujący fragment: "W Polsce w żadnym wypadku nie walczy się o władzę partii komunistycznej, ani też o jej usunięcie, tylko o zdrowy rozsądek w takich granicach, jakie zostały Polakom wyznaczone przez historię współczesną i geopolitykę". Dalej: "Polityczna opozycja jest zgrupowaniem, które dąży do odebrania władzy swym przeciwnikom i sprawowania jej według własnego programu. Nie ma w Polsce takiej opozycji, gdyż ze względów historycznych i geopolitycznych nie może jej być. Nikt, kto ma zdrowy rozsądek, nie chce odbrać partii jej władzy, ponieważ jest to zupełnie niemożliwe. Musiałoby to się skończyć wielką katastrofą dla polskiego narodu, a naród polski przeżył już w przeszłości zbyt wiele katastrof, żeby nierozsądnie wyzywał los. /.../ Oóż opozycja w Polsce ma charakter moralny. Jest ona sprzeciwem wobec kłamstwa, obrzydliwej i poniżenia. Sprzeciwem wobec nieporządków, mitomani, przywłaszczaniu praw, głupoty" itd., itd.

W innym miejscu autor cytuje fragment rozmowy, jaką prowadził z WFP /Wysokim Funkcjonariuszem Partyjnym/. Cytuje pytanie zadane owemu WFP: "Czy wierzy pan, że ktokolwiek w tym kraju zwaśniłby i chciał zupełnie poważnie zmienić europejski porządek, który został ustanowiony przez obie potęgi światowe?" Cytowanie samego siebie, jako zabieg stylistyczny, miało wzmocnić, jak sądzę, siłę argumentacji. Pewnie zbyt mocno, ponieważ forma jest i tak wystarczająco dobitna, a treść wszak dotyczy najważniejszej dla narodu sprawy. Chyba, że Szczypiorski chciał przez to pokazać, jak to swobodnie mogą między sobą wymieniać poglądy moralny opozycjonista i WFP. Ale to już zupełnie inna sprawa.

W cytowanych fragmentach Andrzej Szczypiorski pisze po prostu nieprawdę. W Polsce istnieje bowiem opozycja polityczna, która deklaruje głośno i wyraźnie, że za objaw zdrowego rozsądku właśnie uważa chęć odebrania władzy komunistom. Istnieją w Polsce partie, które określiły swoje programy i które nie uważają, że odebranie PZPR władzy musiałoby się skończyć wielką katastrofą. Owszem, uważają że dalsze spra-

<sup>x/</sup> Tekst ten ukazał się również w "Wyzwoleniu" nr 2/1986.

wowanie władzy przez komunistów już się kończy wielką katastrofą - gospodarczą, ekologiczną i polityczną. W Polsce ukazało się wiele oświadczeń - wystarczy choćby pobieżnie śledzić prasę niezależną - w sprawie Jałty. Jest wielu Polaków, którzy nie godzą się z narzuconymi układami i są tu na ogół ludzie przy zdrowych zmysłach. Opczyja w Polsce ma nie tylko charakter moralny, który, choć czysty i szlachetny, dość mało liczy się w politycznej grze. Opczyja w Polsce staje się coraz bardziej polityczna i coraz lepiej rozumie reguły gry.

Panorama opozycji politycznej jest dość rozległa. W "Wyzwoleniu" /1-86/, "BMW", "Konkrecie" /2-86/ i w "Niepodległości" ukazały się obszerne prezentacje polskich ugrupowań politycznych. Można tę opozycję uważać za słabą, można się z nią nie zgadzać, ale nie można twierdzić, że jej nie ma.

Andrzej Szczypiorski ma prawo, jak każdy, wypowiedzieć dowolny własny pogląd. Ma prawo uważać za niezmienny porządek jałtański i uznawać obce namiestnictwo za swoją władzę. Ma prawo nie dostrzegać opozycji politycznej. Ale nie ma żadnego prawa głosić, że tak, jak on, myślą w Polsce wszyscy i że opozycja nie istnieje, ponieważ, jego zdaniem, istnieć nie może. Wagę tej wypowiedzi wzmacnia negatywnie fakt, że poglądy takie przedstawia Szczypiorski czytelnikowi zachodniemieckiemu, który raczej ma nikłe szanse poznać poglądy przeciwnie, a który w sprawach polskich jest już wystarczająco stale dezinformowany.

Teraz, co do poglądów wyrażonych we wspomnianym artykule. Ponieważ Andrzej Szczypiorski odwołuje się do cporu moralnego, opozycji moralnej, jak pisze, to od moralności zacząć. Otóż za niemoralne uważam godzenie się i uznawanie niegodziwych układów tylko dlatego, że za nimi stoi siła. Za niemoralne uważam poddanie się niewoli, nawet jeśli się dąży do poprawienia warunków bytowania w tej niewoli. Zaś za poddanie się uważam składanie w tej sprawie deklaracje. Doprawdy wcale nie trzeba być wariatem, aby nie uznawać Jałty. Ten układ był bowiem wielkim świństwem, o ile w polityce można używać takich określeń, jakie wojenni sojusznicy wyrządzili Polsce. Zachodnie mocarstwa łatwo i szybko pogodziły się z narzuconą przez Stalina wolą i przy milczącej aprobacie zmęczonego wojną świata uznały rząd, którego w żadnym wypadku nie można było uznać za rząd polski i który nie wypełnił żadnego z zobowiązań, w szczególności zaś zobowiązania przeprowadzenia wolnych wyborów.

Przez ponad czterdzieści lat swego panowania komuniści wyrządzili temu krajowi szkody nieporównywalne z żadnym innym okresem historycznym. Cały okres ich panowania przyniósł dostateczną liczbę faktów na poparcie tezy, że metody rządzenia tej władzy są metodami okupacyjnymi i że pozostają w zasadzie niezmiennie, mimo drobnych retuszy, różniących poszczególne ekipy. Żywić jakiegokolwiek złudzenia co do możliwości zasadniczych zmian w sposobie sprawowania władzy przez komunistów, to znaczy być politycznym ślepcem, to znaczy chcieć rozwiązać kwadraturę koła.

Z faktu, że w tej chwili nie możemy się spod sowieckiej okupacji wyzolic, jeszcze wcale nie wynika, że musimy się z nią godzić. Wprost przeciwnie - każdy ruch wyzwolenia musi mieć swój początek w niezgodzie na niewolę.

Powtarzam to, co już niejednokrotnie mówiłem i co mówili

inni. Ale widocznie prawdy oczywiste trzeba powtarzać tak długo, aż dotrą do zamulonych mózgów. Klucz do rozwiązania sprawy polskiej leży w konfiguracji międzynarodowej. I to niekoniecznie tylko jako wynik konfliktu zbrojnego. Możliwe są rozliczne warianty ułożenia się sił na arenie międzynarodowej, możliwa jest gra polityczna, ale Polacy muszą tę grę prowadzić. Na to, aby sprawa polska stała na arenie międzynarodowej, musi być słyszany głos Polaków - głos w tej najważniejszej dla narodu sprawie - sprawie niepodległości, a nie tylko takiego czy innego związku zawodowego, podwyżek cen, czy więźniów politycznych, choć to też jest ważne. Syty, spokojny świat zachodni musi wiedzieć, że nie godzimy się płacić za ich święty spokój naszym zniewoleniem i że nie przestaniemy być dla nich beczką prochu. Muszą oni zrozumieć, że rozkładanie tej beczki leży także w ich interesie i że w tym kontekście sprawa polska jest sprawą międzynarodową. Nie chcemy ani więcej, ani mniej, niż to, co nam się w sposób naturalny należy - prawa do swobodnego narodowego bytu. Czy ktokolwiek uważałby za wariata Anglika, który domagałby się niepodległości, gdyby historia potoczyła się inaczej? Ale tylko w tym aspekcie sprawa polska jest sprawą międzynarodową. I tylko kwestia naszej niepodległości musi i powinna być nieustannie i wszelkimi możliwymi sposobami podnoszona na arenie międzynarodowej. Wszystko inne jest naszą wewnętrzną sprawą.

Nie jest łatwo polskiemu autcowi dostać się na łamy prasy zachodniej. Nie jest łatwo prezentować nasze problemy, a nie tylko obraz wydarzeń, czy zdjęcia z kolejnej manifestacji. I dlatego uważam, że jeśli ktoś wykorzystuje taką możliwość do przedstawięcia nierzeczywistego obrazu sytuacji w Polsce i dla utwierdzenia opinii zachodniej, że chodzi nam tylko o wygodniejszą pryczę w obozie, to jest to gorsze niż błąd.

Andrzej Jerzewski

## POLEMIKI

### "ROZMOWY Z CIENIEM" - RAZ JESZCZE

Dziękując redakcji "Mostu" za zamieszczenie "Moich rozmów z ojcem", które przeleżały w szufladzie od 1981 r., chciałbym zarazem zgłosić dwa zastrzeżenia odnośnie sposobu ich publikacji. Po pierwsze, mam żal do PT redaktorów o to, że nie odnaleźli mnie i nie poprosili o odczytanie nieczytelnych miejsc w tekście, z których niektóre mają istotne znaczenie. Drugie zastrzeżenie jest poważniejsze. Chodzi mi o sposób, w jaki powołany przez redakcję pisma komentator mego tekstu, wygłasza ex cathedra swe oceny. Pan Jerzy Zamróż daje mi odpór w iście partyjnym stylu, bo w sposób arbitralny, wykluczający z góry jakakolwiek równorzędność krytykowanego autora we wspólnym dochodzeniu do prawdy. W ten sam - wypisz, wymaluj - sposób w roku 1981 komentował krytycznie me here-



tyckie wypowiedzi, na łamach redagowanych przez Wiesława Masłaka "Argumentów", urzędowy marksista z WSNS, doc. Jerzy Kuciński.

Taki sposób polemiki na łamach niezależnego wydawnictwa jest rzeczą niezmiernie smutną, a zarazem symptomatyczną. W społeczeństwie demokratycznym prawdy poszukują w sporze równorzędni dyskutanci, gdyż - jak to za Stanisławem Vincenzem powtórzył Czesław Miłosz - jedynie żyły człowiek może pretendować do stuprocentowej prawdy. Natomiast w społeczeństwie biurokracyjno-totalitarnym ncsicielem prawdy absolutnej jest instancja odpowiednio wysokiego szczebla. Wobec autorów najczęściej bywa nim redakcja czasopisma. W taki właśnie cdołgny sposób potraktował mnie w imieniu redakcji "Mostu" p. Jerzy Zamróż.

Jak się wydaje, nie zdawał on sobie w pełni sprawy z odmienności mojej roli od zadań obiektywnego badacza-historyka. Wstępowałem wszak jako sprawozdawca rozmów z osobą trzecią, relacjonujący słowa te same osoby. Moim podstawowym obowiązkiem było te słowa jak najpełniej i najdokładniej wydcbyć z pamięci i jak najwierniej przełać na papier. Co też uczyniłem. Napisałem swoje dwie relacje /"Chcziain i Gospodarz" oraz "Moje rozmowy z ojcem"/ po ojca przedwczesnej śmierci, która przerwała jego pracę nad pamiętnikiem. Pamiętnik ten, dcprawdzonej zaledwie na przedpcia Lenino, miały z pewnością dużą wartość historyczną, gdyby ojcu udało się doprowadzić wspomnienia do zamierzonego końca, tj. gdyby zdołał opisać on swój udział w dziejach PRL i PZPR. Zdaję sobie z tego dcbrze sprawę, gdyż w swoim czasie byłem pośrednikiem, przekazującym ojcu prośbę historyków z TKN o zrelacjonowanie szeregu spraw istotnych dla dziejów najnowszych Polski. Toteż po śmierci ojca - pod wpływem namów wielu znajomych - pozбираłem dosłownie okruczy z zamierzonej przez ojca pracy i spisałem w postaci ww. relacji.

Że pomiędzy Romanem Zambrowskim a Jerzym Zamrozem istnieją zasadnicze różnice zdań, jest rzeczą naturalną i zarazem zrozumiałą. Nie rozumiem wszelako, dlaczego J. Zamróż czyni mnie odpowiedzialnym za tę zdań różnicę i ma mi za złe, że w swej relacji nie dostosowałem się do punktu widzenia J. Zamroza. Bóg mi świadkiem, że nie ja tę różnicę zdań zawiniłem! Jerzy Zamróż zarzuca mi podwójne wybielanie ojca, jak gdybym cenzurował te ustępy relacji ojca, które mogłyby przemawiać przeciwko niemu. Jest to zarzut gołosłowny. Niczego w opowieściach ojca nie pomijałem, chyba że przez zapomnienie. Po drugie, J. Zamróż nie dostrzega /bo cudza krzywda nie boli/, iż wyznania ojca, przede mną przytoczone, są wyraźną polemiką z "marcową" /z 1968 r./ kampanią oszczerstw zarówno przeciwko ojcu, jak i przeciwko związanym z nim partyjnym "liberałom" z czasu walk frakcyjnych w PZPR przed Październikiem 1956 r. Przecież i dziś partyjna historiografia pomija milczeniem rolę ojca w torowaniu Ws Gomułce drogi do władzy. Nie pisałem pozatem - wbrew oczekiwaniom J. Zamroza - panoramicznej historii wydczeń 1956 r., lecz jedynie przekazałem czytelnikom wyjaśnienia ojca o tym, jak to było naprawdę z "Natolinem" i "Puławianami".

J. Zamróż uważa walki frakcyjne na szczytach PZPR, które po VII plenum KC w lecie 1956 r. spowodowały kompletny paraliż władzy, za rzecz bez istotnego znaczenia. Wcłno mu tak sądzić. Dobrze by było atoli, gdyby J. Zamróż uprzytomnił sobie, co stało się z drogim jego sercu ruchem klubów młdczej intelligen-

cji oraz tygodnikiem "Po Prostu", kiedy W. Gomułka władzę swą skonsolidował. Wówczas być może zrozumiałyby tę banalną skądinąd prawdę, iż nie może być sytuacji rewolucyjnej bez skłócenia i paraliżu władzy.

Pouczanie mnie - bądź co bądź więźnia "marcowego" - o tym, że tow. Wiesław nie był całkiem "cacy", mógłby J. Zamróż sobie darować. Wiem o tym i bez niego. Ostatecznie bratem udział w różnych działaniach opozycyjnych jeszcze przed zamknięciem "Po Prostu". Przypominając wszelako przemówienie W. Gomułki na wiecu 23 października 1956 r., przeoczył J. Zamróż programowe przemówienie Wiesława na VIII plenum KC, wygłoszone na kilka dni przed tym wiecem. O znaczeniu tego przemówienia świadczy chociażby ta okoliczność, że podczas wypadków na Wybrzeżu w grudniu 1970 r., dyrektor RWE Jan Nowak-Jeziorański uznał za celowe przypomnienie całego tego tekstu na falach eteru.

Takich rozbieżności w ocenach mógłbym przytoczyć wiele i zapewniam, że w każdym przypadku mcgę przytoczyć dla obrony swego stanowiska ważne - w mym przekonaniu - argumenty. Podobnie jak J. Zamróż, z tą wszelako różnicą, że ja nie przemawiam ex cathedra i nie "podsumowuję" swego adwersarza. Ostatnia moja uwaga dotyczy założeń - rzekłbym - metodycznych, a może świątopoglądowych. Omawiając ewolucję postaw R. Zambrowskiego w okresie przełomowym - w 1948 r. - J. Zamróż zwyczajnie nie rozumie nadziei, jakie u wielu przywódców komunistycznych w licznych krajach wzbudziły zapewnienia Stalina, iż kompartie nie muszą mechanicznie kopiować radzieckich wzorów i będą mogli samodzielnie kształtować drogę swych krajów do socjalizmu. Te nadzieje przysły wraz z nastaniem Kominformu. Co więcej, J. Zamróż, jak się wydaje, hołduje wulgarno-marksistowskiej zasadzie, iż był społeczny kształtuje bez reszty człowieka. Ja, na szczeście, marksista nie jestem i w to nie wierzę. Gdy J. Zamróż tłumaczy mi, że R. Zambrowski zajął odpowiednie stanowisko w sporze z Gomułką w 1948 r., bo był komunistą przeszkolonym w Moskwie, zdaje się zapominać, że zarówno B. Bierut, jak i W. Gomułka byli komunistami przeszkolonymi w tejże samej kominternowskiej szkole im. Lenina w Moskwie. Komunistami przeszkolonymi w Moskwie byli zarówno Tito, Mosza Pjede i Edward Kardelj, jak i Imre Nagy oraz Aleksander Dubczek. Po co więc powlekać wulgarno-socjologiczne schematy, które niczego nie wyjaśniają? Ja zresztą też byłem "komunistą przeszkolonym w Moskwie", toteż gdy w 1982 r. prowadziłem przez zakratowane okno modlitwę internowanych w więzieniu w Białołęce, nieraz koledzy dogadywali: "tyle rubli na marne!"

Każdy człowiek jest w różnych okolicznościach kowalem swego losu, bo opowiada się za różnymi alternatywami wyboru. Dotyczy to również różnych działaczy komunistycznych. J. Zamróż zarzuca mi, że w naiwności swej nie rozróżniam strategicznych celów od taktycznych haseł, a ponadto żywię żrudenia, iż różne ruchy pozorowane na szczytach władzy miały swe motywy ideowe. Są to stalinowskie schematy myślowe a re-bours. Żaden autentyczny działacz socjalistyczny lub socjaldemokratyczny nie mógł w oczach stalinowców mieć dobrych i uczciwych zamiarów, gdyż ex definitione był agentem wroga klasowego. To samo, w oczach J. Zamroza, dzieje się z różnymi zburowanymi komunistami. Jeśli istotnie w to wierzy, to

niech wytłumaczy, dlaczego Imre Nagy i Pal Maleter woleli śmierć od samokrytyki, zaś Franciszek Kriegel wolał ryzykować ich los, niż wyrazić zgodę na okupację Czechosłowacji w 1968 roku. I dla jakich namacalnych korzyści Roman Zambrowski złożył w marcu 1963 r. dymisję ze swych stanowisk na szczytach władzy, zaś na XV plenum KC w 1964 r. podjął samotnie konfrontację z Gomułką w sprawie założeń planu 5-letniego, przepowiadając mu rychły konflikt z klasą robotniczą?

Kosztą nonkonformizmu ojca opłacałem przez dłuższy czas z nim pospołu, dzięki czemu i dziś znajduję się na znacznie niższym szczeblu hierarchii społecznej niż J. Zamróż. Toteż miarą nienawiści ośrodków policyjno-partyjnych do Romana Zambrowskiego, odczuwaną przeze mnie do dnia dzisiejszego na własnej skórze, mierzę zacietrzewienie polemiczne Jerzego Zamroza.

Antoni Zambrowski



Można zrozumieć rozgoryczenie Antoniego Zambrowskiego. Ale nie można go podzielać. Gdyż on podchodzi do sprawy emocjonalnie, nas zaś - przynajmniej staramy się o to - cechuje realizm i obiektywizm. Wydaje się, że wyrazem tego właśnie obiektywizmu było opublikowanie tekstu A. Zambrowskiego jako dokumentu ilustrującego pewne zjawiska społeczno-polityczne.

Komentarz, którym opatrzyliśmy tekst "Moje rozmowy z ojcem" nie miał być, przynajmniej w założeniu, ani napastliwy, ani apodyktyczny, czy też "ustawiający". Miał jedynie pokazać, że sprawy podjęte przez A. Zambrowskiego można widzieć również inaczej. Tym bardziej, że tekst A. Zambrowskiego opublikowaliśmy w pełnym wymiarze. Dlaczego więc, krótki - w porównaniu z tym tekstem - komentarz miałby mieć większą siłę przekonywującą?

Polemika A. Zambrowskiego z komentarzem skrzy się od takich wypróbowanych perełek polemicznych, jak: "odpór w iście partyjnym stylu", traktowanie "w odgórny sposób", "zarzut gołosłowny", "cudza krzywda nie boli", "hołduje wulgarno-marksistowskiej zasadzie", "stalinowskie schematy myślowe", aż po porównanie autora z obrzydliwcem Mysłkiem z "Argumentów" i postawienie go w rzędzie nosicieli "nienawiści ośrodków policyjno-partyjnych do Romana Zambrowskiego". To tylko co celniejsze "argumenty" z tekstu A. Zambrowskiego.

Jeśli zaś powrócić by do meritum sprawy i potraktować ją poważnie, to trzeba stwierdzić, że samodzielnego myślenia i ewolucji poglądów nie tylko Romana Zambrowskiego, ale i wielu innych ludzi z ówczesnych szczytów władzy, nikt poważny nie zamierzał, ani nie zamierza negować. Ale ta samodzielnność myślenia w okresie stalinowskim była, bądź co bądź, inna u Zambrowskiego niż np. u Władysława Gomułki. I inne też były jej konsekwencje dla obydwu działaczy, jeśli już przy tym jednym porównaniu poprzestaniemy...

Nikt nie zamierza też negować szlachetnych pobudek, dla których R. Zambrowski złożył w marcu 1963 r. dymisję ze swych stanowisk na szczytach władzy. Ale, na Boga, ktoś przecież nam



ten "socjalizm", począwszy od roku 1944 - poza radzieckimi bagnietami - w Polsce wprowadził i na długo utrwalił! Nie trudno wymienić kilka czołowych nazwisk ludzi zaangażowanych przez lata całe w tym procesie...

Antoni Zambrowski pisze, że z ojcem pospołu przez dłuższy czas opłacał koszty jego nonkonformizmu. To chyba duże uproszczenie, bo A. Zambrowski posiada przecież - i za to go szanujemy - własny polityczny życiorys, nie będący bynajmniej powtórzeniem ojcowskiego.

Ale nie ma sensu ciągnąć tej polemiki. Uważamy, że zapoznanie naszych czytelników z tekstem "Moje rozmowy z ojcem" - a przecież on był sprawą główną, nie zaś polemiczne uwagi - było potrzebne i pożyteczne, tak jak pożyteczne jest wszystkim, co wzbogaca naszą wiedzę o historii najnowszej. Zaś Antoniego Zambrowskiego zapraszamy do współpracy - chętnie opublikujemy jego współczesne przemyślenia, czy też relacje ze społecznego działania w imię wspólnej chyba, łączącej nas sprawy.

Redakcja

#### DOKUMENTY

#### PROPAGANDA ZAMIAST MIESZKAN

Nieoczekiwanie dla mnie samego zaproponowano mi uczestnictwo w Radzie ds. Mieszkaniowych, powołanej jako społeczny organ doradczy rządu. Acz nie miałem większych złudzeń co do skuteczności działania takiego ciała, to jednak fakt, iż zaproszono do niej spore grono kompetentnych i niezależnych osób sprawił, że uznałem za celowe wyrażenie zgody. Uważałem, że warto nie tyle spróbować działać, ile znaleźć miejsce dla publicznego wyrażania opinii.

Publicznego, a więc nie tylko na forum Rady. Dlatego też pierwszą moją czynnością, jako tak wyróżnionego, było opublikowanie na gościnnych łamach "Tygodnika Powszechnego" artykułu przedstawiającego mój pogląd na źródła mieszkaniowej klęski i drogi jej przezwyciężenia. Tekst ten, acz mocno okrojony przez cenzurę, ukazał się i jego pełną wersję opublikowałem na pierwszym posiedzeniu Rady jej członkom. Do szerszej popularyzacji moich poglądów przyczynił się też Jan Rem, poświęcając im kolejne swe "Samosądy".

Udało się też, dzięki postawie prezesów trzech stowarzyszeń: SARP /architekci/, TUP /urbanisci/ i PZLiTB /inżynierowie i technicy budowlani/, którzy też zasiadają w Radzie, znaleźć oficjalne miejsce spotkań grupy członków Rady, cieszących się autorytetem w środowisku mieszkaniowych fachowców i opinią ludzi myślących niezależnie. Dawało to poczucie wspólnoty opinii oraz większą pewność występowania na forum Rady. Być może nawet, wpłynęło to na przebieg jej posiedzeń.

Skoro więc od początku uznałem, że sens działania w Radzie polega właśnie na możliwości publicznego wyrażania opinii, a PT Czytelnicy "Tygodnika Powszechnego" zostali wciągnięci w me działania - uważam za swój obowiązek przede wszystkim przedstawić im dalszy ich ciąg. Będę więc wdzięczny za opublikowanie mego wystąpienia na kolejnym posiedzeniu Rady.

Aleksander Paszyński

## WYPOWIEDŹ W CZASIE PLENARNEGO POSIEDZENIA

### RADY DS. MIESZKANIOWYCH

/25 marca 1986 r./

1. Zgłaszam formalny wniosek o odrzucenie "Założeń kierunkowych poprawy sytuacji w budownictwie i gospodarce mieszkaniowej", które - jak wiemy - rząd ma omawiać w najbliższym czasie. Uważam, że jest to dokument całkowicie spreczny z poglądem Rady na sposób - może lepiej byłoby powiedzieć: na filozofię - rozpatrywania kwestii mieszkaniowej, jaki reprezentuje Rada. Upoważnia mnie do takich stwierdzeń ton dyskusji nad poprzednią wersją "Założeń" w czasie lutowego posiedzenia plenum Rady. Sygnalizowałem nawet wówczas przydziom, że jeśli dokument zostanie poddany pod głosowanie, złożę formalny wniosek o jego odrzucenie. Widać przydziom zorientowało się, że może dojść do kompromitacji, a - jak pamiętamy - min. Zajchowski, odpowiadając na różne zarzuty pod adresem dzieła Komisji Planowania, uzasadniał, że jest ono rzetelnym obrazem rzeczywistości stworzonej przez obecny kształt polityki mieszkaniowej i pokazuje jedynie konsekwencje jej kontynuowania. Ale - powiedział - jeśli Rada kwestionuje właśnie założenia obecnej polityki, to zmiana tych założeń automatycznie zmieni realia planu.

2. Można powiedzieć, że Rada nie zdołała jeszcze przedstawić swych propozycji w dostatecznie skonkretyzowanej formie. Jest to jednak prawda tylko częściowa, intencje kierunkowe zostały przez nią wyraźnie zarysowane. Tyle że dokument Komisji Planowania całkowicie je ignoruje. Różnica między obu jego wersjami w gruncie rzeczy polega na dacie - pierwsza sygnowana była "październik 1985", obecna nosi datę "marzec 1986". Minęło więc sześć miesięcy i jesteśmy w tym samym miejscu. Przemasz - zmienili się liczby planu, dokonano mianowicie miana między pierwszą i drugą jego wersją, wprowadzając "wideo" jego ujęcie, przy czym dolna granica /1050 tys./ to liczba mieszkań, jaka figurowała w pierwszym wariantcie planu, teoretycznie odrzuconym w toku tzw. konsultacji. W istocie jednak Komisja Planowania proponuje ten odrzucony ponoc wariant, bo przecież trudno wierzyć, że autorzy poważnie traktują warunek osiągnięcia górnej /1150 tys./ granicy w postaci 6-procentowej obniżki kosztów budownictwa i podobnej skali obniżki zużycia materiałów, skro nie przedstawiają żadnych przesłanek, żadnych propozycji działań, mogących zapewnić osiągnięcie takiego założenia. No i mamy rozdział obiecujący świetlaną przyszłość po 1990 roku, tyle że to czysto werbalny zapis.

3. Teraz, w największym skrócie, o filozofii tego dokumentu. Powiem wyraźnie, że stanowi on kwintesencję, znakomitą

ilustrację metody, jaką Komisja Planowania zaprezentowała w toku całości prac nad planem pięcioletnim. Metoda ta polega na bezradnym rozkładaniu rąk i eksponowaniu "uwarunkowań obiektywnych", tworzących jakoby niepokonywalne bariery rozwoju. Zapomina jednak, że nie ma przecież całkowicie obiektywnych uwarunkowań - może poza pogodą i żywiołowymi klęskami - i że większość istniejących stworzyła polityka gospodarcza, może nie tylko gospodarcza, lat dalszych czy bliższych. Także - i to chcę szczególnie zaakcentować - ostatnich. W każdym razie, w odniesieniu do kwestii mieszkaniowej demagogią jest mówienie o barierach niepokonywalnych. Jeśli dziś się dowodzi, że w obecnym pięciolciu niewiele można zdziałać, to jest to o tyle prawdziwe, że stracony został czas, jaki rząd miał do dyspozycji, bowiem wszystko, o czym mówimy, było powiedziane i napisane wielokrotnie. Ale skoro Komisja Planowania rozkłada ręce, to przynajmniej z poczucia przyzwoitości nie powinna teraz przedstawiać dokumentu noszącego tytuł "Założenia kierunkowe poprawy sytuacji w budownictwie i gospodarce mieszkaniowej w latach 1986-1990". To przecież kpina z opinii publicznej i także z nas, tu zebranych. Gdyby rząd - może nie powinienem tego mówić w tym gmachu - musiał się liczyć z opinią, to następnego dnia po przyjęciu tego dokumentu powinien podać się do dymisji.

4. Nie wiem, co zrobi rząd, ale my - jako Rada - znaleźliśmy się w niezwykle fałszywej sytuacji. Wystarczy przecieżyć wziąć do ręki gazetę, otworzyć telewizor, posłuchać radia, by dowiedzieć się, jakie to ogromne wysiłki czyni się dla poprawy sytuacji mieszkaniowej. Tylko mieszkań jest jakby coraz mniej. Protestowałem przeciw angażowaniu naszej Rady w wątpliwe przedsięwzięcia - dodam, że nawet z propagandowego punktu widzenia - konsultacje Biura Prasowego Rządu, ale teraz jesteśmy sami w środku tej gry pozorów, przyjmujemy współodpowiedzialność za ten stan rzeczy. Propaganda zamiast mieszkań, to krucha gałąź i nie warto się jej trzymać.

5. Oto, dlaczego wnoszę o formalne, wyraźne odrzucenie dokumentu Komisji Planowania. Ale to za mało. Myślę, że powinniśmy postulować opracowanie doraźnego programu poprawy, doraźnego zestawu decyzji odblokowujących te sprawy, jakie odblokować można bez trudu. Jest to wniosek zgodny z przyjętym trybem działania Rady, przewidującym, że będzie ona pracować równolegle w dwóch niejako płaszczyznach - doraźnej i długofalowej. Powiem, że negatywna reakcja, jaką wywołuje lektura "Założeń", wynika właśnie z tego, że autorzy nie pokusili się nawet o myśl zarysowania zestawu takich działań doraźnych, uwiarygodniających intencję zrobienia choćby kroczku do przodu. O jakie działania chodzi? Znowu nie trzeba odkrywać Ameryki, mówiliśmy przecież o nich, tyle że - jak widać - nie słyszeli lub nie chcieli słyszeć ci, do których te głosy były adresowane. Choćby o program, ale program uczciwy, ulg finansowych dla wszelkich producentów materiałów budowlanych. Albo o odblokowanie środków, jakie zakłady pracy mogą skierować na swe fundusze mieszkaniowe.

6. Ten ostatni przykład jest szczególnie spektakularny i gorący zarazem. W krytykowanym dokumencie /str. 35/ jego autorzy piszą: "Wobec niewykorzystanych możliwości zakładów pracy w zaspokajaniu potrzeb mieszkaniowych załóg, w najbliższych latach powinien zwiększyć się udział zakładów pracy w



poprawie warunków mieszkaniowych własnych pracowników". To prawą ręką. A lewą piszą projekt ustawy o blokadzie zakładów funduszy socjalnych i mieszkaniowych. Być może, jest to zamysł świadomy, może inne projekty polityki gospodarzej tego wymagają. Ale skoro tak, to niech rząd odważnie powie społeczeństwu, że musi ono na kilka lat odłożyć swe mieszkaniowe nadzieje i nie rudić nikogo mirażami. A także niech powie nam, że naszym zadaniem jest spokojne, czynione bez pośpiechu, przygotowanie jakiegoś przyszłościowego modelu koncepcji polityki mieszkaniowej, który to model - być może kiedyś, jak okoliczności będą temu sprzyjać - zostanie rozpatrzone.

7. Nie jest to retoryczne sformułowanie. Decydowaliśmy się, przynajmniej część z nas, na udział w radzie w nadziei, że będzie to praca pożyteczna. Jak na razie, wiele świadczy o tym, że było to założenie, ażebyws. Może się mylę, może za krótki jest okres naszego działania na formułowanie takich cen, więc chciałbym prosić o wyraźne sprecyzowanie przez premiera: czy mamy być dekoracją do skąbej, padającej sztuki, czy też mamy grać w tym spektaklu rolę znaczącą?

X I X

=====  
Dziękujemy: Bos - 2,5; Mata - 2,8; Zet - 2; GOP - 300.  
=====

=====  
Numer zamknięto 20 listopada 1986 roku.  
=====



**NAJLEPSZE  
ŻYCZENIA  
ŚWIĄTECZNE  
WOLNOŚCI WOLNYM**  
składa REDAKCJA



WARSZAWA 1986

**cena: 700zł**